

DEMET
ALTINYELEKLIÖĞLU



SUŁTANKA

KÖSEM

CZARNA KRÓLOWA

NA PODSTAWIE KSIĄŻKI POWSTAŁ SERIAL

WSPANIAŁE STULECIE

SUŁTANKA KÖSEM



WIELKA LITERA



DEMET
ALTINYELEKLIĞLU SUŁTANKA
KOSEM
CZARNA KRÓLOWA

Z tureckiego przełożyli
Piotr Beza, Anna Banasiak



 WIELKA LITERA



Dla Doğy i Seymena



KSIEGA II



Czterdziesty drugi dzień od przeprowadzki do Holu Haseki.

To minęło już aż tyle czasu? Policzyła jeszcze raz. Wszystko się zgadzało. Dwa dni temu minęło czterdzieści dni od śmierci sułtanki Safiye.

Nie miała już wątpliwości. „Zapomniał o mnie!”. Przydarzyło jej się więc to, o czym kiedyś mówiła Eftalya: „A niektóre z nałożnic... Odrzucone, usychają w zapomnieniu”.

I teraz ona była jedną z nich. Odrzucona, zapomniana, zaczynała już nawet schnąć.

Jej księżę z bajki ją porzucił. Jako że nie miewała już snów o nim, nawet w nich nie mogła więcej całować i wdychać jego zapachu.

Coś musiało się stać.

Mahfiruz się nie pokazywała. Nie przyszła nawet na modlitwę za zmarłą, kończącą czterdziestodniowy okres żałoby. „Niby jak miała przyjść, po ostatnim...” – pomyślała. „A ja poszłam. I tym razem nikt nie powiedział mi: «Nie jesteś muzułmanką, więc nie masz tu czego szukać!»”.

„Ale kto wie, co teraz knuje ta wiedźma” – zastanawiała się Mahpeyker. Dziewczęta się dowiedziały, że Królowa Lodu i Handan Sultan nie widują się, jeśli nie ma takiej potrzeby. „Są na siebie obrażone” – powiedziała im Nevcihan, gdy spotkały się kiedyś w rosarium. „Gdy spotkają się w większym gronie, ciągle drocą się ze sobą...”.

Nie można było powiedzieć, aby valide sultan odnosiła się dużo lepiej w stosunku do niej. Ostatnio w jej zachowaniu było coś dziwnego, coś czego Mahpeyker nie rozumiała i czego nawet nie umiała opisać. Była wyraźnie przygaszona. Wcześniej bardzo lubiła przesiadywać w altance w ogrodzie różanym. A teraz pojawiała się w niej raz na sto lat. Tam

czasem zamieniły ze sobą kilka zdań, i tyle.

Lecz to wszystko zbytnio jej nie obchodziło. Starano się to przed nią ukryć, wiedziała jednak, że harem aż kipi od plotek.

– Sułtan wziął sobie haseki, ale podobno powiedział, że w ogóle nie będzie się z nią widywał.

– Co ty opowiadasz? W takim razie, po co ją tutaj w ogóle sprowadził?

Nie ulegało wątpliwości, że plotki te rozsiewała Mahfiruz przy pomocy swoich dam dworu.

– Na co Jego Wysokości taka faworyta-służąca, skoro ma żonę, matkę swego jedynego syna? Tamta była tylko przelotną zachcianką.

Şarazad i Mürüvvet zaklinały się jednak, że sułtan od swego zniknięcia nie pojawił się ani razu także u Mahfiruz.

„Co się z nim dzieje?” – zastanawiała się Mahpeyker. Nie dawały jej spokoju czarne myśli. „Czyżby już w tak młodym wieku dopadła go niemoc?”.

Wielokrotnie starała się czegoś dowiedzieć od daye („Ależ proszę, matko, mateczko...”), ta jednak milczała na temat sułtana jak zaklęta. Za każdym razem patrzyła tylko na nią z uśmiechem i, głaszcząc ją po włosach, powtarzała: „Córeczko... Córeeeczko!”.

Tymczasem ona potrzebowała pieśczoł sułtana, a nie niani. Chciała usłyszeć, jak Ahmed szepcze namiętnie: „Moja Mahpeyker”.

Nagle wstała. Znudziło się jej każdej nocy wyglądać jego przyjścia.

– Idę spać!

Niania, która dopiero co wróciła z Galerii Sułtańskiej, bardzo się temu zdziwiła.

– Idziesz spać? Córeczko, przecież jeszcze nie zjadłaś kolacji.

– Jestem zmęczona. A poza tym, nie jestem głodna.

Semiha wymieniła spojrzenia z daye. Mahpeyker była w tak złym nastroju, że nawet tego nie zauważyła.

– Spokojnej nocy – powiedziała i skierowała się w stronę sypialni.

Semiha chciała pójść za nią, aby pomóc jej się przebrać.

– Nie trzeba – zatrzymała ją. – Dzisiaj poradzę sobie sama.

Otworzyła drzwi do sypialni i weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią.

Nadal spała, gdy otworzyły się drzwi.

– Obudź się – powiedział jakiś szept.

– Co? Kto tam?

– To ja.

– Semiha? Co się dzieje?

– Wstawaj natychmiast. Sułtan...

Gdy tylko usłyszała to słowo, jej umysł momentalnie wybudził się ze snu.

– Sułtan?

– Jest w haremie. Pilnie wezwał do siebie daye. Zanim tam poszła, kazała cię jak najszybciej obudzić. Wstawaj, coś jest na rzeczy.

Ale co? O nic jednak jej nie zapytała. Doskonale wiedziała bowiem, że w pałacu tego rodzaju pytania zawsze pozostają bez odpowiedzi. To mogło być wszystko.

Wstała. Inne dziewczęta już uwijały się jak w ukropie. Panujący w komnacie zgiełk obudził także Sofię. Zaniepokojona rzuciła się jej do nóg.

– Coś się stało, siostrzyczko?

Bez słowa pogładziła dziewczynę po włosach.

Semiha pobiegła na tyły apartamentu. Do uszu Mahpeyker dobiegł szum wody. Kobieta po chwili była przy niej z powrotem.

– Woda jest, jaka jest – powiedziała. – Nie mamy czasu, żeby ją podgrzać. Umyj się, nawet jeśli jest lodowata. Potem wytrzyj się i wychodź, tylko szybko, na miłość boską!

Rzuciła się do skrzyni z ubraniami.

– Semiho?

Dawna służąca Safiye Sultan, zajęta szukaniem odpowiednich ubrań, odpowiedziała jej niemal z wnętrza skrzyni:

– Słucham?

– Ahmed tu przyjdzie?

Mówiąc te słowa, bała się, że razem z nimi przez usta wyskoczy jej także serce.

Semiha wychyliła głowę z kufra.

– Ależ skąd! To haseki musi do niego iść.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, nie od razu więc dotarł do niej sens tych słów.

– Haseki musi iść? Do kogo? Do sułtana?

– Tak.

Nagle do niej dotarło.

– Ja?! – spytała, wrzeszcząc na całe gardło. – Ja? Idę? Haseki idzie? Król wezwał do siebie swoją królową?

– Sza! – Semiha w panice rzuciła wszystko i podbiegła do niej. Wzięła w ramiona, żeby choć trochę ją uspokoić. Mahpeyker drżała na całym ciele. – Tego nie wiemy – powiedziała jej do ucha. – Nikt nie wie. Ale to możliwe. Za chwilę może tu przyjść ktoś od niego i powiedzieć, że padyszach cię oczekuje. Dlatego powinniśmy być przygotowane, na wszelki wypadek...

– Jestem gotowa – powiedziała Mahpeyker, usiłując uwolnić się z ramion kobiety. – Królowa jest gotowa. Natychmiast może iść do swego króla!

– Nastja!

Głos Semihy był tym razem ostry jak nóż. Zamarła na chwilę, zaskoczona zarówno taką reakcją, jak i tym, że kobieta posłużyła się jej dawnym imieniem.

– Uspokój się!

Przez chwilę wydało jej się, że mówi do niej Safiye Sultan:

– To może być ta noc, na którą tak czekałaś. Skoro mówisz, że jesteś sułtanką, to zachowuj się, jak na sułtankę przystało! – podeszła do niej bliżej, tak że usta kobiety dotykały teraz jej uszu. – Jeśli cię dzisiaj rzeczywiście wezwie, to nie idź tam, żeby mu się oddać; idź, aby go zdobyć!

– Ale, ale... – denerwowała się.

Semiha jej nie słuchała. Władczo wyciągnęła rękę i pokazała palcem pomieszczenie, gdzie czekała już na nią zimna kąpiel.

Pośpiesznie udała się we wskazanym kierunku, nic już nie mówiąc. Weszła tam z całym bagażem różnorodnych uczuć. Opanowywało ją to uniesienie, to radość; jej serce wypełniało się nadzieją, by za chwilę całkowicie ją stracić. I tak w kółko... Nie odczuła nawet chłodu wody, gdy

oblewała nią głowę. Spływając wzdłuż ciała, zmywała z niej także jej przeszłość, przeżyte trudności i smutki, opadając w końcu na marmurową posadzkę.

– Odejdźcie! – wołała, nogą odpychając ją od siebie. – Idźcie sobie. Zostawcie mnie w spokoju!

To, na co czekała, musiało wydarzyć się tej nocy. „Tej nocy albo nigdy!”. Gdyby naprawdę wyszła dzisiaj przez te drzwi, to nie po to, by ulec Ahmedowi, ale by go zdobyć – dokładnie tak, jak to powiedziała Semiha. Pójdzie do niego, aby stać się nie haseki, ale sułtanką. Nie niewolnicą, ale królową!

– Semiho...

Kobieta natychmiast przyskoczyła do niej z naręczem ubrań. Doznała szoku, widząc ją przed sobą zupełnie nagą. Nie musiała jednak nic mówić.

– Zostaw to – powiedziała Mahpeyker. – Przynieś mi lepiej ten czarny tiul, który pokazałam ci wczoraj.

Zrozumiała, że Semiha ma zamiar zaprotestować.

– Proszę cię... Daj mi dzisiaj wolną rękę... Pozwól mi zaufać sercu, moim marzeniom! No dalej, przynieś mi go, proszę...

– No dobrze, ale przynajmniej porządnie się wytrzyj w tym czasie, jesteś cała mokra!

Nie zrobiła nawet tego. Tylko niecierpliwie czekała na chwilę, gdy materiał znajdzie się na jej wilgotnym ciele. Kiedy wreszcie chłodna od wilgoci skóra spotkała się z dotykiem jedwabnych włókien tiulu, przebiegły ją dreszcze, a piersi momentalnie stwardniały. Wyobraziła sobie, że lekko muskająca jej biodra tkanina jest tak naprawdę pieczątką padyszacha. Zapłonął w niej ogień, gdy poczuła łaskotanie w pachwinach. Dwa końce tiulu opadały na ziemię, owijając się jej wokół kostek.

– Lustro.

Şarazad natychmiast postawiła je przed nią.

Spojrzała na swoje odbicie obwiedzione srebrną ramą.

„O Boże...”. Po całej powierzchni zwierciadła tańczyło jasnoczerwone światło padające z kaganków. Ona stała dokładnie pośrodku. Wilgotne

włosy przylepiły się do jej odkrytych ramion. Biały gors wyglądał, jakby zajął się ogniem. Z doliny między piersiami – tam, gdzie wyszywany srebrem tiul po raz pierwszy spotykał się z ciałem – pożar ten rozprzestrzeniał się niżej, ogarniając ją całą. Pod cieniutką tkaniną perłowy połysk ciała, a także różowa niczym pączek kwiatu skóra oblekły się w purpurę. Światło doskonale podkreślało wszelkie wypukłości, wydobywając z cienia jego zarysy.

Semiha i Şarazad stały w drzwiach oniemiałe.

– Czemu tak mi się przyglądacie? Oczarowałam was?

Tak, były oczarowane. Zaparło im dech w piersiach.

Raz po raz przygryzła usta, żeby nabrały bardziej wyrazistego koloru. Z tego samego powodu szczypała się w policzki.

– Niech Bóg strzeże cię przed złym okiem! – szepnęła Şarazad, gdy już ocknęła się z pierwszego zauroczenia. – Teraz jeszcze szybko osuszę ci włosy...

– Nie trzeba – powstrzymała ją Mahpeyker. Po jej twarzy błąkał się tajemniczy uśmiech. – Jeśli mnie do siebie zawoła, to przeciwnie, przed wyjściem poproszę was, żebyście jeszcze pokropiły mnie wodą. Palcami, o tak...

Nim zdążyły się zorientować, zademonstrowała to na ich przykładzie. Kobiety rozbiegły się, wrzeszcząc na całe gardło.

– Oszalałaś! – krzyknęła Semiha.

Tak jest, oszalała.

– Chcesz pojawić się przed sułtanem mokra?

Tak jest, miała pojawić się przed nim mokra.

Czterdzieści dwa dni i czterdzieści dwie noce czekała na niego przygotowana. Bez słowa sprzeciwu zносиła wielogodzinne strojenie się i przebieranie za każdym razem, gdy tylko którejś z nich coś się nie spodobało. Podczas tych wszystkich zabiegów nieustannie wpatrywała się w drzwi, mając nadzieję, że za chwilę wejdzie przez nie sułtan i powita ją okrzykiem: „Mahpeyker, moja piękna sułtanko!”. Chciała, kiedy ta chwila nadejdzie, pokazać mu się w swoim najpiękniejszym stanie, z najbardziej zniewalającym uśmiechem na ustach. Lecz gdy się nie pojawiał, równie pokornie poddawała się zabiegom rozbierania. Nadal

starala się uśmiechać, przygotowując się do snu. Czterdzieści dwie noce. Spędziła je, leżąc skulona w swoim łóżku, czując się porzucona, obrażona i ponizona.

Jaka kobieta wytrzymałaby afront i odrzucenie, skrywane szyderstwa usługujących jej dziewcząt? Jaki mężczyzna wytrzymałby tak długo z dala od wybranej przez siebie kobiety? Odpowiedzi na te pytania były identyczne: Żadna! Żaden!

Ile to już nocy spędziła, zadreęczając się takimi ponurymi myślami? „A więc to wszystko było jednym wielkim oszustwem. Niewytłumaczalną grą dla mydlenia oczu...”.

A teraz, w środku nocy, miał ją w końcu do siebie zawołać. Przysłać po nią swojego wysłannika, który pewnie jej powie: „Pośpiesz się. Nie pozwólmy sułtanowi czekać!”. Tak, nie powinna zapominać, że Ahmed jest padyszachem, a ona jedną z wielu niewolnic. W każdej chwili jednym skinieniem dłoni mógł zawołać sobie jakąś inną odaliskę. Dlatego należało być cały czas w gotowości. Musiała czekać na niego wypielegnowana, wystrojona i przyozdobiona. Na jego wezwanie miała niezwłocznie stanąć przed nim i paść mu do nóg.

„Ale to zupełnie nie tak!” – przebiegło jej nagle przez myśl. „Skoro on jest sułtanem, to ja jestem sułtanką. Skoro on jest Ahmedem, ja jestem Mahpeyker”. A więc powinna raczej pójść do niego tak, jak kobieta obudzona w środku nocy, gdy po tym jak zerwała się z łóżka, zdążyła jedynie pośpiesznie ochlapać się wodą... Nie nakładając żadnego zapachu. Miała stanąć przed nim taka, jaka była.

Rzecz jasna, jeśli w ogóle ją zawoła.

Jeśli znów, tak jak zawsze, po wielu godzinach oczekiwania, nie będzie musiała się rozebrać i zwinąć, smutna, w swoim łóżku.

Zawołał. Tuż przed świtem. Posłaniec uchylił drzwi do apartamentu Mahpeyker.

– Jego Wysokość wzywa. Powiedzcie dziewczynie, niech się pośpieszy. I teraz Mahpeyker szła do swego króla.

Włosy miała wilgotne. Na jej twarzy błyszczały kropelki wody. Tiul, który włożyła na swoje wilgotne ciało, miejscami przywarł do niego tak bardzo, że wyglądała, jakby nie miała niczego na sobie. Piersi także

przebijały się przez tkaninę, w najdrobniejszych szczegółach. Jej nogi, spowite mgiełką wilgotnego tiulu niczym tajemnicą, to wylaniały się z niej, to pogrążały w niej na nowo.

Była boso.

Jedyną suchą rzeczą była czarna peleryna z kapturem, jaką zgodnie z radą Semihy zarzuciła sobie na ramiona przed wyjściem. Brzegi peleryny zacisnęła mocno przy piersi. Jej poły niemal omiatały ziemię. Wystawały spod nich tylko jej bose stopy. Miała zrzucić ją dopiero przed padyszachem.

„Strzeż się, sułtanie Ahmedzie! Mahpeyker Sultan nadchodzi, by cię zdobyć”.

Jedno ze skrzydeł wspaniałych drzwi powoli się uchyliło.

Mahpeyker spojrzała przez ramię na stojącą krok za nią daye. Przekroczyła próg i pogrążyła się w ciemnościach panujących po drugiej stronie.

Zastygła na swoim miejscu. Była bliska paniki.

„Czego tutaj szukasz?” – nie dawał jej spokoju jakiś głos.

„Przyszłam zostać kobietą padyszacha”.

W jej głowie rozległ się szyderczy śmiech.

„Kobietą padyszacha? Ciekawe, jak to zrobisz?”.

O Boże! Jak miała to zrobić?

Nie miała pojęcia. Od tamtej nocy w rezydencji Karayelzadego do jej snów czasem wdzierały się obrazy podsuwane jej przez szatana: sceny pełne żądz i namiętności, które doprowadzały ją do szaleństwa i niesamowicie zawstydzaly. Ale to były tylko sny. Jak wyglądało to w prawdziwym życiu?

Wstydziała się o to zapytać, więc nikt niczego jej nie nauczył.

Nagle poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię.

– Chodź, dziecko – wyszeptał jakiś głos w ciemności. Rozpoznała go.

– Daye? Nie zauważyłam cię w tym mroku.

– Wszystkie ściany pokryte są zasłonami z grubego aksamitu. Po przejściu przez drzwi znalazłaś się wśród nich, dlatego zostałaś w ciemności. Teraz trzeba je...

– Nianiu... – zdenerwowana i przestraszona ujęła jej dłonie, jakby

chciała o coś prosić. Nie była jednak w stanie dokończyć i powiedzieć tego, co chciała: „Nie wiem jak...”.

Po błysku jej oczu domyśliła się, że niania uśmiechnęła się w ciemności.

– Nie bój się – szepnęła kobieta. – Słuchaj głosu swego serca i tego, co podpowiadają ci twoje pragnienia. Zobaczysz! Jeszcze urodzisz Osmanom kolejnego padyszacha!

Poczuła ciężki dotyk grubego materiału. Bóg rozchyła przed nią zasłonę... rozchyła... rozchyła.

Ciemności rozciął wąski snop pomarańczowego światła. Mahpeyker odruchowo zmrużyła oślepienie nim nagle oczy. Daye leciutko popchnęła ją naprzód. Usłyszała szelest zamykającej się zasłony.

„Najświętsza Panienko. Jestem przed moim królem! I boję się teraz nawet otworzyć oczy...”.

– Moja wysmukła Mahpeyker!

Słyszając głos sułtana, drgnęła. Jak bardzo na to czekała, jak wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę, gdy zwraca się do niej imieniem, które sam jej nadał.

Nadal nie otwierała oczu. Przez lekko podniesione rzęsy sączyło się do nich jedynie pomarańczowe i czerwone światło, jego jednak nie dostrzegała. Nie chciała. Zupełnie jakby bała się obudzić z pięknego snu. Usłyszała trzask polan, a przyjemne ciepło muskało jej twarz i ciało. Musiała stać naprzeciw kominka.

Nagle się przestraszyła. Tiul wyschnie!

Zdziwiła się, że w takiej chwili może myśleć o czymś takim. Nie mogła jednak odpędzić od siebie myśli, że dobrze by było, gdyby teraz ktoś zza zasłony oblał ją wodą.

„Stoisz już przed swoim królem” – odezwał się rozum. „A ciągle masz na sobie tę pelerynę, zasłaniającą twoją twarz i ciało. Brawo!”.

„Racja! Co ja wyprawiam?” – zreflektowała się. Nadal miała kaptur na głowie, nadal trzymała krańce peleryny zaciśnięte przy piersi.

– Panie... – przerwała, żeby nabrać powietrza. „A niech to” – pomyślała. „Jak mogę coś powiedzieć, skoro serce wali mi jak młotem?”. Zaszło jej w gardle, usta także były suche. Zwilżyła je językiem.

Padyszach patrzył na nią zdziwiony. Stała przed nim zakapturzona postać w czerni. Nie mógł zobaczyć nawet jej twarzy.

Nagle zobaczył, jak coś lekko poruszyło się na dywanie. Dokładnie tam, gdzie poły peleryny dotykały ziemi.

Jej stopy! Bose!

Ahmed poczuł, że wstępuje w niego dobry humor. „Tylko spójrz na nie” – powiedział sobie. „Jakie malutkie”. Momentalnie załała go fala ciepła. Podejrzenie, jakie zaświtało mu w głowie, przyprawiło go o dreszcze. „Czyżby miała na sobie tylko tę pelerynę? Ach!” – jęknął w myślach. On także poczuł suchość w ustach.

– Wasza Wysokość – wyszeptała. Miała nadzieję, że tym razem ton jej głosu wyrażał to, co dzieje się w jej duszy, wszystkie tęsknoty i pragnienia, całą jej kobiecość. – Chcieliście widzieć swoją Mahpeyker... Oto jestem...

„Chyba zaraz zemdleję” – pomyślała jednocześnie. „Żebyś zdążyła przynajmniej go przed tym zobaczyć”.

Jej długie, podkreśnione rzęsy drgnęły. Powoli je uniosła. W pierwszym momencie zmrużyła oczy pod wpływem światła i żaru, bijących dokładnie z naprzeciwka. Po chwili... zobaczyła jego.

„Ahmed! Mój król”.

Gdyby nie płomienie ognia igrające w kominku, w komnacie panowałaby całkowita ciemność.

Padyszach leżał na boku na rozłożonej przed kominkiem skórze z niedźwiedzia. Głowę podpierał ramieniem.

Był bez turbanu. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, rozpiętą niemal aż do pasa. Jego tors skąpany był w głębokim cieniu. Zrobiło jej się jakoś dziwnie. Sułtan miał na sobie czerwone szarawary.

Ponieważ pozostawał poza obrębem światła padającego z kominka, jego twarz była niewidoczna w ciemności. Wiedziała już jednak, że jest przystojny.

Zrozumiała, że Ahmed podobnie jak ona ma trudność z doбором odpowiednich słów. „Powiedz coś pierwsza” – przyszedł jej w sukurs rozum. „Skoro on milczy – ty mów. Skoro on nic nie robi – ty coś zrób. Skoro on cię nie pieści – obsyp go pieściami ty. Zdobądź go jeszcze

przed wschodem słońca. No i zrzuc w końcu tę przeklętą pelerynę, zrzuc ją!”.

Uśluchała go.

– Z tęsknoty za wami... – zaczęła, zsuwając kaptur z głowy i wystawiając twarz ku światłu – wasza niewolnica czuła się, jakby wrzucono ją w ogień, panie.

Ahmed cały czas leżał na swoim miejscu, nie wykonując najmniejszego ruchu. Utkwił wzrok w ogniu, jaki zapłonął nagle w czarnych oczach Mahpeyker. „Ciekawe...” – myślał. „W jej oczach naprawdę jest taki żar, czy to tylko ogień tak się w nich odbija? To naprawdę jedna z córek Ewy? Czy może Bóg postawił przed nami wróżkę stworzoną z ognia?”.

Jakkolwiek by nie było... Była piękna... Pośród gry światła i cienia jej twarz skąpana w purpurze, żółci i czerwieni była niewiarygodnie piękna. No i ta para gorejących się oczu... Gdy na niego patrzyły, on sam zajmował się od nich ogniem.

Mahpeyker, nie spuszczając oczu z padyszacha, poruszyła głową z lewej na prawą i z prawej na lewą, poprawiając włosy oswobodzone z niewoli kaptura. Czarne włosy w powietrzu przez chwilę rozwinęły się jak wachlarz, zabarwiając się ognistą czerwienią, po czym opadły i przez ramiona spłynęły jej aż do pasa.

Sułtan jakby drgnął na swoim miejscu. „Nigdy czegoś takiego nie czułem” – pomyślał. Ani przy Mahfiruz, ani przy żadnej z nałożnic, jakie brał sobie po niej. Ogarnęło go nieprzeparte pragnienie, aby nagle zerwać się na równe nogi, wziąć ją w ramiona i posiąść ją, w tej chwili i w tym miejscu. Nozdrza rozszerzyły mu się, oddychał coraz szybciej, a jego oddech zrobił się gorący jak ogień. Przeżywał to po raz pierwszy w życiu. „Nie tak szybko!” – zmitygował go wewnętrzny głos. „Ciesz się tą chwilą. Masz mnóstwo czasu, żeby ją całować i wachać!”.

Jego oczy spoczęły na wargach dziewczyny. Uświadomił sobie, że jak szalony myśli tylko o tym, by przyssać się do ust tej kobiety. A nawet żeby wziąć je między zęby i... Szybko zawstydził się swoich myśli. Gdy usiłował oderwać wzrok od jej warg, zauważył, że peleryna powoli zaczyna zsuwać się z jej ramion. Wstrzymał oddech.

Najpierw zobaczył jej łabędzią szyję. Potem nagie, zaokrąglone

ramiona. I w końcu oblany ogniem gors.

W jednej chwili peleryna znalazła się u stóp Mahpeyker.

„Mój Boże!”.

Sułtan poczuł, jak ten bezgłówny krzyk wstrząsnął całą jego duszą. Po rzuceniu tej tajemniczej czerni stała teraz przed nim dziewczyna o nieziemskiej wprost urodzie. Nie miała na sobie nic oprócz czarnego tiulu spowijającego jej drżące ciało. Żółte cętki na tkaninie błyszcząły teraz w blasku ognia. Jedno ramię miała całkowicie odkryte. Nabrzmięte sutki jej buntowniczo uniesionych piersi odbierały mu rozum. Podobnie wiotkość talii, krągłość bioder, zarys pachwin prześwitujący spod tiulu i nogi... „Ach... Zwłaszcza te nogi...” – pomyślał. Pod tą tkaniną wyglądały jak dwie kolumny z kości słoniowej.

Mahpeyker czekała beczynn timer świadoma tego, co musi dziać się teraz z sułtanem. Jego twarz co prawda nadal pozostawała w cieniu, dostrzegła jednak, że klatka piersiowa to wznosi się to opada – jak miech kowalski. „Zaimponowałam mu!” – tryumfowała w myślach. „Oczarowałam go!”.

Lekkim kopnięciem odsunęła na bok pelerynę leżącą u jej stóp. Postąpiła krok naprzód.

Wiedziała, że nie może oderwać wzroku od jej nagich nóg.

Ahmedowi ciężko było oddychać. „Powiedz coś w końcu!” – upomniał go rozgniewany głos w jego głowie. „Powie, jak tylko będę mógł złapać oddech i jak przyjdzie mi coś do głowy!”.

Ale to Mahpeyker znów jako pierwsza przerwała ciszę:

– Wasze zaproszenie przywróciło do życia waszą Mahpeyker, panie. Topniałyśmy już z tęsknoty za wami niczym świeca...

„A ten głos, ten głos!” – pomyślał Ahmed. „Czy słyszałeś kiedykolwiek równie piękny, równie słodki i kokieterijny, równie oszałamiający głos?”.

W uszach zadźwięczał mu głos Mahfiruz. Wielki Boże, przy szczebiocie Mahpeyker tamten wydał mu się podobny do klekotu bociana.

– Tak... – udało mu się w końcu coś powiedzieć. Wziął głęboki oddech. – Czekałem... na koniec żałoby... po babce.

Nagle wyprostował się na swoim miejscu i usiadł po turecku. Światło delikatnie padało teraz na jego twarz.

Mahpeyker uważnie mu się przyjrzała przez rzęsy. Najpierw dostrzegła lekki meszek pod nosem sułtana. Następnie drżenie jego warg. Sułtanowi zaczął się już sypać wąs. „Nie było go chyba jeszcze, gdy widziałam Ahmeda po raz ostatni” – pomyślała. A może był, ale nic nie zauważyła z przejęciem?

„Król zakochał się w swojej królowej” – pomyślała sobie. „Sułtanka urzekła swojego sułtana”.

Oddychanie nadal sprawiało mu wyraźną trudność.

– Nie wypadało, abyśmy spotkali się wcześniej – wyszeptał Ahmed. Kilka razy zaczerpnął powietrza. – Wybacz nam, jeśli sprawiliśmy ci przykrość, każąc czekać aż tak długo, Mahpeyker... – jego samego zaskoczył uwodzicielski ton w jego głosie.

Mahpeyker odwdzięczyła mu się uśmiechem.

– Panie – wyszeptała zalotnie. – Jeśli z tęsknoty za wami pozwalam sobie na zbyt wiele i wypowiadam słowa, jakich nie przystoi mówić władcy, to raczej ty bądź skłonny wybaczyć swojej niewolnicy.

Ahmed nic z tego nie usłyszał. Podczas gdy mówiła, nie mógł powstrzymać się od zachwytu. „Ach, ach, ach... Spójrz na ten uśmiech. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie widziałem piękniejszego. Nikomu chyba nie jest z uśmiechem tak bardzo do twarzy!”.

Zdejmował on z niego całe zmęczenie i napięcie, uskrzydlał jego serce.

Mahpeyker czuła się już zupełnie swobodnie. Dyskretnie rozejrzała się po komnacie. Po prawej zobaczyła niski stoliczek zastawiony paterą z przeróżnymi gatunkami owoców, karafkami i butelkami.

„To, czego potrzebuję, jest tam” – pomyślała i nonszalancko ruszyła w stronę stolika.

Zdawała sobie sprawę, że spojrzenie Ahmeda podąża w ślad za nią. Każdy postawiony przez nią krok, każdy ruch jej bioder doprowadzał sułtana do szaleństwa.

– Radość i emocje z powodu spotkania z wami, panie, sprawiły, że bardzo zaschło mi w ustach. Za pozwoleniem Waszej Wysokości chciałabym ugasić pragnienie...

Każde z tych słów zawierało ukrytą aluzję. Ich wymowa wyraźnie zrobiła wrażenie na padyszachu.

– My też jesteśmy spragnieni, moja droga Mahpeyker – wydusił z siebie. – Czy nie widzisz? My też płoniemy...

Udała, że nie zrozumiała przytyku.

– Należę wam wina.

– Nie pijemy alkoholu...

Tego się nie spodziewała. Nie okazała jednak swojego zmieszania.

– To może sorbetu? Albo wody? Ja napiję się wody.

Nie czekając na odpowiedź, nalała wody do szklanki i upiła z niej dwa łyki. Następnie z szeptem: „Płonę”, odwróciła się lekko w bok, jakby chciała ukryć to przed Ahmedem. Zwilżyła w wodzie opuszki palców i skropiła nią twarz, ramiona i piersi, po czym wzięła karafkę i, nie widząc potrzeby pytać, co jest w środku, nalała trochę do szklanki w złotym koszyczku. Trzymając ją w ręku, ruszyła w stronę padyszacha.

Była już pewna. Oczarowała go. „Czekaj tylko, Osmanie” – zwróciła się do niego w myślach. „Zobaczysz, co zaraz zrobi dla ciebie twa królowa!”.

Podając mu szklankę, pomyślała, że tak naprawdę to królowa sama jeszcze nie wie, co robi. Uśmiechnęła się na tę myśl. Ahmed uznał ten uśmiech za skierowany do siebie. Ujął między dłonie rękę dziewczyny trzymającą szklankę.

– „Z ręki ukochanej”:

Nawet truciznę wypiję z ręki ukochanej. O smutku,
o śmierci nie pomyślę ani przez chwilę.

Pierś zajęła się ogniem, w milczeniu to znoszę;
niech przyjdzie śmierć i uniesie mą szczęśliwą duszę.

– Panie... – wyszeptała zachwycona Mahpeyker. – Jakie piękne słowa. Takie wyszukane...

Padyszach pociągnął ją ku sobie. Mahpeyker osunęła się na kolana. Mogli teraz oboje lepiej zobaczyć ogień, jaki płonął w ich oczach. Sułtan pochylił się ku niej. Mahpeyker poczuła jego usta na koniuszkach swych palców. Gdy jego gorący oddech błędził po jej ręce, pomyślała, że jego pierś chyba rzeczywiście zajęła się ogniem. Padyszach wypił dwa łyki sorbetu z jej rąk.

– „Daremnie”:

Nawet wody powodzi nie ugaszą pożaru w mym sercu,
to pocałunek kochanych ust przyniesie ci ukojenie, być może.
Hej, Bahti! Nie w słońcu, nie w księżycu tkwi pobudka miłości;
szczęście uśmiechnie się do ciebie tylko przy schadzce
z księżycem.

Tym razem Mahpeyker złożyła na dłoniach sułtana drobny pocałunek.
– Wasza Wysokość... – wyszeptała. Nie do końca wszystko co prawda
zrozumiała, zrobiła jednak na niej wrażenie harmonia obecna w jego
głosie. – Rozpieszczacie waszą niewolnicę tymi pięknymi słowami.

Ich twarze były tak blisko siebie, że niemal się dotykały. Ich oddechy
zmieszały się, niemal parząc miejsca, na które padały. Sułtan się
uśmiechnął, nieznacznie wzruszając ramionami:

– Zaledwie kilka wersów zainspirowanych światłem twojej księżycowej
twarzy. Przyszły mi do głowy właśnie teraz...

Mahpeyker poczuła, że się czerwieni. „Głupiaś, głupiaś, głupiaś” –
beształa się w myślach. „Jak mogłaś nie zrozumieć wiersza!”

– Czarujące były te wersy, panie – powiedziała na głos. – Powinniście
dalej pisać...

– Czasem coś tam napiszę jako Bahti. Ale... ale... – nie był w stanie
dokończyć. Wstrzymał oddech.

Dopiero teraz rozumiała, co oznaczało wykrzyknienie: „Hej Bahti”,
jakie pojawiło się w wierszu. Nic już jednak się nie liczyło. Ich wargi
prawie się spotkały.

– Panie? – wydyszała mu prosto w twarz, z trudem łapiąc powietrze.

– Po raz pierwszy ułożyłem wiersz dla kobiety, kochana Mahpeyker.
Zazwyczaj układam gazele^[1] o miłości do Boga... Z miłości do Niego. Ale
teraz... teraz... – znowu wstrzymał oddech.

– A teraz, panie? Teraz...

Nie zdawali sobie sprawy, czyje usta jako pierwsze dotknęły drugich.
Padyszacha czy jej? Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Małe, delikatne, czułe i nieśmiałe muśnięcie.

Po nim rozległ się jęk Mahpeyker, który podziałał na Ahmeda niczym smagnięcie bata:

– Teraz... teraz... panie, teraz...

Teraz rozszalał się huragan. Ich wargi się spotkały. Mahpeyker wydawało się, że jej usta stopnieją za chwilę w ustach Ahmeda. Nie przypuszczała, że w całowaniu można zatracić się aż tak bardzo.

Sułtan początkowo starał się być delikatny, tak żeby nie zranić ust dziewczyny. Narastające pożądanie było jednak silniejsze. Ostrożnie wziął je między zęby, po czym zaczął je przygryzać i ssać.

Mahpeyker przyjęła tę pieśczoć, nie pozostając mu dłużna. Jej jęki nie przypominały odgłosów skargi, zachęcały go raczej, by kontynuował. Ahmed po raz pierwszy czuł na swych wargach pocałunek, w który kobieta wkładała tak wiele z siebie. Ich języki splątały się ze sobą.

Gdy dłonie sułtana zsunęły się z jej ramion na piersi, Mahpeyker drgnęła z rozkoszy.

– Panie... Mój padyszachu...

Jej wargi krążyły po jego ustach i twarzy. Każde miejsce, na którym spoczęły, natychmiast zajmowało się ogniem. Całowała jego wargi, uszy, potem zeszła ku szyi, a potem jeszcze niżej.

Bez wahania odwzajemniała wszystkie pieśczoćy sułtana. Robiła tak, jak powiedziała jej daye – ulegała podszeptom swego serca i pragnień. Całowała, gryzła, ssała, kreśliła językiem okręgi na skórze.

Nawet nie pamiętała, kiedy runęli na niedźwiedzią skórę. Zobaczyła, że sułtan nieudolnie usiłuje ściągnąć z niej cętkowany tiul. Jednym szybkim ruchem zerwała go i odrzuciła na bok. Z ust Ahmeda wyrwał się jęk, przypominający bardziej namiętny okrzyk. Niczym łakome dziecko przyssał się do wystających ku niemu piersi.

Z piersi Mahpeyker wyrwał się krzyk.

Oddech padyszacha przerodził się w pomruk. Zsunął ręce z jej piersi na talię, a stamtąd na biodra i nogi. Stracił panowanie nad sobą.

– Ahmedzie – wysapała mu do ucha Mahpeyker. – Mój wspaniały.

Przez następne trzy dni drzwi do apartamentu sułtana Ahmeda pozostawały zamknięte.

Padyszach nie pojawił się nawet na dywanie^[2].

Od razu po pierwszej nocy daye zrobiła to, co w swoim przekonaniu powinna. Bez względu na to, co zaszło między nimi w sypialni, nie mogła pozwolić, by w pałacu zaczęto plotkować o sułtanie, który był przecież dla niej jak syn, i tej dziewczynie, która jako jedyna nazywała ją „swoją mateczką”. Nawet jeśli do niczego tam nie doszło, zarówno valide sultan, jak i Mahfiruz, a także wszyscy mieszkańcy haremu i lud nie powinni mieć wątpliwości, że było inaczej.

Podczas gdy sułtan i Mahpeyker spali w objęciach, zmęczeni po upojnej nocy, daye udała, że wychodzi z sypialni, trzymając w rękach prześcieradło, które uprzednio sama zaplamiła krwią. Osobiście zaniósła je do valide.

Stanowiło ono potwierdzenie zarówno męskości sułtana, jak i dziewictwa haseki, nie leżało jednak w zwyczaju, aby okazywać ten dowód sułtance matce. Gdy Handan dostała wiadomość, że przyszła daye prosto z sypialni sułtana, kazała ją wpuścić, mimo że w ostatnich dniach nie czuła się najlepiej. Staruszka rozwinęła przed nią zawiniątko, jakie trzymała pod pachą. Sułtanka rzuciła na nie jedynie przelotne spojrzenie.

– Czyli już po wszystkim, nianiu – powiedziała zamyślonym głosem. – Dziewczyna dopięła celu.

Niania, jakby bardzo zawstydzona, zasłoniła dłonią uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy.

– Sułtan również – powiedziała. – Sułtan również...

Gdy w końcu po południu kochankowie opuścili łóżko, daye wemknęła się do sypialni i uprzątnęła oryginalne prześcieradło.

Przez trzy dni sułtan nie przyjmował do siebie nikogo, nawet marszałka dworu i szambelana. Posiłki zostawiano im w sąsiednim pokoju.

Mahpeyker własnoręcznie karmiła swojego króla i poiła go orzeźwiającym sorbetem. Wymęczonego tysiącem namiętności sułtana zaciągnęła do niewielkiej łaźni przylegającej do sypialni. Usadziła go przy marmurowym korycie na wodę i usiadła przed nim, opierając się nagim ciałem o jego tors.

Czuła się tak, jakby miała za chwilę wyrwać się z jego ramion i wylecieć, fruując!, przez okno. Chciała, aby jej szczęście zobaczył cały świat: góry, kamienie, rzeki i morza. Chciało jej się krzyknąć na całe gardło: „Zostałam sułtanką! Zostałam sułtanką!”. „Lećcie!” – miała powiedzieć do mew. „Biegnijcie, pieńcie się, płońcie!” – miała powiedzieć do fal. „Dajcie znać mojej matce na Milos... Powiedzcie, że jej córka Nastja została sułtanką Osmanów!”.

Umysł starał się ją hamować: „Czekaj, przecież jeszcze nią nie zostałam!”. Mahpeyker jednak go nie słuchała. „Na co mam jeszcze czekać? Siedzę w ramionach padyszacha. Jestem jego kobietą. Doprowadziłam go do szaleństwa. Zniewoliłam. Łzy, jakie lecą mi z oczu ze szczęścia, mój król osusza swoimi ustami”.

Po trzeciej nocy ani sułtan Ahmed, ani Mahpeyker nie mieli już siły, by ruszyć choćby palcem.

Padyszach leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Mahpeyker odwróciła się ku niemu bokiem i wsparta na ramieniu przyglądała się swojemu mężczyźnie. Palcami wodziła po jego policzku, na którym zaczynały się już pojawiać pierwsze ślady zarostu. „A ja wzięłam Ahmeda za chłopca!” – pomyślała rozbawiona. A tymczasem sułtan był niczym gwałtowna burza, jak huragan. Jeśli taki jest chłopiec, to czego można oczekiwać po mężczyźnie?

Przypomniała sobie bezwstydną scenę, jakie co jakiś czas widywała we śnie. Teraz tylko uśmiechnęła się na ich wspomnienie. Ostatnie trzy dni spędziła u boku padyszacha, przechodząc z jednej przyjemności w inną. W porównaniu z rzeczywistością tamte sny były tylko niewinną igraszka.

Powolutku przysunęła się do sułtana i oparła głowę na jego piersi. Miał zamknięte oczy, wiedziała jednak, że nie spał. Jedną ręką objął jej szyję i zaczął wodzić dłonią po nagich plecach. Druga dotknęła jej piersi.

– Panie... – jęknęła Mahpeyker. – Jestem spragniona. Nie napoisz swojej niewolnicy?

Mimo że był wyczerpany, padyszach spróbował się podnieść na kolanach. Przypomniał sobie tamtą chwilę, gdy uczynił z Mahpeyker swoją haseki. Doskonale pamiętał, co odpowiedział wtedy matce: „Przemarzliśmy do szpiku kości, matko. Potrzebujemy ognia, który

ogrzeje nas od środka”.

Ogień ten ogarnął go już całkowicie.

Nie uskarżał się jednak na to. Od trzech dni czuł, że w jego żyłach zamiast krwi krąży płynna lawa. Nigdy nie przeżył czegoś podobnego. Wstrząsnął się na wspomnienie koszmaru pierwszej nocy z Mahfiruz. Potem też nie było lepiej. Ani razu nie przeżył z nią takiego szalonego galopu na szczyt i równie szalonego zjazdu, całkowicie popuszczając wodze. Zastanawiał się nawet wtedy, czy Mahfiruz w ogóle przy nim jest. Żadnej reakcji, krzyku czy jęku z jej strony, żadnych błagań ani płaczu, niczego, dzięki czemu mógłby poczuć, że trzyma w ramionach prawdziwą kobietę. Mahfiruz była zupełnie bezbarwna, jakby nie było jej wcale. Także sypiając z innymi nałożnicami, nie mógł pozbyć się wrażenia, że mu w nich czegoś brakuje. Wtedy nie wiedział jeszcze, czego, zrozumiał to dopiero teraz. Brakowało im wszystkim pasji. Naturalności. Całkowitego zatracenia się w miłości. Podniecających męczyznę jęków rozkoszy wydawanych przez kobietę, którą trzymał w ramionach. Wspólnego wspięcia się na szczyt i ryknięcia na nim jednym głosem niczym lwy. I wszystkie te braki rekompensowała Mahpeyker.

Lecz dzisiaj...

– Dzisiaj muszę się już pojawić na dywanie, moja piękna – powiedział, głaszcząc jej włosy.

Przyjęła to z grymasem.

– Cooo? Czy to możliwe, by mój sułtan zdobył się na takie okrucieństwo względem swojej nałożnicy? Żeby dolał oliwy do jej ognia?

Jedną stopę oparła między jego nogami i nacisnęła. Wiedziała już, że Ahmed nie może się temu oprzeć. W jednej chwili zareagował tak, jak tego oczekiwała. Z jego ust wyrwał się jęk rozkoszy.

– Nie doleje – wyszeptał jej do ucha. – Nie doleje...

Lubieżnym ruchem popchnął ją na poduszkę. Jej włosy rozlały się jak wodospad. Wziął je między palce i zaczął je wachać.

– Mój ogniu – szeptał. – Mój pożarze, wodo, deszczu...

Mahpeyker oczywiście nie mogła wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz, wszystko jednak przebiegało po jej myśli.

W całym wielkim pałacu mówiono tylko o tym, że sułtan już od trzech dni nie opuszcza swojej sypialni. Rzecz jasna nikt nie mógł wiedzieć, co się tam dokładnie dzieje, lecz daye z pomocą trójcy złożonej z Semihy, Şarazad i Mürüvvet przy każdej okazji szeptały to i owo ciekawskim uszom.

Nie było zresztą takiej potrzeby. Jak by nie było, w haremie osiągnięto mistrzostwo w robieniu z muchy słonia.

– Słyszałaś? – szeptano po zacisznych kątach. – Dziewczyna tak się wokół niego owinęła, że Jego Wysokość nie może wydostać się z jej objęć.

– No coś ty, ja słyszałam coś zupełnie innego. Dziewczyna półnaga próbowała uciec z sypialni, tak że padyszach musiał zaciągnąć ją z powrotem do łóżka: „Chodź, jeszcze nie skończyłem!”.

Nieco starsze kobiety opowiadały sobie o tym jeszcze inaczej:

– Pamiętacie noc poślubną sułtanki Mahfiruz?

Zebrane dookoła kobiety wzruszyły ramionami.

– Nie, nic o tym nie wiemy.

– Miałam wtedy dyżur w Galerii Sułtańskiej. Widziałam wszystko na własne oczy... Mówię wam, Mahfiruz Sultan zabawiła tam dosłownie chwilę. Nawet się nie zorientowałam, kiedy to zaczęło się i skończyło. A popatrzcie tylko na tę...

– Niby na kogo? Dawna służąca, nic więcej. Co innego sułtanka Mahfiruz. Urodzona w pałacu, szlachetnej krwi... Nic dziwnego, że nie jest taka jak ta ladacznica...

– Patrzcie ją, jaki ma problem, szalona! Niech sobie będzie z pałacu czy nie. Kobieta powinna być kokieteryjna, musi wiedzieć, jak rozpalić swojego mężczyznę! A haseki, zuch dziewczyna, jest jak ogień. Nasz pan przynajmniej rozgrzał się trochę przy niej, po tej twojej szlachciance.

Drugiego dnia Şarazad przemierzała korytarze, rozsiewając nowe plotki:

– Sama zobaczysz, siostrze. Sułtan podarował jej rubin, o taki wielki, jak moja pięść, mówię ci. No i jeszcze naszyjnik, piękniejszego nie widziałas. Jak tylko światło padnie na te brylanty, można pomyśleć, że to słońce tak błyszczy jej na szyi.

– I niby skąd to wiesz, co? Pomyślałby kto, że trzymałaś im kaganek

nad łóżkiem...

Kobieta nie przejęła się wybuchem śmiechu, jaki nastąpił po tych słowach.

– A myślicie, że kto przez całą noc czuwał za zasłoną w sypialni? Nawet sobie nie wyobrażacie, co te oczy widziały jeszcze przez szparę w tej zasłonie... W każdym razie, już niedługo same zobaczycie, przynajmniej ten naszyjnik.

Rozmowy toczone przez wezyrów i paszów były o wiele bardziej stateczne:

– Dobiegają nas słuchy, że sułtan jest bardzo szczęśliwy. Niech dobry Bóg nigdy nie skąpi mu podobnych radości.

– Amen, wielmożny paszo, amen! Obawiam się jednak, że buntowników niezbyt to obchodzi... Musimy w końcu podjąć jakieś kroki!

– Podejmiemy, podejmiemy. Mówią, że już jutro Üveysoğlu Mehmed Pasza ma przedstawić na dywanie swój plan.

Spojrzeni na siebie, uśmiechając się przy tym pod wąsem. Ten poufny uśmiech należało tłumaczyć sobie jako: „Oczywiście, jeśli po opuszczeniu sypialni wystarczy mu jeszcze sił, by pojawić się na dywanie...”.

Mahfiruz była o wszystkim na bieżąco informowana.

– Sułtan nie pojawił się dzisiaj na posiedzeniu dywanu.

W języku pałacu oznaczało to: „Sułtan cały czas jest z nią”.

Oczekiwała, że pojawi się u niej drugiego dnia po południu, ale nie przyszedł. Taciser, gdy pojawiła się przed nią, nawet nie musiała otwierać ust. Już samo jej spojrzenie mówiło samo za siebie.

– A więc to tak... – mruknęła Mahfiruz. Nachyliła się do swojej dwórki z groźną miną. – A wszystko przez ciebie! I przez niego...

Taciser drgnęła przestraszona:

– Pa...

– Cicho! Nic nie mów. Powinnaś być wdzięczna, że nie podzieliłaś jego losu...

– Ależ jestem, pani, każdego dnia, o każdej godzinie i minucie. Niech Bóg...

– Dostyc tej paplaniny! Zdajesz sobie sprawę, co cię czeka, jeśli popełnisz jeszcze choć jeden błąd?

Pochyliła głowę. Wiedziała. Miała podzielić los tej Eftalyi, której ciało zapakowano do worka i wrzucono do morza przy Cyplu Pałacowym.

Mahfiruz była niemal pewna, że trzeciego dnia sułtan w końcu odprawi Mahpeyker i uda się na dywan. A wieczorem przyjdzie do niej, choćby tylko po to, by zobaczyć się z synem.

Ale znowu nie przyszedł.

Mahfiruz Sultan była ponura jak chmura gradowa. „Jestem córą zaśnieżonych gór, pochodzę z krainy Adżarów” – myślała wyniośle. „Już do kołyski wkładano mi miecz, włócznię, łuk i strzały. Nie strojono mnie w bawełnę i jedwabie, tylko dlatego że byłam kobietą. Wychowałam się na koniu”.

Pokiwiała głową, jakby w potwierdzeniu wszystkiego, o czym myślała. „Tak było...” – wspominała dalej. Ścigała się z wiatrem, biorąc lejce między zęby. Napinała łuk i wypuszczała zeń strzałę, która trafiała w uciekającego przed nią królika, jelenia, niedźwiedzia czy człowieka, obojętnie. Nie pudłowała, nawet przewieszając się przez konia. Bez większych problemów w pełnym galopie podnosiła owczą skórę z ziemi, wprawiając w tym zachwyty widownię na placu gry, który niemal trząsał się w posadach od braw i okrzyków.

Żaden z adżarskich mężczyzn nie dorównywał jej w rzucie sztyletem. Nikomu nie pozwoliłaby zdeptać swojej dumy, nawet potężnej dynastii Osmanów z padyszachem na czele.

„Niech to wszyscy diabli!” – pomyślała na wspomnienie słów ojca, nadal dźwięczących w jej uszach: „Temu państwu potrzeba adżarskiego sułtana, Hatice. Inaczej marnie zapowiada się nasza przyszłość, między Kozakami a Safawidami. I jeszcze ten moskiewski niedźwiedź na Północy, powoli obrastający w sadło... Osmanów niezbyt obchodzi, co się z nami stanie. No, chyba że przewodziłby im padyszach z naszej krwi...”.

To był jej święty obowiązek, który krępował jej ręce: dać imperium padyszacha, w którego żyłach płynęłaby krew jej ludu. Gdyby nie to, nie uciekałaby się do katów, ale policzyła się z nią własnymi rękoma. Weszłaby do pokoju tej służącej, i zanim ta zdążyłaby się zorientować, o co chodzi, już byłoby po niej. Zobaczyłaby wtedy, co to znaczy odebrać jej mężczyznę! Odebrać przyszłość Adżarom!

Lecz nie mogła tego zrobić. Dała już Osmanom adżarskiego księcia. To on – Osman – miał objąć w przyszłości tron po Ahmedzie. Jej syn. A ona miała zostać valide sultan. Wielką sułtanką matką. Państwo gniło. Spędziła już w stolicy wystarczająco czasu, aby to dostrzec. Rozpadało się od środka, pokrywało rdzą jak długo niewyciągany z pochwy miecz. Ale gdyby tak jego stery przeszły w ręce jej i Osmana... Ach! Oni by już pokazali wszystkim, jak należy rządzić imperium! Jak się stawia czoło wrogom na polu bitwy. Jak rozprawia się z buntownikami. A może nawet, gdyby tak Osmanowie połączyli się z Adżarami, zbudowałiby zupełnie nowe – imperium adżarskie?

Ale nawet mając to wszystko na uwadze, nie mogła pozwolić, żeby jakaś służąca ją poniżała i czyniła z niej sobie przedmiot drwin. Musiała coś z tym zrobić.

„Tym razem powinna zniknąć na zawsze” – podpowiadał jej umysł.

Powinna, ale się nie udało. A następna próba byłaby zbyt niebezpieczna – diaboliczna była teraz na świeczniku. Ale wcześniej czy później miała przyjść jej kolej. I śmierć zapuka już wtedy do właściwych drzwi.

No dobrze, ale co miała robić do tego czasu? Siedzieć bezczynnie i przyglądać się, jak tamta coraz bardziej szybuje w górę?

Hatice Mahfiruz Sultan spędziła ciężką noc, ale ostatecznie zdecydowała, co robić. Tak czy inaczej, musiała to uczynić.

Z samego rana wybrała się do valide. Bez żadnego zaproszenia ani zapowiedzi. Po prostu przyszła i weszła do jej komnaty. Główna dama dworu Nevcihan w jednej chwili zerwała się na nogi.

– Valide sultan jest chora – próbowała ją zatrzymać.

– Dobrze, chcemy jej w takim razie życzyć szybkiego powrotu do zdrowia! – powiedziała, odpychając dziewczynę łokciem.

Gdy tylko znalazła się w pokoju przyjęć sułtanki matki, ogarnęło ją największe zdumienie. „A więc to prawda” – pomyślała. „Rzeczywiście jest chora. Kiedy ona zdążyła tak zmarnieć?”

– Matko... – zwróciła się do kobiety, w zamyśleniu wyglądającej przez okno.

– Tak? – Handan odwróciła głowę, jakby nagle wybudziła się

z głębokiego snu. – Kto tam? Ach... To ty, Mahfiruz... Przestraszyłaś mnie... Bez...

– Jesteście chore, matko? – przerwała jej.

Handan Valide Sultan spojrzała jej w oczy niewyrażającym niczego wzrokiem. „Chora?” – powtórzyła sobie w myślach jej pytanie.

„Naprawdę jestem chora?”.

– Niiiee... – spróbowała zaprotestować. – Zwykle przeziębienie. Łamie nas w kościach. Medyk zalecił nam syrop... I plaster na plecy. Powinno przejść. Masz nam coś do powiedzenia, dziecko? Jeśli tak, lepiej będzie, jeżeli przyjdiesz w bardziej odpowiednim momencie...

– Nie zajmę wam wiele czasu, matko.

Handan wzdrygnęła się na spojrzenie i dźwięk głosu synowej. „Nasz syn ma rację” – przemknęło jej przez myśl już chyba po raz setny. „Ta kobieta dosłownie mrozi człowieka...”.

– Więc słucham.

– Wasz syn...

Handan zdenerwowała się na te słowa.

– Chciałaś chyba powiedzieć: „Jego Wysokość”...

Mahfiruz zignorowała to.

– Dotarła już do was pewnie wiadomość, co się z nim dzieje?

– No tak, po pałacu krążą różne słuchy...

– Jakie słuchy, pani? Harem aż huczy od plotek! Mówią, na przykład, że ta kobieta nie pozwala sułtanowi odwiedzić syna... A to tylko jedna z najniewinniejszych rzeczy, jakie sobie opowiadają po kątach!

Handan bezradnie rozłożyła ręce, jakby chciała ją spytać: „A cóż ja mogę na to poradzić?”.

– Jeśli takie rzeczy wygaduje się w pałacu, to aż strach pomyśleć, co dzieje się za jego murami. Jakie podłości przekazuje sobie z ust do ust prosty lud? I sułtanka matka będzie to tolerować?

– Ale co ja mogę zrobić? To pady...

Mahfiruz machnęła ręką.

– Rozumiem. Ja jednak nie zamierzam tego tak zostawić!

– Ach tak? – w głosie valide zabrzmiała otwarta drwina. – Powiedz nam, jeśli łaska, co zamierzasz w takim razie z tym zrobić, Mahfiruz?

– Wyjadę stąd, i to natychmiast.

– Ale dokąd? Tylko nie mów, że do Starego Pałacu?

– Nie, pani – odpowiedziała lodowatym głosem. – Jesteśmy córką Adżarów. Natura naszego ludu jest znana. Doskonale wiecie, że coś takiego jest jej obce. Poza tym, jesteśmy także prawowitą małżonką sułtana Ahmeda. Matką następcy tronu. Nasze miejsce jest i zawsze będzie przy sułtanie. Ale to nie oznacza, że mamy zostawać w haremie za wszelką cenę. Jutro, wraz z księciem Osmanem, jego mamką, piastunkami i z całym moim orszakiem przeprowadzamy się do Pawilonu Morskiego. Nie chcę, aby mój książę oddychał dłużej powietrzem skażonym grzechem cudzołóstwa.

– Hatice! – Handan podniosła głos mimo swego stanu. – Czy to nie ty przypadkiem usiłowałaś wyrzucić tę dziewczynę z meczetu, tylko dlatego że nie jest muzułmanką? A może się mylę? Nie jest muzułmanką, tak? W takim razie to, że spędziła kilka nocy z naszym synem, nie może być uznane za grzech! No chyba że i na to Sunullah Efendi wydał ci specjalną fatwę?

Mahfiruz odwróciła się i skierowała w stronę drzwi.

– Dla mnie to grzech! – warknęła. – I dlatego jutro stąd wyjeżdżam.

Już prawie wychodziła, gdy Valide Sultan rzuciła jej na odchodnym:

– Sułtan o tym wie? Chcę to powiedzieć bardzo wyraźnie, moje dziecko: bez jego pozwolenia nie rób tego. Możesz być pewna, że wygnanie – niech Bóg uchwali! – urazi twoją dumę o wiele bardziej niż tolerowanie tego, co nazywasz cudzołóstwem...

Mahfiruz bez słowa opuściła jej apartament. „Idiotka” – pomyślała Handan. „Gdzie przebiegłość Mahpeyker, a gdzie głupota Mahfiruz? Zostawia ją samą na polu bitwy. A to wymyśliła, „cudzołóstwo”... Jak na siedem nocy jedną spędza z tobą, a sześć z innymi nałożnicami, to wszystko jest w porządku. A z Mahpeyker od razu: cudzołóstwo?”.

Ponownie odwróciła się do okna. Nie myśląc o niczym, przez jakiś czas przyglądała się morzu. „Teraz robi jeszcze jakieś głupstwo” – pomyślała nagle. „Postawi się także Ahmedowi, sądząc, że będzie usiłował ją zatrzymać...”.

Nagle przeszył ją ostry, kłujący ból. Powoli i nieuchronnie zbliżał się

kolejny napad. Zupełnie jakby miała w sobie kota, którymi pazurami szarpie jej wnętrzności.

Stało się to, czego spodziewała się Handan.

Gdy tylko Mahfiruz dowiedziała się, że sułtan nareszcie wyszedł z sypialni, ustawiła się na jego drodze i zaczęła na niego czekać. Pod wieczór Ahmed natknął się na nią, wracając do haremu.

„Postaraj się wyglądać na wesołą” – nakazała sobie w myślach. „Niech to diabli, ale jak? Nie wiem, jak to się robi...”. Mimo to spróbowała.

– Panie, co za wspaniały zbieg okoliczności!

Sułtan prawie wybuchnął śmiechem, widząc, jak wiele wysiłku wkłada jego żona w to, by przywołać uśmiech na swoją ospałą twarz.

Jednocześnie stanął mu przed oczami uśmiech Mahpeyker. Aż w nim zawrzało na jego wspomnienie. Nie zatrzymał się. Mahfiruz zaczęła iść teraz za nim.

– Idziecie chyba, panie, z wizytą do naszego księcia, prawda? Żebyście tak zobaczyli, jak wasz syn już podrósł.

Chciała przez to powiedzieć mu: „Nie byłeś u syna już od wielu dni!”.

Padyszach nagle przystanął:

– Mahfiruz!

Ta niemal na niego wpadła.

– Nie widziałem księcia tylko przez trzy dni.

– To prawda – powiedziała Mahfiruz nieustępliwie. – Czy wiecie, panie, co to znaczy dla takiego małego dziecka nie widzieć ojca przez trzy dni? Dla niego to wieczność...

– Przyzwyczaj się. Książęta czasem nie widują ojców przez wiele miesięcy, a nawet lat.

„Teraz jest odpowiedni moment” – zdecydowała Mahfiruz.

– A co z matkami książąt? One też muszą przywyknąć do niewidywania swego męża przez całe miesiące i lata?

– Tak – rzucił krótko Ahmed. – Jeśli trzeba, i one będą musiały.

Poczuła, jak coś w niej pękło. Przyszła pora wykorzystać ostatni atut.

– W takim razie... – zaczęła, próbując w miarę możliwości nadać swemu głosowi odcień bólu i smutku – ja wyjeżdżam, panie. Dobrze, żebym zaczęła się do tego przyzwyczajać jak najszybciej. Chciałabym

zabrać ze sobą księcia i przenieść się do Pawilonu Morskiego.

Ahmed znowu ruszył przed siebie. „Dzięki Bogu!” – pomyślał.

– To bardzo dobry pomysł. Bliskość morza dobrze wpłynie na Osmana. Od czasu do czasu my też tam zajrzemy, żeby się z nim zobaczyć. Co jakiś czas każemy również przywieźć go tutaj, do godnego i należnego mu miejsca.

Mahfiruz Sultan nie wiedziała, co powiedzieć. Stała jak wryta na swoim miejscu. Sułtan Ahmed już dawno się oddalił.

– No dalej, Ahmedzie – syknęła w ślad za nim. – Idź w objęcia tej żmii. Daj Bóg, już nigdy nie opuścisz tego legowiska żmij.

[1] Gazel – liryczny utwór poetycki

[2] Dywan – rada przyboczna sułtana pełniąca funkcję swego rodzaju

Nowy Pałac
Mahpeyker Haseki Dairesi
Luty 1605

Wieść o nagłej przeprowadzce sułtanki Mahfiruz do Pawilonu Morskiego spadła na pałac jak grom z jasnego nieba.

Z apartamentów Mahpeyker dochodziły radosne śmiechy. Dwórki, służące, kto tylko tam był, radośnie klaskał. Niektóre z dziewcząt posunęły się nawet do tego, że zaczęły walić w spody tac, udając grę na tamburynie.

Wszyscy sądzili, że Mahpeyker Haseki, słysząc ten hałas, wyjdzie ze swej sypialni i przyłączy się do nich.

Tak się jednak nie stało. Mahpeyker otworzyła drzwi i stanęła naprzeciw rozradowanego tłumu.

– Co się tutaj dzieje? – spytała, mimo że już w nocy Ahmed o wszystkim jej opowiedział. – Co ma znaczyć ten hałas?

Sofia tańczyła do rytmu wybijanego przez Şarazad o tacę. Wszystkie ucichły, gdy tylko w drzwiach pokazała się Mahpeyker. Zmrużyły oczy, uważnie się jej przypatrując. Niech kto mówi, co chce, ale ostatnie schadzki z sułtanem najwyraźniej dobrze jej służyły. Już wcześniej była piękna, teraz jednak jej uroda rozkwitła po tysiącokroć.

– Gratulacje! – zaszczębiotała Semiha. – Rano się stąd wyniosła!

– Kto, Mahfiruz? Dokąd?

– A czy to ważne? – wtrąciła się Mürüvvet. – Sułtan ją przegonił. Niech sobie idzie, dokąd tylko zechce, byle jak najdalej stąd!

– Jeden parobek mówił coś o Pawilonie Morskim – dodała Şarazad. – Podobno powiedziała sułtanowi, że nie może tu już dłużej zostać.

– Jeszcze czego! – zdenerwowała się Mürüvvet. – „Nie może zostać”, też mi coś! Sułtan pogonił ją i tyle. Wygnał na cztery wiatry. Inaczej przecież żadna siła nie ruszyłaby jej stąd!

Dołączył do niej chór głosów, intonując wymyśloną na poczekaniu piosenkę: „Pogonił, pogonił, padyszach lodowatą żonę przegonił!”. Şarazad ponownie zaczęła uderzać o tace. Ramiona Sofii wzbiły się w powietrze.

– Natychmiast przestańcie!

W jednej chwili zapanowała cisza.

– Nie wolno – zaczęła zdenerwowana Mahpeyker – cieszyć się z niczyjego nieszczęścia! Przynajmniej ja tak uważam... Nawet jeśli jest moim śmiertelnym wrogiem... Kto wie, ten wie, co to jest gorycz wygnania – spojrzała na dawną dwórkę sułtanki Safiye. – Prawda, Semiho?

Zawstydzona kobieta spuściła głowę.

– Prawda... – powiedziała cicho. – Jest straszna, powoli zżera człowieka od środka, jak kornik... Nie wytrzymała jej nawet moja potężna pani...

Mahpeyker przytaknęła jej słowom. Spojrzała przed siebie zamyślona. Nadeszła pora, aby powiedzieć ostatnie słowo w tej scenie, którą obmyśliła sobie dokładnie już wtedy, gdy sułtan powiedział jej o wyjeździe żony:

– Powinnyśmy raczej – zaczęła – spróbować teraz pomóc sułtance, a nie świętować za jej plecami takie nieszczęście. Gdy dowiedziałam się o tym wczoraj, błagałam sułtana, żeby zmienił zdanie, niestety bez skutku. Dziś ponownie padnę do jego nóg, prosząc, aby jej wybaczył.

Daye przyglądała się temu wszystkiemu przez uchylone drzwi.

– Bo już w to uwierzę... – powiedziała pod nosem.

Tymczasem tej nocy Mahpeyker naprawdę chciała poprosić sułtana, by sprowadził Mahfiruz z powrotem do Nowego Pałacu.

Po haremie rozeszło się już, jak zbeształa swoją służbę i z jakim współczuciem ujęła się za Mahfiruz. A jutro rano miano sobie opowiadać jeszcze, jak znów padła w tej sprawie do nóg sułtana, ale ten po raz kolejny postawił na swoim.

Zrezygnowała jednak z odegrania tej sceny, gdy zobaczyła, że padyszach jest nie w humorze. Ahmed potrzebował teraz nie smutku, ale radości. Robiła co mogła, w żaden sposób nie udawało się jej jednak go rozweselić. Nagle przypomniała sobie taniec Sofii. Momentalnie poderwała się ze swego miejsca.

– Wasza niewolnica przygotowała dla was niespodziankę, panie.

Ahmed zmusił się, aby okazać radość i zainteresowanie.

– Naprawdę? Co to za niespodzianka?

– Zamknijcie oczy, panie.

– Mahpeyker...

Uparła się jak niesforna dziewczynka.

– Ależ proooooszę...

Sułtan tym razem naprawdę się roześmiał. Westchnął.

– No dobrze, już zamknąłem.

Maypeyker natychmiast zrzuciła z siebie ubranie. Zasłoniła swą nagość zwisającym z nakrycia głowy karminowym szyfonem.

Wystarczyło go akurat na tyle, by owinać nim talię i biodra. Jedna pierś pozostała na wierzchu. Wzięła do ręki srebrną tacę. Podeszła do sułtana, powoli stawiając bose stopy na dywanie. Stała na palcach, jedną nogę zginając w kolanie, a drugą wyciągając nieco w bok. Ręka, którą trzymała tacę, zawieszona była w powietrzu, drugą natomiast podpierała się w pasie.

– Już można – zachichotała. – Wasza Wysokość może już otworzyć oczy.

Gdy sułtan zobaczył Mahpeyker stojącą naprzeciwko niego – zupełnie nagą pod karminowym materiałem – całkowicie stracił głowę.

Zaczerwienił się. Uśmiech na jego twarzy ustąpił przed malującą się na niej coraz wyraźniej żądzą.

Mahpeyker podniosła rękę, którą trzymała na biodrach i uderzyła nią o tacę wzniesioną nad głową.

Tap, tap, pata, tap!

Przy drugim uderzeniu wykonała ruch biodrami z prawej na lewo.

Tap, tap... Tap, pata, pata, pata, tap, tap!

Po tym wstępie zaintonowała skoczną piosenkę z Milos:

– Gdybym była wiatrem, wiałabym, oj, ach, och!
Gdybym była falą, biegłabym, oj, ach, och!
Lecz jestem syrenką, zakochaną w tobie
i nie podzielę się tobą, zatrzymam przy sobie!

Poruszała nogami w kostkach, z gracją stawiając krok to w przód, to w tył; talia wyginała się w jedną, biodra w drugą stronę. Jej piersi rozpoczęły osobny taniec w rytm piosenki.

Ahmedowi zaschło w gardle. Wyciągnął ku niej ramiona.

– Chodź tutaj, mój księżycu – jęknął. – Chodź do mnie, moja Mahpeyker. Moja egejska dziewczyno. Moja syrenko, trzymaj mnie przy sobie, nie puszczaj!

Nie czekał nawet, aż się do niego zbliży. Ujął ją w pasie i porwał w ramiona. Mahpeyker uderzała nogami w powietrzu, mocno zaciskając usta. Padyszach całkowicie zapomniał tego dnia o dywanie, a ona nie myślała więcej o przegnanej Mahfiruz.

Była już sułtanką! Mahpeyker Sultan.

Gdy burza namiętności ucichła, tak jak zawsze wyszli na spacer do sułtańskiego ogrodu. Wieczór zaczął powoli opadać na powierzchnię morza niczym zasłona z tiulu. Na horyzoncie, za Wyspami Książęcymi widać było jeszcze czerwony pas na niebie – ostatnią pozostałość mijającego dnia.

Mahpeyker starała się rozweselić Ahmeda, a to skacząc wokół niego jak szalona, a to pozorując ucieczkę przed nim, zaśmiewając się przy tym do łez.

Padyszach raz czy dwa dał się wciągnąć w tę grę i udał, że ją łapie, szybko jednak z tego zrezygnował. Był zamyślony. Szedł powoli ku altance, wlokąc się po brukowanej kamieniami ścieżce. Wzdłuż niej płonęły setki pochodni.

Mahpeyker uspokoiła się na chwilę. Stanęła. „Co się dzieje?” – zaniepokoiła się. „Skąd ten jego zły nastrój?”. Czuła, jak ogarnia ją panika. „A może coś się stało? Może nie ma śmiałości mi o czymś powiedzieć? O Boże, a może już mu się znudziłam? I znowu mnie

przegna? A na moje miejsce sprowadzi matkę swego syna?”.

Sułtan Ahmed także przystanął, czekając, aż Mahpeyker się z nim zrówna. Gdy do niego podeszła, wyciągnął do niej ramię i objął w pasie.

– Moja rózo – wyszeptał.

– Panie...

„Nie zaprzataj sobie tym głowy na darmo” – powiedziała sobie w końcu. „Ahmed jest sułtanem. Nie może cały czas zajmować się tylko tobą. Czego ty jeszcze chcesz, przecież żyjesz jak we śnie. Ciesz się tym!”.

Ale nie mogła. Ostatecznie znajdowali się w pałacu, a więc w miejscu, gdzie życie bez strachu było niemożliwe, gdzie strachem zaprawione było nawet szczęście.

Przywołała w pamięci tamte dni, kiedy to kpiła z samej siebie, że pod wpływem kłamliwej przepowiedni jakiegoś żebraka zaczęła marzyć o zostaniu królową, sułtanką. A tymczasem to on miał rację. Jak można było wierzyć w podobną brednię o niewolnicy, która zostanie królową? Ona jednak uwierzyła. Jako że był to jedyny jasny punkt na horyzoncie, uczepiła się tego kłamstwa ze wszystkich sił.

„I co?” – myślała. „Jesteś teraz u boku osmańskiego sułtana. Trzyma teraz rękę na twojej talii. Jesteś teraz sułtanką Mahpeyker, kobietą sułtana Ahmeda!”.

Spodziewała się, że tak jak zawsze w chwilach szczęścia odezwie się jej rozum, wysuwając jakieś wątpliwości. Tym razem jednak milczał.

Roześmiała się w duchu. Nawet on w końcu zaakceptował to, że pisany jej był los królowej. Nie miał innego wyjścia. Bajka stała się prawdą.

Pojawił się król z jej marzeń i snów i uczynił ze służącej królową...

„Mahpeyker osiągnęła swój cel, i żyli długo i szczęśliwie...”.

„Cel? Mahpeyker wstąpiła na tron i żyli długo i szczęśliwie”... Tak, wydawało jej się, że to byłoby bardziej odpowiednim zakończeniem tej historii.

Co prawda nikt jeszcze oprócz niej nie nazywał jej sułtanką, była już jednak bardzo tego blisko. Wkrótce nie tylko armia odalisek, służących i dwórek, ale i całe państwo Osmanów, cały świat, miał otaczać ją czcياً jako Mahpeyker Sultan. W rybackiej tawernie na wyspie Milos starcy

mieli sobie opowiadać: „Słyszeliście? Córka naszego ojczulka Kostasa została sułtanką Osmanów!”.

Wszyscy pewnie rozdziawią usta ze zdziwienia...

– Czyżby radość mego serca zmarła?

Głos Ahmeda kazał jej odłożyć te myśli na bok. Natychmiast wróciła na ziemię.

– Ogień waszej miłości nie pozwala Mahpeyker marznąć, panie. Gdy jesteście przy niej, nie zmarznie nawet podczas największych mrozów.

Sułtan uśmiechnął się zadowolony z jej słów.

– Ale wieczorny chłód to coś innego...

– Wasza Wysokość w każdej sytuacji będzie w stanie ogrzać swoją niewolnicę...

Uwodzicielski ton w jej głosie wprowadził go w podniecenie.

– Chodź, usiądziemy w altance. Niech przyniosą dla ciebie jakieś okrycie.

Ahmed wygodnie rozsiadł się na ławie. Służące natychmiast rzuciły się, aby poprawić poduszki, Mahpeyker jednak im przeszkodziła:

– Dzisiaj ja będę usługiwać Jego Wysokości.

Gdy służące odeszły, podłożyła mu poduszki pod plecy. Starła się robić to tak, aby być jak najbliżej niego, tak aby widział wylewające się spod halki piersi i czuł zapach jej skóry. W końcu ona także usiadła.

Padyszach objął ją i przyciągnął ku sobie. Wsparła głowę na jego ramieniu.

Przez jakiś czas w milczeniu, pogrążeni w ciemnościach nocy przyglądali się latarniom zapalającym się i gasnącym na przeciwległym brzegu. Mahpeyker patrzyła, jak po ciemnobłękitnych wodach sunęła galera, pozostawiając za sobą czerwone światło latarni na rufie. Coś ścisnęło jej serce. „Ciekawe, czy dotrze aż tam, do naszej...”.

„Tam, do naszej?” – był to głos rozumu. Dał znać o sobie po raz pierwszy od dłuższego czasu. „To jeszcze nie rozumiesz? Tamto miejsce już dla ciebie nie istnieje!”.

Miał rację. Nie było już żadnego „tam”, teraz liczyło się jedynie „tutaj”. „Tam” należało do Nastji. „Tutaj” – do Mahpeyker.

Za okazaną jej troskę odwdzięczyła mu się, wodząc wilgotnymi ustami

po jego szyi. I na niej pojawił się już pierwszy zarost, delikatnie łaskoczący ją teraz w wargi. Uniosła głowę nieco wyżej.

Jej palący oddech musnął ucho sułtana, doprowadzając go tym samym na próg szaleństwa.

– Widzę, że Wasza Wysokość jest dzisiaj jakby nieobecny, zamyślony... Czyżby Mahpeyker dopuściła się jakiegoś przewinienia? Jeśli tak, nigdy sobie tego nie wybaczę. Słowo daję, że nie będę umiała z tym dłużej żyć...

Sułtan Ahmed przytknął palec do jej ust.

– Co ty wygadujesz? – zaprotestował. – Dzisiejsze posiedzenie dywanu trochę nas przygnębiło, to wszystko. Sprawy państwowe...

A więc to przez „sprawy państwowe”? „Zobaczmy, o co dokładnie chodzi” – pomyślała. Odsunęła się lekko i spojrzała nań ze swoim zwykłym uśmiechem. Przesunęła palcem po włoskach na jego policzku.

– Może sułtan zechce podzielić się ze swą niewolnicą tym, co nie daje mu spokoju?

– Sprawy państwowe, kochanie – powtórzył Ahmed. To był czas, aby zająć się raczej ciałem Mahpeyker, a nie nimi. Chciał przyciągnąć ją z powrotem do siebie.

Mahpeyker westchnęła. Nadeła usta, przybierając pozę niesfornej dziewczynki.

– Jego Wysokość ma rację – mruknęła. – Co tam taka Mahpeyker mogłaby z tego zrozumieć... – oddaliła się jeszcze bardziej. – Napijcie się sorbetu, panie?

Obrażona, już zaczęła wstawać z ławy, gdy nagle usłyszała głos sułtana:

– Może już słyszałaś... – zaczął cicho. – Od dłuższego czasu część kraju toczą zdrada i konflikt...

„Ha!” – ucieszyła się. „A więc uchylił przede mną rąbka tajemnicy”. Ahmed miał odtąd rozmawiać z nią nie tylko o miłości, ale i o sytuacji, w jakiej znajduje się Wysoka Porta.

– Naprawdę? – pokiwała głową zmartwiona. Patrząc na Mahpeyker, można by przysiąc, że słyszy o tym po raz pierwszy. Tymczasem już w rezydencji Karayelzadego doszły jej uszu pogłoski o buntach, targających państwo osmańskie. – Kto odważył się wystąpić przeciwko

wam, panie?

– To zaczęło się jeszcze za panowania świętej pamięci mojego ojca. Taki mały spadek po nim... – pożalił się sułtan. – Już wtedy rzucono na nich dziesiątki paszów i wezyrów, całe armie. Pożaru jednak nie zagaszono. Zmagamy się więc z celali i my...

– Z celali?

– Z buntami ludowymi... Sami tak to nazywają. Zbieranina oberwańców i włóczęgów, którzy podburzają lud do buntu przeciw naszej władzy. Ich ręce sięgają już nawet stolicy. Dzisiaj...

Padyszach nagle przerwał. Westchnął ciężko. Spróbował się do niej uśmiechnąć.

– Ale, na Boga, spójrz, zadręczamy tym i ciebie. Dajmy już temu spokój i cieszmy się życiem w swoich ramionach... – nachylił się ku Mahpeyker. – Otwórz ramiona, mój księżycu. Balsamie na moje serce, chodź do swego sułtana. No dalej, uśmiechnij się...

Mahpeyker, nie ukrywając niechęci, lekko zaprotestowała:

– Ależ panie... Gdy Wasza Wysokość pogrążona jest w takim smutku, jak twarz Mahpeyker może się roześmiać – odwróciła głowę na bok, jakby nie chciała, by dostrzegł łzy w jej oczach. Wierzchem dłoni uderzyła w środek drugiej.

– Ach – westchnęła zmartwiona. – Nie mogę znieść, gdy jesteście tacy smutni, panie. To dla waszej Mahpeyker gorsze niż śmierć. Co mogę zrobić, żeby uwolnić was od smutków i zmartwień?

Zamilkła na jakiś czas, jakby szukała odpowiedzi na swoje pytanie.

– Ot, i tyle pożytku z rozumu kobiety. Nic nie przychodzi mi do głowy...

Cały czas bezgłośnie uderzała w dłonie, jakby nie zauważała, że Ahmed obserwuje ją z uśmiechem. Ze smutku przygryzła wargi. Była pewna, że wygląda teraz bezradnie, jak ktoś, kto bardzo mocno się nad czymś zastanawia, ale w żaden sposób nie może niczego wymyślić. Nie przestawała przy tym rozmawiać na głos sama ze sobą:

– Co mogę zrobić, co tu począć? A może sułtan poczuje się lepiej, jeśli zwierzy się ze swoich zmartwień wiernemu przyjacielowi, który wysłucha go z całą uwagą? Jak to się mówi, nawet skała dusząca

wszystko w sobie mięknie, a ocean wysycha...

Mahpeyker nie była świadoma, że spośród dziesiątków słów, jakie powiedziała, tylko dwa wywołały prawdziwą burzę w sercu sułtana. Słuchał jej z delikatnym uśmiechem na twarzy, lecz jego wzrok był surowy.

Nie przestawał powtarzać sobie w myślach tych dwóch słów: „Wierny przyjaciel”. Dwa słowa, które bardzo boleśnie uświadomiły mu jego samotność. „To prawda” – myślał. „Jestem samotny. Wśród setek tysięcy sług jestem samotny jak palec. Tego właśnie szukałem: wiernego przyjaciela, który wysłucha mnie z uwagą. Z którym będę mógł podzielić się tym, co mi leży na sercu. Który słuchając mnie, nie będzie kalkulował, co może ugrać dla siebie. Kogoś, z kim będę mógł porozmawiać bez obawy, że moje słowo obróci kiedyś przeciwko mnie”.

Spojrzał na Mahpeyker, która w dalszym ciągu wzdychała, uderzając ręką o rękę. Jak bardzo szczerą była ta jej bezradność. „Czy w tej pięknej głowie może kryć się coś, co mogłoby mi zaszkodzić?”. Zastanowił się nad tym. „Nie” – odpowiedział sobie po chwili. „Czy człowiek tak hojnie obdarowany przez Boga jest w stanie splamić swoje serce, umysł i duszę jakąkolwiek złą myślą? Jak posmutniała wtedy, gdy powiedziałem jej o Mahfiruz, jak mnie prosiła...”.

– A więc słuchaj – powiedział na głos i usadził się wygodniej na swoim miejscu. Już teraz uczuł lekkość na duszy. – Buntownicy wtargnęli dzisiaj na nasz dywan...

Przerwał na chwilę, czekając na jej reakcję. Dziwne... Czy nie powinna się przerazić, słysząc te słowa? Ona tymczasem z zapartym tchem czekała na dalszy ciąg.

Podjął więc na nowo. Nie spuszczać oczu z Mahpeyker, opowiedział jej, jak buntownicy na czele z Gödöslü Alim, Szalonym Dervišem, Hamzą Gołowąsem, Mehmedem Czerwoną Głową, Hüseyinem Albańczykiem, Małym Halilem, Tepesi Tüylü i Kumkapulu, nie cofając się przed żadną zuchwałością, przeprowadzili dzisiaj szturm na sułtański dywan. Wszyscy wywodzili się z kawalerzystów na służbie pałacu. Gdy już wyrządzili wystarczająco wiele zła w samej stolicy, uciekli do Anatolii, i także tam zaczęli podjudzać lud przeciwko prawowitej władzy.

Opowiedział jej, jak gwardziści nie zdołali ich powstrzymać, jak proszono, żeby odstąpili, jak ostrzegano ich, że sam padyszach jest obecny na dywanie. Niczym się nie przejęli i w końcu sforsowali bramę i wdarli się przed jego oblicze.

– I... – ciągnął dalej – mimo że znaleźli się w naszej obecności, nie krępowali się krzyżeć i kłać. Zaatakowali Üveysoğlu Mehmeda Paszę, z którym omawialiśmy jego plan zdławienia rebelii, a także kajmakana Sofu Sinana Paszę i wszystkich wezyrów, którzy stali tam z założonymi rękoma. To stąd nasz zły nastrój. Bezcelność buntowników doszła już do tego stopnia...

Sułtan przerwał na chwilę, by odetchnąć. Mahpeyker cały czas milczała. Gdy opowiadał, nawet nie mrugnęła okiem, tylko zrobiła się nieco czerwona na twarzy. A może tak to tylko wyglądało w świetle pochodni. „Tak czy inaczej” – pomyślał z dumą Ahmed. „Nie ma na świecie piękniejszej od mojej haseki”.

Gdy pod wpływem nagłego przyływu namiętności przyciągnął ją szybkim ruchem do siebie, stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

– Czego chcą? – powiedziała nagle Mahpeyker. Jej głos był twardy. Zimny. Niemal ostry.

– Hm... – mruknął Ahmed. – Bez przerwy krzyżeli, że spotkała ich niesprawiedliwość i że to zdrada z naszej strony. Ich zuchwałość posunęła się tak daleko, że sponiewierali biednego Mehmeda Paszę. Powalili go – potężnego mężczyznę! – na ziemię, i skopali, krzyżąc: „Jeśli jeszcze raz spotkają nas takie krzywda i ucisk, to nie skończy się już na kopniaku czy policzku, zapłacisz za to głową!”. Następnie przywlekli go przed nasze oblicze i cisnęli nim o ziemię, zwracając się do nas: „To człowiek, którego chciałeś słuchać, sułtanie!”.

Mahpeyker poczuła, jak ogień oblewa jej policzki. Zaszło jej w gardle. Nie mogła przełknąć śliny. „No, a ty co zrobiłeś? Opowiedz o tym!” – myślała gorączkowo.

– Tak to wygląda, moja piękna – powiedział Ahmed po dłuższej przerwie. Westchnął. Wyraz zadumy momentalnie zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca namiętności. – Teraz skupmy się na

przyjemnych...

Objął ją w pasie i próbował przyciągnąć do siebie. Powstrzymał się jednak, gdy zobaczył, w jakim jest stanie: chusta zsunęła się jej z głowy na ramiona, a włosy rozwiały się na wietrze. Grzywka opadła na twarz. A jej oczy... „Ach!” – przestraszył się padyszach. „Co się z nią dzieje?”. Jej oczy błyszczały niewiarygodnym blaskiem. Jego dłoń ponownie powędrowała ku jej piersiom.

– Kochana... – szepnął namiętnie. – Moja duszko, pączku różany...

Ale czego by nie powiedział, nie miało to dla niej teraz żadnego znaczenia. Nie poczuła nawet, jak jego dłoń zaciska się na jej piersi.

– A co zrobił sułtan?

Mahpeyker była pewna, że odpowie jej coś w rodzaju: „Rzecz jasna, rozkazał ściąć wszystkich buntowników”.

Tymczasem sułtan Ahmed zdziwił się, jakby wylano na niego kubek zimnej wody. „Co?” – powtórzył w myślach jej pytanie. „Co zrobił sułtan?”.

A co mógł zrobić? „Jak się miałem zachować w sytuacji, gdy dywan został opanowany przez zgraję krwawych rozbójników, a moi wezyrowie znieważani?” – myślał. Nagle uświadomił sobie, że przeraża go ogień, jaki dostrzegł w oczach Mahpeyker. Z początku wydawało mu się, że to reakcja na jego pieszczotę. Wiedział już bowiem doskonale, że pod wpływem jego dotyku Mahpeyker mruży oczy i pręży się jak głaskany kot. A jak tylko zaczyna osiągać szczyt, patrzy na niego spojrzeniem pełnym ognia, zdającym się krzyczeć do niego: „Weź mnie! Weź mnie całą, mój lwie. Rozszarp na strzępy swoją hasęki!”.

Tym razem jednak widać było wyraźnie, że ogień ten został wywołany przez coś zupełnie innego. Mahpeyker czekała na jego odpowiedź, nie poruszając nawet rzęsami.

„Co zrobił sułtan, tak?”.

– Nic – odpowiedział w końcu, siląc się na uśmiech. – Uciekliśmy się do środków stosowanych przez naszego ojca. Darowaliśmy im karę za wszystkie winy, jakich się dopuścili...

Niewiele brakowało, a z ust Mahpeyker wyrwałoby się przekleństwo.

– Mianowaliśmy ich agami kompanii. Udzieliliśmy im zgody na wyjazd

do Anatolii, by ze swoimi ludźmi przyłączyli się tam do armii głównodowodzącego. Podjęte przez nas decyzje przyniosły natychmiastowy efekt. Zadowolili ich tak bardzo, że ucałowali poły naszego płaszcza i wycofali się w spokoju, zanosząc modły o nasze zdrowie. Jeszcze z oddali było słychać ich okrzyki: „Niech żyje sułtan!”.

Liczył na to, że Mahpeyker nagrodzi go pełnym podziwu spojrzeniem, że usłyszy od niej pełną uznania pochwałę. Dziewczyna jednak milczała jak grób. Sam więc musiał przyznać sobie nagrodę, na jaką czekał:

– Dzięki Bogu, zachowaliśmy zimną krew. Inaczej, Bóg mi świadkiem, sprawy mogły przybrać bardzo zły obrót...

Tej nocy jeszcze się nie odważyła. Chyba ze sto razy chciała powiedzieć sułtanowi: „Teraz zadowolili się palcem, lecz obawiam się, że już wkrótce zażądają całej ręki!”. Ale nie była w stanie.

Sułtan Ahmed był tego świadom, że Mahpeyker nie spodobał się jego wybieg. Nie zdobył się jednak na to, by ją otwarcie zapytać: „No to co miałem zrobić?”. Cały czas powtarzał tylko: „Zachowaliśmy zimną krew. Inaczej sprawy mogły przybrać bardzo zły obrót”, jakby chcąc przekonać o tym także samego siebie.

Sprawy mimo wszystko przybrały zły obrót. Nie upłynął nawet tydzień, gdy janczarzy, zachęceni skutkami ostatniego najścia kawalerzystów na dywan, także się zbuntowali: „Dlaczego nie dostaliśmy na czas naszych mundurów i żołdu?”. Mimo że zebrał się dywan, na którym powinni otrzymać swój żołd, odmówili zjedzenia zupy^[3].

W stronę oficerów posypały się kamienie.

W każdym koszarach znalazł się ktoś, kto zachęcał do buntu.

– Na co czekacie?! – wrzeszczeli prowodyrzy. – Czas odwiedzić Ahmeda i spytać, co z należnymi nam poborami. Zażądajmy głowy każdego, kto odpowiada za to opóźnienie. Dalej, na pałac!

Żaden dowódca janczarów ani żaden aga czy oficer nie odważyli się narazić żołnierskiej tłuszczy i stanąć w obronie padyszacha: „Jak śmiesz mówić o Jego Wysokości po imieniu!”.

Gdy zbuntowani żołnierze maszerowali na Nowy Pałac, Ahmed recytował właśnie Mahpeyker ostatni czterowiersz, jaki napisał dla niej:

– Wczoraj w nocy zrywałem kwiaty w ogrodzie mego serca.
Stęsknione oczy nieustannie szukały ukochanej wszędzie.
Wtem niebo zajaśniało, stanęła przede mną wróżka;
jakie imię jej nadać: Mahpeyker czy róża?

– Ach, mój kochany panie – zaświergotała Mahpeyker. – Naprawdę, rozpieszczacie waszą służebnicę...

Nagle dobiegł ich podniesiony głos zza zasłony:

– Panie, panie!

Stanął przed nimi zziajany szambelan. Ahmed zerwał się na równe nogi, rozgniewany jego zuchwałością – pojawiał się bez zapowiedzi, wiedząc, że jest u niego haseki.

– Co to ma znaczyć, przeklęty... Jak śmiesz! Wynoś się stąd, póki jeszcze nie straciłeś głowy!

Lecz mężczyzna nie wystraszył się groźby. Zamiast jak najszybciej się oddalić, szepnął coś sułtanowi na ucho. Twarz Ahmeda najpierw stanęła w ogniu, a po chwili zrobiła się blada jak ściana.

– Panie... – zaniepokoiła się Mahpeyker. – Stało się coś złego?

Nie mogło być ku temu żadnych wątpliwości. Bo czy inaczej szambelan wystawiałby się na pewną śmierć, zakłócając spokój sułtana?

– Nic się nie stało... – wydusił z siebie w odpowiedzi. Drżący głos przeczył jednak jego słowom. – Stało... – poprawił się po chwili, lecz nie był w stanie powiedzieć nic więcej. – Stało...

– Wasza Wysokość... Zbledliście...

– Janczarzy wywrócili kocioł – powiedział w końcu. – Ruszyli na pałac. – Wstał i podbiegł do okna. – Trzeba coś zrobić... – powiedział pod nosem. – Natychmiast trzeba coś zrobić!

Mahpeyker wiedziała, że padyszach nie ma pojęcia, co robić. On znał tylko jedno rozwiązanie: spełnić wszystkie żądania buntowników, po czym w samozadowoleniu dalej siedzieć na tronie, uważając się jeszcze za władcę... „Czy on nie rozumie, że ustąpić przed motłochem to tak, jakby oddać całą władzę w ręce ulicy?” – myślała wzburzona. Jednocześnie odezwał się rozum: „No dalej. To chwila, na którą czekałaś. Jest bezradny, boi się. To najlepszy czas. Powiedz mu, co powinien

zrobić, Mahpeyker. Wskaż mu wyjście z sytuacji!”.

Powiedziała. Z przekonaniem, jakby mówiła do samej siebie: „Tym razem muszą polecieć głowy. Wasza Wysokość na znak tego, że nie zawaha się przelać krwi, powinna pojawić się przed nimi w purpurowym kaftanie. Ilu by nie było prowodyrów tego buntu, wszyscy powinni zostać ścięci. Bo gdy raz dostaną to, czego chcą, ich żądaniom nigdy nie będzie już końca!”.

Tego dnia sułtan Ahmed pojawił się w Pawilonie Bajazyda ubrany w czerwony kaftan. Wezwał przed swoje oblicze wezyrów, agów i paszów. Rozkazał, aby przyprawdzono także dowódców żołnierzy, wrzeszczących i kotłujących się pod bramami pałacu. Wszyscy spodziewali się, że skończy się to tak jak ostatnim razem i sułtan da im wszystko, czego żądają. Pojawili się przed nim, miotając groźby: „Bóg nam świadkiem, albo dostaniemy to, co nam się należy, albo polecą głowy!”. Nie wiedzieli, że w pobliżu czai się już kat z pomocnikami. Podczas gdy buntownicy przedstawiali swe żądania, kaci opuścili swą kryjówkę i na miejscu rozprawili się z niczego niepodejrzewającymi prowodyrami: gwardzistą Şahbazem, Jednookim Mahmudem i Kargazadem – pisarzami kawalerzystów – a także z jednym oficerem janczarów. Ich ścięte głowy zatknięto na włócznie i pokazano janczarom, czekającym za murami na dobre wieści. Z bramy wypadli pałacowi gwardziści i zaatakowali buntowników. Po jakimś czasie zapanowała tam grobowa cisza.

Nie upłynęła nawet godzina, jak janczarzy wrócili na swój dywan i chwycili za łyżki, by posłusznie zjeść postawioną przed nimi zupę.

Mahpeyker oszalała ze szczęścia, gdy dowiedziała się, że bunt zdławiono. Jej radość nie trwała jednak długo. Padyszach nie wezwał jej do siebie, mimo że już dawno powinien to zrobić.

Powoli kielkowała w niej panika.

Sułtan zrobił tak, jak mu poradziła: krwawo rozprawił się z rebeliantami. Najwyraźniej nie był jednak zadowolony, że ten pomysł wyszedł od niej. Może obawiał się plotek, że postępuje zgodnie z podszeptami kobiety?

Czekała przez godzinę, lecz nie pojawił się u niej ani marszałek dworu,

ani szambelan. „Ech... Uraziłam dumę sułtana” – myślała, starając się ukryć przed dziewczętami narastające w niej zdenerwowanie.

Usiadła na sofie pod oknem. Na zewnątrz panowała ciemność. W szybie oprócz palącego się za nią kaganka mogła dostrzec tylko własne odbicie. Zapatrzyła się w drżący płomień. „To koniec” – pomyślała ponuro. „Sen się skończył”. Rozum i dusza opuściły ją, były gdzieś daleko od Nowego Pałacu. Zobaczyła w oknie, jak Semiha rozgrzebuje żar na palenisku i kładzie nań tygielek z kawą. Jej mózg nie zarejestrował jednak tego obrazu. Obserwowała teraz swój dom na Milos. Z dołu dobiegały jej nawoływania rybaków. „Biegiem, przekażcie wiadomość!” – mówił jeden z nich. Biegli... Ktoś biegł... Słyszać było, jak biegnie. Zobaczyła w szybie, jak Semiha zrywa się ze swego miejsca przy palenisku. Jej mózg znowu tego nie odnotował. Jedynie przez sekundę pomyślała: „Oho, zaraz wykipi kawa”, i to wszystko. Biegący dotarli do celu. Z wiadomością. Ale do kogo? Do jej ojca? Co to za wiadomość? Czyżby rybacy dostrzegli w oddali statek korsarzy? Kroki krzyczących ludzi coraz bardziej się do niej zbliżały. Wydało jej się, że słyszy kobiecy głos: „Szybko! Szybko, szybko, na Boga!”. Ten głos wydał jej się znajomy. Nie był to jednak głos jej matki. Kto w takim razie nakłaniał do pośpiechu?

W szybie pojawiło się nagle odbicie starszej, pięknej kobiety. „Szybko!” – mówiła, machając rękami. „Szybko. Nadchodzi”.

Ona też nie była jej matką... W takim razie, kim? Kto miał nadejść? Poczula smród przypalonej kawy. „A więc wykipiała” – przebiegło jej przez myśl. Tak się musiało stać. Kawa wykipiała... Nagle wszystko w niej krzyknęło: „Daye!”.

W jednej chwili powróciła do rzeczywistości.

– Mateczko, nianiu – odwróciła się do niej z niepokojem.

– Pośpiesz się, Mahpeyker – mówiła zdyszana. – Już prawie tu jest!

– Ale kto?

– Ech... Sułtan tutaj idzie!

Mahpeyker nie od razu zrozumiała, co się dzieje. Zamarła oszołomiona.

– Sułtan tutaj idzie – powtórzyła, podczas gdy niania biegała to tu, to tam. – Sułtan... tutaj... idzie.

– O Boże!

Nagle rozległ się podniesiony głos jednej z dziewcząt, czuwających na zewnątrz:

– To dla nas prawdziwy zaszczyt, Wasza Wysokość!

Mahpeyker w panice podbiegła do drzwi, a po chwili znowu się cofnęła. Tak jak każdego wieczoru, przygotowała się do wyjścia do sypialni sułtana. Gdy zaproszenie nie przychodziło, przysiadła sobie, a potem nawet usnęła na jakiś czas. „Jak teraz musi wyglądać moja twarz?” – myślała zaniepokojona. Chciała poprawić włosy. Dopiero wtedy zauważyła, że Semiha wygląda na niej suknię, a Şarazad pośpiesznie zakłada jej czapkę na głowę.

Drzwi nagle się otworzyły.

Wszyscy pokłonili się aż do ziemi. Mahpeyker powitała Ahmeda jak królowa. Lekko zgięła się w pasie i nachyliła do przodu. Prawą ręką zatoczyła pętlę z góry na dół i wystawiła ją przed siebie. Nie widziała jeszcze, żeby ktoś składał sułtanowi aż tak głęboki ukłon. „Powinni się już nauczyć, jak to robić” – przemknęło jej przez myśl.

– Wasza Wysokość... Panie... Wasza służebnica...

Gdy wszystkie służące opuszczały komnatę, Ahmed zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Wyprostuj się, chcę zobaczyć twoją twarz, różyczko – poprosił ją cicho.

Zrobiła, tak jak chciał. Sułtan z uśmiechem patrzył w jej oczy. Gdy był już pewny, że zostali sami, wziął ją w ramiona. Ich usta połączyły się w pocałunku.

Zdyszani w końcu oderwali je od siebie. Padyszach jeszcze przez jakiś czas się jej przyglądał, po czym włożył rękę za pas. Gdy ją wyciągnął, zobaczyła, że między palcami trzyma coś jakby ognik.

– Niech ci się nie wydaje, że ten rubin – zaczął sułtan – zawdzięcza swój blask przelanej przez nas dzisiaj krwi. To raczej zorza, ogień, dzieło serca Ahmeda, które krwawi z miłości do jego ukochanego księżyca.

– Ależ panie... – Mahpeyker nie mogła oderwać wzroku od wielkiego rubinu w kształcie łyzy. Światło padające z kaganków sprawiało, że skrzył się w palcach Ahmeda milionami iskierek.

Padyszach przyczepił klejnot na przód jej czapki. Jego dolna część opadała na czoło. Mahpeyker poczuła, jak zajmuje się ono ogniem.

– Panie – wyszeptała, unosząc kolano ku pachwinom sułtana. – Uszczęśliwiliście waszą służebnicę...

– To ty – odpowiedział, zasłaniając jej dłonią usta. – To raczej ty uszczęśliwiłaś dzisiaj sułtana i całą Wysoką Portę...

Mahpeyker czuła, że zaraz uniesie się do góry ze szczęścia. Wiedziała, że jeśli serce nie wyrwie się z jej piersi i przetrzyma tę dzisiejszą radość, to pozostanie w niej już chyba na zawsze. Powoli poruszyła głowę i poczuła dotyk rubinu na swoim czole. Była szczęśliwa. Równie wielkiego klejnotu nie widziała nawet na głowie Mahfiruz.

Gdy oddawała się pieścizotom Ahmeda, nie mogła przestać myśleć o jednym: „Już blisko. Niewiele brakuje. Wkrótce zostanę sułtanką. Mahpeyker Sultan”.

Od tego dnia na czole Mahpeyker Sultan połyskiwać miał rubin sułtana Ahmeda.

Całymi dniami pławiła się w swoim szczęściu.

Wieść o tym, że sułtan odwiedził haseki w jej komnacie, obiegła pałac niczym burza. Szczęście Mahpeyker sięgnęło zenitu, gdy dowiedziała się, o czym się mówi na pałacowych korytarzach.

– Naprawdę? Nie wierzę! Kto to widział, żeby sułtan odwiedzał haseki w jej komnacie?

– A właśnie odwiedził, mówię ci, że odwiedził. I to nie jakoś po kryjomu... Na oczach wszystkich! Sułtan wyszedł od siebie i udał się prosto do Holu Haseki...

– Ale na pewno do komnaty tej dziewczyny?

– Przecież ci mówię... A jednak, niebywałe rzeczy czasem się zdarzają! Ale ta Mahpeyker... Ty wiesz, co ona zrobiła?

– Co zrobiła? Opowiadaj!

– Gdy zobaczyła go przed sobą, rzuciła mu się na szyję.

– Żartujesz! Co to za maniery? Ta dziewczyna nie ma wstydu, czy co?

– Pomyśl tylko, co zrobi sułtanką Mahfiruz, gdy się o tym wszystkim dowie.

– A co może zrobić? Trzeba było nie wypuszczać sułtana z ręki.

Patrzcie tylko, obca dziewczyna w tak krótkim czasie rozpałała w jego sercu taki ogień...

Gdy opowiedziano o tym Mahpeyker, jej serce także zajęło się ogniem. Z radości. „Mahfiruz chyba oszaleje z wściekłości, kiedy się o tym dowie!” – cieszyła się.

O tym, że szczęście potrafi zniknąć równie szybko, jak się pojawiło, przekonała się pewnego dnia wraz z nowiną, jaka nadeszła do pałacu z Pawilonu Morskiego.

Nikt nie mógł zdobyć się na to, aby przekazać jej tę wiadomość. Ostatecznie zrobiła to Mürüvvet.

– Mahpeyker... Ona znowu jest w ciąży!

Na chwilę zamarła. „Ona? Jaka ona?” Od początku wiedziała, o kogo chodzi. Jej umysł i serce nie chciały jednak tego zaakceptować.

– Kto jest w ciąży, ablo?

– No ona... Mahfiruz.

Mahpeyker wydało się, że na świecie nagle zapadły ciemności. „A ja?” – pomyślała z żalem.

Dotąd zupełnie się nad tym nie zastanawiała. Już samo to było zadziwiające. Chciała policzyć, ile to już czasu minęło, odkąd zaczęła sypiać z padyszachem, lecz szybko porzuciła ten zamiar. Minęło już wiele miesięcy, a jej łono nadal było suche jak pustynia.

Tej nocy po raz pierwszy powiodła w ten sposób rękami po swoim brzuchu. Całą uwagę skupiła na tym, by wyczuć jakiś ruch w środku. Niczego tam jednak nie było. Niczego.

W głowie zabrzmiało jej echo słów Safiye Sultan i daye: „Dasz Wysokiej Porcie padyszacha, Mahpeyker!”.

Nachmurzyła się. „Bóg nie wysłuchał waszych modlitw. Tylko spójrzcie... Moje łono jak było, tak pozostaje puste. A tamta znowu spodziewa się dziecka!”.

W pierwszym momencie pod wpływem szoku nie pomyślała nawet, co takiego oznacza ciąża Mahfiruz. Lecz gdy tylko to do niej dotarło, załała ją fala podejrzeń.

Ahmed, odwiedzając syna w Pawilonie Morskim, odwiedzał także łóżko tej diablidy!

Zabolało ją to. Przyzwyczała się już bowiem do roli jedynej kobiety w jego życiu. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że to przejściowe, i że prędzej czy później Ahmed weźmie sobie i inne nałożnice. Ale Mahfiruz to coś innego... Królowa Lodu była jej największym wrogiem. A Ahmed dzielił z tym lodem łożę! Kto wie, może od razu po wyjściu z niego, jeszcze mając na sobie jej pot, wzywał do siebie ją? Całował ustami, które przed chwilą całowały tamtą, doprowadzał do szaleństwa dłońmi, które nie tak dawno ścisnęły dłonie tamtej? I nie mogła nic na to poradzić. Jedynie znosić to w milczeniu.

Podjęła trudną i bolesną decyzję: tak właśnie zrobi. Będzie znosiła to tak długo, aż znajdzie jakieś inne rozwiązanie.

Cierpiała.

Myślała, że po podjęciu tej ciężkiej, lecz koniecznej decyzji zrobi jej się trochę lżej na sercu. Niestety, od razu wpadła w ręce o wiele bardziej niebezpiecznego podejrzenia. Na samą myśl o tym ogarnęło ją przerażenie.

„A może jestem bezpłodna?”.

W jednej chwili zalała się łzami. Teraz już rozumiała, dlaczego Mahfiruz wycofała się, rzekomo ustępując jej pola. Niczego jej nie ustąpiła. Całkowicie należało ono do niej. Była płodna. Dała już Ahmedowi syna. Gdy księżę dorośnie, to ona zostanie valide sultan.

„A ty, mulico?” – zapytała się okrutnie. „Co będzie wtedy z tobą?”.

Nic! W dniu, w którym syn Mahfiruz wstąpi na tron, od razu wygna ją z pałacu. Oczywiście, jeśli nie zdecyduje się jej zabić.

Wszystko sprowadzało się właśnie do tego.

Ważniejsze od dzielenia łoża z padyszachem, ważniejsze nawet od sukcesów na tym polu było to, żeby urodzić mu syna. Jako matka księcia nie musiałyby obawiać się już, że ktoś odbierze jej jego serce. Niech sobie sypia, z kim tylko chce. Najważniejsze to urodzić mu syna, doprowadzić go na tron i zostać sułtanką matką. Tymczasem ona nie miała syna, odnośnie którego mogłaby żywić takie nadzieje i za którego mogłaby walczyć. A Mahfiruz z każdym mijającym dniem coraz bardziej przybliżała się do przyszłej potęgi. Zrozumiała, że była w błędzie, nazywając ją zmiją, diabolicą, wiedźmą czy nawet Królową Lodu. Bo

Mahfiruz była pajęczycą. Brzydką, obrzydliwą pajęczycą, nieustannie pracującą swoimi czarnymi, włochatymi odnóżami. Przebiegle tkala swoją sieć.

„Gdy Ahmed umrze – dzięki Bogu, jest taki młody – zostanę tutaj sama jak palec” – pomyślała smutno. „Ahmed jest moją tarczą. Jeśli go zabraknie, to kto mnie obroni? Nikt!”.

Wtedy wpadnie w zastawioną przez nią sieć. Włochata pajęczycyca wyjdzie z ukrycia, i podczas gdy będzie się do niej powoli zbliżać, ona nie będzie w stanie wyrwać się z krępującej ją, lepkiej pajęczyny... I pająk w końcu...

W miarę jak o tym myślała, strach wypuszczał coraz to nowe macki. Pewnej nocy umysł podszeptał jej kolejną przerażającą możliwość.

„A jeśli Ahmed zostanie zabity?”.

Wszyscy święci! Ogarnęła ją zgroza. Może ktoś... „O Boże, kropelka trucizny...”. Gdy wyobraziła sobie, jak Ahmed umiera, zwijając się z bólu, wpadła w panikę. Zupełnie o tym nie pomyślała. Padyszach nie był wcale taką pewną tarczą, za jaką go uważała. „Jedna kropelka...” – majaczyła całymi godzinami. Wszystko zależało od jednej kropli! Zarówno życie padyszacha, jak i jej.

W pałacu śmierć była częścią codziennego życia. Zarówno dla szeregowej służby, jak i dla dzierżących w rękach stery władzy. Ci drudzy – wezyrowie, paszowie, agowie, bejowie, sułtanki, księżęta i przede wszystkim sam sułtan – znajdowali się o wiele bliżej śmierci niż reszta. Nieustannie stąpali po jej brzegu.

Myśl ta przygnębiła Mahpeyker jeszcze bardziej.

„Taka Safiye Sultan...” – powiedziała sobie jednej nocy. „Odeszła przekonana, że ją otruto”.

Stanął jej przed oczyma pierścień, jaki Safiye podarowała za jej pośrednictwem sułtance Handan. Teraz chyba przyszła kolej na nią. Kobieta marniała w oczach z każdym dniem. Przypomniała sobie tajemnicze słowa Safiye: „Tym razem to ona pierwsza chwyciła jej rękę”. A więc ona też chciała pozbyć się synowej. Może właśnie dzięki temu pierścieniowi? To on był zemstą wielkiej sułtanki matki. Mściła się na synowej z miejsca, do którego tamta ją wysłała.

Nikt nie mógł być pewny swojego życia. A już szczególnie kobiety w takiej sytuacji jak ona. Jedynym ratunkiem dla niej było urodzić księcia. „Niech to diabli! A tego akurat nie mogę. Jestem bezpłodna!”.

Ile to już nocy spędziła, myśląc tylko o tym: „A tego akurat nie mogę. Jestem bezpłodna!”.

Za jakiś czas sułtan też pewnie się zorientuje. A potem dowie się o tym cały pałac...

Może pajęczycyca już teraz wypytywała każdego, kto przybywał do niej z wieściami z Nowego Pałacu: „To ta nałożnica jeszcze nie zaszła w ciążę? Oczywiście, że nie. Przecież jest niepłodna!”.

Mijały dni. Miała coraz mniej czasu. Z chwilą gdy wszyscy uznają ją za bezpłodną, miał nastąpić jej koniec. Powiedzą: „Jest piękna, to prawda, ale co z tego? Nie może mieć dzieci...”. Wtedy ostatecznie straci szacunek w oczach wszystkich.

Powinna znaleźć na to jakieś lekarstwo. Albo niemowlę!

Bezsenne noce upływały jej teraz na rojeniu najbardziej szalonych, fantastycznych planów. Przyszło jej do głowy, żeby udać przed wszystkimi, że jest w ciąży. Mogłaby zwieść tym kłamstwem cały pałac. Nie było sztuką powiększyć brzuch. Ale co z dzieckiem? Skąd miała wziąć niemowlę?

„Czego to nie można zdobyć teraz za pieniądze?” – podszeptała jej wewnętrzny głos. „Mürüvvet odkupi od jakiejś nędzarki noworodka. Albo ukradnie. Ty przekupisz kilka położnych i po sprawie!”.

Gdy nadejdzie czas porodu, Mürüvvet po kryjomu podłoży jej dziecko. A gdy pojawi się przy niej Ahmed, odda mu je w ramiona ze słowami: „Panie, oto twój syn”...

„Czyś ty zwariowała?” – odezwał się rozum. „Naprawdę wierzysz w to, że uda ci się zrealizować ten bezsensowny plan?”.

Nie wierzyła. Jak mógł uwierzyć w to kłamstwo potężny dom Osmanów, skoro nawet ona sama w nie nie wierzyła?

Inna noc, pełna koszmarnych snów zrodziła w jej sercu kolejną obawę.

– Nawet jak urodzisz syna, na nic się to już nie zda!

– Dlaczego?

– Zgodnie z prawem w państwie Osmanów tron przechodzi w ręce

najstarszego męskiego potomka. Nawet jak teraz urodzisz chłopca, kolejnym padyszachem i tak zostanie syn pajęczycy. A ciebie i twojego syna... Zrozumiałaś?

Zrozumiała, oczywiście... Tym razem Mahfiruz każe zabić nie tylko ją, ale również jej syna. Czego by nie zrobiła, wszystko i tak przemawiało na rzecz pajęczycy. Zarówno Bóg, jak i szczęście. Ona się spóźniła. I to bardzo... No, a poza tym, była bezpłodna.

Gdyby tak zdarzył się cud... i mogła urodzić... i gdyby urodził się chłopiec... Nawet to byłoby dla niej za mało.

Powinna znaleźć jakiś sposób, żeby zamknąć przed synem Mahfiruz drogę na tron.

Ale to było niemożliwe. Nie było siły, która mogłaby zagrozić przyszłej potędze Mahfiruz i jej syna.

Umysł zachichotał cicho. „Oprócz śmierci”.

„O Boże” – westchnęła. Tak, to było jakieś rozwiązanie. Śmierć nie musiała być wyłącznie prześladowającym ją koszmarem – mogła być także ratunkiem. Jeśli księżę Osman umrze, a następny w kolejce do tronu byłby jej syn, to on właśnie zostałby nowym padyszachem. A ona byłaby wówczas Mahpeyker Valide Sultan.

„A więc umieraj, Osmanie!” – myślała, przewracając się w łóżku z boku na bok. „Niech twoja śmierć będzie wybawieniem dla mnie i mojego syna”.

Zdziwiło ją, że taka decyzja narodziła się w jej głowie tak szybko. „Umieraj, Osmanie”? Przeraziło ją, gdy zauważyła, że diabeł tkwiący w Mahfiruz istnieje także w niej, przyczajony w najbardziej mrocznych zakamarkach jej duszy. Wygląda na to, że i ona bez mrugnięcia okiem jest w stanie zdecydować o czyjejs śmierci. Nawet dziecka... „A jeśli tak, to oznacza, że w niczym nie różnię się od tej pajęczycy” – pomyślała. „We mnie też kryje się morderca. Bez względu na tego stopnia, że porywa się na życie małego dziecka”.

Wzdrygnęła się. Wstrzymała oddech.

„Ale muszę to zrobić” – pomyślała z żalem. „Nie mam innego wyjścia. Albo ja, albo on. Nie mogę dopuścić do tego, aby syn tej kobiety wstąpił na tron. Skoro los zaprowadził mnie do pałacu, gdzie aby przetrwać,

trzeba czasem posunąć się do morderstwa... zrobię i to, i nawet nie zadrży mi przy tym ręka!”.

„A więc tak!” – przyklasnęła jej rozum. „Znalazłaś rozwiązanie. Ale jest jeszcze jeden sposób, by uniemożliwić księciu Osmanowi objęcie tronu w przyszłości”.

„Jaki?” – spytała, mimo że nie wydawało jej się, aby cokolwiek było równie pewne i skuteczne jak śmierć.

„Ty nie masz syna. Ale pewnego dnia możesz mieć, prawda?”.

Oczywiście. Pewnego dnia pewnie w końcu urodzi. Musi urodzić.

„Do tego czasu, to jest dopóty, dopóki chłopiec, którego urodzisz, nie zostanie ogłoszony oficjalnym następcą Ahmeda, trzeba powstrzymać księcia Osmana przed wstąpieniem na tron”.

„No tak... I właśnie przecież znalazłam na to sposób”.

„To prawda. Ale jest zbyt krwawy i niebezpieczny. Posłuchaj mnie uważnie: gdyby na przykład było takie prawo, zgodnie z którym tron przypada nie najstarszemu synowi padyszacha, ale najstarszemu mężczyźnie w rodzie... Zrozumiałaś?”.

Nie rozumiała. Co to za myśli krążyły jej po głowie? Postanowiła jednak nadal podążać za tym głosem w nadziei, że wskaże jej najlepszą drogę.

„Tylko pomyśl” – mówił dalej. „Na tron wstąpiłby wtedy nie syn, ale najstarszy mężczyzna w rodzinie, na przykład brat sułtana...”.

„I jaka z tego dla mnie korzyść? Tron w każdym razie dostanie się komuś innemu”.

„Ale ty zyskasz dzięki temu na czasie. Dopóki nie podrośnie twój książę, na tronie będzie zasiadał sułtan, z którym będziesz mogła się porozumieć. Lepsze to niż twój zajadły wróg!”.

Podczas bezsennych nocy rozważała ten pomysł ze wszystkich stron. „Jeśli sama nie możesz objąć władzy, niech zrobi to ktoś, kto nie wykorzysta jest przeciw tobie” – myślała. Było to lepsze niż bierne oczekiwanie. Przynajmniej dawało jakąś nadzieję na przyszłość. Myśleć o tym było łatwo, o wiele trudniej wyglądała kwestia realizacji tego pomysłu. Osmanowie mieli przecież swoje prawa i zwyczaje. Niby jak miała to wszystko pozmienić?

„Dasz radę!” – starała się dodać sobie odwagi. „Jeśli tylko zechcesz, to ci się uda. Zastanów się nad tym dobrze, bez pośpiechu. Od tego zależą losy twoje i twojego nie narodzonego jeszcze syna. Powinnaś jakoś przekonać Ahmeda, aby położył wreszcie kres tym braterskim sporom o władzę!”.

Wschód słońca powitała z podjętą decyzją. Nie wiedziała jeszcze co prawda jak, lecz nie miała wątpliwości, że to zrobi. Przekona sułtana Ahmeda o konieczności zmian w prawie.

Nie rozpętała kłótni z padyszachem. Ani słowem nie wspomniała nawet o ciąży Mahfiruz. Nie urządziła sceny zazdrości, nie kaprysiła i nie czyniła wymówek w rodzaju: „Sypiasz z nią!”. Przeciwnie – kochała się z nim jak szalona. Przytuliła się do niego z większą namiętnością niż zwykle. Na jego pieszczoty odpowiedziała jeszcze bardziej zapamiętała. Sułtana zdziwił bardzo ten napad pożądania z jej strony, nie uskarżał się jednak z tego powodu.

Za każdym razem Mahpeyker z utęsknieniem czekała na jego krzyk oznaczający koniec. Gdy się rozlegał, jednocześnie zaczynała się modlić: „Najświętsza Panienko, błagam cię... Niech tym razem z tego nasienia pocznie się syn!”.

Po każdej nocy głaskała się po brzuchu, oczekując jakiegoś dźwięku albo ruchu ze środka.

Daremnie... Niczego tam nie było.

Nawet gdy wydawała z siebie okrzyki rozkoszy, jej umysł błędził przy jej obawach i podjętej niedawno decyzji. Skazana była na życie w strachu zasianym przez to straszliwe przypuszczenie. W pałacu nikomu nie było dane żyć bez obaw i podejrzeń.

Była bardzo ciekawa, jak to mu się udaje? Ahmed zachowywał się, co było dla niej niepojęte, tak jakby o niczym nie wiedział. To chyba oczywiste, że musiała usłyszeć już, że Mahfiruz nosi jego kolejne dziecko. Co oznaczało, że wie, iż dalej z nią sypia. Jak mężczyzna, choćby nawet i był sułtanem, mógł nie rozumieć, jak bardzo musi to być dla kobiety bolesne? „Doskonale zdaje sobie z tego sprawę!” – utyskiwała Mahpeyker za każdym razem, gdy o tym pomyślała. Świadomość ta raniła ją jeszcze

bardziej. Bo to oznaczało, że nie liczy się z jej uczuciami. Nie liczył się zresztą z nikim, nie tylko z nią. Był padyszachem. Świat stworzony był dla niego. Nic więcej nie miało znaczenia.

Pewnego dnia, zupełnie bez powodu, Mahpeyker doszła do wniosku, że w zasadzie w niczym się od niego nie różni. Gdy gniewała się na Ahmeda, rozum zadał jej podstępne pytanie: „A ty, to co? Czy ty też nie zachowujesz się jak gdyby nigdy nic?”.

„Racja...” – pomyślała. Od razu zrobiło się jej lżej na sercu. W pałacowym życiu każdy miał do odegrania jakąś rolę. Jej i Ahmedowi życie przypisało rolę zakochanych do szaleństwa, spalających się w ogniu namiętności kochanków. „Bóg wie – mówiła sobie – że ja bardzo dobrze odgrywam swoją rolę!”.

Zupełnie wyrzuciła z myśli kolejną ciążę Mahfiruz i to, co się z niej urodzi. Zajmowało ją teraz tylko jedno: zająć samej w ciążę i dać Ahmedowi syna. Nic, żadne głupie uczucie, nie mogło być ważniejsze od tego. Nie było rzeczy, której nie zrobiłaby dla osiągnięcia tego celu.

Pewnego dnia, z nachmurzoną miną zwróciła się do daye:

– Ciągle nie mogę zająć w ciążę, mateczko.

Kobieta wcale się nie zdziwiła. Uśmiechnęła się, jakby już wcześniej oczekiwała tego wyznania.

– To znaczy, że twój czas jeszcze nie nadszedł, moja droga.

– To ze mną musi być coś nie tak. Sądząc po tej drugiej...

Daye wymruczała coś niezrozumiałego pod nosem.

– Znasz może kogoś, mateczko? – spytała, wstydliwie opuszczając głowę. – Uzdrowiciela, który umie przyrządzić jakiś eliksir, jakąś maść na moją przypadłość?

– Nie należy mieszać się do boskich planów.

– Ale... w takim razie... nigdy nie zostanę matką!

Kobieta chwyciła ją za brodę i uniosła jej głowę.

– Zostaniesz nią!

Ta krótka odpowiedź wstrząsnęła Mahpeyker do głębi. Znów to słowo, które narobiło już w jej życiu takiego zamieszania: „Zostaniesz!”.

„Czy służąca może zostać królową?”.

„Zostaniesz nią!”.

„Czy widział ktoś wcześniej, żeby zwykła służąca została sułtanką, że ja bym miała?”.

„Zostaniesz nią!”.

A teraz daye szeptała jej do ucha znów tę samą przepowiednię:
„Zostaniesz!”.

– Ale minęło już tyle czasu, mateczko. I nic nie zapowiada, żeby coś miało się zmienić. Tak mi przykro, że nie dałam jeszcze sułtanowi syna. Boję się...

Daye uważnie spojrzała jej głęboko w oczy. Mahpeyker wytrzymała to spojrzenie. Wiedziała, że kobieta czyta teraz w jej duszy, linijka po linijce. Dostrzegała w niej wszystko: jej nadzieje... zazdrość... strach... żądzę, wszystko. Twarz staruszki przybrała teraz wyraz, jakiego nigdy dotąd jeszcze u niej nie widziała. Bardziej niż naganę wyrażał on coś innego... Jakby w uśmiechu, który zarysował się w kącikach ust niani, kryła się jakaś tajemnicza, radosna nowina.

– Być może – odezwała się staruszka po dłuższej chwili – Bóg nie chce nagradzać waszego grzechu dzieckiem, Mahpeyker. Gdyby się teraz urodziło, byłoby owocem cudzołóstwa...

„Owoc cudzołóstwa!”.

Zamarła. Zupełnie nie przyszło jej to do głowy. Była wielką grzesznicą. W pogoni za swoim szaleńczym marzeniem popełniła jeden z największych grzechów. Żyła z sułtanem bez bożego błogosławieństwa. „Nie jesteś żadną tam faworytą – zbesztala się surowo – ale po prostu najzwyklejszą w świecie ladacznicą. Żadną królową, żadną sułtanką – jesteś ladacznicą. Dziwką sułtana”.

Bardzo to przeżywała. „Jak doprowadziłam się do takiego stanu?” – lzy stanęły jej w oczach.

„Słyszeliście? Jedyne córka ojca Kostasa Vasilidisa... Została dziwką Osmanów!”.

Tak miano opowiadać sobie o niej na Milos.

Nie było już sensu dłużej się oszukiwać. Daye miała rację. Bóg nie chciał dać jej dziecka poczętego w grzechu. Łono Mahfiruz było żyzne i płodne, bo ona nie była cudzołożnicą, ale prawowitą żoną. Pajęczycza była małżonką padyszacha. Najpierw uzyskała błogosławieństwo przed

Bogiem, a dopiero później zaczęła dzielić z nim łożę. I teraz mogła cieszyć się tym, co zesłał jej Bóg. Nie jednym potomkiem, ale już prawie dwoma!

Ze wszystkich sił starała się powstrzymać szloch, bezskutecznie. Nie wiedzieć kiedy, znalazła się w objęciach niani. Wtuliła głowę w jej szyję i zaniosła się płaczem.

– Masz rację, mateczko – żaliła się przez łzy. – Jestem grzesznicą, ladacznicą. Trafię prosto do ognia piekielnego. Każdej nocy przyjmuję do swego wnętrza nasiona grzechu. I oto kara za mój grzech: nie jestem w stanie tchnąć w nie życia. Padają na jałową glebę.

Staruszka pogładziła ją po włosach.

– Wypłacz się, moje dziecko – powiedziała czule. – Niech te łzy obmyją cię z twoich grzechów!

Gdyby wiedziała, że to rzeczywiście może ją ocalić, płakałaby całymi dniami. Z płaczu nie było jednak żadnego pożytku. Przecząco pokiwała głową, dając tym wyraz swojej rezygnacji.

Daye poklepała ją po plecach.

– Módl się z całego serca i poleć się boskiej opiece, córeczko. Bóg jest litościwy. Widzi i słyszy wszystko.

Mahpeyker westchnęła. „Cóż innego mi pozostaje? Co mogę zrobić więcej, niż modlić się o odpuszczenie swoich win?”.

Daleka była od tego, aby oczekiwać cudu, że oto ze śmierci narodzi się nowe życie.

[3] Odmowa zjedzenia polewki i następujące zwykle po niej wywrócenie kotła z zupą oznaczały w imperium osmańskim początek buntu janczarów.

Nowy Pałac
12 listopada 1605 roku

Tamta noc niczym nie wyróżniała się od innych.

Długie korytarze haremu oddały się we władanie tajemniczym mrokom nocy. W nikłym świetle padającym z kaganków ich zakamarki spowite były przerażającymi cieniami. Niesłychana cisza panująca w haremie bardziej niż o spokój przyprawiała człowieka o dreszcze. Zupełnie jakby ten półmrok i dojmująca cisza były zwiastunem czegoś, co miało się wydarzyć już wkrótce.

Mahpeyker leżała na plecach i wpatrywała się w sufit. Burza namiętności uspokoiła się dopiero przed chwilą. Sułtan usnął natychmiast, gdy tylko wtulił głowę między jej piersi. Ona natomiast także i tej nocy nie mogła zmrużyć oka. Liczyła złączenia desek na suficie, starając się o niczym nie myśleć. Zrezygnowała już nawet z wcześniejszych rozmyślań: „A może to tym razem uda mi się tchnąć życie w nasienie Ahmeda?”.

Modlitwy również nie przynosiły żadnego rezultatu. Ile by się nie modliła, cud nie następował. Śmierć nie chciała wydać z siebie życia.

Usłyszała odgłosy kroków dochodzące z zewnątrz. Jakaś bieganina. Nagle rozległ się krzyk:

– Nieszczęście! Nieszczęście!

„Co się dzieje?”. Mahpeyker chciała natychmiast zerwać się z łóżka, Ahmed jednak niczego nie usłyszał. Nie poruszyła się więc, żeby go nie obudzić.

– Wstawajcie! – krzyknął ktoś.

– Biegiem! Szybko!

Sułtan dopiero wtedy się przebudził. Uniósł głowę z piersi Mahpeyker i spojrzał przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

– Wasza Wysokość! Panie!

Gdy tylko usłyszał odgłosy bieganiny za drzwiami i zwracający się do niego głos, w jego spojrzeniu momentalnie pojawił się strach.

– Co się stało? – poderwał się zaniepokojony. – Żołnierze znowu wywrócili kocioł?

Mahpeyker zrobiło się jakoś dziwnie. Ona też zerwała się z łóżka. „A więc on najbardziej obawia się właśnie tego” – pomyślała, zarzucając coś na siebie. „Tak jak dla mnie śmiertelnym zagrożeniem jest bezpłodność, tak dla Ahmeda jest to bunt janczarów”.

Gdy padyszach wybiegł na zewnątrz, ona nadal pozostawała półnaga. Usłyszała głos Ahmeda dochodzący z salonu za drzwiami.

– Co się dzieje, nianiu?

– Wasza Wyso... kość. Pa... – to był głos daye. Dławiła się od szloch. – Niech Bóg... obdarzy was długim życiem, panie!

Umysł Mahpeyker rozjaśnił się, jakby przecięła go błyskawica. „Ktoś umarł? Czyżby Mahfiruz? Prawdopodobnie. Może dziecko w jej łonie skaziło jej krew? To przecież możliwe...”.

Krzyki na korytarzach przerodziły się w płacz. Daye próbowała zapanować nad sobą.

– Wybacz... panie... Moje szczere kon...

– Nie doprowadzaj mnie do szału, nianiu! Mów, kto umarł?

Mahpeyker stanęła w progu. Odpowiedź, jakiej szeptem udzieliła mu staruszka, niemal zagłuszyła hałas wyjącego na zewnątrz wiatru:

– Valide sultan... Handan Sultan ode...

„Matko Boska! Co?!”.

Ahmed wypadł z salonu, Mahpeyker nie mogła ruszyć się ze swego miejsca. Nagle zrobiło się jej bardzo zimno. Objęła się ramionami, próbując rozgrzać swoje ciało. Przez jakiś czas nie mogła o niczym myśleć. Jakby jej mózg w jednej chwili opustoszał. „Ale jak to możliwe? Tak nagle?” – zaczęła się zastanawiać po dłuższej chwili.

„Nagle?” – szyderczo odezwał się rozum. „Przynajmniej przede mną nie

udawaj... Czyli nie spodziewałaś się, tak?”.

Nie aż tak szybko. Od śmierci Safiye Sultan nie minęło przecież wiele czasu.

„Ja... ja... Myślałam, że to stanie się nieco później... Bo... przecież... ona... wcale nie była chora!”.

Sułtanka Handan co prawda od jakiegoś czasu była blada i markotna, nie miała humoru, a jej twarz zrobiła się jakby bez wyrazu. Ale to wszystko. Poza tym miała się całkiem dobrze. Wychodziła do holu, siadała przy palenisku i brała udział w rozmowach przy kawie, ganiła dwórki, gdy tylko przyszła jej na to ochota. Nie słyszała też nic o tym, żeby straciła apetyt.

„Zaledwie wczoraj zarzuciła mi, że nie mam za grosz talentu do koronek” – przypomniała sobie Mahpeyker. „Zupełnie nie wyglądała jak ktoś, kto ma za chwilę umrzeć”.

Lecz sułtanka Handan jednak odeszła.

Gdy Mahpeyker zmierzała do apartamentów valide sultan, jej myśli przecięła jeszcze jedna błyskawica.

Pierścień!

Safiye Sultan dokonała swojej zemsty.

„Zapomniałaś jak ci mówiłem, że uczyniła cię narzędziem swej zemsty?” – syknął umysł. „No i proszę, to narzędzie jej się przydało. To ty posiadałaś w niej ziarno śmierci, Mahpeyker!”.

Kolejne dni przypominały jej sztorm. Tego, co się działo, nie umiała porównać do niczego innego. To był najprawdziwszy sztorm. Mahpeyker nie mogła wyjść ze zdziwienia, w miarę jak o tym wszystkim myślała. Ile to rzeczy wydarzyło się zaledwie w ciągu roku, jedna po drugiej.

Safiye Sultan umarła.

A ona wróciła do Nowego Pałacu, i to jako haseki padyszacha.

Całe noce spędzała z sułtanem, oczarowała go.

Królowa Lodu znów zaszła w ciążę; wszystko wskazywało na to, że ona sama nie może mieć dzieci.

Gdy wymyślała najbardziej nieprawdopodobne sposoby, by tylko urodzić sułtanowi syna, Handan Valide Sultan nagle umarła.

Nadal nie mogła zapomnieć o tym, co wydarzyło się tamtej nocy

w apartamencie nieboszczki. Jak tylko tam weszła, jej spojrzenie samoistnie powędrowało ku prawej dłoni kobiety.

Pierścień!

Był tam, na jej palcu.

Na twarzy Handan próżno było szukać jakichś śladów cierpienia. Wyglądała na spokojną, jakby spała. Snem, z którego nigdy się już nie obudzi.

Ahmed sprawiał wrażenie, że niespodziewana śmierć matki zupełnie go nie zaskoczyła. Czy był smutny? Tak można było pomyśleć, patrząc na jego twarz. Oczy jednak mówiły już coś innego. Zupełnie jakby trochę odetchnął z ulgą. Jakby ktoś zdjął mu ciężar z pleców.

Mahfiruz przybyła do pałacu dopiero rano. Weszła do komnaty, gdzie spoczywało martwe ciało jej teściowej, i dumnie przeszła obok Mahpeyker. Aby w całej okazałości zaprezentować swój brzuch, przechyliła się do tyłu tak bardzo, że zdawało się, iż za chwilę upadnie na plecy.

Ich spojrzenia spotkały się tylko przez chwilę. Ręce pajęczycy od razu zaczęły głaskać wielki brzuch. Skręcając się z bólu, Mahpeyker domyślała się, co chciała wyrazić tym szyderczym, lodowatym spojrzeniem: „Zobacz, to dzieło Ahmeda! Widziałaś? Przypatrz się dobrze. Nic na to nie poradzę, sułtan znowu mnie zapłodnił. A twoje łono podobno nadal jest puste? Oczywiście, że takie będzie. Jest jałowe niczym piasek pustyni. Jesteś bezpłodna, rozumiesz to, mulico? Ahmed może spędzać z tobą całe noce, ale to ja rodzę mu potomków. Jutro jego miejsce na tronie zajmie mój syn. I wtedy powrócę tu z Pawilonu Morskiego jako valide sułtan!”.

Mahpeyker mogłaby przysiąc, że właśnie o tym myślała Mahfiruz, patrząc na nią.

Gdy Mahfiruz się oddaliła, Mahpeyker wmieszała się między kobiety zgromadzone u wezgłowa martwej sułtanki matki. Przygotowywały ją do pochówku. Nagle wbiła wzrok w rękę zmarłej zwisającą z łóżka.

Pierścień!

Nie było go.

– Mahfiruz go wzięła – wyszeptała jedna z dam dworu. – Zdjęła go

z palca sułtanki matki, mówiąc, że po śmierci teściowej należy on teraz do niej.

Mahpeyker ogarnęła nieokreślona bliżej radość.

Czyżby pierścień był już na palcu swojej kolejnej ofiary?

Wróciła do siebie rozgorączkowana.

„Boże... Jeśli ten pierścień rzeczywiście może zadawać śmierć, niech jak najszybciej odbierze życie tej pajęczycy!”.

Nie odebrał. Wręcz przeciwnie, do jej życia dołożył kolejne.

Gdy Mahpeyker widziała ją tamtej nocy, zupełnie nie wyglądała, jakby miała za chwilę rodzić. A jednak urodziła. Natychmiast jej o tym doniesiono. Na wieść o tym jej dusza jakby stanęła w płomieniach.

– Co urodziła?

– Syna!

O Boże, jeszcze jeden chłopiec!

– Padyszach nadał mu imię Mehmed.

Niemal nie oszalała z zazdrości. Co z tego, że Ahmed każdą noc spędzał z nią, skoro w ciążę zachodziła pajęczycyca, skoro to pajęczycyca rodziła mu synów?

A ona nie mogła urodzić – była bezpłodna. Nie to co Mahfiruz!

Mahpeyker nie widziała Ahmeda od śmierci Handan. Padyszach znowu gdzieś przepadł. Nikogo o niego nie spytała. A nawet jeśli, pewnie i tak niczego by jej nie powiedziano.

„No to możesz zacząć odliczanie. Czterdzieści dni. Na tyle musi ci starczyć cierpliwości, Mahpeyker”. Po śmierci Safiye Sultan Ahmed także nie pokazywał się do końca żałoby. Teraz pewnie zrobi tak samo. Nie miała innego wyjścia, jak cierpliwie wyczekiwać tej czterdziestej nocy.

Po głowie chodziła jej jedna kwestia, doprowadzająca ją do wściekłości: „Czy Ahmed, zaniehbując mnie, nie pognał przypadkiem do swojej pajęczycy?”.

Umysł podpowiadał jej, że to możliwe. „Dlaczego miałby jej nie odwiedzić? W końcu dała mu drugiego syna”.

„Ale on kocha mnie, a nie ją” – próbowała się sprzeciwiać, rozum

jednak był bezlitosny:

„Kocha ciebie, ale zapładnia tamtą!”.

Mahpeyker odchodziła od zmysłów, wyobrażając sobie, jak Ahmed śpieszy do komnaty Mahfiruz, jak całuje ją i obsypuje prezentami. Zatrzuwały ją myśli o tym, jak padyszach bierze na ręce swojego nowo narodzonego synka, jak całuje go i wacha. Ale czy rzeczywiście? Czy to możliwe, że nie zachodząc do niej, udał się do Mahfiruz, by potem zupełnie gdzieś przepaść?

A więc, to tyle była dla niego warta? Wystarczyło owinięte w pieluchy, niewielkie różowe ciało, żeby Ahmed zapomniał o wszystkich pięknych słowach, jakie wypowiedział pod jej adresem, o wszystkich przysięgach, jakie poczynił, wierszach, jakie dla niej napisał?

Musiała się tego dowiedzieć. Postawiła na nogi, kogo tylko się dało: „Idźcie tam i wypytajcie, czy Jego Wysokość w ostatnich dniach nie odwiedził przypadkiem Pawilonu Morskiego”.

Zewsząd otrzymywała taką samą odpowiedź:

„Jego Wysokość padyszach po pogrzebie matki, nie wracając do pałacu, udał się prosto do portu. Był tak przygnębiony, że nie zważając na pogodę i porę roku, mimo szalejącej burzy, tej samej nocy opuścił stolicę na pokładzie jednej z galer. Nie udało nam się jednak dowiedzieć, dokąd się udał...”.

Ale dla Mahpeyker najważniejsze było, że dowiedziała się, dokąd się nie udał.

– Ale czy na pewno? Nie poszedł do niej? Nie odwiedził syna?

– To pewne – odpowiedziała Semiha. – Podobno Mahfiruz obraziła się na cały świat, nie mieści się jej w głowie, jak padyszach mógł się tak zachować...

„Bardzo dobrze!” – ucieszyła się w duchu. „A więc do niej też nie zajrzał!”.

W piątkowy wieczór, dwudziestego drugiego dnia po śmierci Handan, cisza panująca w pałacu nieoczekiwanie została zakłócona. Odgłos kopyt, jaki rozległ się na zewnętrznym dziedzińcu, dotarł aż do Holu Haseki. Mahpeyker nie zdążyła nawet spytać, co się dzieje, gdy do komnaty pośpiesznie weszły Semiha i daye. Sofia stała za nimi. Wydało jej się, że

dziewczyna jest nieco bledsza niż zwykle.

– Co się dzieje? – spytała ze zdziwieniem. – Co to za zamieszanie? Sofia, moja kochana! Co z tobą? Jesteś taka blada. Dobrze się czujesz?

Dziewczyna zamiast odpowiedzieć spuściła głowę i uśmiechnęła się. Od powrotu do Nowego Pałacu Sofia cały czas była jakby przygaszona. Nietrudno się było domyślić, że jej myśli zostały w Starym Pałacu, przy stajennym Ahmedzie. „Ach, przez własne zmartwienia zupełnie o tym zapomniałam” – pomyślała nagle Mahpeyker. Powinna znaleźć jakiś sposób, aby jak najszybciej ściągnąć go tutaj.

Po chwili jednak porzuciła tę myśl. „Nie ma mowy” – myślała. „Sofia nie jest już zwykłą służącą. Dwórcę Mahpeyker Haseki nie przystoi zadawać się ze stajennym!”.

Mimo to pogładziła ją po policzku i spojrzała na nią wymownie, usiłując ją pocieszyć.

Dwie pozostałe kobiety jednak wyraźnie nie miały zamiaru tracić czasu na sercowe sprawy Sofii.

– No dalej! – powiedziała Semiha, idąc w jej stronę. – Musimy się śpieszyć. Powinnaś być gotowa jak najszybciej.

– Gotowa? Do czego?

Nie odpowiedziała. Oczy Mahpeyker szukały niani, kobieta jednak zanurzyła się już w skrzyni z ubraniami.

– Mateczko daye! – zawołała Mahpeyker, gdy Semiha ją rozbierała. – Możesz mi powiedzieć, co się tutaj dzieje? Czyżby sułtan wrócił nieco wcześniej? No powiedz...

Zamiast odpowiedzi kobieta stanęła przed nią z naręczem ubrań. Zdziwiła się, gdy zobaczyła czerwony kaftan ozdobiony perłami. „Czerwony?”.

– Mam się w to ubrać?

Semiha pośpiesznie wzięła od daye purpurową halkę z satyny i zarzuciła ją jej przez głowę.

– Co to ma znaczyć, na miłość boską? Natychmiast to ze mnie ściągnij, Semiho. Nie wiecie, że ubieram się tylko na czarno?

Wtedy pojawiły się nie mniej zaaferowane Şarazad i Mürüvvet. Pierwsza zajęła się jej włosami, a druga zaczęła zakładać jej buty.

Wszystko to robiły w milczeniu. Nie odpowiadały na żadne pytania, jakby się między sobą umówiły.

Po dziesięciu minutach była gotowa.

– Idziemy – powiedziała Semiha, zwracając się w stronę drzwi.

Mahpeyker wyrwała się z rąk kobiet.

– Nigdzie nie idę! – upierała się. – Jeśli nie powiecie mi, o co chodzi, nie ruszę się stąd ani na krok!

Podczas tej potyczki usłyszała szept Şarazad: „Powóz od dawna już czeka”. Spanikowała.

– Powiedziałaś: „Powóz”? Jaki powóz?!

Widząc ten dziwny pośpiech, pomyślała, że to padyszach wrócił i teraz wzywa ją do siebie. Najwidoczniej nie zdobył się na to, by przyjść do niej osobiście. Zdawał sobie sprawę, że dałoby to powód do plotek: „Jeszcze nawet nie skończyła się żałoba, a on już popędził do łóżka haseki”.

Pomyślała więc, że może kazał ją sprowadzić do siebie po kryjomu. Ale teraz... Gdy padło to słowo: „Powóz”... Do tej pory opuściła Nowy Pałac powozem tylko dwa razy. Po raz pierwszy powóz wywiózł ją na zesłanie do Starego Pałacu. Za drugim razem uciekała nim przez katami nasłanymi na nią przez Mahfiruz. A teraz? Dokąd miał ją powieźć tym razem? Dlaczego trzymano to w tajemnicy? Jej najbliższe przyjaciółki milczały jak zaklęte. A może... Może nawet one ją zdradziły?

Już samo podejrzenie było przerażające.

– Zostawcie mnie! – protestowała. – Nie chcę nigdzie iść. I nie pójdę!

– No, dalej! Nie ma czasu do stracenia. Idziemy, chodź! – wzięły ją pod rękę i niemal zaciągnęły do drzwi.

Gdy już miały wywlec ją na korytarz, Mahpeyker zauważyła, że daye została w tyle. Zatrzymała się na progu i spojrzała na nią. Z oczu staruszki płynęły strumienie łez. Dlaczego płakała? Wiedziała, że zabierają ją w miejsce, z którego już nigdy tutaj nie wróci?

Tym razem inne podejrzenie wbiło się w jej mózg niczym wiertło. A może to pajęczycza zaczęła działać, i po tym, jak urodziła drugiego syna, zdołała przekonać Ahmeda, żeby wyrzucił ją z pałacu? No tak, na co mu bezpłodna piękność, skoro jest matką jego dwóch synów? Uroda dzisiaj jest, jutro jej nie ma. A książęta... Kiedyś to im miał zostawić

swój tron. Nie chciał ranić matki swoich dzieci dla jakiejś tam nałożnicy. Może wydał już nawet rozkaz: „Wyrzućcie ją z pałacu. Wsadźcie do powozu i wywieźcie!”.

Coś w głębi serca mówiło jej jednak, że to niemożliwe. „Ahmed nigdy by tego nie zrobił!” – powtarzała sobie co chwilę.

Istniała jeszcze inna możliwość. Może to Mahfiruz postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce?

„Dokończ to, czego nie dokończyłeś ostatnim razem!” – rozkazała mordercy. „Ale tym razem: żadnych pomyłek! Załadujcie kokotę do powozu, wywieźcie gdzieś daleko i zabijcie. A jej ścierwo zostawcie w górach na pastwę sępów i orłów. Zobaczymy, co zostanie z jej urody...”. Mahpeyker wstrząsnęła się, wyobrażając sobie, jak ostre dzioby ptaków rozrywają jej ciało na strzępy.

– Nianiu, mateczko?

Jej głos wyrażał wszystko: strach, miłość, gniew i rozczarowanie.

– To ty nie jedziesz ze mną?

– Pojedzie z tobą Şarazad – odpowiedziała. – Ja nie mogę.

„Ale dokąd? Z Şarazad... Czemu akurat z nią?”.

– Nie zostawię tu Sofii.

– Nie możesz jej ze sobą zabrać, córeczko.

– Nie ma mowy! Obiecałam jej to. Przyrzekłam, że nigdy jej nie opuszczę. Na dobre i na złe, zawsze ra... – nie była w stanie dokończyć. Nagle zdała sobie sprawę, że czegoś jej brakuje. To dziwne...

– Sofio?

Rozejrzała się dookoła. Dziewczyna stała z boku, przyglądając się jej. Zdziwiło ją to. Czy nie powinna teraz zanosić się płaczem i krzyczyć: „Siostrzyczko, siostrzyczko... Moja piękna siostrzyczko, nie zostawiaj mnie tu samej!”?

Nie płakała. Mało tego, na jej twarzy dostrzegła tajemniczą, niemal figlarną minę.

Semiha i Mürüvvet pociągnęły ją za ręce.

– Szybciej, czas ucieka!

Mahpeyker w jednej chwili zdecydowała się im ulec. Niech ją wywożą, gdzie chcą. Jeśli te wszystkie podejrzenia, podszeptywane jej przez

szatana, miały okazać się prawdą – jeśli rzeczywiście ci, których uważała za przyjaciół, ją zdradzili; jeśli Ahmed ją przegnał albo Królowa Lodu wydała na nią wyrok śmierci – to jakie znaczenie mogło mieć, dokąd ją ten powóz zawiezie? Wsiądzie więc do niego, nawet jeśli miałyby powieźć ją ku śmierci.

Uwolniła się z uścisków ciągnących ją kobiet i podeszła do niani. Spojrzała jej w oczy. Widziała, jak staruszka stara się powstrzymać łzy. Ciągłe przetykała ślinę, jakby utkwilo jej coś w gardle. Padły sobie w objęcia.

– Jedź – szepnęła jej daye.

– Ale dokąd, mateczko? Boję się...

Czuła, jak drobne ciało staruszki drży w jej ramionach. Wyczuła, że nad czymś się zastanawia.

– Czeka na ciebie.

Powiedziała to tak cicho, że nie była pewna, czy się przypadkiem nie przesłyszała.

– Kto? Kto na mnie czeka, mateczko?

Daye zamiast jej odpowiedzieć, powoli odsunęła ją od siebie.

Mahpeyker wydało się, że obok smutku dostrzegła w jej oczach także błysk szczęścia.

Przeszły przez korytarze niemal biegiem. Gdy już dotarły do drzwi, za którymi ciągnął się korytarz prowadzący z haremu na zewnętrzny dziedziniec pałacu, pozostali byli jeszcze w tyle. Semiha pomachała jej na pożegnanie i pośpiesznie skierowała się w drogą powrotną. Mürüvvet stała nieruchoma jak posąg. A Sofia? Poruszyła się, jakby chciała rzucić się jej w ramiona. Natychmiast jednak się rozmyśliła. Mahpeyker z ruchu jej ust wyczytała, że mówi do niej: „Siostrzyczko, moja piękna siostrzyczko! Żegnaj”.

Dopiero gdy siedziały już w powozie, zauważyła, że Şarazad trzyma w ramionach malutkie zawiniątko.

– Co to jest, ablo?

– Nie wiem. Daye poprosiła, żebym ci to dała, gdy będziemy już na miejscu.

– A dokąd jedziemy?

– Nie wiem, Nastja. Przysięgam ci, że nie mam pojęcia.

– Czemu to ty mi towarzyszysz? Dlaczego nie mogłam zabrać ze sobą Sofii? Dlaczego Semiha i Mürüvvet zostały w pałacu?

Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

– Spójrz na mnie! – powiedziała Mahpeyker dramatycznym tonem. – Spójrz na mnie, Şarazad. Wiożą mnie na śmierć?

Kobieta ze zgrozą zasłoniła jej usta swoją dłonią.

– Niech Bóg broni! Co to w ogóle za myśl?

– A więc, po co te tajemnice? Dlaczego nikt o niczym nie wie albo nie chce powiedzieć? Dokąd jedziemy?

Nagle do jej uszu doszedł długo niesłyszany, lecz tak bardzo znany jej dźwięk. Morze! Natychmiast rozpoznała szum fal rozbijających się o brzeg.

Wiedziała już, dokąd jadą. Nad morze... „O Boże, wrzucą mnie do morza!”.

Wzdrygnęła się ze strachu. A więc tak miała się skończyć jej bajka...

„Niech i tak będzie” – powiedział cicho wewnętrzny głos. „Z morza przysłaś, do morza powrócisz”.

Wiele wysiłku kosztowało ją, żeby nie dać po sobie poznać paniki. Możliwe, że Şarazad towarzyszyła jej w charakterze świadka – gdy już będzie po wszystkim, pod przysięgą zaświadczy, że rzeczywiście została zabita, a jej ciało wrzucone do morza. A jeśli tak, to powinna pokazać, z jaką godnością idzie na śmierć Anastazja, córka ojca Kostasa Vasilidisa z Milos! Niech opowie później tej pajęczej wiedźmie, jak odważnie stanęła w obliczu śmierci!

Gdy powóz zatrzymał się ze wstrząsem, nie czekała ani chwili.

Otworzyła drzwiczki i wyskoczyła na zewnątrz. „Oto jestem” – zwróciła się do morza. „Nasze drogi znów się spotkały. Teraz zostaniemy razem już na zawsze!”.

Suchy mróz zimy i wilgotny chłód morza uderzyły ją w twarz. Zupełnie jakby wybudziła się ze snu. Przy pirsie stała zacumowana olbrzymia galera. Mnóstwo ludzi to wchodziło na pokład z trapu, to wychodziło z niego na ląd. W świetle pochodni płonących na pokładzie zobaczyła, jak marynarze po drabince linowej wdrapują się na maszt.

Chcieli zabić ją w takim tłumie? No dobrze, ale gdzie jest kat? Niech przyjdzie już i jak najszybciej zrobi to, co do niego należy!

Podbiegł do nich jeden z mężczyzn, który przed chwilą opuścił statek.

– Pośpieszcie się! – powiedział, nie patrząc jej w twarz. – Kapitan chce wyruszać natychmiast.

„Co się tutaj dzieje?” – zastanawiała się zupełnie już zdezorientowana Mahpeyker. Który to już raz tej nocy zadawała sobie to pytanie? I nadal nie mogła uzyskać odpowiedzi.

– Dokąd płyniemy?

Marynarz, który już zdążył odejść kilka kroków w stronę statku, odwrócił się do niej, jakby zdziwiony, że zadaje mu takie pytanie.

– Do Mudanyi – rzucił w odpowiedzi.

„A więc mnie nie zabiją” – pomyślała. „Zdecydowali się jednak na zesłanie. Do Mudanyi, gdziekolwiek to jest”.

– Jeśli chcemy być na miejscu przed południem, powinniśmy natychmiast wypłynąć. Inaczej będziecie zmuszone tam przenocować.

Co? Czyli tam nie zostanie?

– Czekaj! – zatrzymała go po raz kolejny – Czyli stamtąd mamy pojechać jeszcze gdzieś indziej?

Tym razem marynarz nie ukrywał już swego zdziwienia.

– To o niczym wam nie powiedziano? Z Mudanyi udacie się do Bursy. Jego Wysokość już tam na was czeka, pani.

Maypeyker wsparła się na ramieniu Şarazad, żeby nie zemdleć.

Pałac w Bursie
Grudzień 1605 roku

Mahpeyker czuła się, jakby pływała w obłokach. Miejsce, czas, imiona, obawy i marzenia – wszystko to przestało się dla niej liczyć. Nie pamiętała, kiedy dotarli do tej całej Mudanyi. Nie była nawet świadoma tego, jak wielki statek przy szalejącej na morzu burzy to zanurzał, to wynurzał się spośród fal niczym porwana przez morze skorupa orzecha. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że siedzi w powozie otoczonym przez eskortę kawalerzystów. Naprzeciwko niej drzemała Şarazad. Jak znalazły się w tym powozie? Tego także nie wiedziała.

Od wejścia na pokład w głowie nieustannie dźwięczały jej tamte słowa: „Jego Wysokość już tam na was czeka, pani”.

W Bursie.

Mahpeyker wciąż słyszała tylko ten sam głos, wypowiadający te kilka słów: „Jego Wysokość już tam na was czeka, pani”.

Padyszach! Sułtan Ahmed. Wezwał do siebie nie pajęczycę, matkę jego dwóch synów, ale ją!

I teraz ją do niego wiedli.

Sułtan najwidoczniej nie mógł dłużej wytrzymać rozłąki z nią. O Mahfiruz nie pomyślał nawet przez chwilę. Nie odwiedził nawet nowo narodzonego syna. Zamiast tego rozkazał: „Chcę zobaczyć się z Mahpeyker. Natychmiast sprowadźcie tutaj moje kochanie!”.

„Już nadchodzę, panie” – odpowiedziała mu w myślach. „Mahpeyker przybyła, aby rzucić ci się w ramiona. Przybywa do ciebie cała w ogniu!”.

Podróż ciągnęła się jednak w nieskończoność.

Wstał dzień. Popołudnie przeszło w wieczór. A droga się nie kończyła.

Zwaliała się na nich w końcu ciemność nocy. Eskortujący karoce kawalerzyści zapalili pochodnie i jechali dalej w ich świetle.

Powóz zatrzymał się na dziedzińcu. Poznała to po stukocie kół.

Miała nadzieję, że gdy drzwiczki karety się otworzą, zobaczy za nimi sułtana Ahmeda.

Ujrzała jednak wyszczerzoną w uśmiechu czarną twarz intendentki Şetaret. Poczuli się tym rozczarowana, niczego jednak nie dała po sobie poznać.

– Witaj, piękna pani – Şetaret powitała ją z entuzjazmem. – Jak to wspaniale widzieć cię tutaj!

Mahpeyker nie przywykła do czegoś takiego. Nie widziano dotąd, żeby twarz intendentki zajaśniała takim uśmiechem, i nie słyszano, by z jej ust wyszły tak miłe słowa.

– Co to za miejsce?

– Pałac w Bursie, moja piękna. Pałac w Bursie.

Mahpeyker spojrzała w okna rozświetlone kagankami.

– Chodź dziecko, szybko. Nie pozwólmy na siebie czekać... – powiedziała Şetaret, wskazując jej drogę.

„Nie pozwólmy na siebie czekać” – powtórzyła. „Nie pozwólmy czekać mojemu królowi!”.

Podążała w ślad za Şetaret, nieustannie poganiając ją w myślach. „No, szybciej, szybciej! Naprawdę nie możesz iść szybciej?”.

A niech to! Tutejsze korytarze również zdawały się nie mieć końca. Cały czas szły, skręcając i klucząc. Zwróciła uwagę, że mijająca je służba uważnie się jej przygląda.

„Patrzcie, patrzcie... Dobrze przyjrzyjcie się Mahpeyker Haseki, przepięknej faworycie sułtana Ahmeda, który nie mógł już znieść tęsknoty za nią!”.

W końcu skręciły na korytarz kończący się drzwiami, przed którymi stał rosły gwardzista.

„Nareszcie!” – ucieszyła się. Jesteśmy na miejscu. „Mój padyszach czeka na mnie za tymi drzwiami”.

Otworzono je. Zanim jednak do nich doszły, Mahpeyker zmówiła chyba

wszystkie modlitwy, jakie tylko znała. W pewnej chwili przystanąła, przygotowując się na moment, gdy rzuci się sułtanowi w ramiona. Stało się jednak coś, czego zupełnie nie oczekiwała.

Z zawiniątka pod pachą, jakie cały czas trzymała Şarazad, wyciągnęła nagle czerwony tiul i zarzuciła go jej na głowę. Cała twarz Mahpeyker ukryta była teraz za czerwoną zasłoną.

– Ach! – krzyknęła zaskoczona. – Ablo, co ty wyprawiasz?

Przez tkaninę dostrzegła śmiejącą się Şarazad.

– Daye chciała, żebym zrobiła to właśnie teraz – powiedziała szeptem.

Czyli to tak miała stanąć przed Ahmedem? Nie było jednak czasu, żeby się nad tym teraz zastanawiać. Nie powinna kazać czekać sułtanowi na siebie zbyt długo. Już przed progiem wzięła głęboki oddech i przywołała na twarz jeden ze swoich najpiękniejszych uśmiechów. Tak aby Ahmed, gdy tylko uniesie tiul, zakochał się w niej po raz kolejny.

Zrobiła krok naprzód. Przekroczyła próg. Przez czerwień tiulu zobaczyła zupełnie coś innego, niż się spodziewała.

„Co się tutaj dzieje? Gdzie jest padyszach?”

Miała przed sobą komnatę pełną kobiet. Oczy ich wszystkich były utkwione w niej. Za tymi pełnymi zazdrości spojrzeniami dostrzegła także skrywany podziw.

Gdy zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi, rozum ostrzegł ją: „Przygotuj się. Ja też nie wiem, co się dzieje, ale wygląda na to, że coś ważnego!”

No dobrze, ale co to mogło być?

Mahpeyker porzuciła postawę kobiety mającej spotkać się ze swym kochankiem. Wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Przybrała pozę królowej i weszła do środka. Dumnym spojrzeniem omiotła zgromadzone w komnacie kobiety. Pomyślała, żeby się do nich uśmiechnąć, ale szybko się rozmyśliła. „Przez ten przeklęty tiul i tak mnie nie zobaczą” – ubolewała. „Ani mojego uśmiechu, ani urody. Jedyne, co widzą, to ubrana w czerwień sylwetka, skrywająca twarz za purpurowym tiulem. Nie wiadomo jaka – piękna czy brzydka – kobieta”.

Już z przyjemnością miała wsłuchać się w szept, z prawej dobiegł ją jednak męski głos. Odwróciła głowę w tę stronę. Komnata na całej

wysokości przegrodzona była okratowanym parawanem. Głos dochodził z za tej przegrody. Ciekawe, czy padyszach też tam był? Dlaczego, zamiast natychmiast wziąć ją w ramiona, zawołał ją do sali pełnej ludzi? No i po co tutaj ten parawan? Co robili tutaj inni mężczyźni?

Şetaret wskazała jej sofę stojącą przy kracie. Mahpeyker podeszła do niej z taką gracją, że wszystkie szepty w komnacie umilkły.

Powoli przysiadła na jej krańcu. Tego „królewskiego” sposobu siedzenia nauczyła się od sułtanki Safiye. Ręce swobodnie położyła na kolanach. Şarazad natychmiast do niej przypadła i powoli poprawiła na niej purpurowy kaftan, tak aby jej piękna, przypominająca łabędzią, szyja, była lepiej widoczna. Następnie uklękła i podciągnęła aż do kostek poły jej sukni, by odsłonić wyszywane złotą nicią buty. Gdy uznała, że już wszystko jest jak należy, pośpiesznie zajęła miejsce wśród innych kobiet.

Dopiero wtedy Mahpeyker lekko skłoniła głowę ku kracie parawanu, znajdującej się tuż przed nią. Chciała zobaczyć, co za nią jest. Czy raczej – chciała zobaczyć Ahmeda. Niczego jednak nie mogła przez nią dostrzec.

– Witaj, Mahpeyker Hanım, córko.

Ten basowy głos przeszył ją aż do szpiku kości.

– Zebraliśmy się tutaj – kontynuował bas – w obliczu Boga, dla błogosławionej sprawy...

Słowa te zupełnie niczego jej nie mówiły. Ona chciała zobaczyć Ahmeda. I to od razu.

– ...lecz najpierw musisz mi odpowiedzieć.

Odpowiedzieć? Ale na co, przecież o nic jej nie zapytał.

– Czy pragniesz rozjaśnić swą duszę światłem islamu, córko?

Odniosła wrażenie, że ktoś oblał ją wrzątkiem. „Dobrze zrozumiałam? Czy on chce, żebym porzuciła...”.

– Spytałem zatem otwarcie – powiedział bas, jakby domyślając się tego, co dzieje się teraz w jej głowie. – Jego Wysokość Sułtan Ahmed Chan oznajmił nam, iż pragnie pojąć cię przed Bogiem za żonę.

W tym momencie jej mózg przestał pracować. Serce się zatrzymało. Zalały ją wszystkie uczucia. Niczego nie rozumiała. „Poczekaj chwilę” – zwróciła się w myślach do mężczyzny, jakby ten mógł ją usłyszeć.

„Ahmed? Powiedziałeś, że co chce zrobić? Pojąć za żonę? Kogo, mnie? Padyszach chce pojąć mnie za prawowitą małżonkę? To znaczy, że chce mnie poślubić? O Boże! Najświętsza Panienko, Panie Jezu i wszyscy święci, miejcie mnie w swojej opiece!”.

Czuła bowiem, że jest bliska obłędu. Wszystko w niej krzyczało z radości. „Padyszach chce się ze mną ożenić. Sułtan chce się ze mną ożenić...”. Oto spełnia się przepowiednia niewidomego żebraka. Służąca zostaje królową. Czy raczej, tak jak to powiedziała Safiye, sułtanką. Mahpeyker Sultan!

Jeśli w ostatniej chwili nie zdarzy się jakieś nieszczęście, jeśli w tej decydującej chwili los nie spleta jej znowu figla, jej marzenia staną się rzeczywistością. Nigdy już nie obudzi się jako służąca ze snu, w którym widziała się królową. Nie będzie już z utęsknieniem wyczekiwała nocy i nienawidziła poranków. Tak jak kocha księżyc i gwiazdy, pokocha teraz także słońce. Będzie zasypiała jako sułtanka wieczorem i jako sułtanka budziła się rano. Nie będzie już więcej śniła, teraz będzie żyła we śnie cały czas. Sułtan Ahmed chciał pojąć ją za żonę!

„A więc niech pojmie! Niech wielmożny padyszach uczyni mnie swoją prawowitą małżonką!”.

– Lecz – podjął bas – aby uczynić zadość życzeniu Jego Wysokości, niewiasta, którą pojmie za żonę, powinna być wyznawczynią jedynej prawdziwej religii. Innymi słowy – powinna być muzułmanką. Jeśli więc i ty podzielasz pragnienie naszego pana i chcesz zostać jego małżonką...

– Chcę! – powiedziała, nie czekając, aż mężczyzna dokończy swoją mowę. – Chcę zostać małżonką Jego Wysokości!

Z obu stron parawanu rozległy się śmiechy, nie zwróciła jednak na to uwagi.

Nie pamiętała nic z tego, co nastąpiło potem. Ani tego, jak odpędziła od siebie myśl, że właśnie popełnia największy grzech, ani tego, jak bez jednego zajknięcia powtórzyła arabskie słowa wypowiedziane basem. Całą swoją uwagę skupiła bowiem tylko na tym.

– Wszyscy słyszeli. Mahpeyker Hatun^[4] wypowiedziała szahadę^[5], dostępując tym samym zaszczytu wstąpienia w poczet wyznawców prawdziwej wiary. Nic nie stoi już na przeszkodzie, by doprowadzić do

końca to błogosławione dzieło... Wnuku świętej pamięci sułtana Murada Chana, synu świętej pamięci sułtana Mehmeda Chana – Ahmedzie Chanie! Czy potwierdzasz, że w obliczu wielkiego Boga bierzesz sobie za żonę tę oto Mahpeyker Hatun?

– Potwierdzam, hodzo efendi.

„Potwierdził, potwierdził, potwierdził!” – szalała ze szczęścia Mahpeyker. „Sułtan Ahmed potwierdził, że wziął mnie w obliczu Boga za żonę”.

– A ty, córko?

Teraz miał o to samo zapytać ją.

– Czy zrozumiałaś moje słowa, córko?

– Tak.

– A więc dobrze – w jego głosie było coś, co świadczyło, że nie do końca w to uwierzył. Nie miało to jednak dla niej żadnego znaczenia. „No dalej” – powtarzała w myślach. „No dalej, spytaj mnie o to, spytaj!”.

– Nasz pan, władca siedmiu klimatów Ahmed Chan, przed obliczem Boga potwierdził, iż bierze cię za swoją prawowitą małżonkę. Wszyscy byliśmy tego świadkami. Teraz pytam ciebie, córko. Wnuk świętej pamięci sułtana...

Mahpeyker nie mogła usiedzieć na miejscu, gdy hodża wymieniał wszystkie te święte pamięci, imiona i tytuły. „Szybciej, błagam, szybciej!” – powtarzała w kółko. Nawet teraz jeszcze się bała. A nuż, w ostatniej chwili coś się stanie albo pojawi się ktoś nieoczekiwany i przemieni jej sen w koszmar.

Hodża w końcu zadał to pytanie:

– Czy potwierdzasz przed obliczem wielkiego Boga, że bierzesz sobie za męża Jego Wysokość sułtana Ahmeda?

– Potwierdzam, hodzo efendi.

Hodża wymamrotał coś w języku, którego nie rozumiała.

– I ja – doszedł w końcu do ostatniej formułki – przed Bogiem oddaję cię Jego Wysokości jako jego prawowitą małżonkę.

„Hurrraaa! Zostałam królową!”.

Podczas gdy mężczyźni za parawanem o czymś rozmawiali, ona usłyszała głos sułtanki Safiye: „Osmanowie nazywali nas wielką

sułtanką matką, moje dziecko. Ciebie niech nazywają Kösem”.

Tej nocy nie zasnęli aż do rana.

Mahpeyker jeszcze nigdy nie była tak namiętna i nieskrępowana jak tej pierwszej nocy u boku męża. Po raz pierwszy kochali się tak zapamiętale.

Gdy Ahmed wydał z siebie jęk rozkoszy, jej zebrało się na płacz. Była to chwila, w której uwolniła się od poczucia grzechu po porzuceniu swojej religii. „Ostatecznie, cały czas idę po ścieżce tego samego Boga” – zdecydowała, raz na zawsze rozprawiając się tym samym z wyrzutami sumienia. Teraz tylko płakała, obmywając łzami swoją duszę. To nie był grzech, ale raczej wola boża. Bo czy to nie on określa losy człowieka? Dla niej najwidoczniej zapisał właśnie taki. A teraz sączył się w nią największy dar, jaki ofiarował człowiekowi. Życie! Była pewna, że po tym jak zrzuciła ze swoich barków ciężki grzech cudzołóstwa, z nasienia wypełniającego jej macicę tym razem na pewno wykiełkuje życie. Jak najszybciej powinna urodzić Osmanom kolejnego księcia.

Świt zastał ją w objęciach Ahmeda. Bawiła się jego brodą, pociągała za wąsy, które zaczęły już wystawać mu za kąciki ust. Padyszach z kolei starał się zębami pochwycić jej palce.

– Co to znaczy „Kösem”, panie?

Zupełnie nie planowała zadać mu tego pytania w tej chwili. Samo wymknęło się jej z ust. Ahmed oparł się na jednej ręce i przez dłuższy czas się jej przyglądał. Przez chwilę powaga malująca się na jego twarzy wystraszyła Mahpeyker. Powoli jednak jego twarz się rozluźniła, a po chwili nawet pojawił się na niej uśmiech. Zaczął się śmiać, wodząc palcem po jej ustach.

– A więc powiedziała ci – zauważył wesoło. – Powiedziała.

– Kto?

– Moja babka. Safiye Sultan.

Ahmed nie przestawał się śmiać cichym, tłumionym śmiechem. Pod jego wpływem Mahpeyker się uspokoiła.

– Tak, tak – powiedziała z grymasem, jak mała dziewczynka. – Powiedziała, ale nie wyjaśniła mi, co to znaczy.

Sułtan w jednej chwili spoważniał na nowo.

– Ostatnią wolą babki było, abyśmy nadali ci to właśnie imię. Tamtej nocy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miałem nazwać cię Kösem. Babka nieustannie powtarzała, że to imię bardzo do ciebie pasuje. Żeby nie sprawić jej przykrości, udałem, że się z nią zgadzam...

Mahpeyker zaniepokoiła się. „Jak to? Udałeś? Czyli teraz nie będę mogła nosić tego imienia?”

– ...lecz wobec twojej urody język odmówił mi posłuszeństwa. Zapomniałem o wszystkim. Do głowy przyszło mi imię najlepiej opisujące twą urodę: Mahpeyker. Rację przyznałem babce tak naprawdę dopiero wtedy, gdy zbuntowani janczarzy ruszyli na pałac. Twój rozum pokierował mną wtedy, oświecił mi drogę. To prawda, jesteś piękną Mahpeyker o jaśniejszej twarzy, piękniejszą nawet niż księżyc. Ale twoja inteligencja, umysł i odwaga czynią z ciebie Kösem.

Zalotnie przysunęła się do niego i przywarła piersiami do jego torsu. Otarła się o jego ciało. Przyszedł czas, by rozwiązać tajemnicę Kösem.

– Nadal jednak nie wiem, co oznacza to imię... Przynajmniej coś dobrego?

– Określa się tak przewodnika stada. Oznacza kogoś, kto przewodzi, wskazuje drogę i inspiruje.

„Przewodzi, cha! Cudownie, cudownie!”. Nie dała jednak poznać po sobie radości i spojrzała na sułtana z wahaniem, jakby się nad czymś zastanawiała. Naburmuszyła się.

– Czy to znaczy, że chcecie mi nadać teraz to imię, na które wcześniej zgodziliście się tylko ze względu na babkę? Jak będzie mnie teraz nazywał mój pan? Mahpeyker Kösem?

– Tak. Ale nie tylko ja. Odtąd całe imperium będzie znało cię pod tym imieniem, jako sułtanek Hatice Mahpeyker Kösem. A ty, moja Mahpeyker, bądź dla niego przewodnikiem, Kösem.

Zasypała padyszacha pocałunkami. Ze szczęścia cały czas powtarzała w myślach te trzy słowa: „Mahpeyker Kösem Sultan...”.

Wszystkie przepowiednie się spełniły, służąca przemieniła się w królową, sułtanek.

Była zarówno Mahpeyker, jak i Kösem. Mahpeyker Kösem Sultan.

– Będę – szepnęła mu w odpowiedzi do ucha. – Będę dla Osmanów

przewodnikiem!

Gdy została sama, przez jakiś czas leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Głaskała się po brzuchu. „Już nie ma grzechu. Oczyszcziłam się z grzechu cudzołóstwa. Boże, napełnij życiem moje łono! Daj mi syna. Małego księcia. Niech Mahpeyker Kösem Sultan urodzi księcia!”.

Wiść o tym, że sułtan poślubił w Bursie Mahpeyker Haseki, gruchnęła w stolicy jak grom z jasnego nieba. Dla Pawilonu Morskiego oznaczało to prawdziwą katastrofę. Sułtanka Mahfiruz przez całe dni nie wychodziła z komnaty. Nie wpuszczała do siebie nawet dam dworu. Szalę goryczy przelała informacja, że sułtan nadał swojej świeżo poślubionej żonie imię Kösem.

Tym razem musiała uznać się za pokonaną. Przegrała ze zwykłą służącą! Los nie powiedział jednak jeszcze swojego ostatniego słowa. „Poczekajmy, aż mój Osman wstąpi na tron” – myślała, pławiąc się w nienawiści. „Wtedy zobaczymy, co z tobą będzie, Hatice Mahpeyker Kösem, zobaczymy!”.

[4] Hatun – kobieta, pani, dama; tytuł nadawany kobietom na wysokich stanowiskach

[5] Szahada – muzułmańskie wyznanie wiary, jeden z pięciu filarów islamu

*Nowy Pałac
Harem*

Jej powrót z Bursy był wprost wspaniały. Okazał się być o wiele bardziej imponujący od wszystkich jej marzeń i snów o byciu królową.

Cały pałac wyległ na jej powitanie. W rzędach ustawili się wezyrowie, paszowie, bejowie i inni dostojnicy, jacy tylko liczyli się w Wysokiej Porcie. Były tam również ich żony i córki, a także nieprzeliczona armia dam dworu, odalisek, haremowych agów, służących, parobków, skarbników i intendentów. Oprócz tego mnóstwo innych urzędników, których nazw nawet nie znała. Ponieważ odzież każdej z tych grup wyróżniała się kolorem, ogromny dziedziniec przez tę mieszaninę barw przypominał ogród pełen różnych gatunków kwiatów.

Już z okienka sułtańskiej karocy dostrzegła w tym tłumie agę Bramy Szczęśliwości Mestana i jego pomocnicę Dilşad. Tak jak pozostali, stali pokłonieni niemal do ziemi.

Powóz przejechał przez środek tłumy i znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu haremu. Mahpeyker odwdzięczała się pozdrawiającym ją ludziom, machając do nich z uśmiechem. Powóz się zatrzymał. Dwóch parobków pośpiesznie podstawiło pod drzwi karocy wyłożone dywanem schodki. Intendentka z pomocnicami wysunęła się naprzód, ku karocy. Sprawdziła, czy na długim wąskim dywanie, rozłożonym między karocą a wielką bramą haremu nie ma żadnych nierówności. Nowa sułtanka nie mogła sobie pozwolić na to, by potknąć się o coś, czy, nie daj Boże, upaść!

Mimo że jeszcze przed chwilą Mahpeyker nie mogła się doczekać, żeby wyjść z powozu, teraz wcale się do tego nie garnała. Orszak powitalny powinien odczekać swoje. Ci, którzy ją znali, pewnie niecierpliwili się,

żeby zobaczyć, czy nowa rola do niej pasuje. A ci, co nie znali jej osobiście, byli pewnie ciekawi tej nałożnicy, która tak zawróciła w głowie sułtanowi, że skończyło się to ich ślubem. Wszyscy, jak tylko się pojawi, zaczną pewnie wymieniać się uwagami na jej temat.

Nagle dostrzegła, że po obu stronach dywanu stoją w rzędach ubrane na biało wróżki. Gdyby nie dostrzegła Semihy na ich czele, zastanawiałyby się pewnie, kim one są. Armia dwórek sułtanki Mahpeyker Kösem wyszła, aby powitać swoją panią. Wszystkie były piękne, wysokie, o rumianych policzkach. Część z nich miała czarne włosy, a część złote.

Przy drzwiach czekały na nią Mürüvvet i Şarazad. One z kolei były ubrane w purpurę. Na ich głowach zobaczyła wysoki, stożkowaty kołpak. Biały tiul, który powinien opadać z wierzchołka na plecy, Mürüvvet owinęła sobie przez ramię, ku piersiom. Bardzo dodawało jej to powagi.

Jej oczy szukały w tłumie jeszcze trzech osób. Niani... Sofii i tamtej... lodowatej wiedźmy, której wyrwała z rąk Ahmeda. Pajęczycy.

Nie zobaczyła tam jednak żadnej z nich. Nie oczekiwała zresztą, że Mahfiruz zaszczyci ją swoją obecnością. Ale na pewno przysłała tu swoich szpiegów, którzy uważnie teraz obserwują ją z tego tłumu, by potem wszystko dokładnie opowiedzieć swojej pani.

A daye? Pewnie czekała na nią w środku. Oczywiście, nie wypadało przecież, żeby starsza kobieta witała ją razem z szeregową służbą.

A co z Sofią? Gdzie ona się podziewa? Chyba nie zachorowała?

– Witajcie, pani.

Głos intendentki wyrwał ją z zamyślenia. Kobieta otworzyła drzwiczki karocy i podała dłoń, by pomóc jej wyjść.

Nie chwyciła jej. Tak jak to sobie wyobrażała, bardzo powoli wyprostowała się i postawiła prawą nogę na stopniu schodków. Następnie pochyliła się, aby wysiąść z karocy. Chwyciła poły czarnej satynowej sukni, na którą ubrała podarowany jej przez sułtana kaftan podbity futrem z gronostaja. Wysunęła głowę na zewnątrz.

Cisza panująca na dziedzińcu w jednej chwili została zakłócona przez falę westchnień, niosących w sobie zarówno podziw, jak i zazdrość.

Była piękna! Olśniewająca. Była królową ze swoich marzeń.

Na głowie miała okrągły toczek. Czarny szyfon przyczepiony do niego okręcony był złotymi frędzelkami. Wieńczyła go maleńka korona sułtanki Nurbanu, jaką dostała w prezencie od daye. Na czole kołysał się rubin, który podarował jej Ahmed zaraz po ceremonii zaślubin, gdy zdjął purpurową zasłonę z jej twarzy.

Spod kołnierza gronostajowego futra wychodził tren z czarnej tafty. Materiał opadał jej przez ramiona ku ziemi, otwierając się niczym wachlarz. Wraz z każdym krokiem i padającym nań promieniem słońca migotał radośnie, ciągnąc się w ślad za nią po ziemi.

Kaftan, jaki miała na sobie, był z kolei prawdziwym dziełem sztuki. Żeby lepiej chronił przed zimnem, wykonano go z marokinu pokrytego dodatkowo czarnym aksamitem. Jego kołnierz i poły obite były futrem, które po obu stronach ciągnęło się w dół wzdłuż jego brzegów i łączyło się ponownie z tyłu.

Tak jak zawsze, cała jej garderoba była czarna. Wyjątek stanowiły skrzący się na jej czole rubin i wyszywana złotem purpurowa przepaska, jaką była przewiązana w talii.

Kroczyła przez dywan pełna wdzięku jak łabędź i z wielką godnością niczym potężna królowa. Przechodząc obok prostej służby, z przyjemnością nadstawiała ucha, by uchwycić, co szepczą sobie na jej temat.

- Po prostu brak słów...
- Bóg nie poskąpił jej urody, nie ma co...
- Ależ wspaniale pasuje do naszego sułtana!
- Niech dobry Bóg uchroni ją przed złym okiem...

Wiedziała, że wszyscy myślą sobie także co innego: „Kto powiedział, że nałożnica nie może zająć tak wysoko? Oto najlepszy przykład...”, zupełnie się tym jednak nie przejmowała.

Zabolały ją jednak inne słowa – życzenia, które usłyszała, mijając starszą kobietę: „Daj Wysokiej Porcie wielu synów, pani”.

Czy coś takiego powinno życzyć się przekonanej o swojej bezpłodności kobiecie? „Jakich synów, kobieto?” – pomyślała. „Ach, żebym tak mogła urodzić przynajmniej jednego... Chociaż jednego”.

Gdy zbliżyła się już do rzędu dam dworu, dostrzegła stojącą za Semihą

Sofię. Mahpeyker zrobiło się cieplej na sercu. Semiha ubrała Sofię na niebiesko. W tym kolorze naprawdę wyglądała jak wróżka.

Dziewczyna uśmiechała się zagadkowo. Widać było, że gdyby tylko mogła, to rzuciłaby się jej w objęcia. Ale wbili jej już pewnie do głowy, że wobec żony padyszacha takie zachowanie nie przystoi. „A nawet gdyby mnie objęła, to co z tego? – pomyślała buntowniczo. Stałoby się coś wielkiego? Gdybym tak ją ucałowała i przytuliła się do niej? Oczywiście, że nic”.

A jednak było to niemożliwe. To była cena, jaką musiały płacić wszystkie królowe: rezygnacja z wolności. Przekonała się o tym bardzo szybko, jeszcze kiedy była w Bursie. Ani ona nie mogła już swobodnie robić tego, co chciała, ani jej bliscy. Teraz już nawet to, jak siedziała i wstawała, jak patrzyła i mówiła, regulowane było przez etykietę. Nie mogła już, na przykład jeść tak jak wcześniej, czy po prostu napić się wody, kiedy przyszła jej na to ochota. Najpierw ktoś musiał sprawdzić, czy do posiłku albo napoju nie dodano trucizny. Jej otoczenie też będzie musiało przyzwyczać się do przestrzegania całego mnóstwa zasad. Mahpeyker jednak zupełnie się na to nie uskarżała. Chciała przecież zostać królową. A więc teraz musi się do wszystkiego dostosować i zapłacić za to swoją cenę, jaka by ona nie była.

Sofia zawahała się przez chwilę. Mahpeyker z trudem powstrzymała się od śmiechu, gdy uchwyciła ukradkowe spojrzenie, jakie dziewczyna posłała Semisze. W końcu, wyraźnie skrępowana, złożyła jej przesadnie głęboki ukłon, który musiała pewnie ćwiczyć wcześniej wiele razy.

„Wystarczy tych ceregieli” – mruknął umysł. Wyciągnęła rękę do Sofii. Dziewczyna, promieniejąc szczęściem, w dwóch krokach znalazła się przy niej i ujęła jej dłoń.

– Siostrzyczko... – wyszeptała niemal bezgłośnie. – Moja piękna siostrzyczko, siostrzyczko-sułtanko, siostrzyczko-królowo!

Gdy zrównała się z rzędem dwórek, Semiha spojrzała na dziewczęta po lewej, dając im tym samym do zrozumienia, że mogą zacząć. Na dywan przed nią posypały się białe i czerwone płatki róż. Dziewczęta po prawej rzucały z kolei ziarenka ryżu i pszenicy.

Nie umknęło uwagi Mahpeyker, że jej główna dama dworu jest jakaś

markotna. Tak, mimo że powitała ją radośnie, była wyraźnie przygnębiona. „Jest zmęczona” – przemknęło jej przez myśl. Kto wie, od ilu już dni przygotowywała dla niej to powitanie. Zatrzymała się przed nią, aby wyróżnić na oczach wszystkich dawną towarzyszkę sułtanki Safiye. Dziewczyna natychmiast pochyliła przed nią głowę.

– Witajcie u siebie, pani. Jak dobrze was znowu widzieć!

Wyjęła rękę z dłoni Sofii i skierowała ją w stronę Semihy. Tak, aby wszyscy to widzieli, pogładziła ją po policzku.

– Jak się miewasz?

– Nie ustaję w modlitwach o zdrowie mojej pani.

– Nie widzę nigdzie daye...

Zupełnie nieoczekiwanie, zamiast jej odpowiedzieć, dziewczyna rzuciła przed nią płatki róży, jakie trzymała w dłoniach.

Zdziwiło ją to. „Co tu się dzieje? Dlaczego ucieka ode mnie spojrzeniem?”

Ponownie ujęła dłoń Sofii i zaczęła wolno iść dalej. Şarazad i Mürüvvet na powitanie skropiły ją wodą o zapachu róży i jaśminu. Spojrzała na nie z najserdeczniejszym uśmiechem, na jaki ją było stać, i przeszła przez wielkie, otwarte na oścież drzwi.

– Şarazad... – niewiele brakowało, a powiedziałyby jeszcze „abło”, tak jak była do tego przyzwyczajona. Nie wypadało już jednak, aby sułtanka odzywała się aż tak poufale do służącej. – Co się dzieje? Mateczka daye czeka na mnie na górze?

Şarazad także odwróciła wzrok. Mürüvvet, by uniknąć pytania o to samo, wysunęła się naprzód i wskazała jej drogę.

Zdenerwowana Mahpeyker przystanąła, podążając jej śladem dwórki również.

– Sofio?

– Słucham, siostrzyczko... pani?

– Daye... Gdzie jest mateczka daye?

Ogarnęło ją przerażenie, gdy zobaczyła, że jej oczy nagle wypełniają się łzami. Zaczęła narastać w niej panika. I podejrzenia. Czyżby podzieliła los Eftalyi? O Boże...

– Sofio, pytam cię. Co się stało? Natychmiast mi powiedz! –

powiedziała, ciągnąc ją za ramię.

Wróżka w błękicie potrząsnęła ramionami i rozplakała się na dobre. Odpowiedzi udzieliła jej w końcu Semiha, która nagle pojawiła się przy niej:

– Niestety... Daye nie żyje, pani.

Mahpeyker stała jak rażona piorunem.

– Jak to? – syknęła do Semihy. – Jak to się stało? Czyżby...

Nie zdobyła się, żeby dokończyć, dwórka jednak zrozumiała, o co jej chodzi. Pokiwała głową, zaprzeczając jej domysłom.

– W hamamie... – szepnęła jej prosto do ucha. – Zsunął się jej jeden z drewniaków. Upadła i uderzyła się głową o koryto z wodą. Zmarła na miejscu...

Przekłete trepy! Odkąd zobaczyła je po raz pierwszy w pałacu w Kumanowie, nienawidziła tych wąskich kawałków drewna na wysokim obcasie. Nigdy ich nie założyła. Była przecież przyzwyczajona do biegania bosą po białej pianie fal uderzających o wybrzeże. Te kłody nie miały czego szukać na jej nogach. Zawsze gdy widziała, jak dziewczęta postukują nimi w łaźni, zastanawiała się, kiedy któraś z nich w końcu upadnie i coś sobie złamie.

– To była tam sama? W łaźni nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc? Jak można pozwolić, żeby kobieta w jej wieku chodziła sama do hamamu?!

Coś jej odpowiedziały, lecz tego nie usłyszała. To nie miało już żadnego znaczenia. Łzy stanęły jej w oczach. Przygryzła wargi, żeby się nie rozplakać. Kto wie, może płacz także był już dla niej zakazany i Semiha przybiegnie zaraz, by jej szepnąć: „To nie przystoi, pani”? Nie mogła odpędzić od siebie myśli, że oto Bóg po raz kolejny zabrał jej kogoś, kogo kochała...

– Kiedy to się stało?

– Tej samej nocy, gdy Jego Wysokość powiadomił o tym, że pojął was za żonę, pani – dziewczyna zamyśliła się na chwilę. – Bardzo się ucieszyła, widać było, że jest szczęśliwa. Ciągłe powtarzała: „Sułtan mnie nie rozczarował, brawo, synku! Ktoś tak bogobojny jak on, odprawiający namaz pięć razy dziennie, nie mógł dłużej żyć w cudzołóstwie. Posłuchał

mnie. Niech Bóg wynagrodzi mu to zarówno na ziemi, jak i w niebie!”.

Nie mogliśmy zrozumieć, o co jej chodzi, wielmożna pani.

„Ja zrozumiałam” – pomyślała Mahpeyker Kösem. Serce jej krwawiło. Ciągle miała przed oczami jej jasną, uśmiechniętą twarz, dźwięczał jej jeszcze w uszach jej głos: „Córeczko”. Potrząsnęła głową. Nie myślała już ani o etykiecie, ani o tym, że może zostać przez kogoś upomniana. Była przecież sułtanką Kösem. Pojawiła się tutaj, żeby zabronić tego, co dozwolone, i zezwolić na to, co zakazane. Sułtani i padyszachowie też mieli prawo do łez. Gdy została królową, nie zamieniła się przecież tym samym w kamień. Dała upust łzom. „Boże, dlaczego to zrobiłeś?” – buntowała się w sercu. „Chcesz odebrać mi wszystkich, których kocham? Jeśli tak, to nigdy już nikogo nie pokocham. Nikogo!”.

– Co ty do mnie przed chwilą powiedziałaś, Semiho? – spytała nagle.

Kobieta przestraszyła się tego niespodziewanego pytania.

Zaczerwieniła się.

– Nie rozumiem, pani. Jeśli nieumyślnie dopuściłam się...

– Powiedziałaś „was”, powiedziałaś „pani”. A nawet „wielmożna pani”!

Semiha spuściła głowę. Owszem, tak powiedziała. Przecież nie była już tamtą Hatice ze Starego Pałacu, która polerowała uchwyty drzwiczek karocy Safiye Sultan. Była prawowitą żoną potężnego sułtana Ahmeda. Była Mahpeyker, była Kösem. Nie mogła zwracać się już do niej po imieniu czy na „ty” jak wtedy, gdy naśmiewali się z jej marzeń o zostaniu królową!

– Zakazuję ci tych słów – powiedziała sułtanka. – Gdy będziemy w swoim gronie, nigdy masz tak do mnie nie mówić, rozumiesz?

Tym razem to Semiha z trudem powstrzymała się od płaczu.

– Będę miała do ciebie dwie prośby, Semiho. Po pierwsze chciałabym, żebyś nauczyła mnie muzułmańskich modlitw i obrzędów. Zaczniemy od namazu. A po drugie... zupełnie zarzuciłam lekcje pisania, które zaczęłam jeszcze w Starym Pałacu. Znajdź mi jakiegoś hodźę. Powinnam już porządnie zabrać się za to moje koślawe pismo.

– Jak rozkażesz, pa... – umilkła i uśmiechnęła się, na wspomnienie jej niedawnego rozkazu. – Oczywiście, Mahpeyker.

– Możemy już iść do Holu Haseki.

Semiha poprowadziła ją jednak do apartamentów valide sultan. Tych samych, w których jeszcze niedawno mieszkała sułtanka Handan, a jeszcze wcześniej Safiye.

– To chyba jakaś pomyłka – powiedziała do Mürüvvet, gdy ta otwierała przed nią drzwi. – Przecież nie jestem sułtanką matką... – westchnęła ze smutkiem i nieświadomie położyła ręce na brzuchu. – W ogóle nie jestem matką...

– Jego Wysokość... – pośpieszyła z wyjaśnieniami Şarazad. – Dostałyśmy taki rozkaz: „Ponieważ nasza matka zakończyła już swoje ziemskie życie, Wysoka Porta nie ma już swojej valide sultan. W takich okolicznościach nie widzimy powodu, by nie udostępnić tych apartamentów naszej małżonce, Mahpeyker Kösem Sultan”. Od razu przygotowałyśmy je więc dla was, pani... – spojrzała w oczy Mahpeyker i delikatnie się uśmiechnęła. – Proszę się nie obawiać, moja piękna sułtanko – powiedziała powoli. – Wszystko wymieniliśmy, nawet zasłony. Nie zostało nawet śladu po nieboszczce.

– Wezwijcie duchowne – powiedziała. – Niech przez siedem dni i nocy recytują szlachetny Koran za spokój duszy mojej mateczki daye!

Po raz pierwszy weszła tutaj jako służąca, a teraz przekraczała próg tego apartamentu jako prawdziwa sułtanka.

„Los chyba sobie ze mnie drwi” – myślała. „Śmierć po kolei zabiera mi wszystkie ukochane osoby. A teraz przywiódł mnie tutaj – mnie, bezpłodną kobietę – abym zamieszkała w komnacie sułtanki matki. Czy to nie jest drwina?”

Jednocześnie w głębi serca szalała z radości. Zawstydziała się tego, ale nie mogła zapanować nad tym uczuciem. „Mahfiruz się wścieknie, jak tylko jej o tym doniosą. Padyszach oddał mnie apartamenty valide sultan!”

Gdy rozpoczęto recytację Koranu, wyrzuciła z siebie cały zalegający w jej myślach i duszy brud. Mimo że nie rozumiała słów, czuła, jak jej serce oczyszcza się w ich boskiej harmonii. Nie widziała potrzeby, by ukrywać przed wszystkimi swoje łzy.

Tak jak rozkazała, przez siedem dni i nocy apartament sułtanki Mahpeyker Kösem rozbrzmiewał dźwiękami recytacji i modlitw.

„Mateczko daye” – modliła się z głębi serca Mahpeyker. „Wiem, że jesteś teraz w niebie. Nie mam wątpliwości, że będziesz stamtąd wspierała swą córkę, tak jak robiłaś to na tym zakłamanym świecie. Już nie jestem cudzołożnicą, mateczko. Moje łono nadal jednak pozostaje puste. I ty wstaw się u Boga, mateczko, niech da mi syna...”.

Stał się cud. Bóg w końcu wysłuchał jej modlitw. Cztery miesiące po powrocie z Bursy Mahpeyker Kösem Sultan zorientowała się, że jest w ciąży. Najpierw trzymała to w tajemnicy. Gdy była już pewna, powiedziała o tym Semisze. W końcu radosną nowinę przekazała również Ahmedowi.

Padyszach ze szczęścia zerwał się ze swego miejsca.

– Nareszcie, chodź tutaj, matko mojego księcia. Niech ucałuję twoje czoło!

„«Matka mojego księcia», ha!”. Gdyby nie to, że się bała, Mahpeyker dawno odtańczyłaby już szalony taniec szczęścia. Puczono ją jednak, że takie nagłe wybuchy radości mogą jej zaszkodzić. Obawiała się nawet przeżywać wzruszenie, jakie ogarnęło ją na wieść o tym, że znajduje się w błogosławionym stanie. Czekwała niecierpliwie, aż wreszcie minie te dziewięć długich miesięcy. Śledziła ruchy dziecka w swoim brzuchu. Rozmawiała z nim, nazywając je „swoim księciem”. Zastanawiała się też nad imieniem dla niego. Jeśli jego wybór zależałby tylko od niej, nazwałaby syna Aleksander. Nie było to chyba jednak odpowiednie imię dla potomka Osmanów. „Ciekawe, jakie imię wybierze dla niego sułtan?”.

Odliczała dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Minęło dziewięć miesięcy, nadszedł czas porodu. I... Mahpeyker Kösem Sultan dała Wysokiej Porcie kolejną sułtankę.

Uznała to za kolejną złośliwość losu. Sułtanowi, który oczekiwał narodzin trzeciego syna, zmuszona była oddać w ramiona córeczkę. Nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć Ahmedowi w twarz.

– Wasza Wysokość... – wydusiła przez łzy. – Wybaczcie mi...

Sułtan wziął córkę w ramiona, pocałował ją i przytulił.

– Malutka sułtanka będzie miała na imię Ayşe – powiedział i wyszeptał jej do ucha szahadę. Następnie ucałował żonę w czoło i przypiął jej do kołnierza broszkę ozdobioną brylantami i szmaragdami.

Po stolicy przez cały tydzień chodzili obwoływacze z bębnami, oznajmiając ludowi, że Kösem Sultan urodziła sułtanowi córkę, której nadał imię Ayşe. Dziewczynka nie była, rzecz jasna, świadoma całego zamieszania, jakie powstało z jej przyczyny. Na ziemiach podległych Osmanom całymi nocami paliły się dla niej latarnie, kaganki i pochodnie. W całej stolicy i we wszystkich koszarach rozdawano na tacach jedzenie i baklawę, zaś biednym rozrzucano jałmużnę.

Wszystko to nie było jednak w stanie jej rozweselić. Wydawało jej się, że słyszy, jak Mahfiruz zaśmiewa się w Pawilonie Morskim do rozpuku. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, co mogła sobie myśleć teraz pajęczycy: „Cóż, nie każda kobieta jest w stanie urodzić dwóch pulchniutkich, zdrowych chłopców. Inne stać tylko na wydanie z siebie dziewczynki, a i to z trudem...”.

Wiadomość o drugiej ciąży wprawiła Mahpeyker w euforię. Zupełnie jakby jej łono starało się teraz nadrobić stracony czas. Tym razem była niemal pewna, że urodzi chłopca.

Myliła się. Nie czekała nawet, aż położna da noworodkowi zwyczajowego klapsa i pokaże jej go, trzymając głowę w dół.

– Co? – spytała osłabiona. – Co urodziłam?

– Dziewczynkę!

Powtórzyły się te same uroczystości i te same ponure rozważania. Sułtan Ahmed, który już przy pierwszej ciąży wyraźnie dał do zrozumienia, że liczy na syna, i tym razem nie wyglądał jednak na zmartwionego. Uniósł dziecko do góry i powiedział:

– Będiesz miała na imię Fatma.

Po czym zniknął wszystkim z oczu, tak jak zawsze to robił w chwilach zmartwienia i smutku. Mahpeyker wiedziała już, że nie zobaczy go przez wiele następnych dni. „A może – zadreślała się, leżąc w łóżku – szuka pocieszenia u tej, która dała mu już dwóch synów?”.

Cierpiała. Karmiąc Fatmę, nie mogła powstrzymać łez.

„Dlaczego? Dlaczego los tak się ze mną bawi? Nie znudziło mu się jeszcze gnębienie mnie?”.

Gdy wydawało się, że bliska jest już zwycięstwa – przegrywała. A Mahfiruz na odwrót – zdawało się, że przegrywa na całej linii,

a tymczasem wygrywała wszystko. „Urodziła dwóch następców tronu. A ja tylko dwie sułtanki...”.

Przyszłość była pewna już teraz. Jeśli coś stanie się z Ahmedem, najstarszy syn Mahfiruz – Osman – wstąpi po nim na tron. I tylko Bóg jeden wie, co się wtedy stanie z nią i jej córkami...

– „Musisz być więc silna” – mówił rozum. „Otwórz szeroko oczy, Mahpeyker. Stoisz teraz na rozstaju dróg. Jedna prowadzi do spokojnej przystani, podczas gdy druga z nich wiedzie prosto w przepaść. Zastanów się dobrze, którą drogą będziesz dalej podążać”.

Jak zwykle miał rację. Doszła do rozstaju. Musi teraz wybierać – mrok albo jasność; śmierć albo życie.

„Daj już spokój tym utyskiwaniom zakochanej, zazdrosnej i drażliwej kobiety!” – ciągnął gniewnie rozum. „Nie znudziło ci się jeszcze siedzieć ciągle w czterech ścianach i płakać nad swoim losem? Co on ma jeszcze zrobić, żeby cię zadowolić? Chciałaś zostać królową, i proszę – zostałaś! Z wieśniaczki i służącej los uczynił cię osmańską sułtanką! Nie bądź niewdzięczna i przestań się wreszcie buntować. Zaczynij w końcu żyć jak królowa. Powinnaś zgromadzić wokół siebie zaufanych i wiernych ci ludzi, jak na królową przystało. Tymczasem ty nie poznałaś się jeszcze z ani jednym wezyrem czy paszą, nie znasz nikogo z bejów ani agów. Rozejrzyj się wśród nich, pomyśl, który z nich może ci się w przyszłości przydać? Kto z nich jest ci przyjacielem, a kto wrogiem? Zrozumiałaś, co chcę powiedzieć, Mahpeyker?”.

Zrozumiała, i to bardzo dobrze. Pokiwała głową.

„Życie twoje i twoich księżniczek zależy od sułtana Ahmeda. Nie pozwól, aby cokolwiek stanęło między wami. Ani wojny, ani bunty. Dopóki nie będziesz gotowa”.

„A tego nie rozumiem” – odpowiedziała rozumowi Mahpeyker. „Dopóki nie będę gotowa? Na co?”.

„Żeby samodzielnie przejąć w ręce stery Wysokiej Porty. Na to, byś została jej pierwszą kobietą-padyszachem, Mahpeyker!”.

Wstrząsnęła się na taką myśl. Pierwsza kobieta-padyszach? Serce zaczęło bić jej jak szalone. „No dobrze, ale kiedy będę na to gotowa?”.

„Jak urodzisz następcę tronu!”.

Nadzieje, które już zaczęły wypuszczać swe pędy, w jednej chwili nagle opadły.

„Kiedy Bóg nie chce obdarzyć mnie synem...”.

„Obdarzy!”.

I znowu przepowiednia miała nie dać jej spokoju ani na chwilę. Tamta pierwsza już się wypełniła. I teraz, zamiast żyć sobie w szczęściu i spokoju, od razu miała puścić się w pogoń za spełnieniem kolejnej? Znowu nieustannie zastanawiać się: spełni się czy nie?

„Spełni się? Kiedy?”

„Milcz!” – rozum miał już tego dosyć. „Skoro masz na imię Kösem, to nią bądź. Skoro jesteś sułtanką, zachowuj się, jak na sułtankę przystało!”.

Mahpeyker postanowiła odrzucić od siebie wszystkie czarne myśli i zmartwienia.

„Tak jest, to ja jestem Kösem, przewodnikiem stada. Najwyższy czas się przekonać, jak je poprowadzę!”.

Nowy Pałac, harem
Październik 1609 roku

Zrozumiała, że pospieszyła się z myślą, iż Ahmed oddali się od niej, bo nie mogła dać padyszachowi syna. Było tak, jakby władca jeszcze bardziej się do niej przywiązał. Dzielił z nią nie tylko łożo, ale także swoje obawy i nadzieje; to, co wprawiało go w gniew; to, co miał w duszy i umyśle. Była nie tylko jego kobietą, lecz i przyjaciółką, powiernicą. Wbrew jej obawom nie odwiedzał też Mahfiruz. Gdy tylko chciała go zobaczyć, sprowadzała Osmana do Nowego Pałacu. Pewnego razu, aby wywiedzieć się, co myśli padyszach, odezwała się w ten sposób:

– Mój panie, smucę się na myśl, że moglibyście zaniedbywać naszego małego księcia z powodu waszej służki, Mahpeyker Kösem. Czyżby Osman nie pragnął widzieć częściej swego ojca?

Ahmed nic nie powiedział, tylko bardzo długo na nią patrzył. Mahpeyker zrozumiała jednak to, co miała zrozumieć. Sułtan odpowiednio docenił współczucie, które okazała jego synowi.

Pewnej nocy, o późnej już godzinie, padyszach przyszedł do komnat Mahpeyker. Po płomiennym uścisku oparł głowę na jej piersi i westchnął z wyczerpania.

– Ach, panie – natychmiast odezwała się Mahpeyker. – Znów stało się coś, co was zasmuciło lub rozwścieczyło? Patrzą w oczy Jego Wysokości, pragnę, abyś był spokojny i szczęśliwy, ale są tacy, którzy chcą was zasmucić. Czy jest coś, czym możecie się podzielić ze swoją służką?

– O, moja Mahpeyker, o czym mam ci mówić? Czy o złych wieściach z pogranicza, o niekończącym się bandyckim fermencie? A może o tych wszystkich wielkich, możnych mędrkach wokół mnie, spiskujących

bezustannie w oczekiwaniu, aż któremuś z pozostałych powinie się noga? O czym? A może o złodziejstwie, chciwości, ciemnocie i bezwstydy?

– Ah, mój sułtanie, mój drogi władco – wyrzekła, rzucając się w objęcia Ahmeda. Ucałowała brodatą szyję i zachichotała zalotnie, jakby włoski kłudy ją w usta.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, mój promienisty aniele? – westchnął sułtan Ahmed. – To nie są sprawy dla mnie, Mahpeyker. Nigdy nie chciałem zasiadać na tronie. „Nie, dziękuję. Wynieście na tron mojego brata, Mustafę”. Wzbraniałem się, ile mogłem, ale nie zmusiłem do posłuchu ani mojej matki, ani babki. Nikt nigdy nie widział, aby się w czymkolwiek zgodziły, ale tego dnia jednym tchem wyrzekły: „Czyżby dynastia osmańska doczekała się szaleńca na tronie?”. A jeśli nawet, to co z tego? Czy to znaczyło, że Ahmed nadawał się na padyszacha?

Takie były też pogłoski. Według wieści przyniesionych przez ludzi, których zaczął niedawno organizować, wśród wezyrów i paszów, wśród ludzi z targowisk i bazarów mówiło się, że rodowi Osmana czegoś brakuje. Nikt nie był w stanie powiedzieć, czego tak właściwie brakowało, ale on wiedział. W państwie nie było woli. Padyszach nie zachowywał się jak padyszach.

– Nie bądźcie wobec siebie niesprawiedliwi – powiedziała Mahpeyker, obejmując go za szyję – gdzie dynastia Osmana miałyby znaleźć takiego władcę jak wy?

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo nieprawdziwe było to pochlebstwo. Osmanowie widzieli niejednego wielkiego władcę. O kimże to opowiadała jej daye, gdy jeszcze żyła? Na przykład o Selimie Groźnym, podobnym do miecza o dwóch ostrzach. Po nim zjawił się Sulejman. „Oj, tak, tak” – opowiadała piastunka. „Niewierni klękali na sam dźwięk jego imienia”.

Ale Ahmed właśnie taki nie był. To, jak wydał rozkaz egzekucji Kasima Paszy w swojej obecności, odeszło w zapomnienie. Od dnia, w którym zasiadł na tronie, aż po dziś dzień, nic nie zostało naprawione, wręcz przeciwnie, stan rzeczy tylko się pogarszał. Bo padyszach nie był w stanie podejmować decyzji – co powiedział jednego dnia, nazajutrz się z tego wycofywał.

– W żaden sposób nie mogłem stłumić powstań celali – narzekał

Ahmed – a jak by to nie wystarczyło, Ferhat Pasza ściągnął nieszczęście na moją głowę.

– Czy powiedzieliście pasza, mój panie? Czy ten wspomniany przez was pasza nie jest przypadkiem niewolnikiem, własnością sułtana? Jakim prawem miałby ściągać nieszczęście na głowę władcy?

– Właściwie wina leży tutaj po stronie wielkiego wezyra Derwisza Mehmeda Paszy, który uczynił go serdarem. Człowiek łupi doszczętnie Aydin z Saruhanem, według skarg nie ma takiej bezczelności, takiego okrucieństwa, do którego by się nie posunął, mówię więc, żeby rozprawił się z tą gnidą, a on mi odpowiada: „Doprowadził wodę z czterdziestu źródeł, to wszystko oszczerstwa. Ferhat to taki lojalny, taki mężny człowiek”.

„Jeśli nie pasza, to dlaczego ty go nie powstrzymałeś?” – ofuknęła Ahmeda w myślach Mahpeyker, ale żeby nie wyglądało, że za bardzo interesuje się tymi sprawami, dalej pocieszała sułtana:

– Te słowa przypomniały mi radę Waszej świętej pamięci babki.

– Czyżby? Nieboszczka uwielbiała doradzać. Co za wskazówkę przekazała Safiye Sultan, która w ostatniej woli kazała mówić Kösem na dziewczynę, którą mi powierzyła?

Mahpeyker patrzyła nieobecny wzrokiem, jakby słuchała Safiye Sultan. Tak właściwie starała się zyskać czas, żeby wymyślić nieistniejącą poradę. Westchnęła ciężko:

– „Jaki jest sekret długiego życia?”, spytała kiedyś moja dobrodziejka. Choć podałam jej całe mnóstwo odpowiedzi, żadna jej się nie spodobała. „Sekret długiego życia to niecofanie danego słowa. To niezawracanie z wybranej ścieżki, gdy potknęłaś się po jednym kroku. I wybieranie właściwych ludzi na towarzyszy”. Oczywiście miała rację.

Mahpeyker wstrzymała się na moment, żeby spojrzeć spod oka na Ahmeda i zobaczyć, jaki wpływ wywarły jej słowa. Padyszach słuchał jej uważnie, z powagą. „Wspaniale” – powiedziała sobie w duchu i ciągnęła dalej:

– „A jaka jest ta tajemnica?”, spytałam tego dnia. „Jak poznam właściwego człowieka? Jak rozpoznam takiego, który nie jest właściwy?”. „Dobrze mówisz. Jak masz go poznać?”, powiedziała moja patronka. Cały

sekret ma tkwić w oczach, mój sułtanie. „Wystrzegaj się ludzi, którzy nie patrzą prosto w oczy”, rzekła moja szlachetna matka. Podobno też, jeśli chce się wydać o kimś osąd, trzeba patrzeć na jego przyjaciół. Okrutnik brata się z okrutnikiem, złodziej z rozbójnikiem.

Padyszach aż wstał z wrażenia. „Oto właśnie chodzi” – powiedział w myślach z podeksycytowaniem. „Safiye Sultan nawet z zaświatów przybywa do mnie ze swoją poradą. Przyjacielem okrutnika okrutnik, a złodzieja rozbójnik, tak? Dokładnie tak! Zabierz się za Ferhada Paszę, uderz w wielkiego wezyra Derwisza Mehmeda! Zajmij się Derwiszem Mehmedem, uderz w Ferhada! Może nawet razem kradną i rabują, dzieląc się zyskiem. Dlatego Mehmed Pasza wziął Ferhada pod swoje skrzydła. Zapisz to sobie, Ahmedzie, zapisz sobie gdzieś w głowie!”.

– Podejdź tutaj – padyszach, uśmiechając się radośnie, przysunął ją do siebie, objął w pasie i zaczął obrzucać pocałunkami, powtarzając raz po raz: – Moja światłości, moja rózo, mój słowiku, moja czerwonousta.

Wtuliła się w niego jak kot i zaczęła z taką samą pasją odwzajemniać pieśczoćy władcy:

– Mój sułtanie, mój królu, mój wspaniały padyszachu. Twoje brwi są jak łuk, spojrzenia jak strzały. Mój mocarny mężczyzno.

Mahpeyker nie sprawiała wrażenia, jakby zbyt długo zatrzymywała się na tych tematach, ale i nie przestawała o nich myśleć. Tak jakby przeskakiwała do innej sprawy, poruszała właściwą kwestię, którą od początku chciała przedstawić Ahmedowi:

– Czy wiecie...? – odezwała się nagle, a później, tak jakby jej się to wyrwało, smętnie zwiesiła głowę.

– Wiem, rzecz jasna – powiedział z rozradowaniem sułtan Ahmed, siadając ze skrzyżowanymi nogami. – Podobno mój piękny ptak potrafi już bez niczyjej pomocy wyrecytować z pamięci cały szereg sur.

– Mój sułtanie – z kokieterią udała zawstydzienie – jak to się stało, że od razu się dowiedzieliście?

– Kto ma wiedzieć, co dzieje się w każdym z zakątków pałacu, o czym szepcze się w korytarzach, jeśli nie sułtan?

– Przecież pracowałam w ukryciu, żeby któregoś dnia przyjść do naszego pana i ucieszyć go niespodzianką.

– Jeszcze jak ucieszyłabyś, Mahpeyker. Niech Pan spełni twoje modlitwy.

– Amen – zawahała się na chwilę. – Ale przecież to nie wszystko. – Wyglądała tak, jakby się zastanawiała, czy mówić, czy nie mówić. Nagle podjęła decyzję. – Potrafię już pisać po osmańsku.

– Co ty opowiadasz! Wiedziałem, że ci się uda. Moja Mahpeyker Sultan na pewno doprowadzi sprawę do końca.

„Przedrę się raczej” – powiedziała w myślach i zachichotała:

– Ale piszę trochę jak kura pazurem.

– Nieważne. Z czasem ręka ci się wyćwiczy. I wiesz co, czy by chodziło o wezyra, czy o jakiegoś agę, pisma wielu ludzi po prostu nie da się odczytać. Niektórzy też na przykład czytają, ale nie potrafią pisać. – Padyszach zamilkł na chwilę. Przyszło mu do głowy, że „Czy wiecie?”. Mahpeyker mogło oznaczać coś innego. – A właściwie... czy to o tym chciałaś mi powiedzieć, moja piękna?

I znów w jedną chwilę spochmurniała:

– Nie... lecz... – urwała. Już się nauczyła, że był to najlepszy sposób, aby zainteresować padyszacha jakąś myślą. Opowiadać, tak żeby rozpać jego ciekawość.

– Powiedzże, Mahpeyker. Czyżby ktoś cię strapił jakimś nietaktem?

– Nie – zaprzeczyła znowu – to nie tak. Boję się, że będziecie się ze mnie śmiać.

– Nie będę, dalej, mów.

– No właśnie, już się śmiejecie. A mimo wszystko sen... nigdy w żadne sny nie...

Ahmed nie pozwolił jej dokończyć:

– Sen?

– Ha, ha – zaśmiała się Mahpeyker z zawstydzieniem – poprzedniej nocy... zobaczyłam was, panie, we śnie.

– Niech Allah uczyni twój sen pomyślnym. Jaki on był? Czy był piękny i dobry?

– Byliście cali w zieleni, na grzbiecie szkarłatnego konia. Naokoło było ciemno jak w lochu. Widać było tylko mojego potężnego sułtana i wierzchowca, którego dosiadał. W pewnym momencie koń wyszedł

z ciemności. Taki sen. Wasz wierzchowiec był skrzydlaty.

Z ukrycia spoglądała na sułtana Ahmeda, żeby zobaczyć jego reakcję. Padyszach zagłębił się we własnych marzeniach. Na pewno widział się teraz cały w zieleni na szkarłatnym koniu ze skrzydłami. Zieleni, szkarłat i skrzydlaty koń. To były dobre znaki. „Trzeba kuć żelazo, póki gorące” – powiedziała sobie w duchu.

– I co dalej? – spytał sułtan.

Reszta była już łatwa. Mogła swobodnie opowiedzieć sen, który stworzyła.

– Koń podleciał do tej bramy ze stożkowatymi wieżami, tej przed pałacem. Tam wylądował.

– Przy meczecie Hagia Sophia?

Pokręciła głową.

– Wasz wierzchowiec zawrócił, zarzucając grzywą, spojrzął na Hagie Sophię, a później szybko obrócił głowę. Jednym ruchem skrzydła zabrał mojego władcę, poniósł na dalsze place. W pobliżu nikogo nie było. Z rzeniem stanął dęba. To było takie rzenie, że grom wydawałby się przy nim szeptem. Wasz wierzchowiec z uporem grzebał w jakimś miejscu prawym kopytem. Później ugiął nogę, jakby chciał pomóc naszemu panu zejść ze swego grzbietu.

– I?

– Nagle w waszej ręce pojawił się jakiś przedmiot.

– Czy miecz?

Mahpeyker powoli pokręciła głową, to w jedną, to w drugą stronę.

– Nie, nie, nie... Jakaś księga. Księga, z której płynęło światło.

– Koran! – zakrzyknął padyszach, gwałtownie wstając. – Księga w mojej ręce to był Koran. Uniósł dłonie i przesunął je po twarzy jak w modlitwie. – Panie, Panie! Tysięczne dzięki za każde Twe błogosławieństwo! Czego oczekujesz ode mnie, co znaczyło to, co ukazałeś mojej wybrance?

Zamknął dłonie Mahpeyker w swoich.

– Unieśliście księgę do góry – powiedziała kobieta – wyrzekliście słowa, których nie usłyszałam. Później obeszlście konia wkoło i nagle się zatrzymaliście.

– Zatrzymałem się?

– Na tym pustym placu zniecka pojawiły się tysiące ludzi. W jednej chwili wszyscy otoczyli mojego sułtana. Każdy upadł do stóp padyszacha. A wy wydaliście rozkaz: „Tutaj, dokładnie tutaj”. W tym momencie mroczne niebo się rozpadło. Błyskawica dosięgła miejsca, gdzie stał mój sułtan. I w jednej chwili ciemności poddały się światłu. Właśnie wtedy dostrzegłam przedmiot w waszej drugiej ręce.

– Co Mahpeyker? Co to było?

– Włócznia, z której sypały się błyskawice, mój panie. W jednej ręce mieliście księgę, w drugiej włócznię z błyskawic!

Sułtan Ahmed upadł na kolana. Niebiański znak!

– Pośród ciemności przez chwilę coś... coś jakby meczet...

Mahpeyker wymruczała jeszcze jakieś słowa, ale padyszach już nie słuchał. „Panu niech będą dzięki” – wychwalał Boga w myślach. „Tak, sen Mahpeyer to niebiański znak, który rozjaśni mój dławiony niezdecydowaniem umysł”.

Sen Mahpeyker był tak zrozumiały, że nawet nie trzeba go było komentować. Szkarłatny koń był imperium osmańskim. A czy on nie był padyszachem tego imperium? Siedział na grzbiecie szkarłatnego wierzchowca. Był cały w zieleni. Cel. Miał wiele celów. Zdławić ruchy celali, zapewnić bezpieczeństwo ziemiom na pograniczu, powieść armię imperium ku nowym zwycięstwom, sprawić, żeby lud stał się bogaty, sprowadzić do państwa spokój i praworządność.

Ahmed pokręcił głową. „Wiem, co musi oznaczać przekazany mojej żonie boski rozkaz: «O mój niewolniku, nie schodź z drogi, którą ukazała ci przesłana przeze mnie księga. Rozjaśnij świat za jej pomocą i zbuduj dla mnie taki meczet, żeby ezan roznoszący się z jego minaretów, rozchodzące się spod jego kopuły wersety Koranu i modlitwy moich sług nie ucichły aż do dnia ostatniego. Nie wahaj się, Ahmedzie! Nie lękaj! W twoją białą dłoń włożyliśmy włócznię z błyskawic, abys poraził wrogów imperium osmańskiego!»”.

Sułtan raz po raz bił pokłony pod rzucanymi ukradkiem spojrzeniami Mahpeyker.

– Stanie się twoja wola, Panie. Stanie się twoja wola, Panie.

Mahpeyker pomyślała, że już tego wystarczy i zaczęła opowiadać o psotach dziewcząt i, gładząc po głowie padyszaha, który odpłynął w świat marzeń za sprawą snu, zanuciła nową piosenkę, którą jej nauczył. Wiedziała, że Ahmed uwielbia, gdy wykonuje tureckie przyśpiewki.

Nie ma dnia, mój miły, bym cię nie wypatrywała,
bym z gorzkim szlochem nie roniła łez.

Z tęsknoty za nim cała płonę. O, śnieżne góry,
odejdz, nim tej czarnobrewej Azrael weźmie duszę.

Nie była nawet pewna, czy Ahmed ją słyszy. Padyszach był już teraz w zupełnie innym świecie.

Pierwsze, co z samego rana uczynił sułtan Ahmed, to było wezwanie naczelnego architekta. Gdy Sedefkar Mehmet Aga stanął przed nim w pokłonie, władca się odezwał:

– Spójrz, ago. Zbuduj na tamtym placu taki meczet, żeby ani jego kopuła, ani splendor nie były mniejsze niż Hagii Sophii. Zrób taki meczet, żeby jego smukłe minarety dotykały błękitu. Czy mnie słyszałeś, Sedefkarze Ago? Na chwałę Allaha wzniesz taki meczet, żeby zadowolony był i mój Pan, i ja, i przychodzący wznosić błagania do Najwyższego muzułmanie. To, czego od ciebie chcę, to to, aby moje imię przetrwało na wieki, gdy już obrócę się w proch, a moje kości staną się jednym z ziemią. Żeby ludzie, którzy przyjdą, aby się modlić, wspominali mnie i z intencją, recytując fatihę^[6], dali pokój mojej duszy.

Echa zmiany, która zaszła w sułtanie Ahmedzie, rozniosły się z pałacu na stołeczne ulice, a stamtąd na całe państwo osmańskie.

Wzbraniający się przed objęciem władzy, wątły i delikatny młodzian, który po intronizacji bał się nawet cienia własnej matki i babki, odszedł. W jego miejsce zjawiał się srogi padyszach o jastrzębim spojrzeniu.

Znowu odprawiał pięć codziennych modlitw. Nie znajdował już żadnych wymówek dla opieszałości, jego praktyka religijna była bez skazy, ale przede wszystkim, aby zasłużyć sobie na zadowolenie Allaha, rozpoczął budowę meczetu naprzeciwko Hagii Sophii. Za jego sprawą dokończono wielki meczet na brzegu Złotego Rogu, ten, którego fundację ustanowiła

jeszcze jego praprababka, Nurbanu Sultan, a którego konstrukcja nie mogła zostać doprowadzona do końca za czasów Safiye Sultan, choć ta przeznaczała na niego wszystkie swoje dochody. Lud był zadowolony, że padyszach stał się tak gorliwym wyznawcą.

Ci, którzy widzieli, jak władca ramię w ramię z robotnikami nosi kamienie na placu budowy, wykrzykiwali z daleka:

- Niech Allah uczyni wiecznym twoje panowanie!
- Niech żyje padyszach!

W kawiarniach i winiarniach także mówiło się o wieściach z pałacu i tym, co działo się z sułtanem.

- Wygląda na to, że Allah jest zadowolony – mówili ludzie.

Nie wiedzieli za to, czy jest zadowolony z innych zachowań władcy. Oni nie byli. Każdego dnia pojawiała się nowa plotka. Najpierw nie wierzyli:

– Dajcież spokój! – mówili. Ale nie minęło wiele czasu, a pogłoski okazały się prawdziwe.

– Słyszeliście panowie, co się wczoraj stało na posiedzeniu dywanu? – tak się zaczynały rozmowy w winiarniach.

– A jak mogliśmy nie słyszeć? Ludzie z Aydınu i Saruhanu przyszli na obrady i złożyli skargę na serdara Ferhada Paszę. Podobno mówili: „Czy nasza godność i majątek należą się jakiemuś szubrawcowi? Czemu władca nie przychodzi nam z pomocą? A może w czymś uchybiliśmy i zesłanie nam na głowy Ferhada jest karą Jego Wysokości?”.

Bywalcy kiwali głowami.

– Ile to już lat, nie ma takiego łajdactwa, którego by nie zrobił! – zaburczał ktoś.

– Toż my nawet tutaj dosłyszeliśmy o podłościach tego typu! Pomyślcie sobie tylko, co się musiało dziać z tamtejszymi ludźmi!

Inni się nie zgadzali:

– No dobrze, powiedzieli i co się niby stało? Czy od tej prośby zmienił się porządek? Że niby władca się wściekł i powiedział: „Dajcie mi tu tego gnębiciela, niech mu zetną głowę”?

– Padyszach jeszcze gorszą zgotował mu karę – odparł naraz kolejny mężczyzna.

Wszyscy obrócili głowy w kierunku właściciela głosu. Spojrzeli na jego strój i po purpurowych szarawarach rozpoznali ucznia z pałacu.

– Co może być gorsze?

– Zabrać życie temu, kto bronił okrutnika.

W winiarni nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Było pewne, że mężczyzna wie o wielu sprawach. Z tyłu lokalu przeniósł się na środek.

– Niech mi ktoś napełni ten kielich i gdy zwilżę wysuszone gardło, będę wam mógł opowiedzieć resztę, drodzy kompani.

Ktoś chwycił dzban z winem i napełnił kielich mężczyzny.

– No to teraz mów. Co takiego gorszego zrobił nasz władca?

– Wysłuchawszy posłańców, ryknął na wielkiego wezyra: „Ej ty, Derwiszu Paszo! Czyżby czyjeś słowo było tu ważniejsze od mojego? Łajdak, którego kazaliśmy ci się pozbyć, nadal żyje, a moi poddani przychodzą, lamentują i wzywają nas do odpowiedzialności”.

Wszyscy w winiarni pokręcili głowami.

– Dobrze powiedział, dobrze – odezwały się głosy.

– Z pewnością! – zakrzyknął kontestator. – Czy sułtan Ahmed potrzebuje waszego potwierdzenia, że dobrze powiedział? Milczcie i pozwólcie człowiekowi dokończyć.

– No i co dalej? – wtrącił ktoś inny.

– Reszta jest oczywista. „Litości, to potwarze”, biadolił wielki wezyr. Upadł do stóp sułtana i zaczął płakać, a padyszach na to: „Zabierzcie mi tego psa spod nóg. Niech ten nędznik, którym się opiekowałem, przyjdzie teraz i obroni go przed moim gniewem”. Jak tylko to powiedział, zjawili się trzej kaci.

Wtedy ze wszystkich gardeł wyrwały się okrzyki zachwyty.

– Jaki jest kat, każdy wie. Nie będzie słuchał pojękiwań i błagań o litość. Założyli Derwiszowi Mehmedowi Paszy powróż na szyję. Jeden pociągnął w jedną stronę, drugi w drugą. Ale ci, co słyszeli, to wiedzą. Derwisz Pasza to mocarny człek. Kawał chłopca. Ja tu tylko opowiadam, ale podobno w młodości zmagał się z wołami. Zakładał jarzmo i obalał wielkie zwierzęta na ziemię. I jak złapał dławiący go powróż, jak zarzucił katami! Wszyscy razem upadli i zaczęli walczyć przed sułtanem.

– Ooo!

– Przed sułtanem?

– No! Przed sułtanem.

– Nie!

– No, a potem?

– Kaci nie puszczali. Stopniowo zaciskali pętlę. Ech, trzech olbrzymich katów na jednego skazańca. Nawet takiemu sił nie starczy! I jeszcze ze sznurem, który zaciska się na szyi. W końcu Mehmed Pasza nie był w stanie dalej się opierać. Upadł i tak już został. Kaci myśleli, że zszedł, więc usunęli powrozy.

– Na litość Boga! Czyli on nadal...?

– Tak, tak. Dokładnie jak myślisz. Leżącym w bezruchu Mehmedem Paszą nagle zaczęło trząść!

– Znaczy się, nie wyzionął ducha.

– Wszyscy wezyrowie i bejowie w strachu rozstąpili się, a kaci padli na podłogę: „Odszedł i wrócił!”, krzyknęli. Właśnie w tym momencie nasz pan huknął: „Ty niewierny psie! Masz tyle grzechów na sumieniu, że nawet w zaświatach cię nie chcą!” – i zatopił kindżał w szyi wielkiego wezyra.

– Ha!

– Ha! No, pewnie, że ha!

Każdy inaczej opowiadał historię o tym, jak to sułtan Ahmed kazał zabić wielkiego wezyra Derwisza Mehmeda Paszę. Jeden kończył tę samą opowieść ze słowami: „Tak właśnie było”:

– Nasz pan, padyszach, nie zostawił biedaczków w rękach okrutnika. Gołymi rękoma odebrał mu życie.

– Ale to nie tak było – zaburczał drugi – władca ponoć z zupełnie innego powodu kazał zabić Mehmeda Paszę!

– Naprawdę? A to z jakiego?

– A to podobno chodziło o bunt, spisek jakiś, panowie.

– Oooo!

– No, ooo! Wiecie o pałacu, który wezyr pasza kazał wznieść na Demirkapı.

Wszyscy pokiwali głowami na znak potwierdzenia. Takiego pałacu nawet sułtan jeszcze nie miał.

– Wszyscy mawiali, że chwalebne to, czy nie, facet ma pieniądze. Może sobie pozwolić. Tyle że prawda leżała gdzie indziej. Jak się okazało, wielki wezyr wszystkie te pieniądze groźbą wydusił z pewnego Żyda. Wcześniej człeczyna ze strachu ani pisnął, ale w końcu nie wytrzymał i posłał swoją kobietę do Mahpeyker Kösem Sultan. Niech władca się dowie, że wielki wezyr wykopał w piwnicy tajne przejście do sułtańskiego harem. Którejś nocy, gdy ty, pani, księżę Osman i sułtańskie córki będziecie słodko spać, uderzy w naszego pana.

– Na Boga! Co ty mówisz?!

– Co za zdrajca!

– Takie rzeczy!

– Co to się dzieje bez naszej wiedzy!

– I może jeszcze myślał, że padyszachem zostanie, ten sprzeniewierca? Na miejsce dynastii Osmanów Derwiszowie?

– No i właśnie, zapłacił życiem za zdradę.

– Ale prawda to? Człowiek za nic nie chciał zdechnąć i sam sułtan go zasiekł?

– Przysięgam na Boga, tak mi ktoś powiedział. Na własne oczy widział. Ponoć jeden z katów podszedł później i oderwał głowę Mehmeda od szyi. Ja tu tylko przekazuję, co słyszałem.

„Patrzcie teraz na chana Ahmeda, nazywaliśmy go wszyscy młokosem” – mówiło się w tych dniach po wszystkich winiarniach i kawiarniach. „A jaki mężny, jaki śmiały człowiek! Wielkiego paszę, jak barana tam... Zwróćmy mu honor!”.

Kto by nie opowiadał, ludzie słuchali i wierzyli.

Imię Mahpeyker Kösem Sultan przewijało się w tych dyskusjach równie często, co sułtana Ahmeda. Kiedyś rozprawiało się o pięknie faworyty padyszacha, ale teraz lud zaczął wychwalać jej mądrość. Mówili, że „to dzięki niej nasz pan tak działa”. „«Moja Kösem» – tylko tak ją nazywa sułtan, kompani”. „Zapomniał o tej, która dała mu następcę. W głowie mu tylko Kösem”.

Plotka o tym, jak to sułtan skazał swojego wielkiego wezyra na śmierć, a właściwie sam go zabił, nie była jedyną, która znalazła się na językach ludzi. Pogłoski o tym, że tego samego dnia na zebraniu dywanu władca

przekazał pieczęć najwyższego urzędu ze wszystkich przerażonych wezyrów akurat w ręce Murada Paszy, także przechodziła w mieście z ust do ust.

Nikogo nie obchodziło, ile było w tym wszystkim prawdy. Nieważne było, kto rozprzestrzeniał plotki, bo i też nikt nie pytał, jak te opowieści docierały na ulice. Jeśli się mówiło, to wszystko było na swoim miejscu.

To, co powiedział padyszach, wręczając mężczyźnie, który miał być odtąd nowym wielkim wezyrem, pieczęć urzędu, także było ważne. Wszak w jego słowach ukryte były wskazówki, jaki los czeka ludzi w przyszłości. Po ile będzie dirhem srebra, z ilu jednostek wytapiać będą akcze, czy nałoży się nowe podatki, czy zbliża się nowa kampania – wszystko było w tych słowach. Przez wiele dni mówiło się o tym, co powiedział sułtan Ahmed już ponaddziewięćdziesięcioletniemu Muradowi Paszy, gdy powierzał mu urząd na krwawych obradach dywanu.

– Nasz pan – zaczął ktoś – jeszcze klęczał przy bezgłowym ciele Mehmeda Paszy, a już ryknął: „Gdzie jest serdar Murad Pasza, który podpisał pokój w Żytawie z austriackim giaurem?”

– O, to już człeczynie podeszło serce do gardła, bracie. „Moja kolej, żeby oddać głowę”, co nie?

Wszyscy zarechotali na te słowa.

– „A co miał się nie bać? – odezwał się ktoś. – Jak by mi mieli uciąć głowę, to bym zrobił pod...”

– Dość – przerwał śmiechy ten, który przyniósł wiadomość. – Nie miał tracić głowy, tylko je ucinać.

– Głowy, głowy! Co by to była za sprawa w kraju, jakby głowy nie leciały?

– Słuchajcie! Pasza z pobladłą twarzą wyszedł przed szereg, a sułtan podniósł prawą rękę do góry i pyta: „Co mam w ręce, paszo?”

– No to co miał w ręce?

– Nic. Wszyscy wezyrowie i agowie, a wraz z nimi Murad Pasza, byli zszokowani. Bo czy można powiedzieć do panującego: „Niczego tam nie ma”? Nikt nie powiedział. Murat Pasza też stoi cicho i tylko się rozgląda naokoło. A nasz pan tak się odezwał na cały głos: „Koran. To, co trzymam w prawicy, to słowo Allaha”. Człowiek, który mi to opowiadał,

powiedział, że w tamtym momencie oczy padyszacha wypełniły się łzami.

Jeszcze wszyscy bywalcy, poszeptując, wyobrażali sobie tę scenę, a już opowiadacz mówił dalej:

– Po chwili nasz pan uniósł lewą rękę i mówi do Murada Paszy: „A na tej co widzisz?”. Ta też była pusta. Wszyscy na radzie oblali się zimnym potem, myśląc o tym, jaka furia może pójść za pytaniem padyszacha. Bo już wszyscy się nauczyli, że gdy sułtan Ahmed zaczyna zadawać pytania, to znaczy, że źle się dzieje. Murad Pasza, tak jak wszyscy, schylił głowę w ukłonie. A wy jak myślicie, co powiedział nasz pan?

Wykrętne opowiadanie wyczerpało cierpliwość już nieźle podpitych bywalców winiarni. Ktoś się odezwał:

– A skąd my to mamy wiedzieć, panie? Toś ty sułtan Ahmed, że nas tu nagabujesz? „Co powiedział padyszach?”. Mówże już, co powiedział!

Sala wypełniła się śmiechami, które ucichły, jak tylko mężczyzna z całą mocą rzucił:

– Błyskawica!

– Błyskawica?

– Właśnie błyskawica. Nasz władca właśnie tak to ogłosił. „Spójrz, paszo” – powiedział. „Wiele w życiu widziałeś. Twoje życie upłynęło na służbie Wysokiej Porcie. Może już nie jesteś pierwszej młodości, ale nikt nie ma twojego doświadczenia. Dobrze sobie jednak zapamiętaj, w prawej ręce dzierżę słowo Allaha, w lewej spoczywa gniew niebios. To jest oręż sułtana Ahmeda. A teraz...”. Władca popatrzył kolejno na wszystkich ministrów i tak powiedział: „Czynię cię wielkim wezyrem, Muradzie Paszo! Przekazuję ci broń, którą trzymam. Od dziś z Koranem w prawicy i z błyskawicą w lewicy uderzysz na łotrów. Rządź sprawiedliwie, ale dla zdrajcy, bandyty, złodzieja, złoczyńcy nie miej litości! Nikogo nie oszczędzaj. Niech za twą sprawą skończy się ten chaos. Siecz nikczemników, stosy głów możesz za sobą zostawić, bylebyś tylko uratował państwo osmańskie od tego nieszczęścia. Jak się nie uda, zapelnisz bandytami wyschłe studnie świata na przestrożę i nikt już nie powstanie, by mierzyć się z naszą potęgą”.

Gdy w winiarni wybrzmiały słowa padyszacha, po obecnych przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

– A niech to! – odezwał się ktoś.

Pijany opowiadacz ucieszył się z wrażenia, jakie wywołała jego historia:

– Żadne tam „niech to”, panie – powiedział cicho – „Biada” powinienesz rzec, biada!

Ale wieści, które miały naprawdę wywołać lament wśród ludu, zaczęły nadchodzić dopiero po tym, jak wielki wezyr Mehmed Pasza wyruszył na wyprawę, by pokonać buntowników.

Murad Pasza co do joty wypełnił otrzymany rozkaz, a gdy to nie wystarczyło, w srogości przewyższył nawet sułtańskie komendy. Bił bez litości. Uderzał jak piorun, palił niby ogień z nieba. Tam gdzie przeszedł, głowy spadały z ramion, nie zostawał kamień na kamieniu.

Nawet stolica drżała z trwogi, którą budził. Ludzie w kawiarniach i winiarniach z zapartym tchem słuchali przybyszów z prowincji.

– Zobaczycie, panowie, co potrafi Murad Pasza. Zupełnie jakby nie był dziewięćdziesięcioletnim starcem, tylko mężnym śmiałkiem z pierwszym cieniem wąsów. Bije tych zbójów niemiłosiernie. Taki ma okrzyk bojowy, tak macha mieczem i buzdyganem, że hej! Ach, a ten jego obuch? Klnę się, co najmniej jak moja głowa. A kolce na nim, o takie długie!

Jak już o tym mowa, stało się zwyczajem, by opowiadający wskazywał na swoją głowę, przekazując historię, a gdy dochodziło do szpikulców buzdyganu, używał palca wskazującego, żeby dać słuchaczom odczuć odpowiednią grozę. Gdy gawędziarz uznał, że wszyscy już sobie odpowiednio wyobrażają śmiertcionośną broń, tak kontynuował:

– Co się zamachnie buzdyganem ten Murad Pasza, to nienieważne, głowa, ramię, jak arbuz się roztrzaskują, moi drodzy. A zresztą, co go jakiś warchoł zobaczy, to mu od razu kolana miękną. Natychmiast rzuca się taki na ziemię i błaga o litość. Tylko że kto go słucha?

– Ale jak nie słucha, to co robi? Jak to tak na kapitulanta miecz podnosić?

– No właśnie, on podnosi. Murad Pasza wymierza cięcie i padają głowy. A jak dowódca kosi czerepy, to przecież janczarzy nie będą stać i się patrzeć. Dalibóg, na własne oczy widziałem! Powiem wam, tysiąc głów, ale może i dziesięć tysięcy. Tak to właśnie jest. Konie aż nie mogą

galopować od toczących się po ziemi łepetyn.

– Boże! Boże jedyny!

– Stop, jeszcze nie skończyłem. Tuż po bitwie pasza każe zbierać głowy i usypywać z nich stosy. Ach, daję słowo, jest takie miejsce, Gökçesu się nazywa. Jeden człowiek policzył i mu z dwieście pięćdziesiąt kopców wyszło. A jeśli w każdym jest dwieście, trzysta głów... to już sobie dodajcie i wam wyjdzie, ilu ludzi zabito na tym jednym tylko polu.

Ktoś przerwał ciszę, która zapadła wśród przerażonego tłumu.

– A co z bezgłowymi ciałami? Co z nimi robią? Czy Murad Pasza zostawia je wilkom i krukom na pożarcie?

– O nie! Każe zbierać i wrzucać do studni. Lud lamentuje, że ze studni nie woda, tylko krew płynie. Kobiety, płacząc, rwą sobie włosy z głowy, a paszę Murada nazywa się teraz „Studnikiem”. Mówi się o tym naszym paszy, mówi i uwierzcie mi, nie są to miłe rzeczy.

[6] Fatiha – sura otwierająca Koran

Pałac Beylerbeyi
9 lipca 1611 roku

Z czasem widmo przerażenia, które wywoływał pasza Studnik, znalazło swoje odbicie nawet w plotkach dziewcząt z sułtańskiego haremu. Odaliski szeroko otwierały oczy z przestachu, gdy słuchały opowieści. W dniu, w którym Mahpeyker Kösem Sultan usłyszała wzmiankę o księdze i błyskawicy, zrozumiała, że padyszach dobrze sobie zapamiętał sen, który mu opowiedziała. Była zadowolona, że udało jej się wywołać efekt, którego oczekiwała, ale z wolna zaczął się jej do serca zakradać niepokój.

Tak naprawdę wiedziała o wiele więcej, niż to, co docierało do ludu i gdy znajdowała się sam na sam z własnym sumieniem, przyznawała, że Murad Pasza wyrwał się spod kontroli.

Nie dawała tego po sobie poznać, lecz w miarę jak docierały do niej wiadomości, obaw zaczęło przybywać. Świadomość, że w całej sprawie miał udział sen, który opowiedziała padyszachowi, wcale nie poprawiał sytuacji. „Nie myśl o tym” – odzywał się szept w jej głowie. „Nie da się inaczej obronić tego tronu. Poza tym, powiedziałaś mu, żeby był piorunem, a nie żeby dawał możliwość zabijania dziesiątek tysięcy ludzi komuś, kto uznaje to za boską służbę. I czy przypadkiem nie chciałaś chronić majestatu przed wichrzycielami? No i masz, człowiek chroni. Jak tak dalej pójdzie, to w narodzie nikt nie zostanie, żeby się buntować. Zostaw to i niech Studnik wszystkich wybije.

Po raz pierwszy pomyślała, że jej rozum się myli. W przeszłości jej serce i rozum bardzo często się nie zgadzały, a ona zawsze wybierała drogę rozsądku. Tyle że po raz pierwszy ścieżki roztropności i serca tak

bardzo się rozeszły. Mahpeyker nie chciała dać się poznać jako ta, która, ciągle w czarnych sukniach, czyni padyszacha bezwzględny i okrutny. W dalszej perspektywie mogło to wywrócić wszystko do góry nogami. Lud powinien wspominać jej imię z miłością, a nie ze strachem i z odrazą. „Alimowie, żołnierze, kupcy, wieśniacy – kto żyw, powinien kochać swoją królową” – mówiła do siebie. Przynajmniej dopóki nie będzie miała dość mocy.

Lecz zdawała sobie sprawę, że trzeba przejąć kontrolę nad tym szalonym starcem, który z rozkazu sułtana sprowadzał terror, gdziekolwiek się zjawił. Plotki należało natychmiast ukrócić, bo rzucane dziś pod adresem Studnika złe słowa jutro uderzą w padyszacha, a z niego przejdą na Kösem, i nie zostanie jej nic prócz nienawiści ludu.

Pewnego dnia przyłapała parę dwórek skrycie wymieniające plotki. Usłyszała, jak jedna z nich szepcze:

- Podobno z brody płynęła mu krew.
- Jeszcze czego – oburzyła się druga, ale było pewne, że uwierzyła.
- Na Boga, dziewczyno, mówią, że lubuje się w ludzkim mięsie.

Z zabitych danego dnia ludzi przynoszą mu kawałek najmłodszego na talerzu. To znaczy serce, czy coś.

– Skończcie z tym bzdurami – wtrąciła się nagle Mahpeyker – i nie paplajcie bez sensu. Kto to słyszał, żeby jeść ludzkie mięso? Kto to widział? Niech mi się więcej nikt nie waży powtarzać tu kłamstw wymyślanych przez bandytów.

– Ale jest podobno strasznie bezwzględny – odezwała się jedna z kobiet – nie ma litości nawet dla tych, którzy się poddają.

Mahpeyker jeszcze bardziej podniosła głos:

– A czy ci zbóje mieli litość, że teraz, przerażeni gniewem naszego pana, oczekują przebaczenia? Czyli to nie było bestialstwo, gdy palili wioski i równali z ziemią miasteczka, a wszystkich, bez różnicy, starców, kobiety i dzieci wycinali w pień i teraz, gdy imperium osmańskie podnosi na ich górskie kryjówki złorzeczącą rękę, to jest bestialstwo? Nie chcę tutaj więcej słyszeć tych bzdur!

Dwórki zamilkły i wycofały się chyłkiem, ale w niczym to nie pomogło. Dziewczyna, która opowiedziała o tym, jak Murad Pasza wyrywa serca

poległym młodzieńcom, żeby je pożreć, dwa dni później zniknęła.

W sułtanie Ahmedzie też wszystko wrzało. Tak właściwie nie chciał słyszeć nawet jednego słowa o karnej wyprawie Murada Paszy. Pod wpływem snu Mahpeyker poświęcił się całkowicie działalności dobroczynnej. Z jednej strony zajmował się meczetem, który z jego przykazu zaczęto wznosić na Hipodromie, z drugiej zaś wysyłał ze stolicy różnych specjalistów, aby dokonali niezbędnych napraw w świętych miejscach Mekki i Medyny.

Rozkazał przygotować dla Al-Kaby^[7] takie okładziny i takie zasłony, jakich dotychczas jeszcze nie widziano. W sumie do szycia oddano osiemset metrów tkaniny i czterdzieści osiem tysięcy dirhemów jedwabiu. Do składających się z setek części zasłon wytopiono osiemnaście tysięcy miskali złotego i czterysta sześćdziesiąt miskali srebrnego drutu. Tak się zaangażował w te sprawy, że kazał przekształcić ogród pałacu Beylerbeyi w warsztat pod gołym niebem, po czym wezwał tam najlepszych kowali i złotników stolicy. Zadanie oceny przygotowywanych dla Al-Kaby zasłon powierzył zaś Kösem, której wierzył, że od dnia, w którym przeszła na islam, była szczerą wyznawczynią i nawet jeden raz nie spóźniła się z modlitwą.

Ahmed kazał stworzyć w ogrodach Davuda Paszy naturalnej wielkości makietę Al-Kaby i od tamtego czasu każdego dnia wybierał się tam, by z poczuciem bożej bojaźni siedzieć w cieniu rzucanym przez model, odprawiać modły i wzywać Allaha. Tyle że w miarę jak wieści niedawnych wydarzeń osiadały mu w głowie, zaczął powoli popadać w obawy, że czyny Murada Paszy plamią dobre imię wiary. Koniec końców, to on wysłał starca na prowincję i to on chciał, żeby tamten poraził bandytów włócznią z błyskawic. „Jeśli to, co się opowiada, jest prawdą, to czy moje modły mają jakiegokolwiek znaczenie?” – pytał sam siebie.

Pewnej nocy, gdy wybrał się na pokoje Mahpeyker, nie ukrywał, że coś go trapi.

– Ech, ech – wzdychał ciągle.

Choć Mahpeyker od razu zrozumiała powód tych pojękiwań, milczała.

Gdy padyszach jadł, zaczął mówić. Prędzej czy później sam poruszy temat.

Tak się też stało. Sułtan nagle wystrzelił z pytaniem:

– Powiedz mi, moja piękna Kösem, a ty, co uważasz? Czy w obliczu Allaha słuszność jest po stronie tego, który w imię porządku i jedności odbiera życie, popełnia okrucieństwa? Co powiesz?

Mahpeyker w jednej chwili spoważniała:

– Mój panie, wystawiacie swą służkę na taką próbę, że udzielenie właściwej odpowiedzi nie jest możliwe. Ile to czasu minęło, od kiedy światło islamu spłynęło na Mahpeyker? Co ona może powiedzieć naszemu sułtanowi? Najlepiej spytać hodżę efendiego. On będzie wiedział.

Ahmed westchnął w duchu. „No tak, będzie wiedział, tylko że wielki wezyr to na mój rozkaz wznosi kopce z głów. Studnie nie dają wody, tylko krew, a my się tu zajmujemy filantropią i modłami. Jak mam spytać, czy modlitwa zmaże grzech okrucieństwa?”

– No dobrze – wymruczał – ty jesteś neofitką, twoja wiara jest bardziej czysta, bo płynie prosto z serca. Powiedz mi, Mahpeyker, czy modlitwa może zmazać grzech okrucieństwa?

Mahpeyker zrozumiała w tym momencie, że los Murada Paszy Studnika zależy od dwóch słów. „Jak powiem: «Nie może», koniec z wielkim paszą” – przeszło jej przez głowę. Ale ucięcie sprawy jednym „Może” nie wyglądało przekonująco. Zrazu wpadła w panikę. Jeśli Ahmed był tak niespokojny z powodu wyczynów wielkiego wezyra, to mógł też pomyśleć, że na początku za całą sprawą stał widziany przez nią podobno sen. „Patrz i pomyśl, do czego cię przywodzi? W jednej dłoni mam piorun, a w drugiej księgę, ha. Dobrze, tylko co tu się dzieje? Gdzie sprawiedliwość, gdzie tu miłosierdzie?”. Mógł ją oskarżyć. Siliła się na uśmiech.

– Gdybym tylko znała powód tego pytania...

– Powód jest oczywisty. Murad Pasza – fuknął padyszach – Potrzebuje już giermków, żeby wsiąść na konia, a kiedy schodzi, to w ich ramionach. Tylko że ten białobrody starzec, mimo swego stanu, w siodle nagle ożywa i sieje śmierć wśród mego ludu.

– Czy powiedzieliście „mego ludu”, panie?
– No tak. Co innego miałem powiedzieć?
– Wasza służka myślała, że to chodziło o zbójców. Czy to nie są bestialscy buntownicy? Okrutnik zasługuje, żeby się z nim okrutnie obchodzić.

Ahmed bez słowa spojrział na Mahpeyker. Czym różnił się władca od przestępcy, jeśli na barbarzyństwo odpowiadał barbarzyństwem? „Szlag by to trafił” – zaklął w myślach. „Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? To ja kazałem uderzać. I Murad zabijał. To znaczy, że jeśli człowiek przy władzy powie «Bij», to jego słudzy, na dole, wychodzą na potwory”.

– Powiedz szczerze – wyszeptał. – Czy nie należy działać sprawiedliwie? Zadawać pytania, oddzielać winnego od niewinnego?

– Wybacz mi, panie, czy to znaczy, że wielmożny pasza ścina głowy bez wyroku?

– Jakiego wyroku? – warknął Ahmed. Jego twarz miała gorzki wyraz. – Uderza na bandytów z wojskiem, bo naprzeciw wychodzą mu oddziały buntowników. Tyle że wśród nich są i ochotnicy, i ludzie zaciągnięci na siłę. Biedacy, którzy ze strachu wydają się stawać po stronie przestępców. Ale gdy dwie strony się zewrą, nie ma miejsca ani na sprawiedliwość, ani na wyroki. Pasza siecze mieczem, uderza buławą.

Mahpeyker przestraszyła się, zauważywszy, że twarz sułtana w jednej chwili zbladła.

– Mój panie... jesteś blady. Trochę wody. Gdybyś się tak nie zamartwiał...

Ale wydawało się, że Ahmed jej nie słyszał.

– Jeszcze dzisiaj słyszałem – wymruczał do siebie. – Pasza zobaczył pewnego spahisa, gdy się przechadzał po polu bitwy. Z tyłu jego siodła siedział jakiś dzieciak z ludu. Gdy Murad Pasza spytał go: „Co ty robiłeś wśród buntowników?”. Chłopak odpowiedział, że jego ojciec był bez pracy i że to z braku pieniędzy dołączył do rozbójników. Wtedy nasz wielki wezyr spytał, czym się zajmował ojciec dzieciaka. „Grał na oudzie”^[8] – odpowiedział tamten. „Raczej powiedz, że zapewniając rozrywkę buntownikom, dodawał im odwagi” – rozeźlił się Murad Pasza.

Mahpeyker, przeraziłem się, gdy usłyszałem, że pasza kazał pacholkom zabić dziecko. Tamci się litowali: „Dlaczego mamy mordować niewinnego?”. Sprzeciwili się, więc wezwał żołnierzy, ale tamci też się oburzyli: „Czy my wyglądamy na katów? Nawet jakby tu był jakiś kat, to nie splamiłby sobie rąk krwią Bogu ducha winnego dziecka”. Tym razem wezwał pasza zwrócił się do giermków, którzy pomagają mu zsiąść z wierzchowców, ale ci też się rozpiechli. „Skoro tak” – wściekł się Murad Pasza – „to ja będę katem wiary” – i gołymi rękami zadusił tamtego biedulinę. Czy ty to sobie wyobrażasz, Mahpeyker? Rękami. Gołymi rękami. Dziecko.

Poblady padyszach zamilkł z grozy po tym, co opowiedział. Pijąc przyniesiony w pośpiechu przez Mahpeyker sorbet, tak się zamroczył, że napój, który odsunął od ust, spłynął mu na brodę. Żona natychmiast przyskoczyła, żeby ją wytrzeć, ale sułtan jakby w ogóle tego nie zauważył.

– A później Murad Pasza tak krzyknął do moich żołnierzy: „Wy tchórze! Bandy ci nie wyszli z matek z mieczami w dłoniach. Wszyscy byli jak ten dzieciak. Ale wychowali się w występku. Zostali po stronie zła. Nikt z was nie słyszał, jak to jedno jabłko psuje się od drugiego? To ja wam zaraz powiem. Patrząc na siebie nawzajem. Niewinni stali się zbrodniarzami. Nie ma innej drogi, żeby wypalić korzeń zła. Gdy myśliwy wchodzi na wysokie skały, polując na jelenia, musi wykorzystać jego zranioną nogę”. Ładne słowa. Sugestywne słowa. Tylko że tu chodziło o zabite przez niego dziecko. Zaduszone przez niego bez zastanawiania się – winny czy nie... – ton głosu sułtana stwardniał. – I dlatego cię pytam – mówił dalej z mocą – czy z tego bestialstwa przyjdzie coś dobrego?

Mahpeyker też była przerażona. Nie mogła sobie nawet wyobrazić dziewięćdziesięcioletniego mężczyzny duszącego szyję malutkiego chłopca. Jeśliby powiedziała: „Przyjdzie”, okazałaby, że sprzedała duszę diabłu, a jeśliby stwierdziła: „Nie przyjdzie”, wydałaby wyrok na Murada Paszę. Musiała się pozbyć problemu i natychmiast zamknąć ten temat. Rozum zamruczał jej w głowie: „Okrutnik, ale stłumił powstanie. Już nikt nie odważy się przeciwstawić państwu osmańskiemu”.

Spojrzała w oczy Ahmeda i jej strach jeszcze urósł. Spojrzenie padyszacha płonęło. Kwestią minut było wydanie rozkazu dorzucenia głowy Murada Studnika do reszty na szczycie któregoś z kopców.

– Niech sługa ukarze bestialstwo. Nie wybaczymy okrutnikowi.

– Też tak myślę, Mahpeyker...

– Tylko co należy zrobić z oprawcą narodu? Czy można wybaczyć okrucieństwo, którego dopuścili się bandyci na naszych poddanych? Niech Bóg broni, a co, jeśli płomień rewolty jeszcze by urósł i dosięgnął dynastii osmańskiej? Co by się stało z twoim ludem? To pewne, że gdyby buntownicy doszli do władzy, stan poddanych byłby oplakany. Czy przyzwolenie na coś takiego nie jest jeszcze większym grzechem?

W sułtanie obudziły się wątpliwości. „Tak jest” – powiedział w duchu. „To grzech, rzecz jasna. A gdyby jutro był Sąd Ostateczny i Osman Gazi, Orchan Gazi, Hüdavendigâr, Mehmed Zdobywca, Selim Groźny, Sulejman Prawodawca, moi świętej pamięci dziad i ojciec wraz ze wszystkimi zmarłymi wyszli przede mną w szeregu i spytali: «Cóżes zrobił, Ahmedzie? Jak mogłeś zamierzyć się na ród Osmana?». Co bym odpowiedział?”.

Zrazu poczuł ulgę. W myślach dziękując Kösem za to, że jest, spojrzał na nią z uczuciem. I wdzięcznością.

– Więc mówisz, że mężni ludzie winni ostrzyć miecze przeciw okrucieństwu zbójców, czy tak?

Mahpeyker nie powtórzyła jego słów.

– Ah, mój potężny sułtanie – przymilała się Kösem – mój przystojny padyszachu, władco świata! Co ma powiedzieć wasza służka ze swoim kobiecym rozumkiem? Oby rządy naszego pana, a wraz z nimi szczęście i spokój rodu Osmana trwały wiecznie. Tak chyba trzeba, jeśli waszemu następcy, Osmanowi, ma przypaść tron i panowanie warte zapamiętania.

Obydwoje pogrążyli się w myślach.

Sułtan Ahmed starał się sam siebie przekonać, że bestialstwo, którego się dopuszczono dla zapewnienia szczęśliwości państwu, nie zostanie mu zapisane jako grzech. Przypomniawszy sobie, co Mahpeyker powiedziała o dziedzictwie dla Osmana. Wewnątrz coś mu trzepotało. „Serce Kösem jest wielkie jak jej rozum” – pomyślał. „Nie znosi Mahfiruz, ale patrzcie,

przygotowuje tron dla jej syna. A Mahfiruz nie zostawia na niej suchej nitki, gdy do mnie mówi i pisze”.

Padyszach zdecydował, żeby na razie wyrzucić sprawę z głowy. „Niech Murad Pasza przynajmniej jeszcze trochę nam posłuży” – powiedział w myślach. „A później się zobaczy”.

I wszyscy rzeczywiście zobaczyli. Murad Pasza zwany Studnikiem przez kilka dalszych miesięcy odrąbywał głowy i wypełniał studnie trupami, a gdy już większość rozruchów została powstrzymana, wrócił do stolicy, by świętować zwycięstwo, i niedługo potem zmarł ze starości. Na jego miejsce sułtan mianował wielkim wezyrem skutecznie walczącego podczas wyprawy na Austrię serdara Nasuha Paszę z Komotini. Byli i tacy, co utrzymywali, że Kösem miała wpływ na decyzję sułtana, aby powołać na najwyższe stanowisko sprzeciwiającego się okrucieństwu Studnika Nasuha Paszę i tym samym ostudzić nieco gniew, który wielka rzeź wywołała u ludzi. „Ha, sułtanka Greczynka, wiadomo, że stanie za Komotyńczykiem. He, tu Grek, a tam Bułgar” – takie słowa krążyły w państwie.

Tylko że ani padyszach nie zwracał na nie uwagi, ani Mahpeyker. Ich myśli były w zupełnie innym miejscu.

Nadeszła straszliwa fala upałów w 1611 roku i Mahpeyker, zebrawszy świętę, wycofała się do pałacu Beylerbeyi. Postanowiła przez jakiś czas poświęcić się rozmyślaniom z dala od ciekawskich oczu.

Znowu była w ciąży. Nie wiadomo, czy to w końcu los ugiął się przed wolą Mahpeyker, czy też jej modlitwy zostały wysłuchane. A może to muski^[9] i pobłogosławione wody od znalezionych przez Semiłę hodźów i znachorów na coś się przydały. Pewnego dnia, czując na policzkach łagodny powiew wieczoru i przechadzając się po różanym ogrodzie, tak mówiła sama do siebie:

– Jeśli wliczę do tego poronienie, to będzie już czwarta – nawet się nie zasmuciła utratą dziecka. – Pewnie to też była dziewczynka...

Teraz również nie czuła kłębiącej się w środku ekscytacji. Przypuszczalnie znowu nie urodzi chłopca.

Ale tak się nie stało. Pewnej przypominającej piekło lipcowej nocy do

padyszacha w Nowym Pałacu przyszła wiadomość, że Mahpeyker Kösem Sultan zaczęły się skurcze. Przygotowane na to przełożona położnych wraz z akuszerkami skupiły się u wezglowia rodzącej.

Sala porodowa gorętsza była od piekła. Mahpeyker nie pamiętała, żeby przeżywała takie męki nawet podczas pierwszego rozwiązania. Przez cztery dni i cztery noce wiła się w cierpieniu. Ręce miała całe we krwi – gryzła je, żeby powstrzymać się od krzyków. Zaczęła w końcu myśleć, że umrze w objęciach położnych. Akuszerki były przerażone. Łzy Sofii lały się strumieniami. Semiha, Müruvvet i Şarazad nie chciały się zdradzić z uczuciami, ale ich pełne paniki oczy mówiły same za siebie.

Całą sytuację w odpowiednich słowach przekazano sułtanowi. Władca, padający już od ciągłego chodzenia w kółko po swojej galerii kazał jak najszybciej przyjść nadwornym medykom, a ci rzeczywiście zjawili się czym prędzej, cali spoceni.

– Natychmiast biegnijcie do pałacu Beylerbeyi! Chcę, żeby moje dziecko razem z jego matką było całe i zdrowe. Jeśli Pan na to pozwoli, uratujcie moją Mahpeyker! – rozkazał Ahmed pocierającym ręce ze zdenerwowania lekarzom.

Przełożony lekarzy z rozpaczą popatrzył po swoich pomocnikach, w czasie gdy wszyscy gonili co sił na dziedziniec, gdzie czekały przygotowane dla nich powozy. Jeden z młodych medyków rzucił to, co przeszło mu przez głowę:

– No dobrze, a co jeśli wolą Boga jest zabrać rodzącą, a dziecko zostawić? Co my wtedy zrobimy? Czy powiemy Azraelowi „Weź niemowlę, a zostaw nam jego matkę. Nasz pan potrzebuje jej całej i zdrowej w swoim łóżku!”. Czy to mamy powiedzieć?

– Później pomyślisz, co powiedzieć. Teraz zakasaj szaty i biegiem do pałacu Beylerbeyi, bo nie stanie nam nawet czasu, żeby przywitać się z Azraelem – wydyszał mistrz lekarzy.

W ciągu tych czterech dni i czterech nocy całe życie przebiegło Mahpeyker przed oczami. Tyle że wszystko miało dziwną postać. Ciągle widziała się jako mała Nastja z Milos, bosymi stopami wierzgająca w pianie błękitnych fal rodzinnej wyspy. Nawet gdy przypominała sobie noc, w którą padyszach uczynił ją swoją żoną.

Nagle u jej głowy zjawił się ślepiec z Kumanowa. Mężczyzna śmiał się jak hiena... Nie było go słyhać, ale Mahpeyker odczytała słowa z ruchu jego wykrzywionych ust.

– Nie bój się – mówił żebrak. – Jeszcze wiele masz do zobaczenia, dziewczeczko.

– Co mam niby zobaczyć? – sprzeciwił się jej umysł. – Przecież umieram.

– Nie – mówiły bezgłośnie usta. – Rodzisz.

– Co, co rodzę? Czy znowu dziewczynkę?

Ślepy żebrak zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Mahpeyker, złorzecząc, zaniósła się od płaczu. „Znaczy, że znowu dziewczynka... Znowu dziewczynka!”.

– Wytrzymaj, dziewczyno – szepnęła jej do ucha jakaś kobieta.

– Dalej, dalej, przyj! – mówiła ciągle inna.

Mahpeyker poczuła na brzuchu jakiś straszny ciężar. Jakiś przygniatający, miazdzący, zostawiający ją bez tchu ciężar. W jej wnętrzu rozległ się potworny krzyk. „Azrael! Azrael na mnie przysiadł!”.

Nie miała nawet siły, żeby poruszyć rżęsami. Z trudem, po wielu próbach jak przez mgłę zobaczyła to, co ją przygniatało i odetchnęła z ulgą. „Nie Azrael, to nie Azrael” – powiedziała w myślach. „Na moim brzuchu opierają się dwie olbrzymki”.

„Dalej, Mahpeyker Kösem Sultan” – mówiła do siebie. „Ostatni wysiłek! Przecież miałaś walczyć ze śmiercią. To właśnie ten moment. Dotrzymaj słowa! Wytrzymaj, walcz! Dalej!”.

Nagle przyszło odprężenie. Poczuła, jak nagle zaczyna toczyć się prosto w ciemną przepaść. Z daleka, z bardzo daleka jej ucho złowiło najpiękniejszy głos, jaki dotychczas słyszała. „To anioł mnie wzywa” – powiedziała do siebie.

I gdy myślała, że najwyraźniej właśnie umiera, jej umysł zakrzyknął: „Weź się w garść! Błagam, pozbieraj się do kupy. Przynajmniej się dowiedz, co urodziłaś”.

– Co? – nawet nie wiedziała, czy udało jej się to wyszeptać.

Zanim spadła w ciemność, wydało jej się, że słyszy głos przełożonej akuszerek:

– Biegnijcie, dalej! Niech ktoś zanieśe naszemu panu dobrą nowinę.
Sułtanka Mahpeyker...

„Syna! Czy urodziłam syna? Mojego księcia?”

„Tak” – odezwał się głos w jej głowie. „Teraz możesz już umrzeć!”

„Nie” – odkrzyknął jej umysł. „Właśnie teraz musisz żyć!”

– Przynieście mi mojego syna... Mój Boże... – jęknęła, gdy go przynieśli. – Czy może istnieć coś piękniejszego?

Wzięła w ramiona maleńką, różową istotkę i po raz pierwszy poczuła zapach swojego dziecka. Syn po raz pierwszy spojrzał na swoją matkę. Łza rodzicielki dołączyła do kropelek na jego różowych policzkach.

– Witaj, mój sułtanie – powiedziała Mahpeyker synowi. – Twoja matka odda za ciebie życie.

Tym razem, gdy odpływała, zobaczyła u wezgłowia Safiye Sultan. Miała poważne oblicze.

– Nie zapomnij o mojej ostatniej woli, córko – powiedziała cicho. – Nie waz się spóźnić. Nie działaj ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno. Bacz na czas.

Będzie baczyć. Od dziś. I nie spóźni się. Nie przejdzie do działania zbyt wcześnie ani zbyt późno.

– Dotrzymałam słowa – wyszeptała, kładąc głowę na poduszce. – Pierścień nie zszedł z palca. Po co ja to mówię, przecież wiesz. Czy jest przy tobie? Czy się pogodziłyście? – Mahpeyker poczuła, że jej myśli odleciały przez chwilę niczym motyle. Nie wiedziała, czy naprawdę je wypowiadała, czy tylko chodziły jej po głowie, ale zanim zemdląca, miała jeszcze coś przekazać Safiye Sultan. Musiała jej powiedzieć. – Czy wiecie, moja szlachetna matko? Urodziłam dzisiaj padyszacha. Jest taki silny, taki potężny, od razu wszystko mu się udaje. Pamiętasz swoje ostatnie słowa? „Ludzie w imperium nazywali mnie wielką sułtanką matką, niech na ciebie mówią Mahpeyker Kösem Sultan”. Mówią, droga matko. Jestem Mahpeyker Kösem Osmanów. Moje słowo do Indii, do Chin...

Na czole poczuła zimny dotyk. Nawet nie dostrzegła wysiłków Sofii, która próbowała ochłodzić mokrą gazą jej rozpalone czoło. Zapadała się w ciemność i spokój.

– Bredzi – szepnął ktoś – bredzi z gorączki.

Podniosła się zasłona przed jej oczami. Wszystko było ciemne, tylko na przedzie, daleko przed nią jaśniał jakiś punkt. Marzyła, żeby pójść prosto do tego światła.

– Mahpeykeeeeer!

Zdziwiła się. Jakby głos przychodził do niej z gwiazd, chmur, ze słońca. „Kim ty jesteś” – pomyślała. „Nigdy wcześniej cię nie słyszałam”.

– Ja – wyrzekł głos – jestem losem, przed którym się zbuntowałaś, córko.

Przestraszyła się. „Czego chcesz?” – powiedziała w myślach – „Przyszedłeś się policzyć?”.

– Przyszedłem, żeby cię ostrzec, Mahpeyker. Uspokój się już. Zaszyj się gdzieś i czekaj, aż przyjdzie twój czas. Wybije twoja godzina. Od dziś stoisz na straży.

– Na straży? Jakiej straży?

– Padyszacha. Murada. Wychowaj rodowi Osmana świetnego sułtana.

Poczuła, jak radośnie płynie wśród ciemności na spotkanie światła. „Obiecuję, losie. Od dziś stoję na straży” – przeszło jej przez głowę. „Tak zrobię. Dam Osmanom dzielnego Murada Chana!”.

Dźwięk bębnow miejskich heroldów po porannym ezanie poderwał ulice Stambułu na nogi: dum, dum, de dum, dum...

– Hejże, ludzie! Naszemu padyszachowi i panu, sułtanowi Ahmedowi Chanowi urodził się syn! Nasz pan nadał zrodzonemu z Mahpeyker Kösem Sultan księciu święte imię szahida^[10] i gaziego^[11] Murada Chana i imię swego dziadka, którego miejsce jest w niebie, sułtana Murada Chana. Niech Allah ześle naszemu władcy, a także księciu Muradowi zdrowie, pomyślność i długie życieeee!

Rano padyszach prawie fruując z radości zjawił się na dywanie.

– Niech piszą – rozkazał – oto mój dekret: od dziś dnia bez wyjątku ster władzy obejmować będzie przede wszystkim pierworodny książę. Niech piszą! Oto mój dekret: niech przestrzegają zasady, że na tronie zasiadać będzie najstarszy z dynastii. Oto mój dekret! Niech piszą: odtąd niedopuszczalne jest, aby dla zagarnięcia tronu brat zabierał życie bratu,

syn ojcowi, ojciec synowi i podług tego zarządza się odpowiednią karę...

Wszyscy wezyrowie otworzyli usta ze zdziwienia. Padyszach, którego swego czasu wszyscy uważali za dziecko, właśnie zdeptał i odrzucił dziedzictwo fatiha, prawo racji stanu^[12].

– Ach – wyrwało się drugiemu wezyrowi, Mehmedowi Paszy zwanemu Bawołem – kto by pomyślał, że burkliwa Mahfiruz powali na kolana tę jedyną, wybraną przez sułtana Kösem Sultan i jej dopiero co narodzonego syna, co?

Zamiast ofuknąć, wielki wezyr Nasuh Pasza spojrział na niego spode łba. Gdy wychodzili z rady Mehmed Pasza szeptał:

– No przecież za tym dekretem musi stać Mahfiruz Sultan. Prawo najstarszego do tronu, ha, a przecież dwaj pierwsi książęta to dzieci Mahfiruz. Najpierw Osman, po nim Mehmed. Mahfiruz zamknęła synowi Kösem drogę do tronu. Szkoda księcia Murada, pójdzie do piachu, nie zobaczywszy tronu. A mówią, że nasz pan taki zakochany, że aż strach i patrzcie, jednym ruchem pióra starł prawo swojej faworyty. Przecież Kösem Sultan była taka sprytna, co? Najwyraźniej nie dość sprytna do tej gry. Cóż za bezradność!

Nasuh Pasza bez słowa spojrział na drugiego wezyra. Mehmed Pasza, widząc skryty uśmieszek na twarzy mężczyzny, zaczął coś podejrzewać:

– Co to, wielmożny paszo? Czemu się śmiejesz, czy jest coś, o czym ci wiadomo?

– Jaki śmiech? Kto się śmieje?

– Ech, nie przez przypadek nazywają mnie Bawołem. Niczego nie rozumiem. Czyżby w sprawie tego dekretu coś było nie tak, paszo Nasuhu?

Wielki wezyr złapał poły swojej szaty z wyrazem, który tylko wzmógł podejrzenia drugiego wezyra.

– Nie bądź śmieszny, drogi paszo. Co tu może być nie w porządku? – spojrział w oczy tamtego ze złośliwą radością. – Wychodzi na to, że Mahpeyker Kösem strasznie się cieszy, iż jej syn nie zostanie sułtanem.

Mimo tej aluzji Mehmed Pasza dalej patrzył cielecym spojrzeniem na Nasuha i wielki wezyr pomyślał, że nie na darmo nazywają go Bawołem. W końcu nie wytrzymał:

– Dalej! Zostawmy tę gadaninę i chodźmy. I może podwiń sobie szatę, bo się jeszcze ubrudzi i zaśmiardnie.

Wszyscy mówili o radości Mahpeyker Kösem Sultan. Jeszcze bardziej wypiękniała i wprost szalała ze szczęścia. Brała Murada w objęcia i niczym motyl latała z nim po ogrodzie różanym pałacu Beylerbeyi.

Jednak po jakimś czasie zaczęła zauważać coś dziwnego. Czasami książę Murad cały czerwieniał w swoich powijakach. W jednej chwili zamykały mu się usteczka, dziecko zastygało i frenetycznie kołysało malutką główką na cieniutkiej szyi, to w lewo, to w prawo.

Gdy pojawiły się pierwsze obawy, mówiła sobie, że to niemożliwe. Los nie może być przecież tak bezlitosny!

Któregoś dnia, kiedy Murad znowu poczerwieniał, krzyknęła do piastunki:

– Zabrać to! Wyciągnijcie mojego syna z powijaków, szybko!

Wyciągnęli. Wyzwolone z więzów niemowlę zaczęło się okropnie trząść. Z kącika ust prosto na różowiutkie ramię spłynęła mu piana.

Przyglądały się bezradnie, ze łzami w oczach.

W końcu drgawki zwolniły. Rozciągnięta w bólu twarz księcia Murada stężała, a jego policzki poróżwiały. Kösem pochyliła się nad niemowlęciem.

– Mój chanie, mój książę, Muradku mój, co ci się stało?

Syn nagroził zapłakaną matkę pięknym „gu, gu” i uśmiechem, który ukazał mu dołeczki w policzkach.

– Lekarza – wybąkała jedna z piastunek, pokonując panikę – wezwijmy lekarzy, moja pani.

– Nie chcę. Nie ma potrzeby.

Mahpeyker sama postawiła diagnozę. „Mój syn ma padaczkę!”.

Co zrobi medyk?

Przypomniała sobie, jak pewnej nocy zobaczyła we śnie Mahfiruz rodzącą pokrwawione dzieci. O, jak się ucieszyła!

„Ciekawe, czy ona też śniła, że urodzę epileptyka” – przeszło jej przez głowę. „Czy się ucieszyła?”.

Serce jej pękało.

[7] Al-Kaba – świątynia w Mekce, najważniejsze święte miejsce islamu

[8] Oud – instrument strunowy o gruszkowatym pudle rezonansowym

[9] Muska – przeważnie wykonany ze skóry trójkątny amulet z zamkniętymi w środku zaklęciami albo modlitwami

[10] Szahid – osoba, która umarła za wiarę; może dotyczyć osoby zmarłej w czasie zarazy lub w połogu albo wojownika poległego w walce z niewiernymi. W islamie wierzy się, że szahidzi idą prosto do raju.

[11] Gazi – tytuł przysługujący zwyciężającym na wojnie muzułmanom

[12] Osm. Nizam-ı Alem; dosł. Porządek Świata, stworzona przez Mehmeda II Zdobywcę zasada, według której dla zachowania jedności państwa i bezpieczeństwa władzy zabijanie rywali z rodziny jest konieczne.

Nowy Pałac, Galeria Sułtańska
Wiosna 1615 roku

Po odprawieniu porannych modłów wezyrowie jeden po drugim zaczęli się zbierać na dziedzińcu Galerii Sułtańskiej. Nikt nikomu nic nie mówił, ale i uczeni, i żołnierze odczuwali cichy niepokój.

Padyszach wyszedł zupełnie odmieniony. Jak tylko się dowiedział, że mały książę jest epileptykiem, przez wiele dni nie pojawiał się na zewnątrz, nie opuszczał pokojów Mahpeyker. Lekarze przychodzili i odchodzili, ale wszyscy dawali tę samą diagnozę:

– Panie nasz, książę Murad choruje na padaczkę.

A gdy padało pytanie, czy na tę chorobę istnieje jakieś lekarstwo, odpowiadali jak jeden mąż.

Nie było!

To była taka udręka, że nawet nie dawało się jej ukryć.

I tak nie minął tydzień, a wieść o epilepsji małego księcia dotarła najpierw z pałacu do Pawilonu Morskiego, stamtąd zaś rozeszła się po całej stolicy.

– No proszę, proszę – powiedziała Mahfiruz do dwórek, które przyniosły jej wiadomość. – Boże, jakaż kara dla jego matki, już by było lepiej, gdyby go nie wydała na świat.

Sułtan Ahmed pogrążył się w smutku, ale zdusiwszy własną rozpacz, starał się wspierać ciągle płaczącą Mahpeyker, która przestała jeść i pić.

– Co mamy zrobić? – powiedział. – Pan tak postanowił, ale Allah nie pozwala porzucać nadziei. Bóg, który zsyła cierpienie, daje też na nie lekarstwo.

Lekarstwo? Przecież go nie było!

Mahpeyker przestała w końcu płakać. Zbuntowana wobec losu nareszcie porzuciła też narzekania. Nie zadreślała się mówieniem: „Kto wie, co powtarza Mahfiruz?”. Nawet nie spytała: „Co powiedziała ta diablica?”.

Nie wypuszczała Murada z objęć i już więcej nie zawijała księcia w pieluszki. Syn Mahpeyker do woli ruszał się w kołysce i przeciągał, a gdy przychodził atak, dostawał drgawek pod jej baczny spojrzeniem.

„Jeśli jest epileptykiem, to niech będzie” – odrzuciła nieprzyjemne myśli Mahpeyker. „To mój książę. Mój chan. Mój Murad. Mój sułtan”.

Schowała cierpienie w najgłębszych zakamarkach duszy.

Sułtan Ahmed z kolei ponownie poświęcił się sprawom państwa, a pierwsze, co zrobił, to wprowadzenie prohibicji.

Decyzja ta wywołała popłoch w stolicy. Ahmed zlikwidował Towarzystwo Alkoholowe i rozkazał zamknąć wszystkie winiarnie. Według ludu to było najgorsze, co mógł zrobić. Winiarnie były miejscem, gdzie rozładowywano nagromadzony gniew, gdzie ludzie odprężali się wśród żartów i plotek; może i robili przy tym z igły widły, ale dowiadywali się też o wszystkim, co działo się w państwie osmańskim. Z każdego gardła dobiegały słowa skargi, a najgłośniejsze pochodziły od janczarów i sahisów, często biorących udział w popijawach. Kupcy i rzemieślnicy stracili nie tylko zadowolenie, ale i przychód.

– Czym zawiniliśmy, że padyszach uznał za stosowne tak nas potraktować? – narzekania nie miały końca. – Czy sułtan nie wie, że winiarnia jest naszym okiem, uchem i językiem? A może woli być władcą ślepców, głuchych i niemów? Niech powie, chcemy wiedzieć!

Wściekłość wobec zakazu tak się rozpleniła, że zaczęto układać wiersze i piosenki. Szczególnie dwa wersety nieznanego autora przechodziły z ust do ust w każdym zakątku imperium:

Zrujnowali winiarnię jak serce kochanka
Ślubu symbolem teraz wina szklanka.

I tak cała pobożność sułtana Ahmeda, jego działalność dobroczynna, a nawet rozdawane ludowi w Noc Niewinności i Przeznaczenia złoto

i srebro odeszły w zapomnienie.

Przekazywane szeptem w zadymionych, ciemnych kątach winiarni plotki i żarty, głośnie śmiechy i przekleństwa przeniosły się do koszar i kajut wojennych okrętów. Plotka, jakoby padyszach u boku Mahpeyker Kösem Sultan wybrał się na zimę do Edirne, gdzie miał urządzać polowania na jelenie, tylko dołała oliwy do ognia.

– Ładna sprawa, panowie – szeptali po kątach janczarzy – szach Safawidów wtrąca posła naszego padyszacha, Mustafę Czawusza do lochów, a ten gania za jeleniami? Kiedy w końcu wyjmie szablę z pochwy? Czy to się godzi, wysyłać niewolników na granicę po śmierć, a samemu w łóżku zabawiać się z kobietą?

Ale choć sułtan i Mahpeyker słyszeli każdą plotkę i każdy poszept, nic nie było w stanie przysłonić ich szczęścia. Łódź sułtana została drogą lądową przeniesiona ze stolicy do Edirne, i sułtan Ahmed mógł ukoić nerwy, pływając po Dunaju ze śpiewającą mu cicho Mahpeyker u boku. Własnymi rękoma podawał jej lodowy sorbet.

„Wytrzymaj, moje serce” – mówiła sobie Mahpeyker, w miarę jak dochodziły do niej wieści ze stolicy i rzeczy, które mówiono na jej temat. „Nie słysz. Nie widź. Niech mój język milczy. Obiecałam losowi, że będę strzec padyszacha. Zamknęłam przed wszystkimi swoje serce, umysł i duszę. Wychowuję rodowi Osmanów mężnego Murada Chana, żeby jego rozum ostrzejszy był od jego miecza, miecz od rozumu. Będę tkać swoją sieć, aż przyjdzie odpowiednia pora. A gdy wybije godzina, przejdę do ataku”.

Tak miała zrobić. Przenigdy się nie spóźnić, nie działać za wcześnie. Wszystko w odpowiednim czasie, będzie kuć żelazo na kowadle. Ani za wcześnie, ani za późno.

Ale jak miała zrozumieć, kiedy przyjdzie odpowiedni czas? Gdy mówiła sobie: „Teraz, dalej!”, bała się, że Mahfiruz zrozumie, podobnie jak Safiye Sultan, że potrafi szybko działać. Już wiele razy widziała, że ceną za spóźnienie jest śmierć. Było jednak i przeciwnie: co by zrobiła, gdyby się pośpieszyła, sądząc, że nadeszła odpowiednia chwila? Zapłaciłaby tak samo: własnym życiem!

A sułtan Ahmed myślał, że Mahpeyker raduje się w Edirne jak

skowronek. Po tym, jak urodziła mu syna, stała się zupełnie inną kobietą. Stateczną, spokojną, dużo bardziej dojrzałą. I choć w tym wieku wydała na świat troje dzieci, stała się jeszcze piękniejsza. Patrzył z miłością na urodziwą twarz swojej żony i szeptał napisane dla niej ostatnio wersety. Padyszach dał się całkowicie pochłonąć ozdobionemu kobiecym uśmiechem zamyśleniu, jej słodkim słowom i harmonii ułożonych przez siebie wierszy.

– Moja pani – powiedział Ahmed, kładąc głowę na piersi Mahpeyker – jesteś dziś piękniejsza niż kiedykolwiek, lecz przede wszystkim bardziej niż zawsze zadumana i nieobecna.

A Mahpeyker w tamtej chwili spierała się z własnym rozumem. „Cała sztuczka polega na tym” – powiedział jej rozum. – „Żeby przewidzieć, kiedy co się wydarzy”.

„Ale jak przewidzisz? Jak to zrozumiesz?”.

– Mahpeyker? Mój strzelisty cyprysie?

– Czy mój pan czegoś sobie życzy? – usłyszała głos sułtana, ale w toku myślowej rozprawy nie dotarły do niej jego słowa.

– Powiedziałem, że jesteś dziś bardziej piękna i zamyślona niż kiedykolwiek.

Natychmiast zebrała się w sobie. Tym razem jej uśmiechowi towarzyszyło tęskne, przeprasające spojrzenie.

– Niech wielmożny padyszach wybaczy swojej służce. Odpłynęłam. Myślałam o naszym księciu i jego siostrach.

Nagle dziwne uczucie obudziło się w Mahpeyker. Wyczuła coś jak cień zaniepokojenia w głosie i oczach sułtana. „Nie uwierzył” – przeszło jej przez myśl. „Tym razem mi nie uwierzył”.

Kilka dni po powrocie z Edirne Semiha oznajmiła Mahpeyker, że jakaś zapłakana kobieta prosi o audiencję.

– Czyżby nie mogła ci przekazać tego, co ma do powiedzenia?

– Nalegałam, moja pani, ale ona tylko pochyliła głowę i zaszlochała. Podobno ma coś takiego do powiedzenia, że tylko raz w życiu się na to zdobędzie. I tylko przed wami.

Kobieta, którą sprowadzili przed oblicze Mahpeyker, wywarła na niej dobre wrażenie. Była trochę posunięta w latach, ale piękna. „Słodka jak

cukier” – przeszło jej przez myśl. Ale od razu zauważyła, że w oczach przybyłej czają się głęboki wstyd i potworne cierpienie.

– Słucham, moja dobra kobieto. Powiedz, co cię trapi, a postaramy się znaleźć rozwiązanie.

– Mój mąż pochodzi z rodu Proroka – powiedziała cicho – jednego dnia zarządca jednego z mężów stanu... nazywa się Dzebrail... wdarł się do mojego domu i... i... – nawet z miejsca, w którym siedziała, Kösem mogła zobaczyć, jak na bladych policzkach kobiety pojawiają się czerwone plamy. – Ja... ja... – wyszłochała raz czy dwa żona sajjida, ale głos uwiązł jej w gardle, a policzki zrosiły płynące naraz łzy. Za nic nie mogła mówić dalej.

„Nie ma zresztą takiej potrzeby” – pomyślała Mahpeyker.

– Czy ten mężczyzna... – powiedziała. – Czy on cię...?

Nie dokończyła, żeby jeszcze bardziej nie zawstydzić kobiety.

Wybranka sajjida pokiwała głową na znak potwierdzenia.

Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć ani co zrobić. Ten, kto naprawdę powinien się wstydzić, nie czynił tego. Poniżenie, hańba, schyłanie głowy w upokorzeniu, nie wiedzieć czemu, prawie zawsze przypadało napastowanej kobiecie. „Ten świat jest spaczony” – skarżyła się w myślach. „Jeśli urodziłaś się kobietą, już po tobie”.

W jednej chwili przepłynęły jej przed oczami sceny z dnia, w którym ją porwano – napaść Cypriana, to, jak odgryzła mu ucho, jak przewrócił się na nią mężczyzna, na którego rzuciła się jej przyjaciółka i jak wśród krzyków dziewcząt przybył im na ratunek czarnobrewy Kemal, który zabił obydwu łajdaków. Uśpiony w jej wnętrzu gniew zapłonął od nowa. Wstała i pogładziła po głowie kobietę, która przed nią klęczała.

– Powiedz – powiedziała łagodnie. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Kobieta wyprostowała się i spojrzała na nią z nieśmiałą wdzięcznością. Starła łzy z policzków wierzchem dłoni.

– Wybacz, moja pani – jęknęła. – To, co przychodzi mi do głowy, na język... to takie... – znowu nie mogła dokończyć.

Tym razem Mahpeyker poklepała kobietę po plecach:

– Podejdź tutaj, usiądź sobie chociaż – to mówiąc, pokazała jej miejsce. Machnęła ręką – przynieście wody. I wrzucie do niej jaśminu. Czy jesteście

głodna, moja dobra kobieto?

Zamiast odpowiedzieć, przybyła pokręciła głową. Z trzęsącymi się rękoma piła wodę z przyniesionej przez dwórkę szklanki w złotym koszyczku.

– Jak ci na imię?

– Şaheste.

– Dobrze, a czym sługą jest mężczyzna, który to zrobił? Zapomniałaś powiedzieć.

– Nie za... pom... niałam... – wyjąkała kobieta. – Bałam się powiedzieć.

– Jakiegoś wielkiego pana?

Kobieta ugięła szyję.

– Bardzo wielkiego, tak?

Tylko pocierając oczy, udało się żonie sajjida przekazać potwierdzenie. Zrazu Mahpeyker przestała panować nad gniewem:

– Kto to, kobieto? – podniosła głos. – Czym zarządcą jest ten, kto ci to zrobił?

Zobaczywszy wściekłość damy, kobieta wpadła w popłoch. Popatrzyła na boki ze strachem, że ktoś może usłyszeć, a później pochyliwszy się do przodu, wyszeptała imię.

Jak tylko usłyszała to słowo, Mahpeyker cofnęła głowę. Osłupiała.

– Czego ode mnie żadasz, Şaheste? Nie bój się powiedzieć.

– Widzisz, pani – z trudem zaczęła mówić kobieta. – Nie wystarczyła hańba tragedii, która mi się przydarzyła. Teraz jeszcze jestem cała w strachu... To, co mi się stało, co zrobił Dzebrail... powiedziałam mężowi... Znaczący, musiałam. Czy nie tak, moja pani? Musiałam mu powiedzieć...

– Oczywiście. Czyżby i on źle cię potraktował?

– Ależ nie, pani... to bardzo dobry człowiek. Nigdy nie zrobił mi niczego złego. Nie uderzył, złego słowa nie powiedział – spojrzała przed siebie z wyrzutem sumienia. – Tylko naradziliśmy się, razem płakaliśmy. Ten człowiek ma plecy, ach, co ma poradzić kobieta? Przyjmie cios, będzie cicho siedzieć. Ale czy mężczyzna też taki jest? Gniew mężczyzny wygląda inaczej. Nie da się go tak łatwo zdusić.

„Nie wiedzieć czemu” – naraz zagotowała się w środku Mahpeyker.

„Kobieta ma siedzieć cicho, a mężczyzna wścieka się do woli... A co z furią kobiety? Kobieta jest zgwałcona, ale to mężczyzna wpada w szal”. Z trudem się powstrzymała, żeby nie powiedzieć: „Gniew kobiety też bywa straszny. Powinien taki być. Przeklinać i unicestwiać. Powinien jak pożoga palić wszystko na swej drodze”.

– Mój mężczyzna – ciągnęła Şaheste – wpadł w amok. „Lepiej niech padyszach każe mi ściąć głowę, niż żebym miał żyć z takim wstydem. W ten piątek podejść do sułtana, gdy będzie wchodził do meczetu, rozwiążę turban i rzucę mu pod nogi. Powiem też, co mam na myśli”. Jak tylko to powiedział, wyszedł, zniknął gdzieś. Od tamtego dnia nie wrócił. Ech, pani, moja pani o pięknej twarzy i pięknym wnętrzu. Jutro piątek. Husejn... czy powiedziałam, że imię mojego męża to Husejn? Nie mam pojęcia, co robić. Błagam, wybaczcie mi. Jeśli jutro Husejn zrobi coś niegodnego przed obliczem sułtana, na pewno go zabiją... Pomóż nam, błagam!

Mahpeyker próbowała pocieszyć kobietę kilkoma urwanymi słowami. Wiedziała, że cokolwiek powie, na nic się to nie zda. Şaheste nie tylko spali się w bólu i gniewie po tym, jak ją napadnięto, ale i jeszcze będzie sobie wyrzucać, że przez nią splamiony został honor jej męża. „Honor mężczyzny, gniew mężczyzny, ha” – pomrukiwała cały dzień. Postanowiła, że nawet jeśli władca nie przyjdzie wieczorem na jej pokoje, wyśle wiadomość i pójdzie do Ahmeda.

Ale to sułtan Ahmed przyszedł. Po tym jak zjadł posiłek, padyszach zaszył się w przygotowanym dla niego rogu kanapy i oparł plecy o wypchane poduszki. Jak zwykle podłożył jedno kolano pod brodę i zaczął przekładać koraliki perłowego tespihu.

Ahmed, nie dając nic po sobie poznać, przyglądał się ruchom Mahpeyker. Sądził, że kobieta nie zdaje sobie z tego sprawy, ale Kösem wiedziała, że znajduje się pod obserwacją. Tego wieczoru, zamiast spokojnej, wyważonej pozy, której używała zawsze, by wysondować, czy padyszach jest na coś zagniewany, przybrała zupełnie inną. Jej ruchy były szybkie, niepewne, ostre. Ponadto niczego nie mówiła w czasie posiłku Ahmeda, nie rozśmieszała go opowieściami o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia. Nie zaśpiewała mu nawet piosenki, choć wiedziała, jak

bardzo to lubił.

– Czy masz mi coś do powiedzenia?

Mahpeyker nie owijała w bawełnę.

– Mam problem, mój wielmożny sułtanie. Co by znaczyło rzucenie turbanu na piątkowym zgromadzeniu?

– W mojej obecności, tak? – gdy Ahmed zobaczył, że Mahpeyker milczy, ciągnął dalej. – Wielką bezczelność. „Ha, weź sobie ten turban i nasadź na głowę. Bycie twoim poddanym jest niezgodne z religią”.

Ciężka jest kara za tę zniewagę.

– Czy śmierć, mój panie?

Tym razem Ahmed milczał. Odwrócił wzrok.

– A co jeśli ten, kto rzucił turban, ma rację?

– Rację? Och, moja piękna, ten, kto znieważa sułtana, nie może mieć racji.

– A jeśli ma, Ahmedzie? Co wtedy, mój sułtanie?

Mahpeyker przypadła do kanapy, na której siedział sułtan, przyklękła przed nim i opowiedziała to, co stało się Şaheste.

– Jeszcze raz pytam: czy godzi się zabijać człowieka, który rzucił turbanem?

Ahmed długo patrzył na nią bez słowa.

Następnego poranka na piątkowej ceremonii w meczecie spośród zgromadzonych wychylił się mężczyzna w białym turbanie. Patrząc sułtanowi Ahmedowi w oczy, zdjął nakrycie głowy i jednym ruchem wyrzucił je przed siebie.

– Na kogo mam się poskarżyć przed Allahem? – zakrzyknął. – Na ciebie? Na tego, któremu powierzyłeś swą pieczęć i majątek? Czy też na sługę, który nie wstydy się przynieść hańby ani swojemu panu, ani tobie?

Gwardziści natychmiast rzucili się na mężczyznę i, łapiąc go za ręce i nogi, powalili na ziemię.

– Puście go! – huknął w tym momencie padyszach. – Utnę dłoń temu, kto podniesie rękę na poddanego szukającego przed nami sprawiedliwości w obecności Allaha! Wara!

Po piątkowym nabożeństwie wezwał mężczyznę do siebie, ale nie

pohańbił go pytaniem o jego zgryzotę.

– Idź, sajjidzie Husejnie – powiedział. – Weź swoją rodzinę i jedź do Bursy. Powierzam ci pieczę nad grobami moich przodków. Opiekuj się nimi dobrze. Niech będą zadbane. Niech Bóg Wszechmogący usłysz twoje skargi. Kara dla złoczyńcy jest już blisko. Dalej, idź! Idź, żebyśmy mogli zrobić to, co należy.

Ahmed czekał tydzień, żeby wykonać to, co należało. Tego piątkowego poranka ludzie dopiero co wyszli za drzwi, a już wyczuli coś dziwnego w powietrzu. Żołnierze utworzyli żywy mur na zewnątrz wałów. Lud, który wylał się na ulice, oczekując wyjścia padyszacha z meczetu i tych kilku miedziaków, które miały być rzucone, srodze się zawiódł, bo sułtan Ahmed nie zjawił się po piątkowych modłach. Gawiedź z zaciekawieniem obserwowała, jak z pałacu wychodzą zarzucający w marszu frędzlami stożkowatych czapek gwardziści sułtana i idący za nimi w ślad batalion żołnierzy. Oddział szybko doszedł do Paşakapısı. Nasuh Pasza, jeszcze nie rozumiejąc, co się dzieje, został uduszony przez wpadających do środka strażników. Szarpał się jeszcze i krzyknął przed śmiercią:

– Litości! Czym sobie zasłużyłem na wyrok sułtana?

– Milcz, degeneracie! – głos jednego z gwardzistów zdawał się przeszywać niebo i ziemię. – Zamiast mówić „Bóg jest jeden” i cieszyć się, że przynajmniej idziesz przed oblicze Stwórcy, będziesz się tutaj czegoś dopraszał od naszego pana? Zacisnąć pętlę!

Gdy usłyszeli o egzekucji swojego zwierzchnika, na wezyrów padł blady strach. „Jeśli nawet Nasuh Pasza, który pobił safawidzkiego szaha Abbasa na polu bitwy i narzuciwszy mu haracz, wrócił triumfalnie do pałacu, tak nagle upadł, to kto wie, co mnie może czekać?” – przerazili się wszyscy w stolicy. Mówiło się im, że padyszach wpadł w szal, gdy się dowiedział, że Nasuh Pasza dorobił się liczonej w milionach złotych dukatów fortuny za pomocą łapówek, a przecież co to? Czy dla sułtana było nowością, że w kraju nic się nie odbędzie bez przekupstwa?

Bardzo niewielu ludzi w Stambule mogło poznać prawdziwą przyczynę zabicia Nasuha Paszy, a ci, którym się to udało, krzyczeli w myślach z niedowierzania. Niewolnica sułtana najpierw stała się faworytą, a teraz najwyraźniej wywyższono ją na padyszacha, że zaczęła odbierać

życie. Niech Bóg zlituje się nad nami!

*Nowy Pałac, harem
Początek jesieni 1617 roku*

Sułtan Ahmed nie zakończył burzy. W miejsce skazanego na śmierć Nasuha Paszy na stanowisko wielkiego wezyra powołał Mehmeda Paszę zwanego Bawołem. Nowy sadrazam natychmiast wyruszył na wyprawę, by ukarać szacha Abbasa przetrzymującego sułtańskiego posła, Ćnciliego Mustafę. Jego rządy nie trwały jednak nawet roku, gdy doznał porażki pod twierdzą erewańską i Ahmed uczynił wielkim wezyrem Halila Paszę.

Szach Abbas, zdając sobie sprawę, że nowy osmański serdar pójdzie na niego z większymi siłami, zaczął grać na zwłokę i wysłał do stolicy posłańca z nieprzeliczonymi podarkami. Padyszach nie przyjął jednak posła Kasima, tylko kazał go pojmać i wtrącić do lochów Twierdzy Siedmiu Wież. Powitał za to przybyłego w tych samych dniach do Stambułu habsburskiego ambasadora Czernina, bo ten rzucał w kierunku szacha obelżywe słowa. Czernin, który pojawił się w pałacu ze wspaniałym orszakiem i darami wartymi pięćdziesiąt tysięcy złotych monet, poprosił o przedłużenie pokoju.

Myślami Ahmed był na hipodromie, gdzie kontynuowano wznoszenie nowego meczetu. Zachowywał się jak w gorączce. Każdego dnia wypytywał o szczegóły majstrów i architektów, a także przychodził na plac budowy, by zagrzewać do pracy robotników. Gdy minarety zaczęły się wychylać ponad teren konstrukcji, potrafił godzinami w nabożnej trwodze stać u ich boku, zanurzony w innym świecie.

Właśnie w ciągu któregoś z tych dni padyszach ni z tego, ni z owego zapytał Mahpeyker:

– Słyszałem, że w Pawilonie Sinana Paszy jest taki instrument, który

niewoli każdego, kto go usłyszy. Wiedziałaś o tym?

Przytaknęła zamiast odpowiedzieć.

– Nie słyszałam go, ale doszły mnie plotki o jego cudowności. Mówią, że jest zaczarowany i że został dawno temu podarowany Waszemu ojcu, pokój jego duszy, sułtanowi Mehmedowi przez angielskiego posła.

Władca kazał na nim grać i często go słuchał, a później kazał przenieść do Pawilonu Sinana Paszy.

Nagle zaczęła wątpić, czy postąpiła słusznie. Ahmed nienawidził, gdy ktoś wiedział coś, o czym on nie miał pojęcia. Tyczyło się to szczególnie kobiet i nieważne, że tą kobietą była akurat Mahpeyker.

– Ponoć niektóre kobiety z haremu chadzały tam, by grać, śpiewać i tańczyć.

Patrząc kątem oka, Mahpeyker zauważyła, że Ahmed jest niezadowolony.

– Aż tyle mi nie wiadomo, panie. Jeśli zechcesz, natychmiast zacznę wypytywać i się dowiem – wyszeptała. Dorzucając co rusz kilka słów, udało jej się zmienić temat.

Właściwie wyszło na jaw, że tylko jej się wydawało, że zdołała go zmienić.

Następnego dnia sułtan z wściekłością udał się do Pawilonu Sinana Paszy. Przesiadujący tam ludzie, zobaczywszy padyszacha w zupełnie nieoczekiwanym momencie, wręcz osłupieli. Niepoprzedzone żadną wiadomością przybycie wielkiego władcy nie wróżyło nic dobrego.

– Gdzie jest instrument? – spytał Ahmed.

W te pędy zaprowadzili go do salonu z kopułą. Padyszach przez wiele minut stał z boku wykonanych przez mistrza Dallama organów. Niczego nie dotykając, kręcił się to tu, to tam i bardzo długo badał konstrukcję. Jego uwagę najbardziej przykuwały znajdujące się na powierzchni małe dzwonki oraz rzeźbienia w kształcie ptaków i aniołów. Pokręcił głową w jedną i drugą stronę i wymruczał:

– Wstyd! Co za wstyd!

Organista usiłował powiedzieć coś władcy, ale Ahmed go powstrzymał:

– Nie chcę! Wystarczy, że pokażesz mi, jak na tym grasz!

Mężczyzna w pośpiechu zasiadł do klawiatury. W miarę jak naciskał

na pedał i olbrzymie miechy napełniały się powietrzem, z wnętrza organów zaczął dobiegać szeleszczący dźwięk.

– Co to za odgłos, mistrzu?

– Powietrze, mój panie. Piszczalki tego instrumentu wydmuchują powietrze, dlatego zanim zaczniesz się grać, należy napełnić nim miechy. A później, naciskając na te białe-czarne klawisze...

– Jaki wydaje dźwięk?

Mężczyzna nacisnął jeden z ułożonych przed nim w cztery rzędy przycisków i miech wdmuchnął powietrze do którejś z opartych o ścianę długich i krótkich metalowych rur. Na moment pod kopułą pawilonu zawisł basowy dźwięk C, później cieńszy H bemol, po nim zaś fis.

Zamiast powiedzieć: „Dość!” padyszach uniósł rękę.

– Wydmuchuje powietrze, biel i czerń dają dźwięk. Ten, kto to zbudował, najwyraźniej, niech Bóg broni, postawił się na miejscu Allaha – wyburczał, i jak w gniewie przyszedł, tak wyszedł.

Kolejnego dnia wspaniałe dzieło sztuki, jakim były organy mistrza Dallama, zostało rozbite na kawałki toporami i młotami, a następnie doszczętnie spalone.

Mahpeyker cierpiała, gdy jedna z dziewcząt, cała we łzach, opowiadała jej zdarzenie, ale nic nie mogła zrobić. Ponadto znowu była w ciąży.

W odpowiednim czasie urodziła trzecią córkę, której sułtan Ahmed nadał imię Hanzade.

Jeszcze Hanzade nie zaczęła chodzić, a już Mahpeyker ze zmieszaniem wyszeptała padyszachowi, że znowu nosi w sobie jego dziecko. Dziewięć miesięcy później urodziła drugiego syna.

Heroldzi ogłaszali w stolicy narodziny kolejnego księcia, grając na swoich bębnach, i Ahmed przybył w pośpiechu. Wziął syna w objęcia, mocno przytulił i przyczepił do jego powijków ogromną złotą monetę.

– Nazywasz się Ibrahim – wyszeptał do ucha dziecka. – Obyś szedł drogą Allaha jak prorok Abraham. Bądź tak jak on sprawiedliwy, jak on błogosławiony.

A później ochrypniętym głosem zamruczał do ucha Ibrahima pierwszy ezan.

Mahpeyker zdziwiła się, zauważywszy, że głos padyszacha jeszcze

nigdy nie był tak przepelniony uczuciem.

Przyglądając się sułtanowi wraz ze swoim malutkim synkiem, mówiła do siebie w myślach: „Późno ruszyłam, ale patrz Mahfiruz, przegoniłam się. Pyszniłaś się, jak to dałaś padyszachowi dwóch książąt. Ha, ja dałam mojemu władcy czwórkę dzieci. Weź teraz ode mnie dwóch synów. Ja mam jeszcze dwie sułtańskie córki!”

– Bądź pochwalona w dwóch światach, moja Mahpeyker.

Gdy usłyszała głos padyszacha, porzuciła porachunki z Mahfiruz. Sułtan Ahmed pochylił się i ucałował ją w czoło, a na palec nałożył jej pierścień, którego wspaniałość przewyższała wszystko, co do tej pory widziała. Kiedy odbijały się od niego słoneczne promienie, z kamienia wystrzeliwały iskrzące ogniki, olśniewając jej oczy.

– Panie mój, znowu uhonorowałaś...

– Powiedz, jakie jest twoje życzenie, moja światłości.

– Czego mogę sobie życzyć prócz zdrowia i szczęścia Waszej Wysokości?

– Mów, śmiało! Tak mnie uradowałaś, że cokolwiek zrobię, będzie za mało, ale nieważne, mów, czego pragniesz!

I właśnie w tym momencie Mahpeyker wyszeptała do ucha sułtana Ahmeda życzenie, które od lat chowała w ukrytych zakamarkach swojego umysłu.

Padyszach się zdziwił, słysząc, o co prosi.

– Czy to wszystko?

– Mhm – pokiwała głową jak zawstydzona dziewczynka. – To wszystko.

Czego więcej mogła chcieć? O ile istnień prosiła?

Sułtan się uśmiechnął i złożył pocałunek na jej czole.

– W takim razie, moja piękna Kösem, już niedługo twojemu życzeniu stanie się zadość.

Nie pojedynczo, ale całą piątką zwały się na nią katastrofy i żadne z życzeń Mahpeyker nie zostało spełnione.

Pewnego popołudnia dostała wiadomość, że padyszach oczekuje jej w ogrodzie różanym, więc czym prędzej się tam udała. Sofia i piastunka księcia Ibrahima podążyły za nią krok w krok.

Ahmed jak zwykle wyszeptał jej, że jest piękna niczym anioł i pieszczotliwie uszczypnął Ibrahima w policzek, ale nie było w nim radości. Zdawało się, jakby miał zaraz coś powiedzieć, ale nie był w stanie, jakby nie wiedział, skąd wyciągnąć słowa. Niespodziewanie zmierzył Sofię smutnym wzrokiem i cicho powiedział do Mahpeyker:

– Wyrosła. Nadszedł czas, żeby znaleźć jej męża.

Mahpeyker pokiwała głową, aby pokazać, że jest jednej myśli z sułtanem. Nie zapomniała też spojrzeć kątem oka na Sofię, żeby wysondować, czy ta przypadkiem słyszała. Bała się otwierać temat, bo dziewczyna przy pierwszej okazji wyznała jej, że jest zakochana w stajennym Ahmedzie.

– Siostró, siostró, moja piękna starsza siostró, chciałabym za niego wyjść – marzyła o tym, by móc się w niego wtulić, a Kösem spinała się na te słowa. Była pewna, że, koniec końców, będzie zmuszona poruszyć kwestię, ale modliła się, żeby ta chwila nadeszła jak najpóźniej.

Teraz jednak nie miała do tego głowy. Skupiony wyraz twarzy sułtana i jego milczenie zaczęły ją napełniać coraz większą paniką. „Co ten mężczyzna mi powie?” – przeszło jej przez głowę. W końcu Mahpeyker nie wytrzymała:

– Czy chcieliście coś powiedzieć swojej służce, mój panie?

Padyszach z trudem wstał z miejsca i po tym, jak chwilę pochodził po altanie, przystanął przed nią i chwyciwszy za ręce, uniósł je do góry.

– Jest mi przykro z powodu twojej straty, moja pani.

Co? Zszokowana Mahpeyker naraz straciła zdolność logicznego myślenia. Jakby jej mózg i wszystkie komórki nagle zmroziło. Ahmed przyciągnął ją do siebie i objął ramionami.

– Twój ojciec zmarł dużo wcześniej, twoja matka w zeszłym roku. Obydwoje przenieśli się do wiecznej chwały. Oby Pan dał ci długie życie, moja piękna pani.

Przez chwilę bezmyślnie patrzyła na sułtana pustymi oczami. Głos Ahmeda nadal rozbrzmiewał jej w uszach.

„Twój ojciec zmarł dużo wcześniej, twoja matka w zeszłym roku. Obydwoje przenieśli się do wiecznej chwały. Oby Pan dał ci długie życie, moja piękna pani”.

„Zmarł” – podniósł się krzyk w jej wnętrzu i zaczęły jej drgać usta. „Obydwoje umarli! Ojciec już dawno temu, ale moja mateczka aż do zeszłego roku trwała przy życiu. Zmiłuj się, Boże! Spóźniłam się, spóźniłam, spóźniłam!”

W jednej chwili z jej oczu popłynęły łzy. Sułtan Ahmed oparł jej głowę o swoją pierś i poklepał po plecach. A ona się spóźniła. „Ach, gdybym tak wcześniej poprosiła Ahmeda o sprowadzenie matki i ojca do stolicy”.

„Pod żadnym pozorem się nie spóźniaj, córko” – usłyszała w głowie słowa Safiye Sultan. „Zrobiłam to, szlachetna dobrodziejko” – wyjęczała w środku. „Spóźniłam się. Zaspałam w poszukiwaniach moich rodziców, matko Safiye”.

Sułtan posadził ją na sofie pod altaną i podłożył jej poduszkę pod plecy. Na oczach dwóch osłupiałych niewolnic nalawszy wody do szklanki, przyniósł ją żonie, a później usiadł obok Kösem i pomógł jej pić.

– Jak? – wyszeptała Mahpeyker. – Jak to się stało?

– Po tym jak zniknęłaś, twój ojciec opuścił wioskę, żeby cię odnaleźć i sprowadzić z powrotem. Twoja matka też chciała z nim iść, ale jej nie pozwolił. „Zostań w naszym domu. Jeśli Nastja wróci, nie może go znaleźć pustego”, powiedział i poszedł.

Jeśli Nastja wróci...

„A ty nie wróciłaś, Nastjo” – wyrzucała sobie w duchu. Nie wróciła! Pozwoliła się wciągnąć jakiemuś szalonemu prorocत्वu, straszliwemu pragnieniu i nie wróciła!

Znaczy, że biedna matka przez lata czekała na jej powrót.

Marząc o dniu, w którym znowu się pojawi, liczyła dni i miesiące.

„Ale nie wróciłaś” – odezwał się w niej złamany głos – „Nie wróciłaś, bo w twojej głowie nie było miejsca na nic poza bawieniem się w królową”.

Ból ją rozdzierał. Tak, była już królową! Osieroconą królową! Nie miała ani matki, ani ojca.

Nie było jej ojca, Kostasa Vasilidisa i jej matki, Marii.

„Nadii też nie ma” – zabrzączało jej w głowie. – „Zapomniałaś? Już dawno umarła. Teraz jesteś ty. Piękna i potężna królowa imperium osmańskiego, Mahpeyker Kösem Sultan!”.

Po raz pierwszy nie uniosła dumnie głowy, myśląc o swoich

spełnionych marzeniach. „Co mi z tego?” – mówiła do siebie. – „Jestem królową-sierotą!”.

Wizja, w której Mahpeyker sprowadziła rodziców do Stambułu i rzuciła się im w ramiona, wołając: „Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie!”, zawałiła się tego dnia do szczętu.

W tych czarnych chwilach jedyną pociechą były dla niej urodziny kolejnego syna, któremu padyszach nadał imię Sulejman.

Drugie życzenie Mahpeyker też się nie spełniło. Miesiąc później zamiast Mirny pojawił się list.

„Ty szalona wyspiarko – napisała na początek. – Zdziwiłam się, widząc, jak do posiadłości zbliżają się przybyli do Kumanowa panowie. Już od dłuższego czasu nie mamy żadnych gości. Ha, kiedy się dowiedziałam, że to Ty ich do mnie wysłałaś, moje zaskoczenie jeszcze wzrosło. Nie jestem w stanie opisać, jak bardzo się ucieszyłam, jak bardzo jestem z Ciebie dumna”.

Było tak, jakby Mahpeyker słyszała głos kobiety. Miała tuż przed oczami jej rozświetloną, uśmiechniętą twarz. Z tęsknoty aż łzy napłynęły jej do oczu.

„Oczywiście po tym, jak wrócił Slobodan, nie mogliśmy mieć o Tobie żadnej wiadomości. Raz czy dwa spytałam pana. «Wzięli Nastję do pałacu», powiedział, «Służy teraz w haremie». Ha, a w ogóle, żona pana odeszła, obyś ty zaś cieszyła się długim życiem. Bej Ibrahim już nie jeździ na wojnę i całe dni spędza tutaj”.

Ze słów kobiety wywnioskowała, że Mirna jest z tego w najwyższym stopniu zadowolona. „Znaczy, że zostałaś ze swoim ukochanym sam na sam, kochana siostrzyczko” – przeszło jej przez głowę.

„Wprost nie jestem w stanie opisać, jak się ucieszyłam, gdy panowie, którzy przyszli do posiadłości, powiedzieli, że jesteś teraz jedyną wybranką naszego pana. Och, moja piękna syreno! To znaczy, że pobiegłaś w ślad za tym wyśmiewanym przez Ciebie prorocstwem, spełniłaś marzenia. W końcu stałaś się królową imperium osmańskiego, urodziłaś Osmanom księżęta i księżniczki. Oby Allah zamieniał w złoto, czegokolwiek się dotkniesz. Teraz wyobrażam sobie Ciebie w sułtańskich sukniach. Och, jakże Ci muszą pasować i jak bardzo jeszcze

wypiękniałaś. To pewne, w końcu wszyscy w państwie mówią, jak wielka jest twoja uroda i jak szaleńczo kocha cię padyszach. Przysięgam, że Turcy osmańscy do dziś dnia nie widzieli piękniejszej niż ty sułtanki. Niech Cię Allah ozłoci”.

Dopiero zobaczywszy, że kartka w jej ręce jest mokra, Mahpeyker zrozumiała, że z oczu ciekły jej łzy.

„Panowie obwieścili mi, że przybyli do Kumanowa na rozkaz wielmożnego padyszacha i że Mahpeyker Kösem Sultan zaprasza mnie do stolicy, gdzie chciałaby, abyśmy odtąd żyły razem jak za dawnych lat. Nie zapomniałaś o mnie, Nastjo. Umiłowałaś mnie”.

„Jasne, że umiłowałam” – załkała Mahpeyker. „Gdybyś jeszcze wiedziała, jak bardzo” – czytała dalej, wycierając nos.

„Ale to wszystko niemożliwe, moja piękna syrenko. Proszę, nie przepędzaj swojej siostry, Mirny z dala od rzek, do których tak tęskniła. Jestem daleko, ale z porośniętych sosnami gór dociera tu do mnie zapach Dunaju i Sawy. Nie mam też pojęcia, jak się siada i wstaje w ogromnej stolicy, w pałacu naszego pana (a teraz i twoim, rzecz jasna), w skrócie, niczego tak naprawdę nie wiem. Wybacz mi, moja sułtańska córko. Odpuść, tutaj zost...”.

Nie starczyło jej sił w sercu i oczach, żeby przeczytać resztę. Słowa Mirny rozmyły się od łez.

– Siostrzyczko. – Sofia z obawą spojrzała jej w twarz, ale Mahpeyker niczego nie powiedziała, tylko odsunęła list.

Poczuła, jakby w ciągu jednego miesiąca drugi raz straciła matkę. Nic ją nie obchodziło, co pomyślą i powiedzą dwórki. Szlochała na cały głos. Mahpeyker Kösem też czasem płakała.

Mahpeyker nie dotarła do swojej starszej siostry Mirny, ale ta mogła wreszcie zjednoczyć się z Dunajem i Sawą. Na rozkaz sułtana Ahmeda dokładnie u zbiegu dwóch rzek zakupiono jej dom. Jeden z ludzi bejlerbeja Rumelii przybył do majątku w Kumanowie i przywiózł ze sobą rozkaz uwolnienia Mirny oraz dokumenty budynku, który dla niej kupiono w Belgradzie.

Nie minęło wiele czasu, a do Mahpeyker przybył kolejny list od Mirny: „Połączyłaś mnie z moimi rzekami, Ty szalona wyspiarko. Teraz

wierzę, że nie ma takiej rzeczy, której Mahpeyker Kösem nie mogłaby zrobić. Przenieśliśmy się tutaj z bejem Ibrahimem i teraz on ogląda Dunaj, a ja Sawę. Ach, gdybyś zobaczyła, jak się splatają w pienistych uściskach! Nastja... nie wiem, co powiedzieć. Niech Cię Allah ozłoci...”.

To nie Sofia, tylko padyszach rozpoczął rozmowę, na którą w strachu oczekiwała. Któregoś wieczoru sułtan Ahmed spytał Mahpeyker, ile lat ma Sofia.

– Piętnaście – odpowiedziała cicho, nie ukazując swojego zdziwienia. Tak właściwie Sofia kończyła już szesnaście.

– Doskonale – powiedział padyszach. – Jest tak, jak myślałem. Ma odpowiedni wiek.

– Powiedziałeś „odpowiedni”, mój panie. Do czego odpowiedni?

– Do ożenku, Mahpeyker. Chcę ją wydać za jednego z moich paszów.

Mahpeyker nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy powinna się cieszyć, czy smucić? Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Sofia jest w odpowiednim wieku do zamążpójścia. Tak samo jasne było, że nie może pozwolić na ślub dziewczyny ze stajennym Ahmedem, który zdobył jej serce. Przeznaczono dla niej dobre małżeństwo, który zapewni jej bezpieczną przyszłość. O tyle o ile było to możliwe dla osmańskiej kobiety, rzecz jasna, ale przynajmniej miała jakąś gwarancję. Ślub z Sofią oznaczał także rozłąkę, a Bóg wiedział, och, Bóg wiedział, że wcale tego nie chciała.

Życie bez Sofii wydawało się jej czymś niemożliwym.

– Za paszę? Którego?

– İstanköylü Alego Paszę, on też jest z pochodzenia Grekiem. Można ich uznać za rodaków.

„Tyle że Sofia nie jest Greczynką” – pomyślała Mahpeyker, ale nic nie powiedziała.

– Co się dzieje? Zamilkłaś. Uważasz, że to niewłaściwe?

– Nie, skądże – spłoszyła się. – To, co nasz pan uznaje za stosowne, oczywiście takie jest. Nie spodziewałam się tego, więc jestem zaskoczona... tylko... jest jedna rzecz...

– Chcesz powiedzieć, że za stary? Bez przesady, moja piękna pani. Ali Pasza jeszcze nie ma czterdziestki. A i przystojny jest ten İstanköylü.

Mówią na niego Gładki Ali. Mądry jest, przebiegły. Ma przed sobą przyszłość. Myślę o tym, żeby w ramach prezentu ślubnego przyjąć go do dywanu i uczynić piątym wezyrem. W ten sposób Sofia znowu będzie stać jedną nogą w pałacu i nie będziecie musiały się rozstawać.

„Ale Sofia ma dopiero piętnaście lat” – pomyślała Mahpeyker, nie dała tego jednak po sobie poznać.

– Wygląda to bardzo stosownie, mój panie.

Nie spała tej nocy.

Myśl o tym, jak zareaguje Sofia na tę wiadomość, szalenie ją przerażała.

Stało się dokładnie tak, jak się obawiała. Sofia w ogóle nie zareagowała. Nie płakała, nie krzyczała, nie podniosła też lamentu: „Nie chcę, ja kocham Ahmeda!”.

Uniosła tylko głowę i spojrzawszy w oczy Mahpeyker, wyszła bez słowa.

Od razu zaczęły się ślubne przygotowania. Kösem zobaczyła pana młodego zza krat kafesu. Był wysoki i pełen gracji. Nic dziwnego, że mówią na niego Gładki. Był przystojnym mężczyzną. Mógł skraść serce Sofii, sprawić, żeby zapomniała o Ahmedzie.

Sofia nie założyła podczas ślubu czerwonego welonu.

– Ach, dziewczę, ty moje, toć ci mówię i mówię, nie rozumiesz. Zwyczaj taki, do ciebie gadam. Rozumiesz? Zwyczaj. Tradycja. Nie do łamania. Trza ci te włosy zakrywać czerwonym welonem – narzekała kalfa Hayganoş.

Ale Sofia nie zakryła.

Z drugiej strony kafesu słuchała głosu swojego przyszłego męża. Hodża efendi spytał:

– Czy zgadasz się wejść w związek małżeński, moja córko?

Mahpeyker wydało się, że minęło tysiąc lat, zanim tamta przerwała ciszę.

– Zgadzam się – wyszeptała w końcu.

Gdy ślub został zawarty, po obydwu stronach kafesu stłoczyli się ludzie z gratulacjami. Dwórki, córki i żony bejów ustawiły się w kolejce, by złożyć życzenia Sofii. Panna młoda zbladła, gdy Mahpeyker wystąpiła

naprzód. Kösem wiedziała, że głęboko zraniła dziewczynę. Piękna starsza siostra oddała śliczną Sofię nie temu, kogo ta kochała, ale jakiemuś podstarzałemu mężczyźnie. Zrazu Mahpeyker zdała sobie sprawę, że do oczu napływają jej łzy i zagryzła usta, żeby się nie rozpłakać.

– Podejdź no tutaj – powiedziała łagodnie. – Chodź do mnie, mój fiołku, moja Sofijko, moja siostró w welonie – przyciągnęła ją do siebie za łokcie i objęła. – Wybacz mi – wyszeptała dziewczynie do ucha. – Tak będzie dla ciebie lepiej.

Jeszcze mocniej objęła dziewczynę, wciągnęła jej zapach, pogładziła włosy, ucałowała w oba policzki. Miała mokre usta. Na języku zostały jej słone łzy Sofii.

– Nie płacz – zaklinała. – Bądź szczęśliwa. Będziesz szczęśliwa.

Ale Sofia delikatnie uwolniła się z jej objęć, przez chwilę patrzyła Mahpeyker głęboko w oczy i wyszeptała:

– To ty bądź szczęśliwa. Żegnaj, siostró.

A później się odwróciła, podeszła do krewnych męża i wyszła razem z nimi. Mahpeyker już nigdy więcej jej nie zobaczyła.

Krótko przed wieczornym ezanem dobiegł do niej krzyk Semihi.

– Pani! Pani! Na litość boską! Tragedia!

Spanikowana Mahpeyker podbiegła do drzwi.

– Co jest? Co się dzieje, Semiho?

Włosy dziewczyny były całe w nieładzie, a twarz przypominała białością kredę. Mało brakowało, a zemdlałaby w ramionach dwóch dwórek, które przybiegły jej na pomoc. Cała była we łzach.

– Semiho, co ci się stało?

– Sofia – załkała dziewczyna. – Sofia...

– Co z Sofią?

Boże! Poczula, jak w żyłach zastyga jej krew.

– Co z Sofią? Co...

– Nie żyje! – wykrzyknęła Semiha – Sofia nie żyje! Za domem Alego Paszy jest pusta studnia. Ona...

Mahpeyker nie usłyszała reszty. Zemdlała, a gdy upadała na ziemię, w jej głowie odbił się echem straszliwy głos:

„Witaj w krainie ciemności, królowo śmierci!”

„Nie! Nie!” – usłyszała czyjeś wołanie. Ale kto tak krzyczał? Czy ona sama?

Nie poszła, aby ją zobaczyć. Nie była w stanie. „Jakim prawem miałabym tam pójść?” – ciągle pytała samą siebie. „Jakim prawem miałabym spojrzeć na jej piękną, ale już pozbawioną życia twarz? To ja ją zabiłam. Ja, królowa śmierci!”

To znaczyło, że zdecydowała o śmierci dziewczyny już w dniu, gdy się dowiedziała, że wydadzą ją za kogoś innego niż jej ukochany. To dlatego nie założyła czerwonego welonu. Dlaczego miałaby to zrobić, przecież nie była panną młodą swego lubego? Wychodziła za mąż za śmierć, a dla tej było bez znaczenia, jest welon czy nie.

Mahpeyker przez wiele dni nie jadła, nie piła, nie mówiła. Nie wiedziała, co to będzie, ale przeczuwała, że zbliża się do niej katastrofa większa od wszystkich pozostałych.

Już nigdy więcej nie wolno jej było się spóźnić. Nigdy.

Wraz z jesienią nad stolicą zaległy czarne chmury. Wiał dokuczliwy wiatr z północnego wschodu. Bywały takie dni, że Mahpeyker myślała, iż połowę świata pochłonął potop. Spadający na morze szary тумan zakrył znajdujące się na przeciwległym brzegu wzgórza, gdzie jesień przemalowała stojące wśród sosen buki najpierw z zielonego na czerwony, a później z czerwonego na żółty. Była córką morza, dobrze wiedziała, czym jest mgła. Jak tylko szary opar dopadał Milos, kobiety wychodziły na wybrzeże i czekały, aż ich mężowie i synowie, którzy wyprawili się na ryby, wyłonią się spośród mgły. Na brzegu robiono straszliwy hałas, żeby ludzie na morzu nie zgubili drogi – bębny, rogi, trąbki, szło w ruch, co tylko było pod ręką. Ale tu było inaczej i czasem przez całe dni połowa stolicy znikwała przed oczu w tej złowróżbnej szarości.

Z duszą ogarniętą mrokiem, wśród oblegającej miasto ciemności, Mahpeyker szukała pociechy w swoich synach. Murad miał już sześć lat i nie licząc ataków epilepsji, był silny i zdrowy jak ryba. Ale gdy przychodził napad... och, serce jej się wtedy krajało. Nie była w stanie

wytrzymać, widząc, jak upada na ziemię, wstrząsany drgawkami.

Była wściekła, gdy zobaczyła, jak niańki, z myślą, by nie zrobił sobie krzywdy, próbowały związać Murada.

– Zostawcie – rzuciła się na kobiety. – Zostawcie, niech mój ksiązę pokona chorobę, niech ją rozedrze od środka i wyrzuci. Jak ma to zrobić, jeśli go zwiążecie?

Wiedziała jednak równie dobrze jak inni, że Murad nie mógł ani pokonać i odrzucić trawiącej go choroby, ani ona nie mogła go zostawić.

Ibrahim miał prawie dwa lata, a Sulejman zaczął już nawet raczkować. Sadzała Murada u swojego boku i godzinami opowiadała mu bajki. Takie, w których występowali przystojni księżęta i piękne księżniczki. Tyle że Murad najbardziej lubił opowieść o drwalu i potworze. W baśni, stary, dobrotliwy król obiecywał, że kto zabije zagrażającą krajowi bestię, temu władca odda swoją przepiękną córkę. Wszyscy księżęta i królowie świata czym prędzej przybywali, aby móc ożenić się z księżniczką o legendarnej urodzie i wkraczali do jaskini, w której żył siedmiogłowy potwór, ale żadnemu z nich nie udało się zabić poczwary. Albo znikali bez śladu w niezgłębionych czeluściach pieczary, albo stawali się żerem dla bestii, albo zobaczywszy, jak siedmiogłowy potwór zieje ogniem, uciekali w przerażeniu. I już gdy król zaczął wierzyć, że nigdy nie uwolni się od bestii, przed jego oblicze wkroczył młody, żyjący w lesie drwal, mówiąc, że chce dołączyć do walczących beznadziejnie zalotników. Oczywiście król nie brał w ogóle pod uwagę, że biednemu drwalowi może się udać misja, z którą nie radzili sobie mężni księżęta, ale mimo wszystko tak się odezwał:

– Idź, ruszaj, drwalu, zabij tego potwora!

A gdy młodzieniec spytał:

– Czy dajesz słowo, że jeśli zabiję bestię, ożenię się z księżniczką?

Król, nie wierząc oczywiście, że śmiałkowi uda się wyjść cało i zdrowo z pieczary, zaśmiał się pod wąsem i powiedział:

– Daję słowo.

Drwal wszedł do jaskini i dając dowód niesamowitej zręczności i sprytu, jedna po drugiej odcinał głowy potworowi. Co z tego jednak, jeśli w miejsce każdej uciętej głowy wyrastała kolejna. Właśnie wtedy drwal

pojął sekret bestii. Nie miało sensu pozabawianie stwora pobocznych czerepów, jeśli największy nadal trzymał się ciała. I tak wyrosłyby kolejne. W końcu mądry i bohaterski drwal nie małymi się zajął, ale ogromną, umieszczoną najwyżej głową, którą osłaniały tamte i tak udało mu się zapełnić worek siedmioma odciętymi czerepami, które zaniósł przed króla ze słowami:

– Weź to, czego żądałeś, daj, o co prosiłem.

A Mahpeyker zawsze kończyła opowieść w ten sam sposób:

– ...i król zgodził się wydać swoją córkę za drwala, i żyli długo i szczęśliwie.

To, co ją dziwiło, to fakt, że Murada interesowała tylko ta część baśni, w której opowiadała o walce drwala z potworem. Nie obchodził go ani król, ani jego piękna córka, ani książęta, którzy wchodzili do jaskini, by zabić potwora i wpadali w jego straszną pułapkę. Najbardziej zachwycał się sceną, w której drwal wskakiwał na wielką głowę potwora i zatapiał mu miecz między oczami.

– Jeszcze raz – mówił, szeroko otwierając oczy – opowiedz jeszcze raz! I Mahpeyker opowiadała.

Ibrahima w ogóle nie zajmowały bajki. Był niepohamowany, jakby siłował się z jakimiś niewidzialnymi siłami. Wchodził na kanapę, przewracał poduszki, wskakiwał na nie i wierzgał, a później zeskoczywszy na dół, zaczynał biec z szeroko rozpostartymi ramionami. Nikt nie mógł go zatrzymać. Zaczął raczkować jeszcze przed pierwszymi urodzinami, a mając piętnaście miesięcy, z łatwością już chodził. Od tego też czasu biegał, aż opadał z sił ze zmęczenia. Nie był w stanie usiedzieć w miejscu dłużej niż minutę. Dwórki, niewolnice, posługacze, mleczna matka – wszyscy mu nadskakowali. Ze swoim śmiechem i z okrzykami Ibrahim niweczył porządek pałacu, w którym ludzie do tego stopnia dbali o zachowanie ciszy, że porozumiewali się niemalże tylko ruchami brwi i oczu. Ibrahim krzyczał i krzyczał, a armia służących drżała ze strachu przed spowodowanym naruszeniem spokoju gniewem sułtana, ale niczego nie mogli zrobić. Mały książę wrzeszczał, nawoływał i biegał co sił.

Właśnie w ciągu tych mrocznych dni Mahpeyker znowu stała się

brzemienna i tym razem ciąża okazała się gorsza niż wszystkie poprzednie. Była w ciemnościach, gdy wzięli ją do pokoju narodzin. Czasem ból przygasał nieco, wracała do siebie i wychodziła z mroku do światła, ale zaraz potem, z nową falą cierpienia ponownie staczała się w czarną otchłań.

W końcu urodziła. Jej czwarty syn zachwycił pałac. Sułtan Ahmed był akurat na obradach dywanu, gdy otrzymał wiadomość. Wstał, natychmiast dokonał ablucji i odprawił dziękczynną modlitwę. Z uniesionymi dłońmi dziękował Bogu.

– Przyjdź do nas, Kasimie Chanie – wyszeptał, zabierając niemowlę z rąk Mahpeyker – nazywasz się Kasım.

Dni stały się tygodniami, a tygodnie miesiącami, ale Mahpeyker nawet tego nie zauważyła. Czuła się tak, jakby porwał ją wiatr i jakby leciała razem z nim. Niańki, mleczne matki i niewolnice mogły zajmować się dziećmi, ale ciągle na nie baczyła. Były jej skarbem. „Czterej książęta, dwie księżniczki” – mówiła sobie z radością. „Przypieczętowałaś swoją przyszłość, Mahpeyker. Urodziłaś dynastii prawie pół tuzina sułtanów!”.

Rozsiadała się wśród poduszek i chichotała wesoło. Wydawało się, że zostawiła z tyłu wszystkie troski i obawy, ale w środku, bardzo głęboko niej coś ją poruszało. Mahpeyker dobrze wiedziała, co to jest.

Zagrożenie.

Właśnie w ciągu tych dni Şarazad powiedziała Mahpeyker o gościu.

– Nie mam ochoty z nikim się widzieć. Już i tak to powietrze mnie dusi, a i nie jestem w stanie słuchać o problemach. Kto to?

– Matka księcia Mustafy.

– Co? Matka brata naszego sułtana?

Şarazad pokiwała głową, patrząc tajemniczo.

– Ona.

Nagle Mahpeyker poczuła w środku dziwny dreszcz. Książę Mustafa i jego matka.

Świat o nich zapomniał. Albo matce i synowi udało się sprawić, by o nich zapomniano. Usunięto ich z zasięgu wzroku, do ukrytego zakątka pałacu, gdzie udawało im się żyć w spokoju. Minęło już z dziesięć lat, jak Mahpeyker trafiła do Stambułu, a nie widziała kobiety nawet jeden raz.

Księcia Mustafy też, rzecz jasna. Mówili, że jest szalony, że rozmawia z kwiatami i śpiewa ptakom. Dworki i służące z chichotem powtarzały sobie plotki na jego temat:

– Słyszałaś? Dorosły mężczyzna, a ponoć jeszcze nie był z kobietą.

– Niece... nie mów.

– A mówię. Podobno pytał, patrząc na to, co ma przed sobą: „A po co Pan to stworzył? Jeśli po to, by lało «wodę», to czy mała dziurka by nie wystarczyła?”. Ha, właśnie tak.

– Przestań, przecież to niemożliwe. Muszą kłamać.

– E tam, nasza Srebrzynka na własne uszy słyszała. Zaklinała się, że to prawda.

Z nieznanego powodu dziewczęta przezwały małą, całkowicie czarną niewolnicę imieniem Srebrzynka, choć na jej ciele prócz barwy smoły nie można było zobaczyć żadnej innej. Nie licząc oczywiście podobnych do pereł równych ząbków i białek oczu, których piękno i u łani wzbudziłoby zazdrość.

W jednej chwili Mahpeyker poczuła, jakby na jej serce spadł rozżarzony węgiel. Głos Sofii echem odbił się w jej uszach: „Mało brakowało, a wpadłabym na Srebrzynkę, gdy szłam w nocy po korytarzu. Dobrze, że się akurat uśmiechnęła, to mogłam zobaczyć jej zęby. Na Boga, inaczej bym jej nie zobaczyła. Szłabym, wtoczyła się na nią i upuściłaby na ziemię jakąś tacę albo talerz”.

Sofia chichotała i chichotała, wspominając to zdarzenie.

„Ech, Sofia” – jęknęła w myślach. „Och, moja droga, moja piękna, jedyna, och, moja ruszałeczko”. Pozbierała się na głos Szarazad:

– Wprowadź, niech wejdzie, wstyd nie wpuścić.

Wstała, żeby przywitać gościa, choć przecież wcale nie musiała. Cóż, samo z siebie tak przyszło. Z kolei jej umysł nie przestawał pytać: „Skąd się tu teraz wzięła ta kobieta?”.

Dreszcze, które przed chwilą nią wstrząsały, stały się teraz jeszcze wyraźniejsze.

Była przepiękną kobietą, a na jej twarzy panował niezmacony niczym spokój. Gdy zobaczyła, że Mahpeyker czeka na nią stojąc, przez jej twarz przebiegł tylko delikatny uśmiech.

– Pani – wymruczała, idąc prosto w jej kierunku. – Jesteście bardzo łaskawe. Wybaczcie... na stojąco tak mnie...

– Proszę, jeśli kazałam pani czekać, to ja powinnam prosić o wybaczenie. Tak właściwie nie potrzebujecie przecież ani pozwolenia, ani ceremonii. Moje drzwi są zawsze otwarte dla szanownej matki mojego szwagra.

Kobieta zatrzymała się tuż przed nią i wbiła w Kösem zielonkawe oczy.

– Jesteście piękna nawet w swoich słowach, moja dobra Mahpeyker. Zadziwia mnie nawet, co idzie najpierw, Wasza uroda czy rozum?

„Moja dobra Mahpeyker?”. Od razu oddzieliła wciśnięte przed pochlebstwem słowa od pozostałych. Co to miało znaczyć? Czyli kobieta nie uznawała ją za panią? W jednym momencie cała jej sympatia wyparowała, ale rozum natychmiast ostrzegł: „Uspokój się. Bądź dla niej miła. Ta wizyta musi mieć jakiś powód”.

– Czy zechcecie usiąść? – Mahpeyker pokazała kobiecie miejsce. – Jak się miewa wielmożny książę? Mam nadzieję, że zdrowie mu dopisuje.

Przez chwilę kobieta patrzyła jej w oczy, jakby chciała odczytać myśli, które przebiegały jej przez głowę.

– Zapewne słyszałyście – wymruczała. – Powiadają, że mój syn jest szalony. Poza tym dobrze się miewa.

Mahpeyker nie wiedziała, co powiedzieć. „Pod żadnym pozorem...” – odezwał się rozum. „Pod żadnym pozorem nie lekceważ tej kobiety”.

– Ależ nie – natychmiast odparowała Kösem.

– Och, tak, tak, nazywają mojego syna szaleńcem. Ci litościwi mówią, że ma „charakter derwisza” – wstrzymała się na chwilę. – Tak właściwie, to wielmożny książę niewiele robi, żeby powstrzymać krążące wśród ludu plotki. Na przykład wczoraj poszedł w zawody ze słowikiem, żeby zobaczyć, który z nich piękniej zaśpiewa. Na oczach sług.

Mahpeyker słyszała kiedyś, że Mustafa z płaczem krzyczał do jakiejś sroki: „Naucz mnie latać!”.

Służący mieli widzieć pewnego razu, jak stał na szczycie muru, rozpostarł ramiona i uniósł poły kaftanu jak skrzydła. Z trudem udało im się ściągnąć księcia. „Zostawcie mnie, będę latać!”. Ponoć jego lamenty

dotarły aż do pałacowej kuchni. Nawet jeśli nie był szalony, z jego głową z pewnością było coś nie tak.

– Wielmożny księżę na pewno stroi sobie żarty, moja pani. Poza tym, wiecie, jacy są ludzie. Przesadzają, a później sami wierzą w kłamstwa, które wypowiedzieli.

Matka księcia Mustafy nie widziała potrzeby, żeby ukrywać, iż waży słowa, których wcześniej z uwagą wysłuchiwała. Pokiwała głową.

– Osobiście nie mam zamiaru się skarżyć, moja dobra Mahpeyker, ale ludzie w państwie też wierzą w pogłoski.

„No i patrz, znowu” – rozgniewała się Mahpeyker. „Znowu nie powiedziała pani”. I gdy przynajmniej próbowała nadać swojej twarzy dobrotliwy wyraz, kobieta powiedziała coś zupełnie niespodziewanego:

– Niech będzie, niech zapamiętają mojego syna jako szaleńca. Pewnego dnia, niech Allah broni, jeśli naszemu padyszachowi coś się stanie i dziecko Mahfiruz wejdzie na tron, być może wtedy przekonanie o szaleństwie mojego syna uratuje mu życie. Obydwe wiemy, że dzieciak nie zostawi ani nas, ani was w dobrym zdrowiu.

„Czekaj chwilę, czekaj!” – rozkrzyczał się panicznie jej umysł. „Kobieta daje ci zaszyfrowane wiadomości”.

Pierwsza: jeśli naszemu padyszachowi coś się stanie...

Druga: nawet nie mówi o tej kobiecie „dobra”. Lodowa królowa jest dla niej tylko Mahfiruz, a to znaczy, że jej nienawidzi.

Trzecia: nie nazywa też Osmana księciem. To tylko dziecko Mahfiruz.

Czwarta: przekonanie o szaleństwie. To znaczy, że według niej Mustafa nie jest chory.

Piąta: boi się, że gdy Osman wejdzie na tron, jej syn zostanie zabity.

– Niech Bóg broni. Oby Allah dał naszemu panu i waszemu księciu długie życie – powiedziała, ale w głowie nadal miała słowa przybyłej.

„Kobieta rzuca ci przynętę” – stwierdziła.

– Wiadomo, że żył w strachu przed śmiercią zesłaną przez jego świętej pamięci ojca. Nigdy nie można było mieć pewności, kiedy wybuchnie i kiedy skończy się jego gniew. Nie było nawet niemożliwe, żeby któregoś dnia za sprawą oszczerstwa nie odebrał życia Mustafie. Jeśli mam być szczerą, trochę popierałam szaleństwo Mustafy, moja dobra Mahpeyker.

Co miałam zrobić? Wymyśliłam nawet całkiem sporo z tego, co robił i mówił. Żeby nazywali go wariatem, żeby nikt go nie tknął. Ach, dziwactwa Mustafy także mi pomogły. Przez całe dni zamykał się w ciemnym pokoju i siedział tam, a gdy na oknie przysiadł ptak, krzyczał „Pomocy! Nie zabijaj mnie, ojczy, jestem niewinny!”. Jego krzyki rozrywały mi serce na kawałki, ale w głębi duszy błagałam: „Krzycz, mój synu, mój dzielny księżę, jeszcze głośniej”.

Twarz kobiety stężała ze strachu, jakby znowu przeżywała tamte dni.

– Nawet ja – ciągnęła – chowałam się do szaf, gdy słyszałam na zewnątrz dźwięk kroków, bo myślałam, że to idą kaci. Wiecie co, ludzie pytają: „Co jest gorsze od śmierci?”, a ja mam gotową odpowiedź. Strach. Nie ma gorszej rzeczy niż strach. Pożera człowieka, wykańcza. Doprowadza do szaleństwa, jak z moim Mustafą. Gdy umierasz, to jeden raz się dzieje, i koniec. Możesz nawet nie poczuć śmierci. Czy to nie oddech? Patrzą, a twój oddech nie zdmuchuje świecy. Jej płomień nie drży. Powiadają, że dusza odchodzi właśnie w tym momencie. Ale czy ze strachem jest tak samo? Nie jeden raz zabija człowieka, ale milion razy. Strach...

– Wiem – weszła jej w słowo Mahpeyker. – Ja też dobrze wiem, czym jest strach, pani.

Kobieta udała, że jej nie dosłyszała.

– Mój księżę jeszcze nie wszedł w okres dojrzałości, a już stracił potrzebę ze strachu. Później zaś uczeplił się choroby i tak już został. Nie zobaczył kobiety. Ani hodźowie, ani przywoływacze dżinów, ani muski czy modlitwy nie pomagały. „Ja jestem zakochany w hiacyncie, matko” – stwierdził któregoś dnia. „Czy masz piękniejszą odaliskę niż hiacynt, żeby ją do mnie sprowadzić?”. Ani hurysy, ani wróżki nie stały się lekiem na udękę Mustafy. Mało brakowało, a którejś nocy udusiłby jedną z niewolnic. „Ojciec cię przysłał, żebyś mnie zabiła”, powiedział i rzucił się na nią. Służące z trudem wyrwały dziewczynę z jego rąk.

Mahpeyker nie mogła zdecydować, czy się śmiać, czy smucić. Wychodziło na to, że w plotkach było więcej niż ziarno prawdy.

– Na pewno istnieje rozwiązanie tego problemu, pani. Myślę, że jeśli strach odejdzie, wszystko się jakoś ułoży.

– Jak Bóg da. Dzieciństwo naszego padyszacha upłynęło z tymi samymi lękami, z tym że jego umysł się oparł. No i oczywiście miał Handan za plecami. Ponieważ ta kobieta była ulubienicą zgasłego Mehmeda Chana, książę Ahmed mógł się czuć dużo pewniej. Nieważne, jak tylko nasz pan stał się padyszachem, trwoga nieźle nam urosła. Nowy sułtan oznaczał nowe śmierci. Mój syn wiele się nacierpiał przez lęk, że Ahmed nie będzie chciał mieć z tyłu młodszego od siebie o rok rywala. Nie obchodził go tron, czy coś, ale kto by to zrozumiał, kto by go słuchał? W tamtym czasie Mustafa wyskoczył w nocy z łóżka ze słowami: „Jestem Jego Wysokość Sulejman. Co ja tutaj robię? Macie mnie natychmiast zabrać na skrzydłach do Jerozolimy. Nie każmy królowej Sabie czekać”. Od razu pojawili się lekarze i w swej uprzejmości powiedzieli, że: „Wasz książę cierpi przez załamanie duchowe”. Później usłyszeliśmy, że świętej pamięci Safiye Sultan poradziła naszemu panu, aby nie godził w życie swojego brata, Mustafy. Jak widzicie, moja dobra Mahpeyker, szaleństwo i słowa babki sprawiły, że mój książę dotrwał do dnia dzisiejszego zdrowy na ciele. Tyle że nie wiem, co będzie później. Nie mam pojęcia, czy Osman zostawi mojego syna w spokoju, a nawet jeśli on ma taki zamiar, to jego matka nie będzie siedzieć cicho. Albo będzie mu wiercić dziurę w brzuchu, aż się tym zajmie, albo pośle za moim księciem zabójców.

Mahpeyker była już pewna. Matka księcia Mustafy nie przyszła tu bez przyczyny. Każde jej zdanie było zawołaną wiadomością. „Safiye Sultan roztoczyła opiekę nad Mustafą. Chroń mojego księcia, tak jak ona”.

„Dobrze, tylko kto się mną zaopiekuje” – przeszło przez głowę Mahpeyker.

I ostatnia wiadomość: żebyśmy mogły żyć, Osman nie powinien zostać padyszachem.

„Oczywiście, że nie powinien” – powiedziała w myślach Mahpeyker. „Nie zostawi w spokoju ani nas, ani was!”.

To była prawdziwa wiadomość kobiety: śmierć!

„Jeśli Osman zostanie sułtanem, wszyscy umrzemy”.

Zadrzała wbrew swojej woli. „No dobrze, tylko Ahmed żyje” –

usiłowała zdusić kłębiący się w niej strach. „Skąd się tu teraz wziął ten cały Osman?”

– Nie obawiajcie się, moja pani. Allah pomaga prawym ludziom.

– W tym pałacu całe mnóstwo prawych książąt znalazło się w rękach katów, moja dobra Mahpeyker.

– Niezbadane są wyroki Allaha, nasz padyszach żyje.

Nagle w jej głowie zajaśniała błyskawica. „Ile to już lat temu nie pomyślałaś o tej możliwości?” – zbeształ ją rozum. Jak długo będzie trwać zmiana, którą Ahmed wprowadził do prawa?

„Oj, proszę pani” – odezwała się Mahpeyker w myślach. „Jak już zarzucasz na mnie przynętę, niech będzie. Teraz ja na ciebie zarzucę i zobaczymy, co się stanie”.

– Poza tym, jak wiecie – powiedziała łagodnie i uważnie spojrzała kobiecie w oczy – mój wielmożny padyszach – w ten sposób uprzejmie przypomniała kobiecie, że jest żoną sułtana i należy się do niej zwracać per „pani” – dokonał w prawie i zwyczajach bardzo poważnych zmian.

Kobieta z przejęciem pokiwała głową.

– Dzięki wam. Domyślam się, że to wy podsunęłyście ten projekt naszemu panu, a teraz, gdy was zobaczyłam, jestem już tego pewna.

– Na tronie wcale nie musi zasiadać najstarszy syn. Z fatwą alima padyszachem może zostać najstarszy z dynastii. Moi synowie są na razie zbyt mali... – to było ostrzeżenie: też jestem w kolejce – ...a i syna tej kobiety nie można nazwać dużym... Ile to? Trzynaście lat? Tylko tyle. W tej sytuacji najstarszym z rodziny księciem... cóż, patrząc na prawo, alimowie mogą zdecydować o intronizacji Mustafy. Biorąc to pod uwagę, może to raczej ktoś inny powinien się bać?

W oczach matki księcia Mustafy zapaliły się ognie, ale w jednym momencie zgasły.

– Czy alimowie zostawią tron szaleńcowi?

„Tak” – powiedziała w myślach Mahpeyker. „Połknęła przynętę”.

– Czy nie powiedziałyście, że stan wielmożnego księcia wynika ze strachu i że wiele plotek rozprzestrzeniło się za waszą sprawą? Trochę wysiłku i szczodrości, nieco gróźb i dobroczynności powinno sprawić, że w ludzkim mniemaniu przejściowy problem waszego księcia całkowicie

się rozwieje albo przynajmniej będzie na dobrej drodze do tego.

Zauważyła, że kobieta zaciera ręce i wygina palce z podekscytowania.

– Oczywiście wszystko mówię tylko po to, aby was uspokoić. W końcu z boską wolą panowanie mojego męża będzie trwało jeszcze przez długie, długie lata.

Matka księcia Mustafy spojrzała z uśmiechem na Mahpeyker, która dała jej do zrozumienia, że jest gotowa zostawić jej synowi otwartą drogę do tronu i cicho powiedziała:

– Z boską wolą, pani.

„No proszę” – chrząknęła w myślach Mahpeyker. „Dobrze mi się przyjrzyj, zobacz. Jestem kobietą, która uratuje ciebie i twojego syna. A ty mnie i moich książąt”.

– Nasz pan – ciągnęła matka księcia Mustafy – nie przez przypadek nazwał was Kösem. Napętniacie światłem ludzkiego ducha, prowadzicie i pokazujecie ścieżki, służycie radą. Gdy tu przyszłam, byłam pełna obaw, ale opuścę Mahpeyker Kösem Sultan oświecona i pewna tego, co przede mną.

„O, teraz patrz” – w głowie Mahpeyker momentalnie zjawily się słowa. „Właśnie teraz nie wyszło. Takie nagromadzenie słów i tyle pochlebstw to oznaka zagrożenia. Będę musiała bardzo na ciebie uważać, kobieto. Twoja obłuda może być równie niebezpieczna, co twój spryt”.

Kobieta upiła łyk z przyniesionego przez dwórki słodkiego sorbetu.

– Nie spytasz, pani, dlaczego przyszłam tutaj po tylu latach?

– A nie po to, żeby rozmawiać o tych sprawach?

– Tak, ale w rzeczywistości powód jest inny.

– Naprawdę? No proszę, teraz mnie zaciekawiłaś, pani. Jaki powód może być ważniejszy, niż sprawa, o której rozmawialiśmy?

– Wczoraj w nocy widziałam cię we śnie, Mahpeyker.

Kobieta wypróbowała każdy możliwy zwrot. Najpierw się wywyższa, potem zrozumiawszy, że jej się to przysłuży, zaczyna składać przysięgi wierności. Teraz zwraca się do niej jak do przyjaciółki. Ale ona nie mogła zrobić tego samego, bo nawet nie знаła imienia kobiety.

Şarazad powiedziała tylko „matka księcia Mustafy”.

– We śnie? Mam nadzieję, że był pomyślny.

– Z bożą łaską – szybko odpowiedziała kobieta.

– Jaki był? Opowiedz, pani.

– Siedziałaś na podwyższeniu. Coś było na twojej głowie. Najpierw myślałam, że to korona i niewykluczone, że tak było, ale tuż nad włosami miałaś słońce. Jego promienie rozjaśniały każdy kąt, ogrzewały dusze, sprowadzały na świat radość i życie.

– Czy się słyszałaś, pani? – leciutko zakpiła ze snu kobiety.

– Proszę, nie mów tak. Mówię, że słońce weszło nad twoją głową, pani. Bóg umieścił je na twojej głowie jako koronę. Przed tobą stali ludzie w szeregach. Coś im mówiłaś. Nie słyszałam słów, ale najwyraźniej były to rozkazy. Ludzie, jeden po drugim przyklękali przed tobą i się oddalali... a później, pani... później...

Nawet jeśli by się do tego nie przyznała, to słowa i głos kobiety zrobiły na niej wrażenie.

– Później? – chciała, żeby mówiła dalej.

– A później pojawiło się tam dziecko. Całe było ze światła... nie, ze złota. Podeszło prosto do ciebie. Wyciągnęłaś ręce i posadziłaś u swojego boku. I... litościwy Boże, nawet teraz, gdy opowiadam, włosy mi... – kobieta uniosła rękaw kaftana i wyciągnęła rękę – patrz, jak się zjeżyły.

– Dziecko – wydyszała Mahpeyker – co się stało? Czy coś mu się stało?

– Słońce – powiedziała kobieta dziwnym, gardłowym głosem – kolejne słońce pojawiło się nad głową złotego dziecka...

Mahpeyker nie wiedziała, ani co myśleć, ani co powiedzieć. „Ta kobieta – powiedziała sobie – to niezrównana aktorka. Chyba chce mi powiedzieć, że bym czekała na swoją kolej, bo mój książę też stanie się padyszachem, no, chyba że życie pełne strachu naprawdę dało jej umiejętność otrzymywania wieści od tego, co niewidzialne”.

– To wszystko? Co później?

Matka księcia Mustafy długo patrzyła na Mahpeyker i w końcu łagodnie wyrzekła:

– Nie. Razem z dzieckiem zniknęłaś w promieniach tego słońca... i nagle spośród tego złotego blasku wyłonił się jakiś mężczyzna... ślepy żebrak...

„Co? Ślepy żebrak?”.

Oprócz niej nikt w tym pałacu nie wiedział o ślepych żebraku. A tak właściwie dwie osoby, którym opowiedziała o zdarzeniu już nie żyły. Safiye Sultan i Sofia. Przecież nie mogły opowiedzieć o tym matce Mustafy!

– Ślepy żebrak?

– Tak, tylko... w jednej z rąk miał długie, czarne berło, drugą zaś wyciągnął prosto przed siebie i podszedł do mnie z uśmiechem. Jego usta się nie poruszały, ale usłyszałam w głowie: „Nie smuć się, bo z tą kobietą przyniosą słońce twojemu synowi. Przyjdą ze słońcem i ze słońcem odejdą. Czekaj, bo czas jest już bliski”. Później sen się rozproszył. Obudziłam się.

Tym razem to Mahpeyker włosy stanęły dęba. To, co przybyła mówiła później, weszło jej jednym uchem, a wyszło drugim, ale już wierzyła. Tę kobietę przysłała do niej boska siła.

– Już ci ufam, Mahpeyker Kösem Sultan – szepnęła jej kobieta na odchodnym.

Mahpeyker spojrzała na nią. „A ja?” – westchnęła. „Czy ja mogę ci ufać?”.

Wiedziała, że musi.

Długo rozmyślała tej nocy. Tworzyła i niszczyła plany, a później znowu tworzyła.

„Nadchodzi nowy dzień, a los przygotowuje się do nowej gry” – pomyślała sobie. „Niech tak będzie, losie. Rzuć kością. Graj. Jestem gotowa”.

Nowy Pałac, harem
16 listopada 1617 roku

Padyszach wybrał się do Tekirdağı na polowanie. Pod nieobecność sułtana każdy kąt objęła głęboka cisza. Przynajmniej nie było zgiełku. Jednak dwa dni później przejeżdżający w szaleńczym pędzie przez Bramę Pozdrowień spahis postawił cały pałac na nogi. Jak tylko konny, iskrząc podkowami o kamienie, pojawił się na przednim dziedzińcu, zakrzyknął:

– Ejże, zróbcie coś! Kto kocha życie, niech biegnie. Niech no zaraz przygotują powóz.

Dowódca straży z wściekłością opuścił wartę.

– Nie wrzeszcz tak, człowieku. Co jest, co się dzieje?

– Sułtan wraca. Jest w drodze. Potrzebny jest powóz, szybko!

Mahpeyker też słyszała wrzaski, ale nie wiedziała, o co chodzi.

– Co się dzieje? – spytała powracającą z dziedzińca Mürüvvet. – Czemu tak krzyczą?

– E... – wybąkała kobieta – ponoć nasz pan... wraca.

„Ahmed? Wraca? Ale czemu? Nawet nie powinni jeszcze dotrzeć na miejsce polowania”. Pod ostrzałem własnych pytań, Mahpeyker zaczęła panikować.

„Coś się musiało stać! Na pewno stało się coś poważnego. Czyżby to przeczuwana przeze mnie katastrofa pukała do drzwi?” – mówiła w myślach. Wstała z pośpiechem.

– Czemu padyszach miałby wracać? Czy coś się stało?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że twarz Mürüvvet była całkiem biała.

– Nie wiem... ale przyjechał spahis w galopie. Ponoć trzeba natychmiast sprowadzić powóz. Nawet porządnie nie założyli koniom uprzęży i wypchnęli go na drogę.

„Coś się stało Ahmedowi!” – krzyknęła w głowie Mahpeyker. „Coś się stało sułtanowi”.

„Na litość boską, a jeśli umarł? Czy padyszach nie żyje?”.

Poczuła, jak burzy się jej krew w żyłach, a w uszach odzywa się przeraźliwy szum.

Jeśli padyszach umarł, dynastia osmańska potrzebuje nowego!

Wyglądało na to, że przyszedł czas. Los ruszył do ataku!

„Też musisz zacząć działać” – ostrzegł Mahpeyker rozum. „I to natychmiast”.

W uszach zadzwonił jej głos Safiye Sultan. „Nie waz się spóźnić. Nie działaj ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno”.

Nadszedł ten moment.

Musiała uczynić pierwszy krok, jeszcze zanim Mahfiruz zakasze rękawy.

– Mürüvvet, niech wezwą do mnie żony kajmakama Sofu Mehmeda Paszy i szejch al-islama Esada Efendiego, i to natychmiast. Mają przybiec, choćby się waliło i paliło. Bez dyskusji czy jęków, natychmiast!

Nawet przyzwyczajona do jej nieoczekiwanych rozkazów Mürüvvet się zdziwiła, ale nie ociągała się choćby przez chwilę. Jeśli Mahpeyker wstała i złączywszy ręce za plecami, zaczęła krążyć po pokoju, to znaczyło, że sytuacja była bardzo poważna. I złowieszcza.

Mahpeyker w napięciu czekała na kobiety. „Nadszedł czas żniw” – powtarzała sobie ciągle. „Zasialiśmy dawno temu, a teraz będziemy zbierać plony”.

Miała jednak swoje obawy. „Czy uda nam się zebrać plony?” – przeszło jej przez głowę. „Czy wśród stworzonych przez Allaha istot znajdzie się jakieś poza człowiekiem, które potrafiłoby zdradzić? Nie. Zdrada należy tylko do człowieka. Być może kobiety odwdzięczą mi się zdradą, kto wie?”.

Razem się przed nią zjawily zatrwożone.

– Pani – przypadły do niej szybko. Jak żona Sofu Mehmeda Paszy,

Ikbal, była tęga, tak małżonka Esada Hodży Efendiego, Fitnat, była chuda. Mahpeyker miłowała obydwie, a one ją. Ikbal wiedziała, że jej mąż zawdzięcza Kösem posadę wicesadrazama. Podczas gdy wszyscy oczekiwali, że po śmierci szejcha al-islama Hoczadego Mehmeda Czelebiego sułtan wybierze na jego miejsce Zekeriyazadego Jahję Efendiego, godność natychmiast objął Esad Efendi. Ludzie, którzy wiedzieli, że pani Fitnat nie opuszczała komnat Kösem Sultan, rzecz jasna, zrozumieli, kto w całej sprawie maczał palce.

Fitnat splotła dłonie.

– Czy doszła do was jakaś wieść, pani? Dlaczego władca wraca?

Ikbal się odezwała, nie pozostawiając jej czasu na odpowiedź:

– Mój pasza Sofu był nadzwyczaj rozgorączkowany, ale nie byłam w stanie go o nic spytać. Mahfiruz Sultan wzywała, więc czym prędzej pobiegł.

Mahpeyker zatrzęsa się, jakby ktoś ją uderzył. „Diabelna Mahfiruz” – wzburzyła się. „Znaczy, że pajęczyca też przeszła do ataku”.

Przez chwilę wpadła w popłoch. „Czyżbym popełniła błąd? A gdybym zamiast ich żon wezwała samego kajmakama i szejcha al-islama, by Mahfiruz nie przegoniła mnie, spotykając się z ludźmi z pierwszej linii?”. Natychmiast wyrzuciła tę obawę z głowy. Co się stało, to się nie odstanie. Nie było czasu na lęk i wątpliwości.

– Wiem tyle samo, co wy – powiedziała bez ogródek. – Ale to pewne, że stało się coś złego. Po cóż innego wzywaliby powóz dla władcy?

– Och, och, żeby się tylko nie okazało, że nasz pan spadł z konia.

Mahpeyker spojrzała na nią wrogo.

– Sułtan nie spada z konia, Ikbal. Wszyscy wiedzą, jak wspaniałym jest jeźdźcem.

Kobieta pożałowała swoich słów.

– Nieważne, niedługo się dowiemy, ale teraz trzeba podjąć środki ostrożności. Bądźmy gotowe na najgorsze, żeby państwo osmańskie nie zostało samo w potrzebie.

– Mówisz, pani, że naszemu władcy mogło się coś stać? – Fitnat zaczęła raz po raz uderzać się po kolanach. – Biada, mój pan, władca świata, biada, moja pani... Hodża efendi zobaczył go we śnie, a ja

myślałam, że to dobrze wróży.

Mało brakowało, a Mahpeyker by się zaśmiała. „Coś się dzieje w imperium” – pomyślała. „Śniący pod każdym kamieniem”.

Spojrzała na kobietę, jakby się bardzo zdziwiła.

– Sen? Co widział Esad Efendi?

– Naszego pana... zbiegał z jakiegoś wzgórza. Początek drogi był pewien, ale nie widać było jej końca. Natknął się na mojego męża. „Bądź pozdrowiony, panie” – powiedział Esaf Efendi. „Skąd ten pośpiech?”. Oczywiście padyszacha się nie wypytuje, ale przecież to był sen. Mój małżonek spytał, a sułtan się zaśmiał, nie przerywając biegu: „Czy nie widzisz, hodżo? Grobowiec jest gotowy. Anioły przyniosły wieść, więc tam biegnę”. Miałam nadzieję, że z woli Allaha coś dobrego wyjdzie z opowieści Esada Efendiego...

Mahpeyker wyrzucała sobie pomyślaną niedawno drwinę. „Ten sen też był proroctwem. Wszystko widać jak na dłoni” – powiedziała do siebie. „Wszystko jest znakiem. Przyszedł czas. Pajęczycyca też się obudziła. Zaczęła prząść swoją sieć”.

– Moje panie – Mahpeyker usiadła prosto. – Z bożą łaską okaże się, że niepotrzebnie się śpieszymy, ale jeśli stanie się to, czego się obawiamy – w imperium osmańskim nie może zapanować chaos. Tron nawet przez sekundę nie może pozostać pusty.

Obydwie kobiety potwierdziły ruchem głowy.

– Czy to wyjdzie na dobre, czy na złe, wszystko jest związane z tym, co wszystkie trzy zrobimy razem.

Żony dwóch mężów stanu, które wiele wysiłku włożyły w to, aby ich życie w pałacu było długie i szczęśliwe, w mig pojęły aluzję.

„Czym prędzej pokaż, że myślisz o tronie dla swojego syna, Mahpeyker” – pouczył ją rozum.

– Wiecie jednak, że mój książę, Murad, jest jeszcze za mały na sułtana.

Szukając najmniejszej oznaki zawahania, obrzuciła obydwie kobiety badawczym spojrzeniem. Znowu pokiwały głowami.

– Ale syn... – zdała sobie sprawę, że Ikbal i Fitnat z zapartym tchem czekają na jej słowa. – Syn tej kobiety będzie miał niedługo czternaście

lat. Jeśliby mnie mieli pytać, to też jest dzieckiem, ale tamta na pewno będzie żądała dla niego praw, mówiąc, że nasz pan był w wieku księcia Osmana, kiedy wstępował na tron.

– Niech Bóg broni – jedna i druga splotły dłonie w błagalnym geście.

– Nie zdziwcie się, jeśli będzie usiłowała przekonać alimów słowami: „Spójrzcie na mądrość Allaha, to boski wyrok, że dał synowi objąć tron w tym samym wieku co ojciec”.

– Oj tak, oj tak – wyszemrała Fitnat, uderzając prawą dłonią o lewą. – Co ma nie mówić. Ta kobieta jest do wszystkiego zdolna.

Mahpeyker spojrzała na nią z oczami pełnymi błyskawic.

– Gdyby tak było – warknęła – diablica wepchnęłaby syna na tron, a po imperium toczyłyby się zrzucone turbany i odcięte głowy. Z waszymi i moją włącznie.

– Tfu, tfu, tfu! – odpędzały możliwe strapienia Ikkal i Fitnat, udając, że plują sobie na kołnierze. – Niech litościwy Bóg broni, pani.

– Jeśli wierny nie wykaże się przezornością, to jak go ma Allah bronić? To my musimy przedsięwziąć środki ostrożności.

Ikkal szeroko otworzyła oczy ze strachu.

– Jakie środki? – sapnęła. – Kolejność jest pewna i należy do syna Mahfiruz.

– O, moja droga! – Mahpeyker poderwała się z miejsca – obyś nie wykrakała, Ikkal. Jaka kolejność? Kto uzna kolejność, jeśli jest prawo? Czyżby mój wielmożny padyszach nie zmieniał prawa i porządku? Tron nie ma przecież bezwzględnie przejść z ojca na syna. Jeśli brat jest starszy od syna, to co? Czyżby brat nie miał żadnych praw?

Fitnat była dużo bystrzejsza i od razu zrozumiała, o co chodzi.

– To znaczy, mówisz, pani, że tron zostaje dla księcia Mustafy... – Jak tylko wypowiedziała jego imię, spojrzała na Kösem z zaskoczeniem. – Ale... ale...

– Ale on jest szalony, to chciałaś powiedzieć. Wiem.

Skryty dotychczas w zakamarku jej serca ból poderwał się teraz do krzyku. „I co z tego, że jej syn jest wariatem, twój ma epilepsję!”.

Mahpeyker cierpiała katusze i starała się uśmiechać, żeby kobiety nie zdały sobie z tego sprawy. Wyciągnęła ręce i zamknęła dłonie Fitnat

w swoich.

– Lecz jeśli nasz pan, sułtan wśród alimów, oświecony przez Boga, mądry szejch al-islam przygotują fatwę o tym, że księżę Mustafa, którego stan psychiczny poddany był przejściowemu zaburzeniu w związku z jego długim uwięzieniem w pałacu i życiem ze strachem przed tym, że zostanie zabity, już wkrótce powróci do zdrowia, jako że źródło problemu zniknęło, i że wszystko to jest zgodne z prawem, porządkiem i szariatem... – zamilkła i słodko spojrzała w oczy kobiety – ...to czy szalony nie stanie się wtedy rozumny, moja droga Fitnat?

„To groźna kobieta” – pomyślała po raz kolejny żona szejch al-islama. „Jaki rozum?”. Zachichotała.

– Wtedy stanie się rozumny, pani.

– Czy hodża efendi to zrobi?

– Jeśli będzie wiedział, że tego pragniecie, zrobi.

– Jeśli tak, niech się dowie. Chcemy szaleńca na tronie. Niech wie, że pod rządami wariata dobrobyt bardziej dopisuje, niż gdy przy władzy jest mądry. Wtedy porozmawiamy o nagrodzie dla Esada Efendiego. Zajazd czy hamam, pałac czy sandżak, a może chorągiew? A może skarby krezusa? Będzie żądał, a szaleniec mu da.

Tym razem wszystkie trzy się zaśmiały. Mahpeyker zwróciła się do Ikbal.

– No dobrze, Ikbal, jeśli Esad Efendi wystąpi z tą fatwą, to czy nasz kajmakam – w ten sposób przypominała, że sama odpowiadała za przekazanie mężczyźnie urzędu – szanowny Sofu Mehmed Pasza nie rozkaże wydać na dywanie dekretu o tym, że „w tych warunkach uznaje się za właściwe, aby księżę Mustafa został intronizowany, aby przypasał miecz i aby wszyscy, wezyrowie, uczeni i cały lud złożyli mu przysięgę wierności?”.

– Na Boga, pani, oczywiście, że rozkaże – odparła bez wahania Ikbal.

– Wspaniale. Niech przygotują mu ferman. Jeśli by mnie ktoś spytał, to naszemu paszy Sofu do twarzy by było z sułtańską pieczęcią w ręce i chylatem wielkiego wezyra na grzbiecie.

Serce kobiety biło jak oszalałe. Byłaby żoną wielkiego wezyra. Nie żyłaby na skromnych dworach, tylko w wielkich pałacach. Już się

przygotowywała, żeby ze szczęścia i z wdzięczności rzucić się na szyję Mahpeyker, gdy nagle z jej oczu znikła cała radość.

– Co jest, moja dobra Ikkal? Czy coś się stało?

– Cóż – powiedziała kobieta z wahaniem. – Coś mi przyszło do głowy. Powiedzmy, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Udało ci się, pani, osadzić szalonego Mustafę na tronie. Przecież to nie przyniesie ci żadnego pożytku.

Mahpeyker spojrzała na nią z chytrym uśmiechem.

– Czas, Ikkal, czas. Naszą wygraną będzie czas.

Tym razem to Fitnat się odezwała:

– Ale przecież, jeśli Mustafa zostanie sułtanem, to jego matka wyrzuci stąd ciebie, pani, i twoich czterech synów. A jak zrobi coś złego...

– Tę część roboty zostawcie już mnie – stwierdziła z mocą. – Gdy ktoś wychodzi na polowanie, to i strzałę, i strzelbę ma u boku – uśmiechnęła się do dwóch kobiet jak niegrzeczna córka. – No dalej, idźcie teraz i zobaczcie. Otwórzcie swoje oczy i uszy. Niech wasi mężowie nie zboczą ze ścieżki przez słowa tej kobiety. Bóg mi świadkiem, że później nie będę się wtrącać. Tylko pamiętajcie, że dopóki nie przyjdzie do was taca, nie zdradzicie im planu. To będzie nasza tajemnica.

– Taca? – spytały chórem kobiety.

– Tak, taca. Do każdej z was przyjdzie po jednej tacy, wtedy wyjaśnicie sprawę swoim mężom i przekonacie ich, żeby działali zgodnie z planem. Ale najpierw przyjdzie taca, nie zapomnijcie. Niczego wcześniej nie mówcie.

Opuszczając Pawilon Morski, gdzie spotkał się z Mahfiruz Sultan, szejch al-islam Esad Efendi zobaczył, że do budynku wchodzi wicesadrazam, Sofu Mehmed Pasza. Było jasne, że kobieta będzie chciała od nich tego samego. „Co to się dzieje w państwie osmańskim” – skarżył się w myślach. „Jeszcze nie wiadomo, czy będzie pogrzeb, a ta już poluje na spadek”.

Nie śpieszył się z opuszczeniem dziedzińca i zaczął czekać na wyjście Mehmeda Paszy. Zastępca wielkiego wezyra opuścił Pawilon Morski wyraźnie zmieszany.

– Zrobisz to, czego chce? – spytał cicho Esad Efendi. – Czy zrobisz to,

co ta kobieta ci każe, paszo?

Wicesadrazam pokiwał głową z niesmakiem.

– Niczego nie zrobię, hodžo efendi. Czy to nie grzech? Czy nie szkoda? Czy to uchodzi? To wszystko na wodzie pisane, a nasz padyszach, jeśli Bóg tak chce, jest cały i zdrowy. Może ten powóz został wezwany z innego powodu. Kto wie? Czy to przystoi, kiedy jeszcze niczego nie wiadomo, żeby ta kobieta nam mówiła „Teraz kolej księcia Osmana, żeby przejąć władzę. Nie zwlekaj z przygotowaniami?”. I dziecko też nauczyła, „Będziesz żałować, jeśli niedostatecznie dobrze wypełnisz obowiązek!”. Coś mi mówiło, „A rzuć ten miecz i pieczęć, do czorta! Odejdź, wynoś się!”. I miałby do takiego stanu doprowadzić wielki sułtanat swoich przodków? Syn miałby się modlić o śmierć ojca, żeby wstąpić na tron?

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

– A ty? – spytał Mehmed Pasza – wydasz fatwę?

– Niczego nie zrobię, dopóki nie zobaczę naszego pana – urwał i przez chwilę szedł, niczego nie mówiąc. Słuchał dźwięku żwiru trzeszczącego pod ich stopami – Wiesz co, Sofu Paszo? – powiedział nagle. – Nie ma sensu ukrywać, nie mam nic przeciwko księciu, ale każde słowo tej kobiety zagłębia mi się w serce jak sztylet. Zimno mi przy niej.

Zamarzam.

Sofu Mehmed Pasza ograniczył się do zamyślnego kiwnięcia głową w odpowiedzi.

Mahpeyker zmieniła strój i wyszła z haremu. Wzięła ze sobą tylko Mürüvvet. Obie dobrze zakryły sobie twarze ferezjami.

Aż ją skręcało na myśl, że księcia i jego matkę skazano na życie w takim miejscu. Mustafa oszalał nie bez przyczyny. Wąziutkie, mroczne korytarze, wilgotne, zrujnowane pokoje bez okien. To nie były książęce komnaty, tylko loch. Nawet miejsce, które określili jako ogród, było otoczonym przez wyższy niż trzech ludzi mur malutkim obszarem i jeśli się porządnie nie odchyliło głowy, nie było nawet mowy o tym, żeby zobaczyć niebo. W takim otoczeniu człowiek rozmawiałby i ze ścianami, i z ptakami, a jeśli zobaczyłby jakiś tygi wyłom, to i myśl, żeby stać się ptakiem lub motylem i odlecieć z łopotem skrzydeł, na pewno przeszłaby mu przez głowę.

Bez zapowiedzi wtargnęła do pokoju matki księcia Mustafy. Kobieta aż podskoczyła ze strachu.

– Wy... – wypaliła, gdy Mahpeyker odsłoniła ferezję. – Pani, wy...

– Ciii... – uciszyła ją natychmiast Mahpeyker i zbliżyła się do tamtej – nadszedł czas, moja dobra kobieto.

Kobieta była w straszliwym szoku. Nie wiedziała, co robić, ani co powiedzieć i bezwiednie poruszała ramionami jak ptak skrzydłami.

– Czy mogę ci ufać?

– Oczywiście.

– Gdy Jego Wysokość księżę wstąpi na tron...

Matka Mustafy złapała ją za dłonie, po czym puściła jedną, a drugą chwyciła, jakby chciała ją ucałować na znak szacunku, ale Mahpeyker nieco brutalnie wyrwała rękę.

– Czy ja i moje dzieci będziemy bezpieczni?

– Oczywiście.

– Żądam przysięgi, kobieto.

– Przrzekam, pani. Pałac mojego księcia jest twoim pałacem, a jego matka przyjaciółką i powierniczką. Rękę, którą by na ciebie podniesiono, choćby to była moja ręka, odetnę i wyrzucę.

– Żądam przysięgi, kobieto. – Szept Mahpeyker przerodził się w syk. – Czy klniesz się na Boga?

– Klnę się na Boga.

– Skoro tak, to jeśli czuwałaś nad swoim księciem jednym okiem, czuwaj tysiącem. Nie odstępuj go na krok. I żeby mu się nie umyśliło zostawać ptakiem czy coś podobnego. A gdy go spytają, czy jest gotowy, odpowie: „Od samego początku, moja matka urodziła mnie dla tego dnia, co sobie myśleliście?”. Czy to jasne?

Nie czekała na odpowiedź kobiety i tak jak niczym burza przyszła, tak i odeszła, a wracając do haremu, rzuciła rozkaz Mürüvvet:

– Zanieś tace. Panie Fitnat i Ikbal mają w tej chwili dostać swoje tace!

*Nowy Pałac,
Galeria Sultańska
18 listopada 1617 roku*

Mahpeyker przyglądała się powrotowi sułtana zza krat kafesu. Gniady koń Ahmeda był oszołomiony i niespokojny, jakby przeczuwał, że stało się coś złego. Zapewne nie rozumiał, dlaczego jeździec, którego zawsze nosił na grzbiecie, teraz porusza się na wozie ciągniętym przez luzaka. Myśliwi w ciszy wjechali na środkowy dziedziniec. Wszystkie głowy były pochylone, a twarze posępne.

Naczelnny zbrojmistrz podbiegł, by otworzyć drzwi powozu.

Mahpeyker z mętlikiem w głowie czekała, aż jej mąż wyjdzie z powozu. Ale nie wyszedł. Dowódca gwardii wsunął się do środka, a dziesięciu strażników ustawiło się w szeregu przed karetą. Gdy dowódca ponownie pojawił się w drzwiach, Kösem wyrwało się westchnienie.

– Boże!

Ahmed leżał w ramionach dowódcy strażników ze zwieszonymi rękami. Nie ruszał się.

„Boże!” – lamentowała w myślach. – „A jeśli to koniec, jeśli umarł?”.

W tym samym momencie przyssało się do niej inne uczucie. „A co jeśli spóźniłam się z wysłaniem tac?”.

Ogromny gwardzista łagodnie ułożył padyszacha na ramionach ustawionych przed drzwiami strażników, i Ahmed, z pomocą dziesięciu par rąk przemieszczony został na drewnianą platformę, na której troskliwie sprowadzono go do jego komnat.

Mahpeyker od razu popędziła na pokoje sułtana, podążyła też za nią

Semiha. Wydawało się, że dowódca gwardii nie ma zamiaru pozwolić jej przejść, ale usunął się z drogi, jak tylko zobaczył wyraz twarzy Mahpeyker. Przemknęła obok niego jak wiatr. Wnętrze w jednej chwili wypełniło się lekarzami. Zastępca wielkiego wezyra, Sofu Mehmed Pasza, złączył dłonie na brzuchu, tak że rękawy jego szaty zachodziły jeden na drugi, głowę zaś zwiesił smutno nad lewym ramieniem.

Kilku lekarzy spojrzęło na kobiety z niezadowoleniem, jakby pytając, czego szukają pośród tylu mężczyzn, ale nie przejęła się nimi, tylko warknęła:

– Z drogi! Chcę zobaczyć mojego dostojnego sułtana!

Rozstąpili się i wtedy zobaczyła Ahmeda. Był blady, a jego ciałem wstrząsały okropne drgawki. „Żyje” – było jej pierwszą myślą. „Nie umarł. Wychodzi na to, że nie spóźniłam się z wysłaniem tac do Fitnat i Ikbal” – ciągnęła w głowie.

Usta jej męża nieustannie drgały. Oczy miał zamknięte.

– Panie Boże – wymruczała. – Wspomóż mojego drogiego padyszacha. Zwróć go mnie i jego dzieciom.

– Imperium osmańskiemu – poprawił ją sposepniały naczelny lekarz.

Mahpeyker nie zwróciła na to uwagi i nachyliła się prosto nad uchem Ahmeda:

– Mój mężu, mój sułtanie, patrz, przyszłam. Otwórz swoje piękne oczy, władco świata.

Sułtan Ahmed był mokry od potu. Gdy dotknęła łóżka ręką, zauważyła, że nawet prześcieradło jest wilgotne. Na czole władcy perliły się słone krople.

– Co jest naszemu panu?

Naczelny medyk obrócił głowę w innym kierunku, jakby to nie jemu zadano pytanie. Złapała sułtana za nadgarstek.

– Uczony Muso – podniosła głos Mahpeyker. – Zadałam ci pytanie. Co dolega Jego Wysokości sułtanowi?

Mistrz lekarzy Musa ocknął się od tnącego jak miecz głosu Mahpeyker. „Jeśli padyszach wydobrzeje, to kobieta utrzyma się na szczycie. Na wszelki wypadek lepiej nie robić sobie z niej wroga” – powiedział sobie natychmiast w duchu.

– Jeszcze nie możemy postawić diagnozy, pani. Wszyscy lekarze naszego pana tutaj są i każdy, jeden po drugim go zbada, jednak na razie nie odkryliśmy jeszcze do końca powodów choroby. Ma niezwykle wysoką gorączkę i za bardzo się poci, jego ciało ciągle traci wodę.

– Jakie jest twoje zdanie, uczony mężu?

– Gdyby tak spojrzeć na drgawki, to jakby atak malarii, lecz...

– Lecz co? Podejrzewasz, że to może być od czegoś innego? – pociągnęła się za ucho i zapukała w drewno dla odpędzenia nieszczęścia. – Niech Bóg broni, czy to coś złego?

Mężczyzna zmusił się, żeby w jego wzroku nie widać było irytacji.

– Niech Bóg broni. Trzeba myśleć o każ...

– Co można zrobić, żeby zbić mu gorączkę? Jakiś lek, jakaś mikstura?

– Właśnie nad tym pracujemy, pani. Warzymy miksturę.

– A co ja mogę zrobić?

Uczony Musa już nie był w stanie wytrzymać, obrócił się i spojrzał na Mahpeyker.

– W tej chwili, prócz Allaha, nikt nie jest w stanie pomóc naszemu panu. Tak właściwie nie jest do końca stosowne, że się tu, pani, znajdujecie. To może być zaraźliwe – zamilkł. „Kobieta z pewnością zrozumiała, że miałem na myśli dżumę”. Pokiwał głową, jakby wyrzucał z niej tę możliwość. – Nie mówię, że mamy tu coś takiego, pani, ale musimy myśleć o każdej ewentualności, czyż nie? Tu chodzi o zdrowie książąt i dostojnych dam. Proszę, udajcie się do swoich komnat i odpocznijcie. Jeśli będzie czegoś potrzeba, to bądźcie pewna, że natychmiast przekażę wiadomość.

Naprawdę nie mogła niczego uczynić dla Ahmeda, za to było mnóstwo rzeczy, które powinna zrobić dla ratowania siebie i dzieci.

– Skoro tak – powiedziała niechętnie ze smutnym wyrazem twarzy – powierzam ci mojego drogiego padyszacha, pierwszy lekarzu. Jeśli tylko będę mogła coś dla was zrobić...

Mężczyzna nieznacznie pochylił głowę.

– Najlepsze, co możecie w tej chwili zrobić dla nas i naszego pana, to modlitwa, szlachetna pani. Módlcie się, ile tylko możecie.

Wyszła z pokoju padyszacha z poczuciem niedokończonej sprawy,

a w jej wnętrzu odezwał się cichy głos: „Widziałas go po raz ostatni, Mahpeyker”.

Za jej plecami zamknęły się wielkie ciężkie drzwi i natychmiast dopadła do niej Semiha. Nie spytała, w jakim stanie jest sułtan. Twarz jej pani wystarczyła za odpowiedź.

Mahpeyker szła z wyrazem ogromnego smutku i wyczerpania na twarzy. Kiedy kroczyła między czekającymi w salonie wezyrami i agami, jej oczy szukały gubernatora stolicy, Sofu Mehmeda Paszy. Wydawał się pełen bóleści, ale Mahpeyker jednym spojrzeniem zauważyła, że tym, co naprawdę odczuwał mężczyzna, był lęk. Zastępca wielkiego wezyra wyraźnie się niepokoił, jakby chwiał się pod ciężarem czarnych myśli i nie wiedział, co zrobić.

Zwolniła kroku i gdy przechodziła tuż obok mężczyzny, szepnęła do idącej przed nią Semihy:

– Gdybym była na jego miejscu, nie działałabym, nie wysłuchawszy wpiery żony. Inaczej skutki byłyby fatalne.

Semiha się zdziwiła, słysząc słowa, którym nie potrafiła nadać znaczenia, ale Sofu Pasza w jednej chwili zrozumiał, że tym, kto powinien wysłuchać żony, jest właśnie on.

22 listopada 1617 roku, północ

Choroba sułtana Ahmeda szybko się rozwijała. Nie rozumieli jej ani lekarze, ani wzywani hodźowie i przywoływacze dżinów. Po czterech dniach męczarni w gorączce, w nocy, która łączyła dwudziesty pierwszy i dwudziesty drugi listopada tysiąc sześćset siedemnastego roku, padyszach zmarł.

Natychmiast po tym, jak otrzymała wiadomość o śmierci sułtana, Mahpeyker, płacząc i lamentując, pognęła do komnat władcy, lecz tym razem drzwi się nie otworzyły. Stojący przed nimi dowódca straży nawet nie spojrzał jej w twarz. Padyszach umarł i nie miała już ani władzy, ani wartości. Los Kösem zależał teraz od matki szaleńca oraz tego, czy dwaj mężczyźni posłuchają słów swoich kobiet.

Ikbal i Fitnat nie zwróciły tac, które posłała im Mürüvvet. To był szyfr, który ustaliła wspólnie z kobietami; oznaczał, że zastępca wielkiego wezyra i szejch al-islam, idąc za jej poradą, postanowili wysłuchać słów swoich żon. Mimo to nie czuła się odprężona. „Rodzaj ludzki” – mówiła sobie w duchu Mahpeyker. „Jest zdolny zdradzić w każdym momencie i dopóki nie zobaczę, jak Mustafa przypasuje miecz, nie ma dla mnie spokoju, nie ma zaufania”.

Po porannym ezanie z czterech minaretów wspaniałego, prawie skończonego meczetu, który kazał wznieść Ahmed, rozbrzmiały w jednym momencie pierwsze dźwięki seli. Nie było jednak jeszcze pewne, czyją śmierć ogłaszają czterej muezzinowie o poruszających głosach. Wezyrowie nadal nie wiedzieli, że padyszach odszedł z tego świata. Kajmakam zakazał lekarzom ogłaszania śmierci sułtana, a i służących pouczył, żeby trzymali język za zębami. Nie zapomniał też wspomnieć, że kto puści parę z ust, ten pożegna się z życiem. Aż do zebrania dywanu wszyscy powinni sądzić, że ciężka choroba sułtana nadal trwa.

Idący prosto na dywan po porannej modlitwie wezyrowie wyglądali na przygniecionych rozpaczą. Żaden nie zgodziłby się na stwierdzenie, że ktokolwiek inny wygląda na bardziej nieszczęśliwego niż on, choć tak naprawdę wszyscy wiedzieli, że nikt nie jest smutny. Byli tylko zdenerwowani, to wszystko. W głowach wszystkich bez przerwy kłębiły się dwa pytania:

„Czy książę Osman po wstąpieniu na tron zatrzyma mnie na tym stanowisku?”.

W miarę jak choroba sułtana się przedłużała, coraz więcej spośród nich zaczynała mocno żałować, że nie trzymała się bliżej księcia Osmana i jego matki, Mahfiruz Sultan, ale bronili się w duchu:

„Jak miałem trzymać się blisko? Jak tylko Mahpeyker by o tym usłyszała, od razu kazałaby się mnie pozbyć”.

W głowach prawie wszystkich powzięta została ta sama decyzja:

„Niech tylko skończy się to zebranie, od razu pobiegnę do Pawilonu Morskiego i ucałuję skraj szaty księcia Osmana. Jako jeden z pierwszych złożę mu hołd. Pogratiuję Mahfiruz Valide Sultan”.

Drugie pytanie było dużo bardziej skryte. Jeśli sułtan nie zwolni ich ze służby, to co się z nimi stanie? Tak właśnie się zastanawiano, kogo wywyższy Osman?

„Czy sułtan Osman uczyni mnie skarbnikiem w miejsce tego idioty, złodzieja i łapownika, Nasuhuttina? Mówią, że przeklęty Nizamettin Czelebi też ma chrapkę na ten stołek, ale...”.

„Czy padyszach odprawi Sofu, a ze mnie zrobi kajmakama?”.

22 listopada 1617 roku, poranny ezan

Wiadomość od razu przedostała się do Mahfiruz Sultan, która przeżywała bezsenne noce w Pawilonie Morskim.

– Nasz pan umarł. Sułtan Ahmed umarł.

Wzięta z zaskoczenia Mahfiruz upadła na ziemię.

– Boże! – Wstała. – Dzięki ci, Boże! – koniec niewoli, panowanie jej syna Osmana było końcem tej kobiety! – Ukazałeś mi ten dzień! Bądź tysiąc razy pochwalony!

Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że służki patrzą na nią z przerażeniem i w tym momencie zrozumiała swój błąd. Nieczęsto widywało się sułtanki, które na wieść o śmierci padyszacha padały na ziemię i dziękowały Bogu.

„Zbierz się w sobie” – ostrzegł ją umysł. „Jesteś od teraz valide sultan. Zachowuj się odpowiednio”. Tak zrobiła.

– Biegnijcie – powiedziała swoim dwórkom. – Przekażmy wieść władcy.

Z oczu dziewcząt wyczytała, że myślą, „władca nie żyje”.

– Niech sułtan Osman się dowie, że przyszedł czas na jego panowanie.

Pobiegły. Książę Osman obudził się od ich pokrzykiwań.

– Co się dzieje? – zląkał swojego wartownika. – Co to za hałasy?

Zrozumiał, gdy stróż rzucił mu się do stóp. „Mój ojciec odszedł do wieczności”.

„Jeśli tak... jeśli tak...”. Nie miał czasu, żeby dokończyć myśli. Drzwi się otworzyły i jego matka jak huragan wtargnęła do środka.

– Oby twoje życie i panowanie długo trwały, mój synu. Błogosławiona niech będzie twoja władza.

Książę Osman, odsuwając szatę, przeszkodził matce w jej ucałowaniu. Poczł, że serce szybciej mu bije i prawie słyszał szum krwi płynącej mu w żyłach.

– Allahu, nie pozwól mi się zhańbić – wymruczał.

„To znaczy, że przyjąłem władzę, pogodziłem się z nią”.

– Dalej, do dzieła – Mahfiruz w pośpiechu dopadła do szafy. – Musisz się natychmiast przygotować. Posłańcy dobrej nowiny mogą w każdej chwili zjawić się tu po bakszysz^[13].

– Matko, matko...

– Teraz, zaraz, ubieraj się, mój synu – padyszachu.

[13] Bakszysz – zwyczajowy napiwek dawany w zamian za wykonanie jakichś drobnych czynności

*Nowy Pałac, dywan
22 listopada 1617 roku, poranek*

W ten ciemny listopadowy poranek dywan zebrał się w ponurym nastroju. Jako że wielki wezyr i naczelny dowódca, Halil Pasza, prowadził kampanię przeciwko Persji, zebraniu znowu miał przewodzić zarządca stolicy, kajmakam Sofu Mehmed Pasza, ale na razie nigdzie nie było go widać. Wszystkie głowy zwiesiły się nad lewymi ramionami, ręce splotły na brzuchach. Imperium osmańskie było w żałobie.

Sofu Mehmed Pasza przybył ze smutną, zamysłoną twarzą, powłócząc nogami.

– Salam alejkum – wymruczał, siadając na swoim miejscu.

Poprawił ubranie i fryzurę, jakby to było bardzo potrzebne i wyciągnął rękawy kaftanu. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Imperium osmańskie doznało wielkiej straty – powiedział zduszonym głosem.

Sala obrad w jednej chwili wypełniła się jękami i westchnieniami.

– Niech spoczywa w pokoju.

– Niech Pan wybaczy grzechy naszego władcy.

– Nie mów tak, paszo. Jakie to grzechy popełnił nasz pan? Czy Allah wskaże wiernemu, który kazał zbudować z niesionych we własnej szacie kamieni ten wielki meczet na hipodromie jakieś inne miejsce niż raj?

Ci, którzy wiedzieli, że za dużo lamentów na wiele się nie przyda, delikatnie skierowali rozmowę na inne tory, żeby porozmawiać o przyszłości.

– Cóż mamy powiedzieć, boski wyrok.

– Dokładnie, dokładnie. Los nie گیاور, żeby go było można mieczem

odgonić od naszego pana.

– Oby Bóg nie pozwolił upaść państwu i narodowi.

Właśnie na to czekał wicesadrazam Sofu Mehmed Pasza.

– Oczywiście – próbował nadać swojemu głosowi ton stanowczości. – Niech Allah broni imperium osmańskiego i wspólnoty Mahometowej. Nadszedł czas, żeby przedsięwziąć pewne środki, panowie.

– Tak, tak, dokładnie – rozeszły się szepty.

Za to w myślach słowa wyglądały tak: „No dalej, uradźmy, żeby zanieść księciu Osmanowi dobrą nowinę. Śpieszy nam się”.

Sofu Mehmed Pasza zwrócił się do Esata Efendiego:

– Co należy zrobić w tej sytuacji, szlachetny hodźo? Czy masz jakąś fatwę?

Co? Wszyscy wezyrowie w zadziwieniu podnieśli znad lewych ramion pochylone w żałobie głowy i spojrzeli na kajmakama. Fatwa? Jaka fatwa? Padyszach umarł. Książę Osman wstąpi na tron. Po co temu człowiekowi fatwa?

Esad Efendi przez chwilę poruszał ustami. Tak długo, jak hodźa odmawiał modlitwę, w sali panowała martwa cisza. W końcu się odezwał:

– Sytuacja wygląda następująco. Jako że Jego Wysokość padyszach złączył się z litościwym Bogiem, tron Osmanów opustoszał. Wiadomo, że nasz pan zostawił po sobie trzech synów. Księcia Osmana, księcia Murada i księcia Ibrahima, jednak dwaj ostatni są bardzo mali. Rozumie się przez to, że najstarszym synem jest książę Osman.

Hodźa zamilkł, a wezyrowie kiwając głowami, potwierdzili jego słowa. Najstarszym synem był oczywiście książę Osman.

Esad Efendi znowu poruszył ustami, myśleli, że tym razem po to, by się pomodlić za księcia Osmana.

– Mimo to wiadomo – ciągnął szejch al-islam – że gdy jeszcze był zdrowy, nasz pan nie wyznaczył nikogo na swojego następcę. Można teraz spytać, dlaczego miałyby to robić? Wiadomo, kto jest następcą. Najstarszy książę, czyli Osman.

Znowu zaczęło się kiwanie głowami, ale tym razem wśród tłumu odezwały się zniecierpliwione szepty.

– To znaczy, możemy przypuszczać, że nasz pan nie wyznaczył najstarszego syna na przyszłego władcę, dlatego iż, tak czy inaczej, tożsamość następcy jest znana, czy tak?

– Tak, tak – wymruczało kilku wezyrów.

– Czyżby? – powiedział z powątpiewaniem Esad Efendi. – Jeśli tak przyjmujemy, to w takim razie, jakie znaczenie miały zmiany, których dokonał w prawie nasz padyszach? Jeśli prawo do tronu należy się najstarszemu synowi, to co z prawem najstarszego księcia dynastii? Po co nasz pan miałby ogłaszać, że władzę powinno się przekazać najstarszemu mężczyźnie z rodu?

Zastępca sadrazama, Sofu Mehmed Pasza, stwierdził, że już czas wesprzeć szejcha al-islama.

– Już z samej definicji powinno tak być, szlachetny hodżo. „Jeśli znajdzie się starszy przedstawiciel dynastii osmańskiej niż największy syn zmarłego padyszacha, na przykład brat albo stryj, to jemu powinno przyspaść panowanie”. Cel niczym się tu nie różni od tego, jaki miała zmiana wprowadzona w prawie przez naszego sułtana.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie ukradkiem. Idąc ścieżką wyznaczoną przez Mahpeyker, spalili za sobą mosty i jeśli ich słowa się nie ziszczą, a syn Mahfiruz wejdzie na tron, to największą łaską będzie, jeśli pozwolą im wybrać rodzaj śmierci.

Zastępy wezyrów wzburzyły się ze zdziwienia, jeden z tych o niższej pozycji wyraził to, co inni mieli w myślach:

– To znaczy, że prawo do tronu nie należy do księcia Osmana, tylko...

Było pewne, że mężczyzna powiedziałby, „do szaleńca”, ale szejch al-islam od razu zareagował:

– Nie mówimy tutaj o konkretnych osobach, panie – burknął, a później zamruczał coś pod nosem i tchnął powietrzem na dwie strony jak do zaklęcia. – Celem moich słów było wydanie osądu zgodnego z szariatem, sprawiedliwością, boskimi nakazami i porządkiem, a także z prawem, które nasz pan zostawił jako swój testament. Jaki inny mogłem mieć zamysł?

Mehmed Pasza wtrącił się, żeby zbytnio nie przeciągać dyskusji:

– Panowie – mówił pewnym głosem, a na jego twarzy malowała się

surowość. – Nie przystoi, aby w momencie, gdy błogosławione ciało naszego padyszacha jeszcze nie ostygło, jego niewolnicy siedzieli tu sobie i szukali właściciela dla jego spadku. Prawo jest jasne – obrócił się. – Czy masz fatwę, szlachetny hodźo? Ogłoś ją nam. Kto zasiądzie na tronie? Najstarszy syn czy najstarszy z dynastii?

Esad Efendi przełknął ślinę i w końcu rzekł z mocą:

– Ten drugi, paszo Sofu. Tak mówi prawo, nie najstarszy z synów, ale z rodu.

W szeregach wezyrów zawrzało i zastępca sadrazama razem z szejch al-islamem w jednej chwili pomyśleli o tym samym. Było pewne, że sułtanka Mahfiruz rozmawiała z wieloma innymi oficjelami, nie tylko z nimi.

Mehmed Pasza stwierdził, że należy w tej chwili zapanować nad sytuacją, musiał zdusić harmider i doprowadzić do wydania fatwy, zanim zbiorą siły stronnicy Mahfiruz.

– Panowie!

Nikt go nie słuchał. Wezyrowie spierali się, żywo gestykulując.

– Czy to tak można, mój drogi?

– Na pewno nie.

– Co oni mówią?

– Kto to słyszał, żeby brat zostawał sułtanem, jak syn żyje?

– Nikt, ale hodźa też ma rację. Prawo jest jasne.

– No właśnie, prawo jest w mocy, a my je tu będziemy ustalać?

W takim wypadku zdepczemy ferman sułtana.

Zastępca wielkiego wezyra wstał z wściekłością.

– Panowie!

Tym razem jego głos wywarł odpowiednie wrażenie. W zastraszający sposób oparł dłoń o szarfę owiniętą wokół stanu. Wezyrom nie wolno było wchodzić na obrady z bronią, ale kto miał sprawdzić, co kryło się we wnętrzu pasa? Wiele już razy dochodziło na dywanie do sprzeczek, zdarzało się, że jedni z drugimi szarpali się, bili, a nawet wyciągali na siebie kindżały.

– Zdaje się, że to, co właśnie powiedziałem, nie zostało usłyszane! – huknął Mehmed Pasza. – I wy się nazywacie poddanymi? Jeszcze ciało

naszego pana nie ostygło, a wy już chcecie zdeptać wprowadzone przez niego prawo i porządek? Jeśli zasadami można poniewierać, to co się stanie ze spokojem i z ładem w imperium?

Gniewnie usiadł na swoim miejscu. Trzeci wezyr wystąpił o krok naprzód.

– Nie występujemy przeciwko prawu, Sofu Paszo, jednak jest pewien problem.

– Jakież to problem?

– Jeśli patrzylibyśmy na przykazanie naszego świętej pamięci padyszacha, to na tron...

Mężczyzna nie powiedział reszty, ale dokończył za niego inny:

– Szaleniec, wariat... Ten człowiek jest obłąkany. Wepchniecie na tron Szalonego Mustafę? Imperium ma pod ręką dzielnego jak lew syna sułtana, a miałby nim rządzić pomyleniec? Nie dość, że nieobliczalny, to jeszcze ciemniak. Nawet nie potrafi czytać i pisać. Mamy oddać państwo w ręce kompletnego idioty i postrzeleńca?

Mehmed Pasza cały spurpurowiał, ale udało mu się utrzymać nerwy na wodzy. Pokiwał głową, jakby podzielał opinię trzeciego wezyra.

– Nieważne, że jest analfabeta, bo od czego jest dywan? Czyżby wezyrowie i uczeni mieli nie wystarczyć? Za to stan ducha... – znowu pokiwał głową. – Co na to powiesz, szlachetny hodzo? Jest całkiem jasne, co z psychiką księcia Mustafy.

Nadeszła chwila prawdy. Życie niezliczonych ludzi zależało teraz od kilku zdań, które wypowie w tej chwili Esad Efendi.

– Rozmyślam o tej kwestii od dnia, w którym zachorował nasz władca. Na czym powinniśmy się opierać w naszej decyzji? Jak złączyć w jednym wyroku szariat i osąd sułtana, żeby i sprawiedliwość została zachowana, i imperium cieszyło się wiecznym spokojem i porządkiem?

Znowu odezwały się pomruki, ale Esad Efendi uciszył je, podnosząc rękę. Nie obchodziło go, kto zostanie padyszachem. W tym momencie musiał ratować swoją głowę.

– Słuchajcie – ciągnął. – Prawo stoi po stronie księcia Mustafy, zwyczaj z kolei opowiada się za księciem Osmanem. Macie rację, do dziś dnia nie zdarzyło się jeszcze, żeby żył syn padyszacha, a na tron wstąpił

ktoś inny. Taka była i tradycja, i pochodzący z czasów sułtana Zdobywcy kodeks. Jednakże teraz w mocy jest nowe prawo. Drogi przepisów i zwyczajów się rozeszły. Którą pójdziemy? Czy podążymy tropem tradycji, czy ustanowionego przez naszego pana nowego prawa? – zamilkł na chwilę i spojrzał po kolei w twarze wszystkich wezyrów. – Ja powiem, żebyśmy trzymali się litery prawa.

Po raz kolejny podniosły się szemrania, ale tym razem zdawały się mniej gniewne.

– Słuchajcie, słuchajcie – znowu podniósł rękę. – Czy w waszych głowach nie odzywa się to, o czym wiem? Wypytałem lekarzy o sytuację księcia Mustafy i wymodliłem proroczy sen, a oto, co postanowiłem, panowie: umysł księcia z powodu długoletniego uwięzienia w pałacu i życia w strachu przed zabiciem uległ przejściowemu wypaczeniu, nie ma jednak wątpliwości, że wraz z usunięciem powodu tego stanu rzeczy, Jego Wysokość w krótkim czasie powróci do zdrowia. To rozwiązanie jest zgodne z prawem, porządkiem, a także szariatem – wsunął rękę pod kaftan. – Tutaj jest fatwa, którą napisałem u jego wezgłowa, w noc po tym, jak nasz władca zasnął w Panu, Mehmedzie Paszo.

Dywan pograżył się w milczeniu. Do całej sprawy wmieszała się teraz fatwa szejcha al-islama. Jak groźne było występowanie przeciwko dekretowi, tak samo niebezpieczne było przeciwstawianie się fatwie.

Zastępca sadrazama wziął wyciągnięty przez Esada Efendiego pergamin, rozchylił i przeczytał z uwagą, zupełnie jakby nie wiedział, co na nim było napisane.

– Osobiście – powiedział później – także jestem zdania, że stan księcia Mustafy jest zupełnie przejściowy. I tak, kiedy będziemy szli poinformować go o intronizacji, okaże się, czy ma poukładane w głowie, czy nie. Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy wziąć pod uwagę. Książę Osman jest starszy od pozostałych, ale tak właściwie to jeszcze dziecko, a przecież imperium osmańskie jest zewsząd zagrożone. Pokój z niewiernym na Zachodzie jest palcem na wodzie pisany, a szlachetny sadrazam pasza walczy z safawidzkim szachem. Osadzenie na tronie sułtańskim dziecka może w takich warunkach dać do zrozumienia wrogowi, że właściwie nie istniejemy.

Uniósł rękę trzymającą fatwę.

– Oto wyrok szariatu – położył drugą rękę na piersi. – Prześwietny osąd naszego pana jest też w moim sercu. To właśnie dyktują nam sytuacja i okoliczności – zatrzymał się na chwilę, wskazując na swoją głowę i spojrzał znacząco na wezyrów, którzy nadal nie wyszli z szoku. Powstał. – Jeśli tak, to niech zostanie napisane – skrybowie natychmiast chwycili za pióra.

Kajmakam podniesionym głosem, jeden po drugim podyktował fermany: w związku z tymi warunkami uznano za stosowne intronizować księcia Mustafę. Zarządzono, że nie ma przeszkody, aby na ceremonii przypasania miecza wezyrowie, uczeni i wszelcy inni poddani złożyli mu hołd.

Czekał, aż skrybowie skończą pisać i przycisnął pierwszą pieczęć do wysuniętego przed nim pergaminu.

– Niech Bóg błogosławi imperium osmańskie.

Stało się więc, co się stało. W tym momencie nie było już odwrotu. Rozkazy Mahpeyker Sultan zostały wykonane co do joty, jeden po drugim. Przyszła kolej, by sprawdzić, w jakim stanie znajduje się umysł księcia Mustafy.

Drzwi otworzyła im matka Mustafy, nowa sułtanka matka, i nie tracąc czasu, zaprosiła do wnętrza.

– Nasz pan was przyjmie.

Wezyrowie się zdziwili, sądząc, że zastaną księcia na rozmowie z ptakami albo w trakcie koziołkowania po ziemi.

Mustafa siedział na kanapie. Turban, który przez całe życie leżał na głowie nie tak jak należy, tego poranka był na właściwym miejscu. Spojrzenie mężczyzny było ostre, ale spokojne. Lekko ugięte w łokciach ręce złożył na kolanach.

Siedział tak, jak powinien siedzieć padyszach.

Sofu Mehmed Pasza odezwał się łagodnie:

– Mój książę, twój starszy brat połączył się z Panem. Oby Allah dał ci długie życie.

Kajmakam i szejch al-islam bali się, że zrobi teraz coś szalonego, jednak książę Mustafa powiedział smutnym, lecz twardym głosem:

– I wy bądźcie zdrowi. Tak samo i imperium. Ludzie są śmiertelni, państwo wieczne. Niechaj Wielka Porta trwa po wsze czasy.

Mehmed Pasza i Esed Efendi odetchnęli z ulgą, a stojący za nimi wezyrowie zdębieli. To nie były słowa wariata, tylko mędrca, a to znaczyło, że szlachetny hodża miał rację. Szaleństwo Mustafy było przejściowe. Mogło być nawet tak, iż udawał szaleńca w obawie, żeby go nie zabito.

– Dywan zdecydował o waszej intronizacji, mój książe. Jesteście gotowi?

Książe Mustafa wstał z lekkością i podszedł prosto do zastępcy sadrazama. Spojrzał po kolei na twarze ludzi przybyłych, aby mu przekazać dobrą wiadomość. „I wcale nie patrzy jak szaleniec” – przeszło wszystkim przez myśl.

Kajmakam znowu odezwał się cicho:

– Mój książe, czy jesteś gotowy wstąpić na tron?

To były słowa klucze: „Czy jesteś gotowy?”.

Gdy tylko to usłyszał, miał odpowiedzieć słowami, których całymi dniami, bez znużenia, bez zmęczenia uczyła go matka. I tak właśnie zrobił Mustafa:

– Od samego początku, matka urodziła mnie dla tego dnia, co sobie myśleliście?

Zdał egzamin. Mehmed Pasza padł mu do stóp ze słowami: „Mój sułtanie”, a za nim podążyli pozostali.

22 listopada 1617, przed południem

Czekająca na przybyłych, by zebrać bakszysz tronowy ludzi, Mahfiruz wpadła w szal, gdy się dowiedziała, że władzę miano przekazać Mustafie, i naskoczyła na posłańców, którzy przynieśli nowinę:

– Kłamcy! Zejdźcie mi z oczu! Co to w ogóle za pomysł, żeby oddawać imperium osmańskie wariatowi?

Potrzebowała czasu, żeby przyjąć prawdę do wiadomości. Cała aż dygotała z wściekłości.

– Dość – powiedział cicho książę Osman. – Już wystarczy, matko.
Dość.

Ogromnie zawiedziony pogрузił się w myślach.

– Niece...! – zakrzyknęła Mahfiruz. – To nie koniec. To dopiero początek – wyskoczyła z miejsca, jakby miała rywalkę naprzeciwko. – Dopóki nie wydrę ci serca z piersi tymi tu paznokciami, ta sprawa się nie skończy, Mahpeykeer...!

Osman na chwilę uniósł głowę. Serce mu krwawiło, gdy patrzył, jak jego rodzicielka bije pięściami powietrze.

– Matko – powiedział. – Przestań w końcu. Przegraliśmy. Jest od ciebie silniejsza. Dość sprytna, by osadzić na tronie imperium szaleńca. Nie widzisz? Ta wrogość będzie nas drogo kosztować. Przestań, dość!

Ale kobieta spojrzała na syna oczami pełnymi płomieni.

– To ty przestań! – wrzasnęła. – Dopóki nie posadzę cię na tronie i nie zabiorę życia tej wiedźmie, nie mam prawa do ciszy i spokoju, czy nie rozumiesz?!

Przecucie, że w tym samym momencie Mahpeyker musi się zwycięsko zaśmiewać, jeszcze bardziej ją rozeźliło.

– A śmieję się, wieśniacza sułtanko! – zawyła. – Śmieję! Gdy kaci przyjdą, żeby ściąć ci głowę, też będę się tak śmiała!

Mahpeyker z napięciem oczekiwała wiadomości w swoich komnatach. Drżała z niepokoju, bo od podszewki znała smak zdrady. Jedna z dwórek niczym huragan wparowała do pokoju.

– Pani, właśnie przynieśli wieści. Dywan podjął decyzję. Ogłoszono, że książę Mustafa wstąpi na tron. Mieli spytać, czy jest gotowy, a on podobno odpowiedział: „Od samego początku”.

„Już po tobie, pajęczycy” – było jej pierwszą myślą. „Zgniotłam cię”.

Obróciła się ku oknu i wpatrzyła w ciężkie od deszczu chmury.

– Bogu niech będą dzięki – wyszeptwała. – Jesteśmy uratowani! Zdobyłam czas potrzebny, żeby Murad mógł osiąść na tronie!

*Nowy Pałac
Luty 1618 roku*

Nie upłynęło wiele czasu, nim pojęła, że zbyt prędko uznała, iż są uratowani.

Wszystko bardzo dokładnie przemyślała i zaplanowała, ale nie dołączyła do swoich rachunków ani naczelnika czarnych eunuchów, Hasanbeyzadego Mustafy Agi, ani tego, że trudniej rządzić jednym wariatem niż całym państwem.

Przez kilka pierwszych dni wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Jeszcze zanim ciało Ahmeda zostało oddane ziemi, od razu w dniu, gdy dywan podjął decyzję o intronizacji, przed Bramą Pozdrowień urządzono dla Mustafy publiczną ceremonię hołdu, zaś po południu sułtan Ahmed został zgodnie ze swoją wolą złożony do jeszcze niedokończonego grobowca tuż przy meczecie, który kazał zbudować. Dwa dni później odbyła się uroczystość przypasania miecza Mustafie, a mięso z ubitych ofiar rozdano biednym w geście dobroczynności.

Już trzeciego dnia pojawiła się pierwsza oznaka zagrożenia. Matka sułtana Mustafy postanowiła się przenieść do od lat zajmowanych przez Mahpeyker pokoi valide sultan. Jako że kobieta nie była w stanie przyjść osobiście i powiedzieć tego w twarz Kösem, wysłała wiadomość:

„Wybacz mi, pani, jesteś naszą błogosławioną obrończynią. Cokolwiek rozkażesz, tak się stanie w pałacu, jednak z uwagi na tradycję i zwyczaje nie byłoby właściwe, aby rozeszły się plotki”.

Choć nie dała tego po sobie poznać, w duchu przyznała kobiecie rację. Mahfiruz z pewnością była przygotowana na rozsiewanie oszczerstw.

„Kto rządzi w imperium osmańskim? Niech no powiedzą, kto jest

padyszachem, dowiedzmy się. Szalony sułtan czy kobieta zwana Mahpeyker?

Bez słowa skargi zmieniła mieszkanie i zaczęła w ukryciu przekazywać matce padyszacha, co trzeba, a czego nie należy robić, tyle że Mustafa nie był w stanie nikogo słuchać.

Zarządca czarnych eunuchów bardzo szybko wciągnął padyszacha do świata rozrywki. Wymyślił całe mnóstwo zwyczajnych i nadzwyczajnych zabaw, od berka z dziewczętami w ogrodzie różanym, aż do wyścigów na alabastrze w sułtańskim hamamie, a w tym czasie nie zapominał podszeptywać, kogo należy gdzie przydzielić, a kogo odwołać.

Matka sułtanka w okamgnieniu zauważyła, że jej syn znalazł się pod władzą naczelnego eunucha. Co więcej, jak tylko się upewniła, że mężczyzna w sekrecie kontaktuje się z Mahfiruz, podjęła, na miarę swojego rozumu, środki, żeby zapobiec jego spotkaniom z padyszachem. Dla przykładu, jeśli Mustafa Aga miałby coś do powiedzenia sułtanowi, musiałby najpierw zobaczyć się z valide sultan, i to jej przekazać swoje słowa.

Ten krok, w zamyśle zbawienny, okazał się zabójczy.

Zrozumiawszy, że już nie będzie mógł dotrzeć do władcy i namówić go do spełniania swoich zachcianek, Hasanbeyzade Mustafa Aga zmienił taktykę i rozpoczął rozsiewanie pogłosek o niedorozwoju umysłowym nowego padyszacha. Było jasne, że wiele z nich wymyśliła Mahfiruz, ale równie wiele było prawdziwych.

– Czy słyszeliście? – tak zaczynał się każdy poszept. – Wielmożny padyszach to święty prostaczek i dlatego zaniedbuje sprawy państwa.

– I to ma być coś? Gra sobie ze sługami i z niewolnicami, a kto wygra, tego obsypuje złotem i brylantami.

– Nie pytaj. Ja też słyszałem. Ponoć urządził konkurs tańca brzucha z którąś z odalisek. Rozebrał się jak tancerka, pokazał brzuch i kręcił biodrami. A kiedy dziewczyna wygrała, to aż wstyd o tym mówić, wsadził jej w pępek rubin wielkości orzecha włoskiego.

– Wstyd...

– Wstyd, no! Podobno alimowie mówią, że jak jeszcze tak trochę porządzi, to nie będzie zdziwienia, jeśli rozda całe złoto i srebro,

a skarbiec zostawi całkiem pusty.

– Nie mają prawa narzekać. Czy to przypadkiem nie oni zwalili nam na głowę Mustafę, podczas gdy mieli do wyboru najdzielniejszego z dzielnych, młodego Osmana?

Przybywający, by tchnąć zaklęcia dla przywrócenia zdrowia psychicznego padyszacha hodźowie, z błaganiem o litość biegli do sułtanki Mahpeyker:

– Stan władcy wcale się nie poprawił. Należałoby koniecznie uczynić z niedomagania Jego Wysokości tajemnicę państwową, jednak zarządca czarnych eunuchów rozpowiada sekrety tronu na wszystkie strony. Trzeba jak najszybciej oddalić Hasanbeyzadego Mustafę Agę.

Valide sultan nie miała już jednak większej ochoty, by spełniać instrukcje Kösem. Według niej istniał tylko jeden powód, dla którego padyszach popadł w szaleństwo. Kobieta! Wierzyła, że jak raz uda się jakąś sprowadzić do władcy, to wszystko wróci do normy.

Żeby obudzić w synu pożądanie, ściągnęła zewsząd, z Chin, z Indii, z Anatolii, dziewczęta i sprowadziła do sypialni Mustafy. Nic z tego. W nocy na wpół nagie odaliski wyskoczyły z łóżka i uciekły, a padyszach ze słowami: „Nie uciekaj, dziewczyno. Dotknąłem cię, teraz ja będę biec, a ty gonić” ruszył za nimi w pogoń. Po tym wydarzeniu wynajęto instruktorki spośród polujących na klientów w rybackich i żeglarskich winiarniach Galaty specjalistek. Nocami w tajemnicy sprowadzano je do pałacu i wpuszczano na pokoje Mustafy, ale i ten sposób nie zadziałał, co więcej – kobiety nie potrafiły zachować milczenia i zaczęły rozpowiadać plotki.

– Boże, wiesz, co to za mężczyzna? Mówisz mu: „Weź tego ptaka i posadź w gnieździe”, a on patrzy na ciebie i pyta: „Jakiego ptaka?” – zanosił się śmiechem.

Pod koniec pierwszego miesiąca sułtan Mustafa na dobre wyrwał się spod kontroli. Zaczął w środku nocy stawiać pałac na nogi i wydawać rozkazy:

– Przygotować oddziały. Mój powóz ma być gotowy. Ruszam na wyprawę!

A gdy, błagając władcę o litość, słudzy nie wykonywali rozkazu, darł

się wniebogłosy. Chcąc nie chcąc, jednostki formowały się i wraz z padyszachem wychodziły na nocną przejażdżkę po ulicach Stambułu. Kto wie, w ilu dzielnicach ludzie budzeni byli nocami przez wrzaski:

– Strzeżcie się, niewierne psy! Syn chana Mehmeda, sułtan Mustafa idzie na wyprawę! Już ja wam zawinę mieczem przez głowy, he!

Nocami odwiedzał groby.

Wychodził na plażę i rzucał złoto rybom na przynętę.

W końcu zaczął się zajmować zebraniem dywanu. W środku narady wchodził na salę, zrywał turbany wezyrom i jeden po drugim wykopywał, a posiadacza tego, który poszybował najwyżej, obdarowywał klejnotami.

Tym razem to Mahfiruz zaprosiła do siebie Ikbal i Fitnat.

– Powiedzcie swoim mężom – smagnęła głosem jak batogiem – że muszą wybrać stronę. Niech podejmą decyzję. Jak długo jeszcze będą przymykać oczy na skandale wariata, którego ściągnęli nam na głowę omamieni przez tę kobietę? Ha, mam wszystko przyszykowane! Ta sprawa się skończy, a oni naprawią swoje błędy, błagając mojego syna o wybaczenie. W przeciwnym wypadku oby byli gotowi ponieść konsekwencje.

Zastępca wielkiego wezyra, Sofu Mehmed Pasza i szejch al-islam Esad Efendi i tak już ogromnie żalowali. Przez namowy Mahpeyker Sultan rzucili imperium osmańskie w przepaść. To nie był już czas, ani żeby prosić ją o rady, ani żeby jej słuchać. Żołnierze w koszarach zaczęli nawet wykrzykiwać: „Chcemy Osmana!”.

Przez pewien czas trzymający się w cieniu zarządca czarnych eunuchów, Mustafa, znowu wyszedł na scenę i po jednym ze spotkań, które skrycie urządzał z Mahfiruz Sultan, zaczął wszędzie rozpowiadać:

– To o wiele więcej niż słabość umysłu. Nie będę się mieszać, jeśli Mustafa Chan każe podusić synów naszego świętej pamięci padyszacha. To nie mój grzech, tylko tych, co go spuścili ze smyczy.

Ta plotka była kroplą, która przelała czarę. W połowie lutego tysiąc sześćset osiemnastego roku Mehmed Pasza i Esad Efendi zaprosili do pałacu państwowych urzędników. Mahpeyker natychmiast dowiedziała się o poruszeniu. Biegający na wszystkie strony mężczyźni przekazali wiadomość, że przybyło nawet kilku bejlerbejów. „To niewłaściwy

moment”, pomyślała i przelękając dumę, odwiedziła sułtankę matkę.

– Wiesz, co się dzieje? Po co tu tylu ludzi? – spytała.

– Nie ma powodów do obaw – odpowiedziała matka padyszacha. – Sofu Pasza zaklinał się, że to tylko zgromadzenie w sprawie lafy.

– Dziwne – burknęła. – Dziewięćdziesiąt sześć dni po przypasaniu miecza waszemu synowi miałby się zebrać dywan lafowy?

– Tak właśnie powiedziałam – odparła kobieta. – Mieszkający daleko bejlerbejowie potrzebują czasu, żeby przybyć.

– A co z żołnierzami zapełniającymi dziedziniec? Czy oni też czekają na lafę? Przecież rozdano im bakszysz koronacyjny.

Valide sultan miała odpowiedź na wszystko.

– Spytałam paszę – powiedziała. Tym razem jej głos i postawa mówiły: „Jestem tak samo mądra jak ty”. – Mają być zbrojnymi bejów, wezyrów i agów przybywających na dywan. Zebrali się po bakszysz.

Mahpeyker wcale to nie przekonało, ale nie mogła niczego zrobić. „Głupia” – mówiła w duchu.

18 lutego 1618 roku

Stało się to, czego się obawiała. Na znak Sofu Mehmeda Paszy, żołnierze, którzy według jego słów mieli przybyć po bakszysz matki sułtanki, zatarasowali drzwi do komnat padyszacha. Mustafa długo krzyczał zza drzwi:

– Zostawcie ptaki! Nie zamykajcie ich! Zostawcie, niech lecą!

Dziewięćdziesięciosześciodniowe panowanie sułtana Mustafy zakończył zamach stanu. Zebranie dywanu trwało w najlepsze, a Sofu Mehmed Pasza wraz z dwoma bejlerbejami wyszli, by udać się do Pawilonu Morskiego. Przypadli do stóp księcia Osmana i błagali o litość. Osman, machając ręką, jakby odganiał muchy, zdobył się, żeby powiedzieć:

– Możecie iść, zostało wam wybaczone.

Mehmed Pasza poinformował go o zarządzeniu dywanu:

– Poradzono sobie z twoim stryjem Mustafą, jest teraz pod kluczem. Przyszedł czas na intronizację.

Wzięli ze sobą księcia Osmana wraz z tonącą we łzach szczęścia Mahfiruz i wprowadziwszy go na tron, który kazali postawić przed Bramą Pozdrowień, ogłosili nowego padyszacha.

Sofu Mehmed Pasza był pierwszym, który spośród wszystkich wezwanych na lafowy dywan wezyrów, bejów, agów, bejlerbejów i wszelkich oficjeli, jacy tylko mogą przyjść do głowy, zakrzyknął:

– Niech twoje życie i panowanie trwają wiecznie. Niech żyje padyszach! – i całując rękę oraz szatę nowego sułtana, złożył mu hołd.

Mahpeyker z daleka usłyszała wrzawę.

– Co się dzieje? – wstała. – Otwórzcie okna, chcę to słyszeć.

Dwórki podbiegły, otworzyły, i do wnętrza, wraz z przeszywającym lutowym mrozem, wdarły się pełne radości okrzyki i nawoływania.

– Niech żyje padyszach!

Zdziwiła się. Co to, mający serdecznie dość Mustafy dworzanie przekazują mu oznaki miłości?

– Niech twoje życie i panowanie trwa jak najdłużej!

– Tysiąc lat dla władcy!

– Obyś był równie wielki co twój przodek, Osman Gazi, Młody Oskanie!

Osman! Mahpeyker zadrżała z przerażenia. „Pajęczycza” – syknął jej rozum. „Pajęczycza dopięła swego!”.

– Mówią Osman?

Nikt nie zebrał się na odwagę, by powiedzieć „tak”.

– Obalili Mustafę?

I tak przecież znała odpowiedź na to pytanie. Szalony sułtan upadł przez pałacowy przewrót. Może go nawet zabili. Wcale ją to nie obchodziło. Choćby nawet żył, śmierć już pukała do drzwi jej i jej dzieci. Koło się obróciło, tym razem fortuna uśmiechnęła się do Królowej Lodu. Teraz siła była w ręku diablidy.

– Biegnij – szepnęła do Mürüvvet, żeby nie pokazać swojej paniki. Nie mogła wiedzieć, że jej pobladła twarz obnażyła strach, który ją ogarnął. – Sprowadź tutaj moich synów i córki. Ich niańki też. Wszyscy się tutaj zbiorą. Nikt nie odejdzie i nie wejdzie bez mojej wiedzy. Każ zamknąć drzwi. Postawić strażnika. Niech się nie waży otwierać, nie oddając

życia, niech wie, że w przeciwnym razie sama go zabiję. A ty, Semiho, wyślij jedną z dziewcząt, niech sprawdzi nastroje.

Naraz spostrzegła, jak głupie były wszystkie rozkazy, które wydała. Które drzwi ma utrzymać? Przeciw komu? Jaką siłą? I po co sprawdzać nastroje? Wszystko było jak na dłoni. Została pokonana przez bezmyślność jakiejś idiotki. Pajęczycyca utkała sieć i ich w nią zapędziła. Do pokrzykiwań dołączył teraz hałas trąbek, talerzy i bębnow wojskowej orkiestry. Szalony Mustafa odszedł, zjawił się młody Osman. Stolica świętowała panowanie sułtana Osmana.

„I mój koniec” – pomyślała. „I koniec Mahpeyker Kösem Sultan”.

Mürüvvet wróciła z księciem Muradem i Ibrahimem. Dziewczęta sprowadzono już wcześniej. Naraz Mahpeyker podjęła szaloną decyzję. Nie będzie czekać w pułapce, aż ich zabiją. W ukryciu opuszczą Nowy Pałac, udadzą się do Starego, a stamtąd znajdą jakąś drogę poza miasto.

– Şarazad – wezwała kobietę. – Każ przygotować dwa czy trzy powozy. Zejdziemy schodami wychodzącymi na dziedziniec koniuszych, nikt nas nie zobaczy. Niech jeden z lojalnych wobec nas ludzi wyjdzie i weźmie powóz z zewnątrz. Nie możemy zwracać na siebie uwagi, zrozumiałaś?

Şarazad pokiwała głową i pobiegła, ale nie minęła nawet jedna, czy dwie minuty, gdy wróciła. Teraz i jej twarz była kredowobiała.

– Co się stało? Dałaś radę?

– Nie puścili – powiedziała cicho kobieta. – Gwardziści i żołnierze pilnują drzwi. Mówią, że nikogo nie przepuszczą ani do wewnątrz, ani na zewnątrz.

W jednej chwili krew uderzyła jej do głowy. Dali się schwytać w pułapkę.

– Wiedźmaaa...! – krzyknęła. – Górska wiedźma... pajęczycyca, skorpion, liszka, wąż... diabolic!

Semiha i Şarazad siłą uciszyły Mahpeyker, zakrywając jej usta rękoma. Drżało całe jej ciało.

Sułtanka Mahfiruz, zaśmiewając się z radości, niecierpliwie oczekiwała powrotu swego syna.

Przez chwilę chodziła po pokoju, w końcu otworzyła skrzynię i wyjęła z niej zawiniątko. Wybrała jedną, spośród kilku sakiewek, rozwiązała węzeł i wzięła do ręki to, co znajdowało się w środku.

Pierścień!

Długo patrzyła na pierścień, który Safiye Sultan podarowała Handan, a który zdjęła z palca swojej teściowej w noc jej śmierci.

– Hej, pierścieniu, koniec z niewolą – wyszeptała. – Aż do dziś trzymałam cię w twoim woreczku, bo podobno przychodzisz z pomocą tylko matce sułtana. Właśnie nadszedł dzień. Adżarska dziewczyna Mahfiruz została sułtanką matką Osmanów.

Założyła pierścień na palec i trzymając rękę przy świetle świec, spojrzała na dłoń z klejnotem. Przy brylantach i szmaragdach na jej innych palcach jego martwa matowość wzbudziła w niej dreszcze. Przeszło jej przez głowę, że gdyby nie słyszała na własne uszy o jego mocy, nawet przez chwilę nie założyłaby tej brzydkiej rzeczy. „Przypatrz się dobrze. Zapamiętaj porządnie nową valide sultan. Od dziś będziesz ukazywać swój czar i potęgę na moim palcu. Czyń, co masz czynić, przynieś mnie i mojemu synowi, padyszachowi zdrowe i szczęśliwe panowanie.

Nie mogła zabić czasu i w kółko kręciła się po pokoju. Po tym, jak założyła pierścień, w jakiś dziwny sposób poczuła się potężniejsza, bardziej żwawa, jakby zmysły jej się wyostrzyły.

– Nadchodzę, Mahpeyker – syknęła głośno. – Czekaj no, nadchodzę. Jej pierwszym rozkazem jako sułtanki matki stało się rozpoczęcie przygotowań przeprowadzki do Nowego Pałacu.

– Idziemy stąd, moje panie – powiedziała do swoich dwórek. – Idziemy tam, gdzie powinniśmy być. Śpieszcie się.

Podczas gdy dziewczęta ruszały się w gorączce, dała znak Taciser, żeby została i wyszeptała coś do jej ucha. Taciser pokłoniła się jej ze złowieszczym uśmiechem i wyszła.

Mahfiruz Valide Sultan patrzyła przez chwilę na odchodzącą dwórkę. „Twój Azrael jest w drodze, Mahpeyker” – pomyślała. „Słyszysz? Ten dźwięk, który do ciebie dochodzi, to kroki Azraela!”

Sułtan Osman, zmęczony po pracowitym dniu, przyszedł do matki.

– Podaj dłoń – powiedział. Głos nowego padyszacha był pieszczotliwy i pełen szacunku. – Nie powinienem zaczynać panowania bez pocałowania ręki matki i bez prośby o jej błogosławieństwo.

Mahfiruz pozwoliła pocałować sobie dłoń.

– Mam – powiedziała rwącym się z emocji i zachłanności głosem – tylko jedno życzenie, mój synu i władco. Mój mężny młody Osmanie.

– Osman zrobi, co zechcesz, matko. Powiedz w końcu.

– Ta kobieta – wysyczała Mahfiruz. – Ta kobieta i jej dzieci...

wszyscy...

Sułtan Osman w jednej chwili wyzwolił się z objęć matki i skierował do drzwi.

– Nie żądaj tego ode mnie, matko – rzucił stanowczo. – Nie mów mi, żebym przelewał krew rodzeństwa. Nie zrobię tego, choćby się świat walił. – Już miał wychodzić, gdy przyszła mu do głowy pewna możliwość i odwrócił się: – I tobie też nie pozwolę, matko. Skoro mówisz, że jest wężem, to nie deptaj jej po ogonie.

Wyszedł. Mahfiruz jeszcze długo stała tam, w osłupieniu. „Niech tak będzie, synu” – w końcu powiedziała w głowie. „Mam nadzieję, że ten ocalony przez ciebie wąż, któremu boisz się nadepnąć na ogon, nie odwróci się i cię nie ukąsi. Oby bracia, których krwią nie splamiłeś sobie rąk, nie wypili twojej!”.

Nie wolno jej było zasnąć. Nieposłuszeństwo Ibrahima było jak sól wtarta w ranę przeżywanego przez nią koszmaru, było tak, jakby książę zdawał sobie sprawę z sytuacji i niebezpieczeństwa, z którym stanęli twarzą w twarz. Nawet na chwilę nie przestawał płakać.

Wyskoczyła z miejsca, bo na zewnątrz powstało poruszenie.

„Nadchodzą. Idą, żeby nas zabić”.

Jeśli tak, to pokaże im, jak umiera Mahpeyker Kösem Sultan.

Gdy na progu ukazała się całkiem czerwona na twarzy Semiha, zbesztła ją:

– Wpuść ich, niech przyjdą. Mają przyjść po jedno życie, czy nie? Niech przyjdą i wezmą. Jednak moi książęta i księżniczki są nadal bardzo mali. Niech oszczędzą dzieci.

– Pa... pa... – jąkała się Semiha. – Pady... szach nadchodzi...

„Co? Osman przyjdzie? Po co? Żeby oglądać, jak mnie zabijają?”.

Co miała teraz zrobić? Miała go powitać z powagą jak przystało na Mahpeyker Sultan, czy upaść mu do stóp i błagać o życie swoich dzieci?

Nigdy by tego nie zrobiła. Nie skamlałaby przed nim, żeby ratować swoje potomstwo, nie pozwoliłaby, żeby żyły z tym wstydem. „Już lepiej niech umrą” – pomyślała sobie. Wybrała pierwszą drogę.

Rozsiadła się wygodnie na kanapie, poprawiła ubranie, uniosła głowę, wyprostowała ramiona. Starła się, jak tylko mogła, żeby na jej twarzy pojawił wyrażający pewność siebie uśmiech. Nawet nie miała zamiaru wstawać.

Jak tylko usłyszała gwar, od razu zrozumiała, że zbliża się Osman.

– Niech przyjdzie – powiedziała lodowatym głosem tak, żeby nie było wątpliwości, że usłyszano ją na zewnątrz. – Niech przyjdzie.

Sułtan Osman pojawił się na progu. Miała zamiar ocenić spojrzenie oraz postawę stojącego naprzeciwko i wyciągnąć wnioski, ale nie dane jej było tego zrobić. Ze wzburzenia i z niepokoju zapomniała, że w komnacie znajduje się książę Ibrahim. Jak tylko chłopiec zobaczył, że przy drzwiach zatrzymał się obcy w wielkim turbanie, na sekundę przerwał lament, po czym zaczął zawodzić z jeszcze większą siłą.

Słyszając hałas, niańka od razu przybiegła i biorąc księcia Ibrahima w objęcia, wyprowadziła z pomieszczenia. Wszyscy nadal mieli głos chłopca w uszach.

– Całkiem mały, ale płuca ma strasznie mocne – powiedział Osman, uśmiechając się lekko.

Naraz odezwały się w Mahpeyker podejrzenia. Co to miało znaczyć „ma mocne płuca”? Szkoda, niedługo będzie ich potrzebował. Niech ich na próżno nie forsuje, czy tak?

– Dokładnie – odparła chłodno. – Jest bardzo niegrzeczny.

Nowy padyszach pokiwał głową.

– Jak się czuje Murad?

Nieufność Mahpeyker jeszcze wzrosła. Po co o niego pyta? Będzie pytał po kolei o wszystkie moje dzieci?

– Dobrze. Bardzo dobrze.

„Bardzo urósł” – pomyślała. „Odkąd go ostatnio widziałeś, stał się

postawnym mężczyzną. Można go nawet nazwać przystojnym”.

Raptem jej serce rozerwał ogromny ból. „Ach, co by to było, gdyby mój Murad był w tym wieku. W tych drzwiach pojawiłby się nie syn pajęczycy, tylko mój książę, padyszach z turbanem na głowie i w kaftanie z gronostajów”.

Młody Osman także od lat nie widział Mahpeyker. Od matki słyszał na jej temat tylko złe słowa i przekleństwa, ale oczywiście zdarzyło mu się też słyszeć, że była piękna, tak piękna, że jego ojciec zapomniał o jego matce. „Racja” – pomyślał sobie. „Nadal jest piękna”.

– Zostaliście padyszachem – powiedziała Mahpeyker, choć w jej umyśle nie było takich słów. „Niech to diabli” – zagrzmiała w środku. „Po co to powiedziałam?”.

Osman pokiwał głową, a na jego twarzy nadal był dziwny, wąły, tak mglisty, że prawie niezauważalny uśmieszek. „Może się jeszcze naśmiewa z mojej sytuacji?” – warknęła w umyśle. Rozum znowu się nie słuchał:

– Życzę wam szczęścia i pomyślności – powiedziała prędko.

Osman znowu jakby pokiwał głową i nagle się odezwał:

– Spójrzcie. Obydwoje dobrze się znamy. Jesteście kobietą, która żeby zapobiec mojemu wejściu na tron, współpracowała z moim szalonym stryjem. Moją matkę...

– Przyszliście, żeby mi mówić o waszej matce? Czyżby Mahfiruz, w dniu jego koronacji, wyznaczyła syna do dokonania zemsty? Czy to wy będziecie naszym katem?

Młody Osman się uśmiechnął. „Ładnie wygląda z uśmiechem” – przeszło przez głowę Mahpeyker. Od razu zganiła się za tę myśl.

– Nie – powiedział padyszach, z lekkością przysiadając na brzegu kanapy naprzeciwko niej – chciałem tylko wyrazić uczucia, które wobec siebie żywimy. Mogę się domyślać, co teraz odczuwacie. Boicie się o siebie i moje rodzeństwo. Nie ma takiej potrzeby. Wystąpiłyście przeciwko mnie, ale wiedzcie, że nie jestem waszym wrogiem. Nie chcę splamić krwią mojego panowania, i to w dodatku krwią braci. Niektórzy pewnie uznają, że jestem w błędzie, ale tak właśnie chcę, tak właśnie myślę. I tak będzie.

„Co ten dzieciak opowiada?” – powiedziała sobie w duchu Mahpeyker. „Miałby nie być moim wrogiem? Nie chce się splamić krwią braci? Pewnie ma na myśli matkę, mówiąc o «niektórych»”.

Poczuła, jak kamień spada jej z serca.

– Bądź wywyższony za te uczucia – wyszeptała.

– Jednakże – ciągnął Osman – nie byłoby już właściwe, gdybyście tutaj zostali. Myślę, że się też na to zgodzicie. Jeszcze tej nocy wraz z moim rodzeństwem przeniesiecie się do Starego Pałacu.

Wrzask, który odezwał się w jej głowie, wstrząsnął wszystkimi komórkami Mahpeyker. Stary Pałac! Pałac wygnania!

– Obiecuję wam – powiedział Osman – przyrzekam, że będziecie tam żyć w spokoju i bezpieczeństwie. Nikomu nie pozwoli się was skrzywdzić. A wy tam zgodnie z tradycją, zostanieie.

Nie dając jej okazji, żeby coś odpowiedziała, sułtan Osman odwrócił się i zamiatając połami szaty, wyszedł.

W tamtej chwili nie wiedziała, co myśleć.

Nie minęła godzina, a powiedzieli:

– Dalej, czas ruszać.

W świetle pochodni trzymanyh przez ustawionych w rzędy po dwóch stronach dziedzińca żołnierzy weszli do powozów. Trzasnęły bicze. Podkowy uderzyły w kamienie. Obróciły się koła. Na drodze prowadzącej do Bramy Pozdrowień po jednej stronie ustawili się gwardziści, po drugiej żołnierze. Pochodnie pomalowały mroczne dziedzińce pałacu tajemniczą czerwienią. Naraz Mahpeyker przypomniała sobie noc, w którą lata temu sułtan Ahmed przybył do Starego Pałacu, żeby ją zabrać. Sądziła, że pochodnie są świetlikami. Ahmed ją nimi powitał. Teraz też wśród świetlików jechała na miejsce wygnania.

„Co ja zrobię?” – pytała samą siebie. „Boże, co ja zrobię?”.

Słuchając dźwięków kół i podków koni w ciemnościach powozu, nadal nie podjęła decyzji, co powinna myśleć ani czynić.

Wbrew sobie spojrzała na ciemną pustkę naprzeciwko.

Gdy jechała do Nowego Pałacu, siedziała tam Sofia.

Teraz wracała bez niej.

Nawet nie знаła miejsca, gdzie była dziewczyna. Kto wie, gdzie ją

pochowali.

Jej wnętrze objęły płomienie. Rusałka stała się ofiarą jej nienasyconej ambicji.

Łza spadła jej z policzka.

– Wybacz – wyszeptała. – Nie chciałam, żeby tak się stało, Sofio.

Wybacz swojej siostrze. Błagam, bła...

Naraz się otrząsnęła.

– Wytrzymaj, Mahpeyker – mruknęła. – Nie czas na sentymenty.

Jedziesz do Starego Pałacu. Na wygnanie...

Spojrzała na zewnątrz, wystawiając głowę za okno. Na przedzie, bardzo daleko w ciemnościach latały chmary świetlików.

Stary Pałac!

„Gniazdo mojej posługi i zesłania” – przeszło jej przez głowę. Zapalili pochodnie i czekają na mnie.

Uderzające w twarz zimne powietrze dobrze jej zrobiło. Wciągnęła w siebie mróz. Przez chwilę myślała o tym, żeby przez okno wystawić włosy na wiatr, ale nie mogła się na to zdobyć.

– Do środka! – krzyknął jeździec, który nagle pojawił się u jej boku. – Do środka!

Wycofała się i zakryła okno skórzaną zasłoną. Wierzchem dłoni starła łzy toczące się jej po policzkach. Zapomniała, że trafiła do niewoli.

Jeszcze tej nocy przeniosła się do komnat Safiye Sultan i wyciągnęła na łóżku, w którym tamta oddała życie. Ułożyła głowę na poduszce.

– Moja matko sułtanko – pozwoliła płynąć łzom. – Przyszłam do ciebie. Pomóż mi. Wskaż mi drogę, sposób, żeby uratować się od tego wygnania. Dałaś tron swojemu synowi, a teraz ukaż mi koronację Murada.

Wywróciła mokrą od łez poduszkę. Całą noc bez chwili wytchnienia rozliczała się z Mahfiruz. Spróbowała wszystkiego, lecz nie znalazła drogi wyjścia.

– Och, obiecuję ci, matko Osmana – powiedziała do wschodzącego słońca. – Nie wiem, jak to zrobię, ale przyrzekam, że obrócę w perzynę twoje panowanie!

*Stary Pałac,
Luty 1618 roku*

Pierwszy dzień zesłania był koszmarem. Jakby gniew miał ją rozsadzić, Mahpeyker zdawała się czarną, ciskającą błyskawice chmurą burzową. Nie było pewne, kiedy zrzuci ulewę ani kiedy zawieje.

Krzyczała nawet na swoje ulubione dwórki:

– Semiha! Uważaj, do diaska!

– Mürüvvet, patrz przed siebie!

– Şarazad, ile razy mam jeszcze powtarzać, żeby do ciebie dotarło?

Niczego nie mówiły. Nie obraziły się ani nie załamały.

Do wszystkiego się wtrącała i wszystkich obrzucała przekleństwami.

Gdy na przednim dziedzińcu odezwały się nawoływania, zezłościła się:

– Co to za hałasy? Biegnijcie i popatrzcie. A może czekacie, aż sama się dowiem?

Nie minęło wiele czasu, a dowiedzieli się, o co chodziło, bali się jednak powiedzieć Mahpeyker.

– Ile mam jeszcze czekać? Nie dowiedzieliście się? Co to za trzaski powozów i stukoty podków?

– Więc. – Şarazad przełknęła ślinę. – Ktoś przybył z Nowego Pałacu.

– Kto?

– Valide... sultan... matka Mustafy Chana.

– Ha! – roześmiała się złośliwie. – Lepiej powiedz, „kolejny wygnaniec”. Mahfiruz nie traciła czasu. Pozbyła się nas obydwu.

– Kobieta chce was widzieć.

Nie przyjęła jej.

– Zapomniała, gdzie są nasze drzwi, gdy posadziłam jej syna na tronie,

a teraz sobie przypomniwała, tak? Niech się nie trudzi. Mają jej dać jakiś odległy apartament. Niech sobie tam siedzi i rozmyśla.

Nie przejmowała się zimnem ani deszczem. Lamentów Semihi, że się przeziębi i zachoruje, też nie brała do serca. Miała ważną sprawę do załatwienia. Dług do spłacenia.

Przeszła na tylny dziedziniec. Jej oczy szukały czyszczonego przez nią nigdy codziennie powozu sułtanki Safiye. Obróciła głowę w jedną i drugą stronę. Od teraz to pajęczycyca będzie się radować kareta.

Podwórzec był pusty, a z drzwi do stajni tylko jedno otwarto. Stajenny na warcie zobaczył ją, gdy wyprowadzał na zewnątrz dwa konie do pojenia. Zdziwił się i złożył niezgrabny pokłon. Zrozumiała, że mężczyzna zamierza zaprowadzić zwierzęta z powrotem do środka.

– Zajmij się swoją pracą, nie zwracaj na mnie uwagi.

„W końcu odtąd nikt już nie będzie zwracał mnie uwagi” – burknęła w myślach.

Złowiła uchem dźwięk, który wydawały konie, chleptając wodę z poidła. Zdała sobie sprawę, że za tym tęskniła. Uśmiechnęła się. Nigdy by o tym nie pomyślała. Ile czasu minęło, odkąd ostatnio widziała, jak piją konie? Nie mogła przestać patrzeć, jak mięśnie zwierząt drżą z uciechy.

– Główny koniuszy późno już teraz przychodzi?

Wstydząc się na nią spojrzeć, mężczyzna odpowiedział, nie odwracając się:

– Główny koniuszy?

– Tak. Pamiętasz, jedną nogę miał tak lekko..

– On.. już nie przychodzi, wielmożna pani.

– Nie przychodzi? Czemu? Odszedł z pałacu?

Koniuszy znieruchomiał.

– Umarł.

– Umarł? – Mahpeyker zadrżała, jakby straciła kogoś z rodziny.

– Ehe – wybąkał mężczyzna. – W zeszłym miesiącu.

– Zachorował? Co się stało?

– Postarzał się... Siadywał tam na końcu, gdzie stoisz, pani i przyglądał się, jak chodzą konie.

– Wiem. Uwielbiał to.

A przy tym obserwował i ją, nie dając niczego po sobie poznać. Niby po to, żeby sprawdzić, czy dobrze czyściła powóz sułtanki, ale Mahpeyker świetnie zdawała sobie sprawę, że przyglądał się jej urodzie.

– No właśnie tam umarł. Tam, gdzie siedział. Oglądając konie.

– Ojej, bardzo mi smutno.

– Czemu? Umarł szczęśliwy. Robiąc to, co kochał... Odszedł w mgnieniu oka.. Czy tak nie jest lepiej?

Koniuszy, stwierdziwszy nagle, że za dużo gada, pozbiierał się i odciągając dwa konie od koryt, ruszył z nimi w kierunku stajni.

– Poczekaj chwilę – powiedziała Mahpeyker. – Kto jest teraz głównym koniuszym?

– Nikt. Nie ma nikogo, kto by to robił – było jasne, że zmuszał się, żeby nie patrzeć na nią przez ramię. – Od kiedy odeszła dostojna pani... pałac nie ma właściciela.

– Teraz już ma.

Ostry ton Mahpeyker przestraszył koniuszego.

– Wybaczcie, pani – powiedział cicho. – Jak człowiek się starzeje, to nie trzyma języka na wodzy – złapał za cugle i skierował konie do stajni. – No i chyba też nie ma potrzeby. Każdy się tu zajmuje swoją robotą. Po co nam naczelnik?

– Jak się nazywasz?

Koniuszy się zatrzymał.

– Goran – powiedział cicho, jakby przekazywał sekret – ale Turcy osmańscy mówią mi Orhan.

Nikt nie mógł lepiej niż ona zrozumieć bólu w jego głosie.

– No dobrze, Goranie – odezwała się łagodnie.

Niezgodnie z obyczajem i przyzwoitością koniuszy obrócił się ku niej, a Mahpeyker, mimo nagromadzonego w niej gniewu i nienawiści, odwzajemniła uśmiechem pełen wdzięczności wyraz oczu mężczyzny.

Musiało mu ogromnie brakować prawdziwego imienia.

– Goran, no – wyszeptał koniuszy. – Jestem Goran, szlachetna pani. Goran... mówią też, z Zagrzebia. Jeśli macie jakiś rozkaz...

– Mam ostatnie pytanie, Goranie. Gdy tu byłam, to znaczy, lata temu,

był taki koniuszy spośród młodych pracujących w stajni. Miał wtedy ze trzynaście, czternaście lat. Yyy... nazywał się... chyba Ahmed.

– Ahmed? – radość w głosie mężczyzny zaskoczyła Mahpeyker. – Ten chłopak stał się teraz dorosłym mężczyzną, pani. Junak jakich mało, nie ma takiego, którego by nie przewrócił w zapasach. W ostatnich latach wzywali go na edirneńskie zapasy. Podnosił, podnosił i powalił na łąkę niezliczonych mocarzy... A jak napina łuk! Nie słyszałem, żeby go przewyższał jakikolwiek inny strzelec.

Nie musiała już nawet pytać, gdzie jest. Zatrzaśnięte wrota stajni otwarły się hałaśliwie i z cienia wewnątrz wyszedł on.

Ahmed! Ukochany Sofii! Nieujrzany przez nią przed śmiercią wybranek rusałki.

Gardło jej się zacisnęło, znieruchomiała. Gdy Ahmed ją zobaczył, także zamarł.

„Nic się nie zmienił” – powiedziała sobie w duchu. Tak, wyrósł, ramiona miał szersze, stał się chłopem na schwał, ale twarz miał taką samą. Te same, opadające na czoło gęste włosy. Prawie piwne oczy i pasujący mu bardzo dziecinny wyraz twarzy, którym skradł serce Sofii.

Ahmed po dłuższej chwili przypomniał sobie, że należy ją przywitać, ale pozdrowienie słabo mu wyszło. Lśniącymi z radości oczami patrzył wkoło, jakby kogoś szukał.

Mrucząc, Goran oddalił się w kierunku stajni. Mahpeyker zauważyła, że gdy przechodził obok Ahmeda, także i jemu powiedział kilka słów.

Młody mężczyzna zbliżył się kilkoma niepewnymi krokami i ponownie ją pozdrowił.

– Yyy... – wydukał. – Chyba nie usłyszałem... o waszym przybyciu... inaczej... bym poczekał – naraz zamilkł i zmarszczył brwi. Przyszło mu do głowy, że sułtanka poprzez „wasze przybycie” może zrozumieć, iż wspomina o Sofii. Cały poczerwieniał. – To znaczy... znaczy, jakbyście miały jakiś rozkaz.

Mahpeyker nie zdecydowała co ani jak powiedzieć.

– Zmężniałeś – wyszeptła. To było najgłupsze, co mogła powiedzieć, ale właśnie powiedziała. Był tuż przed nią, ale mogła wyczuć, że chłopak nadal szuka kogoś w pobliżu. Jego oczy szukały. „Nie wie” – powiedział

jej w głowie jakiś głos. „Nie słyszał”.

To, co miała zrobić, było teraz jeszcze trudniejsze.

Zaczęły jej drżeć usta.

Ahmed zobaczył, że kobieta stała się całkiem blada i że trzęsą jej się wargi. Ogarnęło go przerażenie.

– Pani... wy...

– Zmarła! – to słowo błyskawicznie wyskoczyło jej z ust. Jak cios pięści, jak policzek albo jak przeszywająca serce strzała. – Ona nie żyje, Ahmedzie!

Zasłoniła twarz dłońmi, żeby powstrzymać szloch. Uniosła głowę i spojrzała na Ahmeda załzawionymi oczami.

„Yarabbi!” – jęknęła w duchu. Naprzeciwko niej stał wrak człowieka. Jeszcze przed minutą wyrastający na podobieństwo góry mężczyzna, w jednej chwili się zapadł. Ramiona miał zwieszzone, oczy zgasłe.

Starał się coś powiedzieć, język mu się plątał, nie był w stanie. Później przygryzł wargi, zacisnął pięści. Obrócił głowę, żeby ukryć oczy.

Mahpeyker pomyślała, żeby powiedzieć: „To ja ją zabiłam. Zmusiłam ją, żeby poślubiła kogoś innego niż ty. Bogatego, potężnego człowieka. I w dodatku od niej starszego. Moja rusałka nie powiedziała słowa. Ugięła szyję. Wyszła za niego, Ahmedzie... ale mu się nie oddała... przed nocą poślubną rzuciła się do studni. Odeszła nietknięta, czysta jak łza”.

Niczego jednak nie powiedziała.

Ahmed odwrócił się powoli i powłócząc nogami, skierował do stajni.

– Kochała cię! – zawołała za nim. – Dążyła tylko do tego, aby z tobą być, Ahmedzie.

Nie wiedziała, czy usłyszał.

Szloch gwałtownie wyrwał jej się z gardła.

– Słyszysz mnie?! Żeby nie być z innym, moja rusałka oddała się śmierci!

Właśnie wtedy Ahmed się zatrzymał, obrócił i spojrzał na nią ostro.

Ahmed, opisywany przez Gorana herosa, jakich mało, niezrównany w zapasach, najcelniejszy łucznik, Ahmed płakał.

– Skoro tak! – zawył. – Powinienem iść. Nie mogę dłużej kazać czekać mojej Sofii.

Nieważne było, co do niego mówiła z oddali. Ahmed już się więcej nie zatrzymał. Nie obrócił i nie spojrział. Zniknął w ciemnościach stajni.

W jej wnętrzu odezwał się krzyk. „Boże, zabiłam kolejną osobę!”.

Nienawidziła się.

Własnej ambicji, swoich snów, marzeń, prorocत्व i ślepego żebraka. Tego, co kochała i czego nie kochała. Swoich wrogów. Nawet bycia królową. Nienawidziła bycia Mahpeyker Kösem Sultan. Tęskniła za Anastazją. Za przybyłą tu jako służąca nieszczęśliwą, ale pełną nadziei Nastją.

Dzięki całej masie połajanek i zniszczeń, do których doprowadziła, dzień upłynął błyskawicznie. Nie mogła się doczekać ciemności. Była jej schronieniem. Miała nasunąć kołdrę na głowę i wycofać się do stworzonego przez siebie świata. Postanowiła, że musi wszystko od początku przemyśleć. Jedna rzecz wydawała jej się niezrozumiała. Bardzo niezrozumiała.

Podstępna i ukryta, jedna rzecz nie dawała jej spokoju.

Było dziwne, że czekając na katów, tak łatwo i szybko się uratowali. Bardzo dziwne. W żaden sposób nie mogła tego pojąć.

Co to, Mahfiruz miała ją tak łatwo zostawić w spokoju? Cała jej ambicja i wrogość, próba uśmiercenia, zamordowanie Eftalyi przez błąd zabójcy, wszystko miało zostać zapomniane, jak tylko Osman stał się padyszachem, miano jej powiedzieć: „Odejdź, żyj sobie jak chcesz w Starym Pałacu”? To miał być cały spór? Tylko dotąd miały sięgać zazdrość i rywalizacja? Miało jej wystarczyć do szczęścia, że wysła syna do Kösem, a ten powie: „Już, wynoś się z mojego pałacu”?

Sen powoli zamykał jej oczy, ale wiedziała, że umysł ma nadal czujny. „Gdzie jesteś?” – zawołała w myślach, przyzywając wizję ślepego żebraka. Ciągle włączysz wszystkim do snów. No, chodź. Też czekam. Gdzie jesteś? Co się teraz stanie, powiedz mi!

Nieoczekiwanie przypomniła sobie sen, który miała dawno temu. Urodzone przez Mahfiruz zakrwawione niemowlęta. Czyli co, miała to być tylko taka głupia mara, tak? Przez lata wmawiała sobie, że na pewno ma jakieś znaczenie, jakieś wytłumaczenie. Niemowlęta we krwi!

Później wrócił do niej sen, który matka szalonego Mustafy

opowiedziała jej w dniu, w którym przyszła ją odwiedzić, a który właściwie dawał jej jednocześnie sądzić, że kobieta zmyślała.

„Siedziałaś na podwyższeniu. Coś było na twojej głowie” – powiedziała kobieta. „Może to była korona, ale tuż nad włosami miałaś słońce”.

Słońce! Było symbolem życia i potęgi.

Zdawało jej się, że słyszy głos matki Mustafy: „Pan umieścił słońce na twojej głowie jako koronę... a później... później...”.

Później do snu kobiety weszło jakieś dziecko. Miała w głowie każde wypowiedziane przez nią słowo. Dziecko było całe ze światła. Nie, to było złote dziecko. „Podeszło prosto do ciebie” – opowiedziała. „Wyciągnęłaś rękę i posadziłaś dziecko u swojego boku, a... na litość Stwórcy, słońce... a słońce spłynęło na głowę złotego dziecka...”.

Kłamstwo albo prawda. Kobieta wspomniała o dwóch słońcach. Jedno było na głowie Mahpeyker, drugie – złotego dziecka. Później zniknęła razem z dzieckiem w słonecznych promieniach i ze złotego blasku wyłonił się on.... On – ślepy żebrak!

Mahpeyker wyskoczyła spod kołdry i usiadła. „Dlaczego wcześniej sobie tego nie przypomniałam?” – zezłościła się na siebie. – „Jasne. Po co nadal na niego czekam, przecież ślepy żebrak już miesiące temu powiedział mi o przyszłości!”.

Wbiła wzrok w ciemność. Wpatrywała się w nią, jakby miała uchwycić wewnątrz słowa wypowiedziane tamtego dnia przez matkę Mustafy. Jeden po drugim znajdowała i wyciągała je z miejsc, w których się ukryły.

„W jednej z rąk miał długie, czarne berło, drugą zaś wyciągnął prosto przed siebie i podszedł do mnie z uśmiechem. Jego usta się nie poruszały, ale usłyszałam w głowie: «Nie smuć się, bo z tą kobietą przyniosą słońce twojemu synowi. Przyjdą ze słońcem i ze słońcem odejdą. Czekaj, bo czas jest już bliski»”.

To właśnie był znak. „Głupia, głupia, głupia” – zezłościła się na siebie. Kobieta w ogóle nie brała tego pod uwagę w swojej opowieści, tłumaczyła sobie, że chodzi o nią i Mustafę, a przecież wszystko tam było jasne jak słońce. Ślepy żebrak nie wspominał o wariacie i jego rodzicielce, tylko o Kösem i jej synu. „Ta kobieta i jej syn” – powiedziała w ciemność. „Ja

i mój ksiązę, mój Murad. To o nas mówiła przepowiednia”.

„Z tą kobietą przyniosą słońce twojemu synowi. Przyjdą ze słońcem i ze słońcem odejdą. Czekaj, bo czas jest już bliski”.

Mahpeyker dostała gęsiej skórki. Kłębiące się w niej kompletne ciemności naraz się rozwiały. Znaczy, że się nie skończyło. Nawet się jeszcze nie zaczęło. Nie przynieśli słońca... „Ta kobieta i jej syn” jeszcze nie przyszli, więc to nie może być koniec, ale czas, gdy sprowadzą słońce, jest bliski. Musi tylko poczekać.

Uśmiechnęła się do siebie. Już mogła widzieć to, co przed nią. Los wyciągnął ją z wnętrza straszliwej burzy i ukrył w bezpiecznym miejscu. Będzie tutaj tkala swój kokon, a gdy nadejdzie czas, przyniosą jej słońce. Jej i jej synowi. Wtedy kokon się rozpadnie, a z wnętrza wyjdą matka i jej syn, którym Bóg uczynił korony ze słońc. Weźmie swojego złotego syna i posadzi u boku. Na tronie!

Mürüvvet nie zmrużyła oka i ciągle przewracała się na łóżku. „Z Mahpeyker nie jest dobrze” – powiedziała sobie w duchu. Tyle gniewu, tyle cierpienia, a jeszcze gorszy strach. Pożera człowieka, wykańcza go.

Jeśli coś jej się stanie, wszyscy będą zgubieni. Mahpeyker była ich dobrodziejką. Istnieli, bo ona istniała. Jeśliby jej nie było... po prostu by przestali.

Wszystkie jej humory i powarkiwania wynikały ze strachu. Była wielką Mahpeyker Kösem Sultan. Nie mogła przecież powiedzieć: „Boję się. Oni nie pozwolą żyć mnie i moim dzieciom”. Musiała zamknąć smutek i troski we wnętrzu. Nic nie mogło naprawić jej strzaskanej dumy.

„Czy to proste?” – mówiła sobie. „Po całej tej potędze i wspaniałości natychmiast cię tu wyrzucili. To nie pałac. To loch Mahpeyker. Jeśli będzie chciała wyjść, stojący przy bramie strażnicy jej nie puszczą. Piękna Kösem będzie tu żyć, zestarzeje się, zwiędnie i odejdzie. Jeśli wcześniej coś jej się nie stanie, oczywiście”.

Westchnęła ciężko, kiwając głową ze smutkiem.

– Ach, gdyby tak pozostała Nastją – powiedziała cicho. – Nie miałyby wtedy tylu zmartwień i kłopotów.

Położyła się na prawym boku, lecz nic to nie dało. Obróciła się na lewy,

ale nie wytrzymała, jakby leżała na kółkach, a nie na łóżku. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Oszaleje, jeśli nie znajdzie kogoś, z kim może się wspólnie pożalić. Postanowiła pójść i obudzić Şarazad. Była pewna, że ma takie same troski.

Cichutko otworzyła drzwi i wystawiła głowę na korytarz. Nikogo. Było prawie całkiem ciemno. Umieszczone na ścianach lampy, prócz tego, że oświetlały podłogę na szerokość dłoni i tak grały cieniami, że serce podchodziło człowiekowi do gardła, do niczego się nie nadawały. Na murze zjawiał się to jakiś smok, to gigant. Nasłuchiwała. Kompletna cisza.

Wyszła z pokoju i bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi. Zaczęła iść na palcach. Korytarz na przedzie rozchodził się w dwie strony. Na końcu tego po prawej znajdował się apartament Mahpeyker. Tak właściwie Mürüvvet wcale nie chciała, żeby dziewczyna tam została. „Pełno tam zjaw” – lamentowała. Dałaby sobie głowę uciąć, że duch sułtanki Safiye nadal gdzieś tam krąży, tak była tego pewna. Tyle że oczywiście właściwe było, aby Mahpeyker została w tamtych pokojach. Musiała tam choć trochę pomieszkać, na złość tej lizsce, Mahfiruz. Zaśmiała się w duchu na myśl, że kobieta z pewnością się wścieknie, usłyszawszy, że Mahpeyker przeniosła się do komnat wielkiej sułtanki matki. Radowała się, wyobrażając sobie, jak rozżalona Mahfiruz, rwąc sobie włosy z głowy, krzyczy na syna.

Z kolei w lewym korytarzu umiejscowione były pokoje dwórek, dzieci i piastunek. Na samym początku znajdowała się sypialnia Semihy, na końcu ta należąca do Şarazad. Murad miał osobny apartament, tuż przy komnacie Semihy. Najstarszy książę mieszkał ze swoimi niańkami i z dwoma lekarzami. W ten sposób umieściła dzieci pomiędzy dwiema kobietami, którym bardzo ufała, w dodatku jej własny pokój znajdował się na końcu korytarza ciągnącego się prosto, jak tylko wychodziło się na wyższe piętro. Taki układ przyjęła Mahpeyker od razu, jak przybyła do Starego Pałacu. W ten sposób wejście i wyjście trzech korytarzy znajdowało się pod kontrolą jej trzech najbardziej zaufanych towarzyszek. Może i ten dzieciak powiedział, że nikt ich nie skrzywdzi, że będą bezpieczni, ale skąd mieli mieć pewność?

Zatrzymała się w rogu, gdzie przecinały się trzy korytarze i bezwiednym ruchem, leciutko wystawiając zza niego głowę, spojrzała na przejście, które kończyło się apartamentem Mahpeyker. Wzięła ten zwyczaj jeszcze z Dziedzińca Nowicjuszek. W mrocznych galeriach, patrolowanych przez zazdrość i rywalizację, człowiek musiał być paranoikiem, żeby nie dać się złapać. Nikt nie przechodził z jednego miejsca do drugiego, nie sprawdzając przedtem sytuacji.

Przeszła na lewy róg i spojrzała w tamten korytarz. Nikogo nie było. Spokojnie obeszła kąt. Postawiła dwa bezszelestne kroki.

Stop!

Mürüvvet stanęła jak wmurowana w miejscu, gdzie coś przykuło jej uwagę.

Coś tam było. Nie zdawała sobie sprawy co, ale to coś nie dawało jej spokoju. Coś, czego nie powinno tam być.

Wszystkie jej komórki stanęły na baczność. Przyłgnęła plecami do ściany i ostrożnie, krok po kroku wróciła do swojego korytarza. Tym razem z większą uwagą spojrzała na przejście Mahpeyker. Na końcu długiej, mrocznej galerii dwie lampki oblewały wątłym światłem zielone drzwi apartamentu sułtanki.

Czekała, wstrzymując oddech.

Jakiś szczegół. Jakiś zapach. „Co to?” – powiedziała w myślach. „Co tak pachnie?”.

Naraz poznała woń. Zapach człowieka. Pot!

„Boże” – odezwał się głos wewnątrz niej. „Tam ktoś jest. Przyczajony i pocący się”.

Ręka Mürüvvet jak błyskawica powędrowała w kierunku noża przy pasie. „Stare dobre czasy”, odezwał się głos w jej głowie. Po awanturze na Dziedzińcu Nowicjuszek przyciągnęła go do szyi Mahpeyker, żeby poderznąć jej gardło, a teraz z całej siły ścisnęła ręką, aby ją chronić.

Spojrzała jeszcze uważniej. Zauważyła, że na przedzie, na samym końcu korytarza, po prawej stronie, tuż przy ścianie znajduje się jakiś stos. Nieruchomy, ciemny stos. Na pierwszy rzut oka przypominał zwał tkanin, jakby rzucili je tam służący, żeby później zabrać.

„Cholera!” – krzyknął tym razem głos wewnątrz niej. „To nie jest stos

tkanin. To wielka, czarna peleryna. Chowająca tego, kto jest pod spodem, ale niebędąca w stanie zdusić zapachu potu złowieszczą peleryna!”.

Wyciągnęła sztylet zza pasa. Najpierw pomyślała, żeby krzyknąć i postawić wszystkich na nogi, ale od razu zrezygnowała. Mogłaby go wtedy spłoszyć. Biorąc pod uwagę, że zaszedł aż tutaj, na pewno musiał mieć drogę ucieczki i kogoś, kto mu pomagał. „Czekaj” – powiedziała do siebie. „Prędzej czy później ten ciemny zwał się ruszy i właśnie wtedy ty...”.

Rzuciłaby się na niego niczym głodny wilk i rozerwała na strzępy.

Tyle że stos się nie ruszył.

„Czyżby wyczuł moją obecność?” – na chwilę przeszło przez głowę Mürüvvet. „No tak. Tak, jak ja go odkryłam, tak on mógł zauważyć mnie”.

Powąchała się i zmarszczyła nos. Wzburzenie sprawiało, że człowiek się pocił. Czyżby i ją zdradził pot?

Oczy zaczęły ją boleć od ciągłego patrzenia, ale nawet na chwilę nie mrugnęła.

W końcu usłyszała szelest. Czarny stos w głębi korytarza lekko się poruszył, a później znowu zatrzymał. Zauważyła, że wykręcił się na lewo, tam gdzie stał.

„Ogląda się za siebie” – pomyślała. „Sprawdza, czy ktoś widział albo słyszał, że się ruszył”.

Mürüvvet nawet nie odetchnęła. Czekala.

Po dłuższej chwili stos znowu się poruszył i tym razem rósł, rósł... Wreszcie przekształcił się w oparty o ścianę ludzki kształt.

„Ty przekłety wężu” – pomyślała Mürüvvet. „Myślisz, że nikt cię nie widzi i przechodzisz do ataku, he? Ale ja tutaj jestem. No dalej, idź do celu”.

Cel był pewny. Postać zaczęła cal po calu skradać się do drzwi Mahpeyker.

Zrobiła to samo. Oparła plecy o ścianę i zaczęła bezszelestnie stąpać, a gdy tylko zbliżyła się do świec, podobnie jak podejrzany cień, przypadła do ziemi. Czekala w bezruchu. Powolipełza po ziemi, aż w końcu wyszła

z kręgu mdłego światła nad głową, wyprostowała się i kontynuowała śledzenie.

Czarny cień musiał w końcu wyjść na światło, bo nie było możliwości uniknąć blasku lamp po bokach drzwi sułtanki.

Mürüvvet miała nadzieję, że gdy postać przypadnie do drzwi, będzie ją mogła zobaczyć, ale się nie udało. Nie pozwolił na to kaptur ogromnej peleryny. Twarz łajdaka niknęła w jego głębinach.

Plecy miał do niej odwrócone, ale Mürüvvet zauważyła, że wyciąga do klamki tylko jedną rękę. „Dlaczego tylko jedną?” – na chwilę przeszło jej przez głowę. „Co ma w drugiej ręce?”.

Nie mógł otworzyć. Cień nie był w stanie obrócić klamki jedną ręką. Zakołysał się przed drzwiami. Musiał teraz używać drugiej ręki. Nawet z miejsca, w którym stała, mogła zauważyć, że drzwi się otworzyły.

Gdy postać się odwróciła, żeby po raz ostatni sprawdzić, czy ktoś jest w pobliżu, przed tym, jak wślizgnie się do środka, kaptur na jej głowie opadł.

Mürüvvet ją zobaczyła i z trudem się powstrzymała, żeby nie krzyknąć.

Taciser!

Odbiło się od niej światło lamp i w oczach dwórki Mahfiruz rozbłysła stalowa błyskawica.

„Co to? Co ten wąż ma w ustach?”. Mózg od razu udzielił Mürüvvet odpowiedzi. Sztylet! Taciser musiała zacisnąć na nim zęby, żeby móc cicho otworzyć drzwi!

Kobieta wemknęła się do środka, a Mürüvvet wyskoczyła jak strzała i pobiegła na palcach. Już nie musiała się obawiać, że ktoś ją zobaczy.

Zdawało jej się, jakby z każdym przemierzonym krokiem przebiegała setki metrów, ale gdy podnosiła głowę, drzwi nadal sprawiały wrażenie równie odległych, co koniec świata. Nie przewidziała, że dzieli ją od Taciser aż tak długi dystans. „Wąż pewnie przeszedł teraz z salonu posłuchań do przedpokoju” – pomyślała. „Stamtąd prześlizgnie się do sypialni Mahpeyker i... Boże litościwy!”.

Nie zauważyła momentu, w którym weszła do apartamentu sułtanki, ani tego, jak przeszła przez salon i przedpokój. Gdy niczym burza wdarła

się do komnaty Mahpeyker, Taciser klęczała u wezgowia łóżka z zawieszoną w powietrzu, trzymającą sztylet prawą ręką.

Dokładnie w momencie gdy śmierć miała zapukać do drzwi sułtanki, Mürüvvet, łapiąc kobietę za włosy, pociągnęła ją do tyłu i rozplatała jej szyję aż po potylicę.

– Zdychaj!

Straszny dźwięk przecinanej tchawicy zagłuszył krzyk wydobywający się z ust Taciser.

Mahpeyker wyskoczyła z łóżka i przez chwilę stała w fontannie krwi tryskającej z gardła kobiety. Przez opryskane krwią rzęsy zobaczyła nadal wyciągnięty w jej kierunku sztylet i skreconą na bok głowę.

– Boże! Boże! Co to jest! Boże, litości!

W krwawej zgrozie tylko przez chwilę w jej głowie pojawiła się myśl, że już kiedyś brała udział w takiej scenie. W dniu, gdy ją porwano, gdy na wozie Cyprian, któremu oderwała ucho, nachylił się, żeby ją zabić. Zupełnie jak tamtego dnia szybko uskoczyła w bok, zaś kobieta z poderżniętym gardłem, ze sztyletem w ręku, całkiem jak Cyprian, przewróciła się na jedną stronę.

Najpierw obserwowała, jak kobieta wije się w ciemnościach. Usłyszała wydobywające się z gardła, tworzone przez krew i powietrze okropne charczenie. W końcu podniosła głowę i zadziwionymi oczami spojrzała na swoją, stojącą z zakrwawionym sztyletem wybawicielkę.

– Mürüvvet?

– Wykończyłam węża – wydyszała kobieta. – Zarznęłam węża, który przypełził, by ukąsić moją panią.

Mahpeyker wyskoczyła, pokręciła knotem lampy na komodzie i po pokoju rozlało się światło.

Leżąca na łóżku twarzą w dół postać już się nie ruszała. Jej ciało było skrzywione w prawą stronę, a zagłębienie tworzone na posłaniu przez jej głowę i ramiona wypełniło się krwią. W jej prawej dłoni tkwił zakrzywiony sztylet.

– Kto to? – powiedziała Mahpeyker, jakby majaczyła we śnie. – Kto to, kto to? Jak dotarł aż tutaj? Kto spośród nas jest zdrajcą?

Nie dając swojej dwórcie okazji do odpowiedzi, Mahpeyker złapała ciało

za włosy i obróciła twarzą ku sobie, przez co ostatnie tkanki trzymające podcięte przez Mürüvvet gardło odpadły i głowa oddzieliła się od ramion. Mahpeyker, wydając okrzyk przerażenia, szybko wyciągnęła rękę spomiędzy włosów zabitej.

– Taciser!

Wstała, wymiotując, i prawie by się przewróciła, ale Mürüvvet odrzuciła zakrwawiony sztylet i ją podtrzymała.

– Pani. Moja miłościwa pani. Bóg miał cię w swojej opiece. A gdybym tak spała, a gdybym nie zauważyła... – kobieta zaczęła szlochać.

Mahpeyker powiodła ją do drzwi.

– Chodź, chodź – wyprostowała się. Jedyne jasne punkty na całkiem czerwonej od krwi Taciser twarzy stanowiły białka oczu. Czowała, że krew, która oblała jej włosy, brwi i rzęsy, zaczyna zasychać. Od stóp do głów cała była we krwi.

– Wiedziałam – wysyczała. – Wiedziałam, że diablica nie przestanie mnie prześladować. Wiedziałam, że będą się na mnie zasadzać węże i zabójcy, siostrze Mürüvvet. Wiedziałam.

Zaśmiała się straszliwie.

– Wstawajcie! – krzyknęła. – Wstawajcie! Popatrzcie, jak ucięto głowę węża. Biegnijcie, biegnijcie! Zobaczcie, jak pomszczono moją piękną Eftalyę.

Nagle, przez możliwość, która przyszła jej do głowy, jak szalona wybiegła na korytarz.

– Moi książęta... moje księżniczki... co z moimi dziećmi?! Murad? Ibrahim? Czy wszystkie dzieci są bezpieczne? Boże, Boże, błagam... błagam, nie... błagam...

Uspokoiła się nieco, widząc, że czwórka dzieci jest cała i zdrowa. Przestała drżeć. Mahpeyker odezwała się do Semihy, która omdlała, zobaczywszy krwawą scenę:

– Przynieś papier i pióro.

– Pani, gdybyś się tak wcześniej oczyściła...

– Jestem czysta, Semiho. Wykąpałam się we krwi węża. Niech tak zostanie. Byłam jej spragniona. Zostaw, chcę jeszcze trochę czuć ten obrzydliwy zapach. Teraz, gdy krew zabójcy jest jeszcze świeża, tym

bardziej muszę zrobić to, co mam zrobić.

Postanowiła wysłać list do Osmana.

Napisała bez zastanowienia:

„Mój synu...”.

W ten sposób nie zwracała się do niego tytułem padyszacha.

Zaśmiała się, gdy dziewczęta zobaczyły te słowa.

– A co to, kłamstwo? – z krwią na twarzy jej uśmiech wyglądał przerażająco. – W końcu Osman jest synem mojego męża, co czyni go moim pasierbem, czyż nie? Oczywiście jest, że nazwę go synem.

Pisała dalej:

„...tej nocy w Starym Pałacu stało się coś dziwnego. Wolę to nazwać dziwnym, bo straszne wydarzenia nie pasują do własności mojego syna. Przy moim wezglówiu złapano zabójcę zamierzającego się sztyletem na mnie we śnie. Zanim zadał cios, moja dwórka wykonała swój obowiązek. Łaskawie nie spojrzalam nawet w twarz niedoszłego mordercy, ale dziewczęta powiedziały, że nazywa się Taciser. Podobno była jedną z dwórek waszej matki. Nie uznałam tego za możliwe i kazałam wystawić zwłoki na dziedzińcu, żeby ktoś, kto ją znał, przyszedł i je wziął. Jeśli nie, stanie się żerem dla psów na miejskich murach. Jeślibyście o nas pytali, jestem w pełni zdrowia. Nadal ufam litości Stwórcy i słowu dynastii osmańskiej”.

Kilka razy bezgłośnie przeczytała to, co napisała. Spodobało się jej. „Krótkie, ale treściwe” – pomyślała sobie. „Bardzo treściwe”.

Na koniec dopisała także swoje imię:

„Wielka sułtanka matka Mahpeyker Kösem”.

Następnego poranka sułtan Osman jak burza wpadł do haremu i nie rozglądając się na boki, poszedł prosto do komnat valide sultan.

Służkom, które poderwały się z miejsc, żeby zanieść wiadomość o jego przybyciu matce, gdy go tylko zobaczyły, dał znak ręką, żeby siedziały na swoich miejscach.

Otworzył drzwi i je zamknął. W końcu wszedł do pokoju swojej matki. Gdy zobaczywszy go przed sobą w tak nieoczekiwanym momencie, próbowała wstać z kanapy, na której spoczywała, rzucił jej przed nos list Mahpeyker.

– Nigdy – powiedział tnącym jak nóż głosem. – To ma się nigdy więcej nie powtórzyć, matko!

Mahfiruz od razu zrozumiała powód wściekłości swojego syna oraz to, o czym jest list, którym w nią rzucił. „Cholera” – warknęła w myślach. „Przeklęta Taciser znowu wszystko schrzaniła”.

– Ja... – starała się uśmiechnąć – tylko... Ta kobieta jest twoim wrog...

– Skończ z tym, matko. Sam sobie poradzę ze swoimi wrogami.

Odwrócił się gniewnie i otworzył drzwi.

– Nie wiem, czy potrafisz przeczytać to, co napisała. W razie gdyby ci przyszło do głowy to podrzeć, to ja ci opowiem. Zwłoki twojego zabójcy zostały wyrzucone na podwórze stajni Starego Pałacu. Wyślij kogoś, żeby je zabrał. Może też je tam zostawisz, żeby rzucili je głodnym psom. A jeśli powiesz „nie” i chcesz, żebym ja się tym zajął, to wiedz, że tak właśnie zrobię.

– Osmanie! – zagrzmiała Mahfiruz za synem. – Wiedz, że ta kobieta zrówna twój sułtanat z ziemią. Nie będzie cię żałować... Ona cię...

Młody padyszach niczego nie słuchał, i odszedł.

*Stary Pałac,
1619 rok*

Mahpeyker nie musiała burzyć sułtanatu Osmana. Matka i syn wspólnymi siłami nie sułtanat, ale cały świat zrzucili sobie na głowy.

Pierwsze, co zrobił Osman, to było zgodne z wolą jego matki – pozabawienie urzędu zastępcy wielkiego wezyra, Sofu Mehmeda Paszy, który przekazał mu tron.

– Niech się cieszy, że w ogóle żyje – powiedziała Mahfiruz. – W miejsce Sofu powołaj paszę Mehmeda Bawoła.

Nie ruszył Esada Efendiego, ale funkcję szejcha al-islama przekazał swojemu nauczycielowi, Ömerowi, którego całe życie upływało na myciu zmarłych.

Matka i syn stworzyli przy tronie krąg złożony z łapowników, złodziei, ludzi pałających żądzą władzy, ignorantów i prostaków.

Niegodny naczelnik czarnych eunuchów sułtana Mustafy, Hasanbeyzade, został wygnany, a na jego miejsce sprowadzono Hadıma Sulejmana Ağę, którego zaczęto przezywać „Przeklętym”. Nie minęło wiele czasu, a sprawił, że zatęskniono za jego poprzednikiem. Siyahi Sünbül Ali Efendi został kazaskerem^[14] Rumelii. Jeden z lekarzy Mahfiruz, Musa-yı Naşı, z którego lud śmiał się, że tylko spojrzy na butelkę z moczem i zaraz stawia diagnozę, został wyniesiony do rangi naczelnego medyka.

Osman odwołał sadrazama Halila Paszę, który poniósł na wschodnim froncie sromotną klęskę w walce z safawidzkim szachem, a na jego miejsce powołał Mehmeda Paszę Bawoła, którego zrobił wcześniej kajmakamem Stambułu.

Zaostrzył prohibicję, którą wprowadził jego ojciec, a którą nikt się specjalnie dotychczas nie przejmował. Nocami wychodził w przebraniu i urządził naloty na winiarnie i burdele Galaty. Janczarów i spahisów, których przyłapał na pijatykach albo w objęciach ladacznic, kazał natychmiast, na miejscu poddawać falace do momentu, w którym zaczynali krwawić. Potem w rany skazańców wcierano sól, a ich samych prowadzono na wypełnione kamieniami łodzie.

Mahpeyker chichotała z każdą zasłyszaną pogłoską.

– Ach – powiedziała. – Co można czynić, jeśli matka zaciska sznur na szyi swojego syna? Pozostaje mi tylko usiąść i oglądać.

Siedziała i obserwowała. Miała czekać, aż przyniosą jej słońce.

Później zaczęły się katastrofy. Najpierw w wielu miejscach stolicy wybuchły pożary. Wiosną tysiąc sześćset dziewiętnastego roku padały straszliwe deszcze i wiele dzielnic zalała woda. W okolicach Starego Pałacu i Kasimpaşy zawaliły się setki domów.

Wraz z letnią gorączką szalejąca w Europie epidemia dżumy wkroczyła do stolicy. W ciągu dwóch miesięcy choroba zabrała tysiące istnień. Lud wiązał wszystkie kataklizmy z klątwą.

– To się dzieje, jak ściągasz z tronu i więzisz stryja, bo jest szalony – mówili – kto wie, jakie przekleństwa rzucał na Osmana Mustafę, rozmawiając z ptakami?

– A ta kobieta? Mahpeyker Kösem? Jak by ona nie przeklinała. Człowiek może tak przeganiać żonę, ojca i swoje rodzeństwo? Ona też na pewno rzuca klątwy.

Słuchacze kiwali głowami.

– Rzuca, pewno, że rzuca.

A tymczasem Mahpeyker już nie przeklinała. Całą uwagę skupiła na zdrowiu i edukacji księcia Murada. Wydawało jej się, że ataki padaczki przychodzą rzadziej, jeśli porównać do przeszłości. Jej lekarze dawali Mahpeyker nadzieję:

– Jeśli Bóg da, to gdy osiągnie dojrzałość, będzie o wiele zdrowszy. No i przydałoby się obrzezać naszego księcia.

Interesowała się każdym jednym wychowawcą Murada i bezustannie zbierała informacje na temat postępów syna. Choć dopiero niedawno

ukończył dwanaście lat, jego siła, energia i inteligencja zwracały uwagę wszystkich nauczycieli. Ktoś, kto by nie wiedział, że Murad jest epileptykiem, nigdy by się tego nie domyślił. Jego instruktorami łucznictwa byli Hüsamzade Abdurrahman Efendi i Żółty Mańkut.

– Nawet nam trudno jest mu dorównać w strzelaniu – informowali Mahpeyker obaj mężczyźni.

Pewnego dnia wielki koniuszy Cundi Halil Pasza tak powiedział do Mahpeyker:

– Nie martw się, pani. Nasz książę tak jeździ konno, że jak powiem, iż jest niczym wiatr albo burza, to nie skłamię. Tak się już wprawił w oszczepie, że przez chwilę go widzisz na wierzchołku, po czym znika. A jak schodzi z konia! Obejmuje grzywę i z grzbietu ześlizguje się prosto na brzuch!

– Z mojego syna będzie potężny padyszach – mówiła z dumą ludziom naokoło. – Czasem, gdy mój książę się złości, to nawet na mnie tak patrzy, że drzę ze strachu.

Piastunki dobrze znały to spojrzenie Murada. Na matkę tylko patrzył, ale u nich na spoglądaniu się nie kończyło, jak tylko tracił nad sobą panowanie, w ruch szły pięści i nogi. A już szczególnie gdy zbliżał się atak padaczki. Książę dostawał napadów szału, które przerażały wszystkich, łącznie z Mahpeyker.

Kösem starała się utrzymać razem całą świtę. Kalfę Hayganoş i jej pomocników także sprowadziła do Starego Pałacu.

Często wychodziła na podwórze stajni i przyglądała się koniuszemu Ahmedowi. Mężczyzna stał się chodzącym trupem. Cierpiała, ale niczego nie mogła zrobić. Gdy tylko ją dojrzał, pochylał głowę i się oddalał.

Pewnego dnia zrobił coś, czego Mahpeyker się nie spodziewała. Przypadł do niej i szepnął:

– Gdzie? Błagam, pani, powiedz mi. Gdzie... no...

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Głos mu się załamał. Pochylił głowę do przodu. Mahpeyker nie była w stanie mu powiedzieć: „Nie wiem. Serce mi nie dało. Nie spytałam. Nawet nie poszłam na jej pogrzeb. Nie byłabym w stanie patrzeć, jak ją porzucają w czarnej ziemi”.

Nie potrafiła. Jak mogła opowiedzieć cierpiącemu mężczyźnie, że nawet nie spojrzała na zmarłą, żeby Sofia już na zawsze pozostała w jej umyśle jako rusałka w błękitnej sukience.

– Bądź cierpliwy – odrzekła tylko. – Cierpliwości. Zaprowadzę cię do niej, gdy przyjdzie czas. Przysięgam, że zaprowadzę. Ale teraz wytrzymaj. Wróć do życia. Bądź taki, jakim chciałaby cię widzieć Sofia. Uśmiechaj się jak wtedy, gdy była w tobie zakochana. Przygląda ci się, Ahmedzie... ten uśmiech byłby dla niej...

Nie mogła dalej mówić. I ją zawiódł głos. W ustach jej zaschło. Patrzyli sobie prosto w oczy i może gdyby nie to, że jedno było sułtanką, a drugie stajennym, to padliby sobie w objęcia i razem lamentowali z tęsknoty za zmarłą.

Mahpeyker oddaliła się w pośpiechu, a Ahmed z bólem wrócił do stajni, jednak od tego dnia w jego oczach znowu zaczął się pojawiać blask.

„Przynajmniej to mi się udało” – cieszyła się Mahpeyker jak szalona. „Wskrzesiłam tego, kogo zabiłam!”.

Na wiosnę poseł safawidzkiego szacha Abbasa, Yadigar Ali, z wielką pompą zjawił się w stolicy. Pod wzrokiem zadziwionej gawiedzi jechał ulicami Sztambułu do Nowego Pałacu ze stoma wypełnionymi jedwabiem wozami, czterema słońiami i jednym nosorożcem.

Po tym dniu tłumy wszędzie aż zachłystywały się plotkami na temat prezentów przywiezionych przez posła sułtanowi Osmanowi.

– Na Boga – mawiali ludzie. – Jak to tak można przyjmować posła szacha perskiego, przez którego tylu poddanych potraciło życie?

– No dobra, już się go przyjęło – kręcili głowami inni. – Ale jak można brać dary, które przyniósł?

– A można, można. To wy nie słyszeliście, jaką miłością darzy pieniądze sułtan Osman?

– Jak mogliśmy nie słyszeć? – zrzędził kolejny, jakby o wszystkim wiedział. – Czy młody Osman nie jest przypadkiem tym samym chłopakiem, który uczynił wielkim wezyrem kapudana paszę, Gładkiego Alego, gdy tamten przekazał mu uprowadzonych z sześciu galeonów dwustu niewolników z ramionami wypełnionymi sakwami ze złotem i srebrem? Człowiek, który coś takiego robi, przyjmie też prezenty

szacha perskiego.

Kiwano głowami, pod niebiosą wznosiły się narzekania.

– A co było grzechem Mehmeda Paszy, którego kilka miesięcy wcześniej uczynił sadrazamem? Zrobił coś głupio jak bawół, co by wynikało z jego przydomku?

Wszyscy wokół zatrzęśli się od śmiechu.

– Nie – powiedział jeden z nich. – Bawół zostawiał większość ukradzionych pieniędzy nie władcy, tylko sobie. Osman ma podobno nadzieję, że Ali Pasza będzie mu dawał przynajmniej połowę.

Kiedy Gładki Ali Pasza zmarł, nie znajdując czasu, żeby zagrabić wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, Osman uczynił sadrazamem Husejna Paszę z Ochrydy, a ten, jak tylko przyjął posadę, razem z zarządcą czarnych eunuchów, Sujelmanem Agą, zdwoił wysiłki, żeby wyprać mózg padyszachowi.

To Sulejman Aga, to Husejn Pasza podszeptowali:

– Lechistan jest na skraju rebelii. Jeden po drugim buntują się polscy możni, a jeśli dołączy do nich król Zygmunt i nas zaatakują, to się źle skończy.

– Powinieneś wcześniej zareagować i urządzić wyprawę, panie.

Nocami Mahfiruz też wierciła synowi dziurę w brzuchu.

– Padyszach powinien ruszać na wyprawę. Przypasaj miecz i jedź na wojnę, a gdy powrócisz ze zwycięstwem, staniesz się gazim, mój Osmanie, mój synu, mój mężny władco. Tylko pomyśl, po twoim przodku staniesz się drugim Osmanem Gazim dynastii.

Oczy Osmana zaśniły na tę wizję.

– Ruszamy na wojnę, panowie – powiedział na porannym dywanie. – Niech się złączą przygotowania. Skoro już jestem Osmanem, to pragnę być zapamiętany jak przodek moich przodków, Osman Gazi. Czyż nie przystoi mi bohaterstwo?

– Przystoi, rzecz jasna! – zakrzyknął Husejn z Ochrydy, a za nim wszyscy zgromadzeni.

– Jednakże – wielki wezyr łagodnie zbliżył się do padyszacha – jest pewna przeszkoda, z którą trzeba się uporać przed wyprawą.

– Jaka to przeszkoda, paszo?

– Co jeśli, niech Bóg broni, gdy będziesz, panie, na wyprawie, twój brat, księżę Mehmed, wykorzysta okazję i zagarnie tron?

– Czy o czymś ci wiadomo, efendi? Czyżby pochodzący z tego samego łona brat przygotowywał coś przeciwko mnie?

– Nigdy w życiu, panie – wycofał się sadrazam z szatańskim uśmiechem na twarzy. – Ani myślę rzucać potwarze na wielmożnego księcia, tylko podawałem przykład. Na zasadzie „co by było, gdyby”. Wiadomo, że jest po tobie, panie, w kolejce do tronu, zaś syn sułtanka Mahpeyker, Murad, jest jeszcze mały.

Dwie noce później, myśląc: „A co jeśli?”, Osman wysłał katów do własnego brata, księcia Mehmeda. Młodszy o rok od padyszacha, syn sułtanka Mahfiruz, Mehmed rzucał się, gdy oprawcy zaciskali mu na szyi sznury i krzyczał:

– Osmanie, błagam Allaha, żebyś i ty oddał życie na sznurze kata!

Wieść o śmierci księcia Mehmeda wybuchła w stolicy niczym bomba, naokoło rozeszła się pogłoska, że miał zamiar się zbuntować i wywołać wojnę domową.

Mahfiruz przestała jeść i pić, a z jej oczu lały się krwawe łzy.

Mahpeyker zaskoczyło, że padyszach zabił swojego brata.

– Mehmed? – powiedziała.

Od razu przyszedł jej do głowy sen. Zakrwawione niemowlęta Mahfiruz. Oto ziścił się sen. Jedno z dzieci, które wypadły z łona Mahfiruz, było całe we krwi. Zmroziło ją.

– Na litość boską – syknęła. – W ogóle nie brałam go pod uwagę. Nie wierzę.

No właśnie. Mahfiruz miała dwóch synów. Jeden był padyszachem. Mehmed też czekał w kolejce do tronu. Zupełnie o nim zapomniała. Nie wiedzieć czemu, nie przyszło jej do głowy, żeby umieścić go w którymkolwiek ze swoich planów. Po Osmanie najstarszym z dynastii mężczyzną był Mehmed. „Jeśli nie liczyć szalonego Mustafy, rzecz jasna” – zaśmiała się. Co prawda Osman wyprawiał takie rzeczy, że ludzie aż tęsknili za wariatem, ale Turcy osmańscy najprawdopodobniej nie osadziliby Mustafy z powrotem na tronie. Z tego powodu było oczywiste, że jeśli coś stanie się Osmanowi, Mehmed zostanie

padyszachem.

– Nie mogę uwierzyć – burczała całe dni. – Jak mogłam o tym nie pomyśleć. Gdyby Osman nie zabił swojego brata, być może mój ksiązę nawet nie powąchałby tronu. Albo ja bym tego nie zobaczyła. Najpierw Osman, później Mehmed... kto wie, ile lat by minęło, zanim przypadłaby kolej Murada.

Ale teraz... teraz przyszła pora jej syna. Syn Mahpeyker Kösem Sultan, ksiązę Murad, stał się następcą. Boże, Boże, to cud! Jakby Osman zabił własnego brata, żeby otworzyć drogę dla Murada.

– Mój syn – wyszeptała z ekscytacją. – Mój Murad Chan. Po Osmanie tron należy się tylko tobie.

Czy dzieciak, czy dorosły, gdy Osman odejdzie, zjawi się Murad, i tyle. W ogóle nie brała Mustafy pod uwagę.

Może osadzenie Murada na tronie, gdy jest jeszcze dzieckiem, byłoby nawet lepsze.

Zatrzęsła się na tę myśl. Podskoczyła z miejsca i zaczęła tańczyć, a Semiha, Mürüvvet i Şarazad patrzyły na nią w zadziwieniu.

– Wstawajcie! – zawołała do nich. – Wstawajcie i tańczcie.

– Co to za taniec? – wymruczała Mürüvvet.

– Taniec królowej, siostró Mürüvvet. Taniec królowej!

Jej radość trwała jednak niedługo. W nocy nagle zerwała się z łóżka i pobiegła prosto do pokoju Murada. Później poszła do Ibrahima, Sulejmana i Kasıma.

Wszyscy spali. Kazała sprowadzić do siebie córki, rozkazała także, aby przygotowano miejsce dla jej czterech ksiąząt. Wszystkie dzieci miały odtąd mieszkać w jej apartamencie, tuż pod ręką.

„Zagrożenie jest teraz jeszcze większe, Mahpeyker” – mrucał jej rozum. „Bądź czujna. Przygotuj się. Nie zasypiaj, jeśli to konieczne. Każ wystawić wartę, gdy będą spać. Czy Osman, który kazał zabić brata z tego samego łona, myśląc, że tamten miał chrapkę na jego miejsce, zostawi przy życiu twoje książęta?”

Wielkie były jej wyrzuty sumienia, że płasała rano w przyplýwie radości. „A co, jeśli...” – mówiła sobie w myślach. – „To był taniec śmierci?”

[14] Kazasker – jeden z głównych sędziów wojskowych imperium osmańskiego

*Stolica,
zima 1621 roku*

W styczniu spadło tyle śniegu, nastąpiły takie chłody, że nawet morze zamarzło. Ludzie docierali do Üsküdar na piechotę. Zdarzyło się nawet, że w miejscu ujścia Bosforu ktoś przeprowił się z Rumelii do Anatolii powozem. Ale statki z towarami i żywnością nie mogły dotrzeć ani na Galatę, ani do Złotego Rogu. W stolicy zaczął się wówczas głód, jakiego miasto dotychczas nie doświadczyło. Cena chleba, kosztującego wcześniej siedemdziesiąt pięć dirhemów, wzrosła do jednego akcze, a okka mięsa poszybowała do piętnastu. O ile w ogóle można było ją dostać.

Lud w końcu zaczął otwarcie wyrażać swoje niezadowolenie: „Ten Osman to inny Osman. Nie Osman Gazi tylko zgubny Osman”. Pożary, powodzie, dzuma, zbrodnie, ścięte głowy, a teraz srogie mrozy i głód. Nikt nie znajdował w sobie przekonania, żeby zaprotestować przeciwko nowemu określeniu, które przyłgnęło do Osmana. Nawet najbardziej życzliwi i oddani sułtanowi, co najwyżej szukali usprawiedliwienia, stwierdzając, że „jakaś klątwa ciąży nad młodzieńcem”.

Statki z zaopatrzeniem nie docierały do stolicy, ale prawie każdego dnia dostarczano na dwór ściętą głowę jakiegoś buntowniczego polskiego księcia. Głowy były nadziewane na pal przed wspaniałą Bramą Pozdrowień, a następnie wystawiane na widok publiczny, gdy tymczasem przywołani krzykacze ogłaszali:

– Głowa księcia heretyka zatknięta na paaaaa...! Ci, co nie widzieli, niech biegną zobaczyć! Hej, hej, hej, hej!

Celem Osmana było odwrócenie uwagi ludu od klęsk i głodu. Ale to się nie udawało.

Bliżej wiosny rozniosła się wieść, że w pałacowym ogrodzie odbyły się zawody strzeleckie.

Ktoś ze straży pałacowej podzielił się tą pogłoską w jednej z kawiarni. Obecni zamarli w osłupieniu.

– Dajcież spokój – oburzyli się.

Strażnik zmarszczył gniewnie brwi.

– Czy jest tu ktoś, kto nie zna damata Kary Davuda Paszy?

– Mówisz o Davucie z Rumelii, ago? I co z nim? A może chcesz powiedzieć, że władca postrzelił Davuda z Rumelii, biorąc go za jelenia?

Słuchający zarechotali. Poczuli się urażony, że w ten sposób wyrażono się o jego panu, który, dając mu sakiewkę pełną akcze, powiedział: „Idź i rozgłoś wszędzie tę wieść”, ale udał, że nie usłyszał.

– Jego Wysokość pasza opowiedzieli. Widzieli na własne oczy.

– To potwarz.

– Tego nie wiem. Przysięgam na Boga, że Jego Wysokość opowiedzieli. Natychmiast parę osób poruszyło się w zaciekawieniu.

– No i? Jakże to się stało? Dalej, mów, człowieku, co opowiedział pasza.

– Pachółków ustawiono w rzędzie po jednej stronie. Sułtan w odległości stu kroków napiął cięciwę łuku. Na rozkaz dowódcy straży: „Biegnij!”, stojący przed nim pacholek rzucił się do biegu. Sułtan zaś wypuścił strzałę. Ach, panowie druhowie, strzała trafiła nieszczęśnika prosto w szyję i przeszła ją na wylot.

– Ach!

– Zmarł biedak?

– No zmarł, a jakże.

– No i co zrobili?

– O to samo spytałem Davuda Paszę. Nic. Powiedział, że nic nie zrobili. Dwóch ludzi podeszło, zabrało ciało... Sułtan ponownie napiął łuk. Dowódca straży rozkazał: „Biegnij!”... Kolejny pacholek poderwał się do biegu. Ale zapamiętał, co stało się z poprzednim. Po dwóch krokach rzucił się na ziemię. Wypuszczona przez sułtana strzała poleciała, chybiwszy celu.

– O, zuch chłopak, uratował się.

– Tak myślicie? Na miejscu urządzili tego pachółka. Wolisz baty czy jak? „Puście!”, wrzasnął, „Puście, pobiegnę!”. Wyobrażacie to sobie, druhowie? Żeby nie dostać się pod baty, wybrał strzałę... Znowu ustawili go w rzędzie. Osman napiął łuk. Pachółek, na zakrwawionych nogach, ile mógł pobiec, tyle pobiegł. Dostał strzałą w plecy. Biedak runął twarzą w dół jak kłoda. Już nie wiem, czy strzała przeszła go na wylot, czy nie. Kara Davud tego nie powiedział, a ja nie miałem serca dopytywać.

Plotka zasiana przez Karę Davuda Paszę dotycząca Dilavera Paszy, ostatniego z przychodzących i odchodzących wezyrów, którego stanowisko miał prawdopodobnie przejąć Husejn Pasza z Ochrydy – śmiertelny wróg Kary Davuda Paszy – rozeszła się z kawiarni na Galatę po całej stolicy. Nim upłynęły dwa dni, nie było już nikogo, kto by nie słyszał o polowaniu na ludzi, urządzonym przez sułtana w ogrodzie pałacowym. Osman przez krzykaczy rozgłosił, że historia jest kłamstwem. Ale nikt nie uwierzył. Pachółkowie nie mieli już pozwolenia nawet na opuszczenie pałacu, żeby udać się na targ.

Dopiero wyprawa wojenna na Lechistan pozwoliła sułtanowi uratować się przed pogłoskami. Wyniknęła wojna, której źródła nikt nie był w stanie dociec. Wojna, która nie wyłoniła ani zwycięzcy, ani pokonanego. Jednak Osman powrócił z kampanii jak zwycięzca, urządzając wspaniałą defiladę. Opłaceni przez jego matkę krzykacze ustawiali się na drogach w dwa rzędy i wiwatowali: „Osman Gazi, Osman Gazi!”. Ale wśród ludności nie dało się zauważyć radości i podniecenia. „Co to za zwycięstwo, że kosztowało życie tysięcy dzielnych mężów, ale Wielkiej Porcie nie przyniosło żadnej korzyści” – mówiono między sobą. Ci, którzy wybiegli na ulice, świętując detronizację Szalonego Mustafy, teraz odwrócili się od Osmana.

Panowanie młodego sułtana zamieniło się w ciąg nieszczęść.

Pewnej nocy pałacowy harem zbudził wrzask. Lament i krzyki zdawały się dosięgać nieba.

– Zmarła! – zawodziły służące. – Boże miłosierny! Mahfiruz Sultan zmarła.

Kobieta odeszła zupełnie niespodziewanie.

Wieść o śmierci Mahfiruz dotarła do Starego Pałacu wraz z selami

odśpiewanymi po porannym ezanie.

– Wstawaj. – Semiha obudziła Mahpeyker. – Zmarła. Mahfiruz zmarła. Śpiewają sele.

– Co!?! – myśl przeszła Mahpeyker jak piorun.

Lodowa Królowa zmarła?

Diabeł się przekreślił! Ha, pajak zdechł?

W pierwszej chwili nie uwierzyła.

– Dlaczego? – syknęła, łapiąc za rękę Semihe. – Była chora?

– Nic jej nie było. W ostatnich dniach była trochę blada i osowiała; nic poza tym.

„Ha, blada” – powiedziała w duchu Mahpeyker. Blada i osowiała.

Tak samo jak Safiye Sultan.

Handan Sultan też taka była. Blada i osowiała. Potem... przychodziła śmierć... znienacka...

– W nocy nagle jej się pogorszyło – opowiedziała Semiha. – Mahfiruz chciała wstać z łóżka. „Coś mi się dzieje”, powiedziała... Zrobiła parę kroków i upadła. Tam na miejscu...

Mahpeyker nie słuchała dalej.

– Niech przygotują powóz. Pojedziemy i zmówimy modlitwę nad jej wezłowiem.

Jej słowa zaskoczyły Semihe, ale polecenie natychmiast zostało wykonane.

Ludność Nowego Pałacu nie wiedziała co myśleć na widok Mahpeyker Kösem Sultan. Schylili się przed nią w pokłonie.

– Proszę tędy, jaśnie pani – jedna z dwórek Mahfiruz chciała pokazać jej drogę, ale Mahpeyker odepchnęła ją.

– Znamy drogę.

Pokój valide sultan był pełen ludzi. Mahfiruz leżała jak bryła lodu. Spod przykrywającej ją kołdry widoczna była jedynie jej głowa. Oczy miała zamknięte. Podwiązana broda sprawiła, że usta zamieniły się w cienką kreskę. Mahpeyker natychmiast poznała kołdrę. Była to ta sama kołdra, którą Safiye Sultan przysłała wraz z innymi podarkami z okazji narodzin Osmana. Ze smutkiem na twarzy przysiadła u wezłowia.

„No i co, Mahfiruz?” – pomyślała. „To koniec”.

Obecni w pokoju ruch jej warg przypisali zjawianiu modlitwy. „Wspaniała kobieta”, pomyśleli. Jaką dobrocią wykazała się wobec kobiety, która była jej wrogiem i wygnała ją z jej ziemi, z jej ojczyzny. Przybiegła zaraz, gdy się dowiedziała o jej śmierci.

Wiść o dobroci Mahpeyker wyszła poza mury pałacu i rozeszła się szeroko po stolicy.

Wracając powozem do Starego Pałacu, śmiała się po cichu. Przełykając dumę, pojechała do Nowego Pałacu, tylko po to, żeby się upewnić. Odchyliwszy ostrożnie koniec kołdry, zobaczyła to, co chciała zobaczyć. Był tam.

Pierścień!

Pierścień był na palcu Mahfiruz. Niemalże wtopiony w ciało. Od razu dostrzegła siną opuchliznę. Palec zmarłej Handan Sultan był tak samo siny. Jakby zgniły. Wszyscy sądzili, że to pośmiertna siność. Ale to było zewnętrzne odbicie gnijącego wnętrza.

Jedna z dwórek, spostrzegłszy, że Mahpeyker przygląda się pierścieniowi, chciała ściągnąć go z palca zmarłej, ale tamta ją uprzedziła.

– Zamierzałam go pani przekazać. Ten pierścień należy teraz do pani.

„Niech Bóg broni” – powiedziała w duchu z przestraczem. Pierścień Safiye Sultan odegrał swoją rolę. I to dwukrotnie. Nadszedł czas, żeby się go pozbyć.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. To nie przystoi. Był pamiątką Mahfiruz Sultan po świętej pamięci Handan Sultan. Podarowała jej go z kolei Safiye Sultan. Tego pierścienia nikt już nie powinien nosić. Jestem też pewna, że valide sultan nie chciała się z nim rozstawać. Najlepiej będzie, jeśli pierścień pochowany zostanie razem z właścicielką.

Tak też się stało. Mahfiruz Valide Sultan pogrzebano razem z pierścieniem. Spoczęła obok syna zabitego przez własnego brata.

Na początku marca młody Osman zarządził, że odtąd wszyscy sułtani będą się wiązać z kobietami poprzez ślub. Córka szejcha al-islama Esada Efendiego, Akile, została wydana za mąż.

Niedługo potem stało się jasne, co kryło się za tą decyzją. Osman ogłosił, że wyrusza na pielgrzymkę do Mekki.

– Ho, ho – mówiono. – Nasz władca najwyraźniej usłyszał głos Proroka.

– Czyli, oto gdzie się kryje powód tego ślubu, panowie.

– Dobrze, dobrze, gdyby miał przechadzać się w pobliżu Kaby z grzechem cudzołóstwa na sumieniu, jeszcze by go sparaliżowało.

– Jeszcze nic to, jeśli jego samego by sparaliżowało. Strach pomyśleć, co na nas zesłałby Allah. Skoro padyszach jest jaki jest, to kto wie, jakże grzeszni muszą być jego poddani.

Rzeczywisty tajny plan Osmana wyszedł na jaw po jakimś czasie. Powstania, jakie miały miejsce w czasie panowania jego ojca, cicha zgoda na bezprawne objęcie tronu przez szalonego Mustafę, nieporządki, jakie przyszło mu widzieć w czasie wyprawy na Lechistan, sprawiły, że Osman odsunął się od armii.

Za zamkniętymi drzwiami zwrócił się do kilku zaufanych ludzi:

– Z takim wojskiem nigdzie nie dojdziemy, agowie. Trzeba zlikwidować oddziały janczarów i spahisów. Podczas naszej pielgrzymki w Anatolii, w kraju Mameluków, w Egipcie zbierzemy żołnierzy, zorganizujemy, przyodziejemy, uzbroimy, tak wrócimy do stolicy. A tych powsinogów puścimy wolno. Tak zrobimy – powiedział. – Ale żeby nikt mi słówka nie pisał. To tajemnica państwowa. Tego, kto wyda tajemnicę, zmuszony będę ściąć. Żeby to było jasne.

W swej naiwności sułtan nie mógł przewidzieć, że tajny plan, który ujawnił wezyrom pod warunkiem zachowania go w tajemnicy, rozejdzie się w ciągu kilku godzin.

– To prawda?

– Nie może być. Nie wierzę.

– Uwierz, panie, uwierz, sułtan ledwie trzem czy czterem osobom wyznał swój plan.

– Władca zamierza zniszczyć nasze święte oddziały.

– Słuchajcie, a jeśli ten Osman jest heretykiem? Nie wiemy, a może wyrzekł się wiary?

– Dobry Boże, niczego nie można być pewnym. Kto inny jak nie

heretyk przedsięwzięłby taką rzecz?

Tego dnia sułtan zyskał nowy przydomek na miejsce „Zgubnego”: „Osman Heretyk”.

Mahpeyker dowiedziała się o planie od dowódcy janczarów, Alego Agi, który potajemnie przedostał się do Starego Pałacu. Za parawanem, z trudem łapiąc oddech, opowiedział o tym, co się wydarzyło i o rozmowach, jakie toczyły się w kwaterach wojskowych.

– Tak się rzeczy mają – zakończył opowiadanie aga.

– Prawdziwym szaleńcem jest nie Mustafa, tylko ten chłopak.

Dowódca janczarów pokiwał głową za przegrodą.

– Żołnierze zaczęli mówić to samo. Ciągłe tylko słyhać: „Potrzeba nam Mustafy Chana”.

Mahpeyker nic nie odrzekła, ale pomyślała: „No ładnie, jakże to się potoczy? Szalony Mustafa będzie teraz wybawcą? Jaka będzie rola chana Murada i jego matki?”.

– W stolicy zawrzało – mówił dalej Ali Aga – wystarczy najmniejsza iskra, żeby zajęła się jak stos.

– Niech Bóg chroni – powiedziała Mahpeyker, ale jej myśl przywarła do Mustafy. Wychodziło na to, że wojskowi w ogóle nie brali pod uwagę jej i jej syna. Ujrzawszy, co wyprawia Osman, zamierzali ogłosić władcą Mustafę. – Wszyscy powariowali – mruknęła.

– Tak, pani? Czy czegoś sobie pani życzyła?

Mahpeyker opanowała się.

– Wszyscy powariowali. Nie do pomyślenia! Takie rzeczy!

– Ech, które ma pani ma myśli?

– A jest jeszcze coś, ago?

– A jakże! Sułtan uczepił się też teraz myśli, że przeniesie stolicę ze Stambułu do Bursy. Nie wystarczyło mu, że uczynił sobie wrogów z armii i duchowieństwa, z cechami, z ludem też już się poróżnił. Co to w ogóle za myśl? Porzucać zdobycz Fatiha...

– Czego ode mnie oczekujesz, Ali Ago? Chyba nie przyszedłeś, żeby się zwierzać?

– Racja – odparł dowódca – gdybyś, pani, porozmawiała z naszym władcą, doradziła mu. Powiedziała mu, że wyjście, jakie wybrał, to żadne

wyjście. Nie igra się z ogniem. Ciebie posłucha, pani. Jesteś dla niego prawie jak matka... Szanuje panią i kocha... Detronizacja...

Dowódca niespodziewanie umilkł. „A żeby mi mowę odjęło” – pomyślał. Ale Mahpeyker zrozumiała, co zamierzał powiedzieć.

„Zachował ciebie i twoje dzieci przy życiu, a przecież mógł zabić!”.

– Zobaczymy – powiedziała, wstając z miejsca.

Ale nie było na co patrzeć. „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” – rzekła do siebie, wyrzucając z głowy dowódcę janczarów. „Skoro synek Mahfiruz chce się utopić w krwi, jego sprawa. Co ja mam zrobić?”.

Głęboko w środku wiedziała, że jej serce nie było tego samego zdania. Ale to nie był czas, aby słuchać serca, tylko rozumu. A w głowie wciąż miała słowa Alego Agi: „Żołnierze mówią, że potrzeba nam Mustafy Chana”.

Myślała całą noc.

W końcu doszła do wniosku, że to wcale nie było istotne. Czy miała się wtrącać, jeśli los powierzył gaszenie pożaru szalonemu? Niech idzie i gasi.

Zbliżał się świt.

– W końcu i tak do mnie przyjdą – mruknęła – nowy dzień będzie należał do mnie i Mustafy Chana.

Rano, pierwsze co zrobiła, to wysłała Semihę do matki Mustafy.

– Chciałabym widzieć panią matkę.

Kobieta nie sprzeciwiła się. Przyszła, nie mówiąc: „Swego czasu chciałam przyjść, ale nie przyjęła mnie. Teraz, gdy zaczęło się mówić o intronizacji naszego syna, nagle przyszło jej do głowy się ze mną widzieć”.

– Posłuchaj mnie dobrze, pani – rzekła Mahpeyker, przyciągając matkę szalonego do siebie.

Kobieta, która cieszyła się tytułem sultanki matki zaledwie przez dziewięćdziesiąt sześć dni, wysłuchała jej, kiwając głową.

– Zrozumialiśmy się? – spytała Mahpeyker na koniec. – Zgoda?

– Tak. Nikt go nie ruszy. Skoro tak mówisz, skoro tak chcesz. Słowo. Będzie żyć.

– W porządku. Teraz idź. Czas, kiedy twojemu synowi przyjdzie wyjąć

miecz z pochwy, nadchodzi.

*Stolica**18-19 maja 1622 roku*

W końcu nastąpiło to, co nastąpić miało. Osiemnastego maja, w dzień, kiedy namiot sułtana udającego się na pokazową pielgrzymkę do Mekki przeprowiano ze Stambułu do Üsküdar, wybuchło powstanie.

W oddziałach janczarów i spahisów grupa żołnierzy w geście sprzeciwu przewróciła kocioł z zupą. Zaraz też dołączyła do nich część ludu, niezadowolona z obecnego stanu rzeczy i grupka wałęsających się w pobliżu gapiów. Próby stłumienia powstania podjęte przez Dilavera Paszę nie przyniosły rezultatu.

Sułtan Osman wypędził alima, który przybył, aby przedstawić żądania buntowników. Następnego dnia rozpętało się prawdziwe piekło. Dowiedziawszy się o reakcji padyszacha, rozeźlone oddziały straży przewróciły stolicę do góry nogami.

Wznoszący się złowieszczo do góry nad miastem czarny dym pożarów w Starym Pałacu jako pierwsza dostrzegła matka Mustafy.

Z okrzykiem: – Osman pali stolicę! – rzuciła się do pokoju Mahpeyker.

Kobietę z trudem udało się uspokoić. Mahpeyker wysłała na dach wartowników. Kilku sług wyprawiła do Nowego Pałacu z wiadomością o tym, co dzieje się w mieście. Hayganoş Kalfa, która po południu wyprawiła się z robótką do Nowego Pałacu, zjawiała się cała zdyszana. Dźwigając swoje potężne ciało, wbiegła po schodach i gdy stanęła w drzwiach pokoju Mahpeyker, nie starczyło jej nawet tchu, żeby się przywitać. Padła bez sił na sofę.

– Wody – wychrypiała, przyciskając dłoń do piersi. – Wodyyyy...
Hayganoş umieraaa...

Upłynęło trochę czasu zanim, dysząc ciężko, zwróciła się do dziewcząt stłoczonych u jej wezglowia:

– Wdarli się do pałacu. Straż wdarła się do pałacu. Weszli przez Bramę Pozdrowień na dziedziniec.

To właśnie była rzecz niebywała i niesłychana. Lud nienależący do służb pałacowych pojawił się na wewnętrznym dziedzińcu.

– Zatrzymali paziów i spytali, gdzie przebywa Mustafa Chan.

Na ten słowa matka Mustafy krzyknęła i w rozpaczy zaczęła bić się w kolana:

– Skrzywdzą mojego syna! Zabiją mojego Mustafę!

– Zasię nie Mustafa, tylko Hayganoş umiera, nie widzicie? – obruszyła się naczelną krawcowa. Z przeżytego strachu i zmęczenia nie udawało jej się już wiarygodnie wczuć w padyszacha i jego matkę. – Za grosz cierpliwości nie macie, wszak opowiadam. Najsamprzód nikt nie chciał zdradzić, gdzie trzymają sułtana, ale jak jeden z ludzi przygroził: „Gadaj, mówię, a jak nie, to ci ten język wyrwę i rzucę psom na pożarcie; jednemu paziowi wzrok się ześlizgnął na stronę. Straż rzuciła się do komnat sułtana”.

W tym momencie nawet Mahpeyker, która sądziła, że nic już nie będzie w stanie ją zdziwić, zakryła dłonią usta w przerażeniu. Komnaty sułtana to było serce imperium. Jeśli nawet tam stanęła noga rozbójnika, znaczyło to, że w Wielkiej Porcie nikt już nie był bezpieczny. Nie pozostało występku czy zbrodni, których nie należało by się spodziewać. Rzuciła Samisze zmieszane spojrzenie. Dziewczyna natychmiast zrozumiała polecenie swej pani: „Zbierz dzieci”. Ciekawa dalszego ciągu opowieści Hayganoş wstała z ociąganiem. Historia naczelnej krawcowej zadziwiająca i przerażająca jednocześnie, zapierała dech w piersiach.

Ktoś, widząc tłum napierający prosto na paziów stłoczonych na dziedzińcu przed komnatami sułtana, uciekając z krzykiem wskazał miejsce, gdzie znajdował się harem. Żołnierzy na moment ogarnęła niepewność. Nie tak łatwo było wejść do haremu. Poza tym wszystkie wejścia były zamknięte. A za nimi, kto wie, ilu pacholców, strażników i służby czekało z obnażonymi mieczami. Przed sobą mieli wysoki mur. „Nie mamy innego wyjścia, jak tylko zawrócić”, dały się słyszeć pomruki

wśród tłumu, ale w tym momencie jeden z przywódców wyrwał się naprzód.

– Ejże, bohaterowie, piersi wasze gołe, a w nich płonie żar! – zawołał. Same te słowa okazały się wystarczające, aby wzniecić na nowo w żołnierzach gasnące wzburzenie i gniew.

– Wy, którzy obróciliście twierdzę w pył, ugniecie kark przed ścianą?

– Nie ugniemy, nie ugniemy! – zawołali żołnierze. – Poszukajcie pala. Przynieście pal. Pal, pal!

Przyniesiono kilka długich pali i oparto o mur. Rebelianci jak mrówki zaczęli piąć się na górę. Boso wdrapali się na kopuły haremowego dachu. Przyniesionymi z dywanu siekierami podważyli ołowiane dachówki. Rozłupawszy trzy kopuły, spojrzeli w dół. Ale wciąż nie było tego, czego szukali. Dopiero po rozłupaniu czwartej jeden z nich zawołał do wyczekujących na dole towarzyszy:

– Tutaj! Mustafa Chan jest tutaj!

Hayganoş, przywołując tę scenę, zatrzymała się na moment i z zadowoleniem spojrzała po słuchaczach. Widząc, jak matka Mustafy znowu zaczęła uderzać rękami w kolana, a reszta zamarła z wstrzymanym oddechem, w jej głosie dało się słyszeć jeszcze więcej podniecenia.

– No i właśnie wtedy rozpętało się piekło.

Kilka dziewcząt krzyknęło.

– I ciekawe, co jeszcze – mruknęła Mürüvvet.

Naczelna krawcowa rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Jak mówię, że się rozpętało znaczy, że rozpętało, a nie inaczej! Nie wierzysz? Hayganoş ma kłamać?

Tyle że w opowieść Hayganoş naprawdę trudno było uwierzyć. Zburzywszy za pomocą siekier dach na kopułach haremu i ujrawszy komnatę, w której szalony Mustafa żył jako więzień, żołnierze wśród nawoływań i krzyków przedostali się po linach w dół.

Mustafa siedział ze skrzyżowanymi nogami na cienkim materacu rzuconym na łożo. Dwie niewolnice padły przed nim na kolana.

– Panie, panie! – zawołały w przerażeniu dziewczęta, ujrawszy chmarę ludzi zwałającą się przez sklepienie do komnaty. Każda złapała

się kurczowo dziwnej, odsłaniającej pół piersi szaty, w którą przyodziany był Mustafa.

Żołnierze jeden za drugim lądowali na posadzce i podbiegali, rzucając się na twarz przed Mustafą. Ale ten, podczas gdy burzony był dach, a z góry na posadzkę sypały się odłamki dachówek, nawet nie podniósł głowy, nie spytał niewolnic, co się dzieje. Ludzi, którzy rzucili mu się do stóp, aby ucałować poły jego szat, obrzucił długim spojrzeniem niewidzących oczu.

– Co to ma być? – odezwał się jeden z rebeliantów. – Takiego mamy postawić na czele państwa jako sułtana?

Inny się zdenerwował.

– A ty, coś za jeden?! Wedle twego gustu będziemy dobierać padyszacha? Co z nim nie tak? Chłop jak dąb.

– Idziemy stąd – szepnął ktoś inny z tłumu. – Nie widzisz, to szaleniec. Zburzyliśmy mu dach nad głową. Z krzykami wpadliśmy do środka, a on nawet nie zauważył. To wariat, mówię, wariat.

– Jak by ciebie, panie, zamknęli w czterech ścianach na cztery lata, też by ci się w głowie poprzestawiało.

I wtedy Mustafa zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał. Przemówił.

– Przynieśliście jedzenie?

Powstańcy zamarli w osłupieniu. „Jedzenie?” – powtórzyli, patrząc po sobie.

Tymczasem Mustafa trącił nogą jedną z niewolnic, które go okrążyły:

– Sanuber, spytaj no sług. Przynieśli jedzenie dla ptaszka?

Sanuber była jedyną służką, która nieprzerwanie towarzyszyła Mustafie przed jego trwającym dziewięćdziesiąt sześć dni panowaniem, w czasie sprawowania władzy oraz przez lata trzymania w zamknięciu. Była ręką, nogą, językiem Mustafy. Nieumiejącemu czytać, niepiśmiennemu Mustafie odczytywała i pisała za niego listy, a nawet przygotowywała fermy w czasie jego panowania. Z połączenia bełkotu Mustafy i niezgrabnych kulfonów Sanuber powstawał zastraszający tekst, jednakowoż Sanuber dokładała starań, żeby wspólnymi siłami z alimami odgadnąć, co mówił i czego chciał Mustafa.

– Ptaszka? Ptaszka, powiedział? – zaczęli dopytywać się między sobą

ludzie, ale wtedy Sanuber się wtrąciła, ratując sytuację.

– Nasz pan jest głodny. Od trzech dni nikt nie przychodzi z jedzeniem i wodą.

– Tam, dokąd się udamy, będzie miał pod dostatkiem jedzenia i picia – przerwał jeden z oficerów. – Nie możemy tu dłużej bawić. Należy iść czym prędzej.

– Ale stąd nie ma wyjścia – odparła Sanuber. – Drzwi są zaryglowane. W oknach żelazne kraty.

Powstańcy się zawahali.

– He, he, a po co nam drzwi? – zakpił jeden. – Otwarliśmy klatkę od góry. Zły to ptaszek? Powiemy frrr! i pofrunie.

Przez salę przetoczyła się fala rehotu.

Mustafa przez dłuższy czas się opierał, nie chcąc opuszczać swej komnaty.

– Zabiją ptaszka, zabiją ptaszka – miotał się w miejscu.

– Panie – odezwała się Sanuber błagalnie, łapiąc go za rękę – dadzą ci miecz. Znowu zasiądziecie na tronie.

– Nie wierzę! – zawył Mustafa. – Nie chcę tronu! To są kaci Osmana. Uduszą ptaszka.

Po części na siłę, po części podstępnie, usiłując uspokoić Mustafę, przywiązano mu do pasa arkan. Ze słowami „dalej, do góry”, stojący na dachu pociągnęli linę. Mustafa, nagle poczuwszy, że stracił grunt pod nogami, radośnie zamachał rękami.

– Wiedziałem, wiedziałem. Wiedziałem, że pewnego dnia polecę!

– Niech żyje padyszach! – zakrzyknął wypełniający dziedziniec tłum żołnierzy, ujrawszy Mustafę na dachu. Tym razem spuszczenie go na ziemię okazało się problemem. Sanuber znów musiała interweniować. Błagania niewolnicy, wciągniętej na arkanie podobnie jak jej pan, zdołały przekonać go do ześlizgnięcia się po palu w dół.

Posadzili go na koniu szejcha al-islama. Wśród okrzyków armii rebeliantów uzbrojonej w pale, topory, miecze, kiścienie i strzelby został zaprowadzony do Sali Audiencyjnej, a stamtąd na dywan. Kilku z przebywających w tym czasie na dywanie alimów pod groźbą miecza zostało zmuszonych do złożenia Mustafie hołdu. Jeden z nich, Faizi

Efendi, w wyniku przeżytego strachu dostał ataku serca i zmarł u stóp szalonego sułtana.

Buntownicy, klaszcząc w dłonie i popychając Mustafę przed sobą, wsadzili go do ambulansu i skierowali się w stronę Starego Pałacu.

Wysłani przez Mahpeyker na szlak sułtański wartownicy – część konno, część pieszo – wracali jeden za drugim przez wielki dziedziniec.

– Zbliżają się! – wołali, przekraczając próg. – Nadchodzą!

Mahpeyker była przygotowana. Po tym jak sprawy wymknęły się spod kontroli, zdawała sobie sprawę, że dalszy ich rozwój był nieunikniony. Rebelianci nie mogli pozostać w haremie. „Tutaj też przyjdą” – pomyślała. Wszystkie swoje dzieci ukryła w jednym z niekończących się korytarzy Starego Pałacu, w przejściu, o którym wiedziały jedna, najwyżej dwie osoby. Zostawiła ich z Mürüvvet i Şarazad. W korytarzu ukryła też paru sług z obciętymi językami. W razie gdyby coś się stało, mieli bronić dzieci. Sama zaś przyodziła się w najokazalszą suknię, jaka pozostała jej po czasach, kiedy stała na czele państwa. Zamierzała przywitać rebeliantów nie jako zepchnięta w cień rezydentka Starego Pałacu, ale jako księżyc sułtana Ahmeda i matka przyszłego władcy Murada Chana, Mahpeyker Kösem Sultan.

Jeśli zażądają krwi, da im krew, jeśli chana – da im chana!

To nie był czas na uciekanie i chowanie się. Nie czas na unikanie mężczyzn. Jeśli to oni trzymali teraz w swoich rękach los, miała im coś do powiedzenia. Weszła na jedną z galerii wielkiego dziedzińca.

– Otwórzcie! – zawołała. – To nie wrogowie, żeby wyjść im na spotkanie ze strzelbą i z mieczem w ręku. Otwórzcie bramę. Przygotujcie się, aby przywitać swoich współbraci. Głodnego nakarmcie, spragnionemu dajcie pić.

Minęło sporo czasu zanim rebelianci, uzbrojeni w strzelby i topory, przedostali się na dziedziniec. Z każdej piersi wydobywał się głos. Ujrawszy pośród tłumu zabudowany z każdej strony ambulans, nie wiedziała, co się dzieje. Nagle zrozumiała. „Wybrali najlepszy powóz, żeby przewieźć szaleńca”, przemknęło jej przez myśl.

Ujrawszy na galerii patrzącą na nich z góry kobietę, rebelianci się zawahali. „To ona, to ona” – rozległ się szmer. „To Mahpeyker Kösem”.

– Chciałeś rzec: jaśnie pani, chłopie. Nie wiesz, że to księżyc naszego świętej pamięci padyszacha?

– Matka księcia Murada i księcia Ibrahima.

– A niech będzie, kim chce – wtrącił ktoś inny. – To nie do niej mamy sprawę tylko do matki szalonego.

Mahpeyker spostrzegła zawahanie tłumu na jej widok. Obrzuciła go pewnym siebie i dumnym spojrzeniem. Spoglądała na nich jak królowa na swych poddanych. W pewnej chwili uniosła rękę w geście powitania:

– Witajcie, panowie – rzekła.

Jej głos był spokojny i niewzruszony. Była królową przyjmującą swych gości.

– Skoro przybywacie tak tłumnie, macie nam coś do powiedzenia.

– Mamy – dał się słyszeć z dołu nieprzyjazny głos.

– Co mamy powiedzieć, powiemy, a pójdziemy, jak dostaniemy, czego chcemy – odezwał się ktoś inny.

Mahpeyker uśmiechnęła się.

– Tak też pomyśleliśmy. Lecz najpierw powiedzcie, co zamierzacie uczynić, niech księżyc Ahmeda Chana, matka jego następców dowie się, w czym rzecz.

– Nic takiego – wyszczerzył zęby jeden z żołnierzy. – Ogłosiliśmy Mustafę sułtanem.

Z tyłów dobiegł chichot.

– Wariata, wariata...

Na jej twarzy nie odmalowało się zdziwienie ani złość.

– Niech Allah zachowa go w swej opiece. Błogosławione niech będzie jego panowanie. Skoro jednak wybraliście sobie sułtana, kogo tutaj szukacie, panowie?

– Pani matki.

– Daj nam ją tu, kobieto. Wiemy, że tu jest. Powiedz gdzie.

– Daj, daj. Żądamy! Żądamy valide sultan!

– Bez tego nigdy się stąd...

– Panowie! – zawołała nagle Mahpeyker. Na dziedzińcu zapanowała cisza. – Przewróciliście kocioł, rozlaliście krew. Imperium miało swego sułtana, wy zaś za jego życia ogłosiliście sułtanem Mustafę Chana.

Mężowie, którzy tyle już dokonali, nie poradzą sobie z wyważeniem drzwi do pokoi nałożnic i służących i wyprowadzeniem matki naszego władcy?

Nagle umilkła. Tłum na dole słuchał jej z zadartymi głowami.

– Powiecie, że nie, my nie daliśmy! – zawołała Mahpeyker, ciskając błyskawice z oczu. – Sami wejdziecie i zabierzecie. Bo zaprowadziliście porządek gwałtem. Ciągłe tylko słyszeć wasze „chcemy” i „nie chcemy”. Kto jest sułtanem, kto jest waszym panem? No dalej, odpowiedzcie, jak przystoi mężom. Kto jest padyszachem? Mustafa czy Osman? A może wy?

Zamilkła. Z dołu nie dobiegał najmniejszy szelest.

– Ha, nie przejdzie wam to przez gardło, drodzy goście. Teraz wy decydujecie, wy wydajecie rozkazy. Znaczy to, że teraz wy jesteście padyszachem, wy jesteście sułtanem. Skoro tak, zabierzecie stąd panią matkę i pójdziecie... Ale nie zapominajcie, z kim rozmawiacie. Kto wam, którą wita się otwartymi drzwiami, której bejowie, wezyrowie, nawet rodzina sułtańska pada do stóp, błaga o wybaczenie, kto wam to mówi? Czyż nie jestem matką synów naszego świętej pamięci sułtana Ahmeda Chana, Mahpeyker Kösem Sultan, że wołając: „Kobieto!”, depczecie moją godność?

Z dołu znów nie dobiegła żadna odpowiedź. Chwilę temu zwrócone ku niej twarze, teraz patrzyły w ziemię. Po dłuższej chwili jeden z czeladników w potarganym turbanie wystąpił przed tłum.

– Wybacz nam, pani – odezwał się z dołu. – Wola wybaczenia należy do wielkich, Mahpeyker Sultan. Dopuszciliśmy się zniewagi.

Ktoś inny również wystąpił naprzód:

– Nie gniewaj się, pani.

– Złóż to na karb wszystkiego, co wycierpieliśmy przez cztery lata – odezwał się z tłumu jeszcze jeden głos.

– Strachu, w którym żyliśmy od miesięcy, pani, i od wzburzenia – wystąpił z tłumu żołnierz z toporem na ramieniu.

Zaraz za nim wyszedł janczar:

– Osman podniósł rękę na nasze oddziały. Heretyk stał się nam wrogiem. To przeciwko niemu powstaliśmy.

„Wystarczy” – zdecydowała w duchu Mahpeyker. Uniosła rękę.

– Rozumiem – powiedziała zdecydowanym tonem. – teraz opuście dziedziniec.

Odczekała, ale jej polecenie nie spotkało się ze sprzeciwem.

– Każę sługom podstawić pojazd pod bramę dla Jej Wysokości.

Oczekiwaliśmy waszego przybycia, pani matka jest więc gotowa. Nie przyjdzie wam długo czekać na placu. Idźcie z Bogiem. Zachowajcie prawo i porządek. Czyż nie wy rzekliście przed momentem: „Wola wybaczenia należy do wielkich?”. Teraz wy jesteście wielcy. Miejcie litość. Nie przelewajcie sułtańskiej krwi. Nie przelewajcie i niechaj w naszych granicach na nowo zapanuje porządek, niech imperium znów odetchnie spokojnie.

– Amen, amen – dały się słyszeć pomruki z tłumu, jednak zaraz zagłuszył je przeraźliwy głos:

– Śmierć Osmanowi! Niech zginie heretyk!

– Niech zginie!

Mahpeyker nie zwlekała dłużej. Gdy wypełniający dziedziniec tłum zaczął wylewać się na zewnątrz w stronę placu, odwróciła się wyniośle. Weszła do budynku. Na zewnątrz wciąż dało się słyszeć okrzyki: „Niech zginie heretyk!”.

A więc Osman żył. Ale biorąc pod uwagę okrzyki donoszące się z dziedzińca, nie miało to długo potrwać. „Miejmy nadzieję, że posłuchają mych słów” – pomyślała. „Niech Allah go ochroni” – wyrzekła w duchu. Znów zaskoczyły ją jej własne słowa. Nie wiedziała dlaczego, ale nie znajdowała w sobie nienawiści dla Osmana. Być może było to zasługą młodzieńca, który ochronił ją i jej dzieci przed szalem Mahfiruz. Tak czy inaczej, to było prawdziwe uczucie. Dlatego wcześniej odczuwała smutek, dlatego też teraz przeżywała żal i strach o Osmana. Też była matką. Widziała jego naiwność. Wszystko, co przyszło mu znieść, działo się za sprawą jadu wytoczonego przez pajęczą matkę. Tak podpowiadało serce Mahpeyker. I nawet jeśli rozum nie, to serce zawsze pozostawało zwierciadłem jej prawdziwych uczuć. Ale rozum był jej jedynym przewodnikiem, jedynym doradcą. Dla dobra dzieci musiała dalej kroczyć drogą, jaką dla niej wyznaczył.

Matka sułtana Mustafy wyczekiwała jej w wielkim podnieceniu.

– Twój syn wstąpił na tron – oznajmiła chłodno Mahpeyker. – Teraz znów jesteś sułtanką matką. Żeby to, co dzisiaj spada na głowę Osmana, jutro nie spadło na twoją i twego syna, nie zapominaj tego, co ci powiedziałam. Nie zbrukaj sobie rąk krwią Osmana.

Kobieta we łzach rzuciła jej się na szyję. Mahpeyker powstrzymała ją; na w pół żartobliwie, na w pół poważnie. Powoli pochyliła głowę.

– Niech błogosławione będzie panowanie twoje i twojego syna.

Pani matka się zawahała. „Skoro jesteś teraz valide sultan, zachowuj się, jak się godzi”. Wyprostowała się.

– Amen – odparła drżącym z przejęcia głosem. – Tym razem będę pamiętać o twoich słowach, Mahpeyker.

Mahpeyker się zaśmiała.

– Mam nadzieję. A teraz idź – powiedziała. – Sułtana wsadzili do ambulansu. Ty wsiadaj do przygotowanego dla ciebie powozu. Syna weź do siebie. Trzymaj się prosto. I najważniejsze, nie daj po sobie poznać strachu... No dalej, idź już, idź. Poddani czekają na ciebie.

Gdy kobieta wyszła, nasłuchiwała oklasków. Nic podobnego nie usłyszała.

W tłumie dalej wrzało.

– Niech zginie Osman heretyk!

– Zamordujmy!

„Gdzie może być Osman?” – zastanowiła się Mahpeyker. Rozum natychmiast jej podpowiedział. „Na pewno uciekł. Albo powinien uciekać”.

– Śmierć Osmanowi!

– Niechaj zginie!

„Osmanowi pozostała ostatnia nadzieja” – pomyślała z westchnieniem. „Matka Mustafy. Zobaczymy, czy dotrzyma słowa. Nic więcej nie mogę zrobić”.

Krzyki powoli się oddalały.

– Niech ginie Osman heretyk...

– Niech ginie Osman...

– Niech gi...

– Osm... Gi..!

Tego dnia Osman uciekł z Nowego Pałacu i ukrył się w jednej z kwater janczarskich. Dowiedziawszy się, że rebelianci wprowadzili Mustafę do Nowych Pokoi, pod pozorem chęci negocjacji wysłał tam dowódcę janczarów, Alego Agę. Ali, podkradłszy się do Mustafy, wymierzył cios sztyletem w jego pierś, ale zamach się nie powiódł. Tym, którego zabito, tym, którego związano sznurem i rzucono na ziemię, okazał się dowódca janczarów, Ali Aga.

W tym samym czasie, kiedy rozgrywały się tragiczne wydarzenia, miała też miejsce seria komicznych scen. Rebeliantów dopadły ciężkie rozterki. Należało wydać pisemnie szereg aktów, ale kto miał sprostać temu zadaniu? W końcu znaleziono rozwiązanie. Jeden z przywódców o przezwisku Czarny Szczęściarz, który znał się nieco na piśmie, usiadł przed siedzącym obok swej matki Mustafą, aby sporządzić ferman. Poła padyszacha wciąż znajdowała się w ręku Sanuber. Nie rozumieli, dlaczego kobieta uporczywie trzymała się jego szaty, ale nie przyszło im też do głowy o to zapytać. Człowiek, którego ogłoszono sułtanem, i tak sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Patrzył pustym wzrokiem.

– Wasza Wysokość – odezwał się jeden z obecnych, ukłoniwszy się przed Mustafą. – Na jednym tronie nie może zasiadać dwóch sułtanów. Czy słuszne będzie odebrać życie Osmanowi Heretykowi?

Mustafa spojrział na matkę. Wydało jej się, że słyszy głos Mahpeyker. „Nie zbrukaj sobie rąk krwią Osmana”.

„Łatwo powiedzieć” – pomyślała. „Jeśli Osman przeżyje, my umrzemy. Jeśli powiem «oszczędźcie Osmana», ci zbóje odetną głowę najpierw mnie, a potem Mustafie”.

Władczyni potrząsnęła głową, jakby w odpowiedzi na zarzut. „Jeśli to takie proste, to stań na moim miejscu i zobaczymy, Mahpeyker” – rzekła w duchu. Niekiedy żeby żyć, trzeba innemu odebrać życie. W przeciwnym razie nie zawahają się odebrać życia tobie.

Zwróciła się do syna. Pokiwała głową, jakby mówiąc: „Tak”.

Wzrok Mustafy na chwilę zatrzymał się na matce. Następnie nachylił się do jej ucha:

– To Osman zabił ptaszki, mamó?

Kobieta znów pokiwała głową.

Wówczas Mustafa obrócił się w stronę czekającego na odpowiedź mężczyzny. Oczy mu zabłyśły.

– Będzie słuszne – zarządził. – Kto odbiera życie ptaszce, temu niech skreca kark.

Szczęściarz natychmiast chwycił za pióro i sporządził ferman nakazujący zabicie sułtana Osmana.

Wtedy spytano Mustafę:

– Do kogo należeć będzie pieczęć sułtana?

Padyszach nawet nie usłyszał pytania.

– Komu przysługuje prawo do pieczęci, Wasza Wysokość?

Widząc, że Mustafa znów jest nieobecny, pani matka trąciła syna łokciem.

– Damad Kara Davud Pasza – szepnęła, ledwie rozchylając usta. – Bardzo dbał o ptaszki.

Padyszach gwałtownie pochylił się do przodu.

– Kara Davud. Pisz! – natychmiast rozkazał Szczęściarzowi przywódca. Ten był w tym momencie pochłonięty sporządzaniem fermanu mianującego go ochmistrem. Gdy nie usłyszał, padyszach się zdenerwował:

– Pisz, mówię ci! Karę Davuda Paszę mianujemy wezyrem wielkiego imperium.

Kiedy te sprawy udało się załatwić, Mustafę wraz z matką zaprowadzono do Orta Cami.

Wypuszczono na wolność uwięzionych w lochach portowych i na statkach. Stolicę w jednej chwili zalali złodzieje, banici, zbrodniarze. Nie pozostał ani jeden rzemieślniczy dom, którego by nie splądrowano i nie puszczono z dymem. Co gorsza, do grabieży przyłączył się też prosty lud.

Pod wieczór do Orta Cami dotarły wieści. „Zabiliśmy Dilver Paszę i naczelnika czarnych eunuchów, Sulejmana Agę. Sulejman ze strachu i tak był nieprzytomny. Walnęliśmy go kłodą w głowę, czerep rozpekł się na pół niczym dzban”.

Tłum na dziedzińcu Orta Cami ogarnęło podniecenie.

- Kolej na Osmana! Kolej na Osmana!
- Niech zginie Osman!

*Stolica**20 maja 1622 roku*

Wszystko, co się wydarzyło, zostało przekazane Mahpeyker. Dowiedziała się, że Mustafa z matką byli w meczecie w Ortaköy, a sułtan Osman nocą w przebraniu uciekł z pałacu i ukrył się w posiadłości Ağakapısı.

„Popełnił błąd” – przemknęło jej przez myśl. Szkoda, wpadł w pułapkę. To kaftan, który miał na sobie i turban z ozdobnym piórem czyniły z niego padyszacha. Teraz stał się jednym z ulicznego tłumu. Kto miał go teraz posłuchać, kto miał mu teraz okazać szacunek?

Stało się, jak przepowiedziała Mahpeyker. Rebelianci jeszcze zanim wzeszło słońce, wdarli się do Ağakapısı. Osman, w na wpół zawiązanym turbanie, w długiej, białej koszuli został wyprowadzony na dziedziniec. Usiłującego ratować się ucieczką wezyra, Husejna Paszę z Ochrydy, poćwiartowano.

Osmana, który nie miał już na sobie sułtańskich szat, posadzono na wyniszczonej klacz. Wśród docinków i przekleństw wyruszono w kierunku Ortaköy. Padyszachowi nie szczędzono najgorszych obelg. Ktoś, sięgając pod spód wzdymającej się na wietrze długiej koszuli, wymierzył mu klapsa.

– Mości panie Osmanie – zwrócił się kpiąco. – Ten, co urządza nalot na winiarnię i wysyła janczarów i spahisów na galery, paraduje właśnie tak z gołą dupą.

Niejaki Altuncuoğlu zbliżył się do szkapy i, uszczypnąwszy młodego Osmana w nagie udo, wyrzucił z siebie stek najstraszliwszych przekleństw.

– Psi synu! – zawył Osman. – Czyż nie jestem waszym sułtanem? Zapomnieliście, że sami byliście kiedyś młodzi?

W odpowiedzi rozległy się śmiech, drwiny i przekleństwa.

Kiedy Osmana przywieziono pod meczet Ortaköy, Mustafa siedział nieruchomo przed mihrabem.

Imperium wówczas po raz pierwszy ujrzało w jednej chwili dwóch padyszachów. Dwóch padyszachów, z których jeden był szalony, a drugi obalony!

Po prawej ręce Mustafy siedziała jego matka, po lewej – mianowany na wezyra Damat Kara Davud Pasza. Sanuber usiadła tym razem nieco z tyłu, w odległości kroku. Z uwagą śledziła każdy ruch swego pana, w każdej chwili gotowa złapać poję jego szaty.

Mustafę ubrano w przyniesiony, nie wiadomo skąd, niezgrabny kaftan, na głowę zaś założono mu wykrzywiony turban. Mimo starań matki, niewolnic, a nawet wezyra turban nie chciał prezentować się prosto na głowie sułtana. Próby wyprostowania go nie przyniosły żadnego skutku. Turban uparcie opadał na prawą brew Mustafy. Padyszach w takim stanie przywoływał na myśl uganiających się za płcią piękną młodych urzędników z dzielnicy Galata.

Ujrzawszy wchodzącego do środka Osmana, Mustafa zerwał się z miejsca. Wtedy stało się jasne, dlaczego Sanuber nie puszczała jego poły. Mustafa zareagował z taką szybkością, że mimo całej swej uwagi dziewczyna nie zdążyła złapać go za kaftan i usadzić z powrotem.

– Uwolnijcie ptaszka, uwolnijcie ptaszka! – zakrzyczał Mustafa, biegając od jednego okna meczetu do drugiego.

– Uspokój się, usiądź, mój synu – błagała matka, próbując złapać go wśród osłupiałych spojrzeń, ale Mustafa pozostawał głuchy na jej prośby, wyrывая się i biegając dalej od okna do okna.

– Przyszedł Osman, przyszedł Osman. Zabije ptaszka! Uwolnijcie ptaszka! Powiedz im, niech uwolnią ptaszka!

Nawet naczelnego prowokatora powstańców Damata Karę Davuda Paszę ogarnęło przerażenie. Żołnierze straży pałacowej, spahisi, janczarzy – wszyscy, którzy teraz byli wsparciem, mogli odwrócić się w jednej chwili. „To jest ten szalony sułtan, którego nam obiecałeś? Ten,

co miał być nieco słaby na umyśle? Ależ paszo, ten nawet nie ma umysłu, o którym można by rzec, że jest nieco słaby” – na te słowa nie miał odpowiedzi.

Wówczas wystarczyłoby, że Osman wyrzekłby się pomysłu likwidacji oddziałów, a wszyscy przeszliby z powrotem na jego stronę.

Osman z kolei nie był pomyłeńcem. „Wyrzekam się” – to rzekłszy, wyszedłby zwycięsko z opresji. „Tym bardziej że nie miałem zamiaru likwidować oddziałów. To wszystko pomówienie, plotka. Wracajcie do swoich koszar. W piątek dostaniecie żołd”.

Sułtan Osman nie zmarnował okazji.

– Patrzcie, moi goście – zagrzemiał. Oczywiście nie mógł wiedzieć o tym, że jego macocha Mahpeyker przywitała ludzi tymi samymi słowami. Pomyślał, że zwracając się do buntowników „goście”, tym samym zasugeruje, że im wybacza i okazuje swą łaskawość. – Oto człowiek, którego wybraliście na swego władcę.

Nikt nie zaoponował. Nikt go nie uciszył. Nikt się na niego nie rzucił.

Matka Mustafy była świadoma tego, że sprawy potoczyły się w złym kierunku. Nie przypominała jej się ani twarz Mahpeyker, ani jej słowa. Ani też przysięga, którą jej złożyła. O wszystkim decydowały sekundy. Syna, którego ujęła pod rękę, zaciągnęła z powrotem przed mihrab^[15].

– Ej, żołnierze! – zwróciła się do spoglądających na nią w oszołomieniu rebeliantów. – obrońcy imperium, ile jeszcze pozwolicie odzywać się temu heretykowi? Na co czekacie? Czymże są fermany naszego pana? Skoro tego węża mieliście zachować przy życiu, po co żądano od naszego sułtana wydania fermanów? Czy mogą zapanować ład i porządek, podczas gdy nie słucha się rozkazów władcy?

– Allah, Bismillah! – wykrzyknął Damat Kara Davud Pasza.

Wyrwawszy arkan z rąk jednego ze strażników, rzucił go Osmanowi na szyję. Paru innych rebeliantów zarzuciwszy arkany, powaliło sułtana na ziemię. Kilku oficerów rzuciło się na pomoc szarpiącemu się Osmanowi.

– Co robicie?! – zawołał ktoś z tłumu.

– Życie darowane przez Allaha odbierzecie w Jego przybytku? – zawtórował inny.

– To taka była umowa? – natarł na Karę Davuda Paszę jeden

z oficerów. – Czyż nie zostało powiedziane, że Osmanowi nie stanie się krzywda?

Osmana uwolniono z narzuconych na niego arkanów. Na jego szyi widoczne były krwawe ślady. Z malującym się na twarzy jednocześnie strachem i ulgą rozcierał sobie kark.

W tej sytuacji matka Mustafy nie mogła już pamiętać o słowach Mahpeyker. Kobieta z wściekłością natarła na tłum.

– Nie zdajecie sobie sprawy, panowie – w jej głosie brzmiała groźba – co to za wąż. Jeśli ujdzie stąd cało, nikt z nas, nikt z was nie oстане się przy życiu, żebyście wiedzieli.

Ale nikt jej nie słuchał.

Młodego Osmana wzięto w meczecie pod straż, a Mustafę wsadzono do powozu. Powóz odprawiono do Nowego Pałacu, gdzie Mustafę usadzono na tronie. Z racji tego, że był piątek, odczytano w jego imieniu chutbę^[16] i ogłoszono wobec ludu jako sułtana. Najpierw nowy wezyr Damat Kara Davud Pasza, a następnie cechy i dowódca janczarów, Derwisz Aga, złożyli mu hołd.

Wezyr Davud Pasza zrozumiał, że wobec niepoczytalności Mustafy, która ujawniła się wszem wobec, jego pozycja nie była bezpieczna, dopóki Osman nie zostanie usunięty. „Poza tym, kto wie” – zastanawiał się w duchu, pocierając dłonie. „Nawet jeśli usunie się Osmana, pozostają wciąż synowie Mahpeyker. Jeśli by wyprawić do piekła Murada i Ibrahima, skończy się ród Osmana. Ha, a co jeśli tak jest pisane? Odejdą Osmanowie, przyjdą Davudowie”.

Odurzony marzeniami o tronie, powrócił do Ortaköy, zabierając ze sobą dowódcę janczarów Derwisza. Młodego Osmana załadowano na wózek. Plując, lżąc, rzucając przekleństwa i kamienie, tłum odprowadził go pod Twierdzę Siedmiu Wież.

Młody sułtan, wleczony po ziemi przez siedem pięter, został wrzucony do podziemnego lochu. Poobijane o obślizgłe ściany stęchłego lochu członki i głowa pokryły się krwią. W otchłani zatrutej sadzą z pochodni i tysiącem różnych odorów strażnicy kopiać go i popychając, zarzucili mu powróż na szyję. Mimo to Osmanowi udawało się unikać ciosów. Wtedy jeden ze straży nie wytrzymał:

– Ruszcie się z drogi! Nie możecie sobie poradzić z takim chłystkiem?
Był to jeden ze spahisów-dezertersów zwany Skromnym Złodziejem. Złodziej, rzuciwszy się na Osmana, chwycił go za przyrodzenie i powalił na ziemię. Pozostali, rzucając mu się na kark, naciągnęli na szyję natłuszczone powrozy i z zaciekłością zaczęli je zaciskać.

– Zdychaj, heretyku! – zawył Skromny Złodziej. – Oddziały ci się zachciało likwidować, co?

– Zdychaj – zawtórował mu wezyr Damad Kara Davud Pasza. – Zdychaj!

Ze wszystkich ust popłynęła naraz fala nienawiści:

– Z ramion żony chcesz mnie wrzucić na galerę, he? Zdychaj!

– Kim ty jesteś gołowąsie, żeby urządzić nalot na winiarnię? Teraz się policzymy.

Rozdzierające krzyki i płacz Osmana nie zdołały zmiękczyć skamieniałych w nienawiści serc. Przeciwnie, im bardziej się szamotał, tym głośniej zanosili się śmiechem. Kopali. Szczypali. Kąsali.

– Zdychaj!

– Zdychaj, heretyku, zdychaj!

W końcu opór Osmana osłabł. Wykończony z jednej strony palącym bólem organów, których Złodziej wciąż nie wypuścił z ręki, a z drugiej spragnionych powietrza płuc, szarpnął się jeszcze raz drugi i zamarł w bezruchu.

Davud Pasza wciąż jeszcze zaciskał arkan na szyi Heretyka.

Jeden z ludzi złapał go za rękę.

– Wystarczy, paszo.

Strażnik wyszczerzył zęby.

– Heretyk. Teraz niech rozlicza się z piekłem.

Oszalały z wściekłości i chęci przysłużenia się sułtanowi wezyr Davud Pasza, dysząc ciężko, wyciągnął zza pasa nóż i odciął prawe ucho leżącemu bez życia młodemu padyszachowi. Wyprostował się ze strasznym wyrazem twarzy. Trzymając za koniec ociekającego krwią ucha, pokazał je skupionym wokół rebeliantom. Roześmiał się straszliwie.

– Teraz na tronie pozostał jeden padyszach. Niech to ucho będzie

dowodem, że wykończyliśmy heretyka, co?

Buntownicy pokiwali głowami.

– Słusznie. Trzeba dowodu, świadectwa.

Rozerwał długą koszulę sułtana, która podczas szamotaniny zdążyła się zamienić w szmatę. Zakrwawione ucho zawinął w oderwany kawałek tkaniny i schował za pazuchę.

– Będziemy mieć dobre wieści dla pani matki.

W radości i podnieceniu wbiegał po wąskich i stromych schodach lochu, przeskakując stopnie. „Dokonałeś dzisiaj czegoś, czego nikt wcześniej nie ośmielił się podjąć, Davucie” – mówił w duchu. „Wymierzyłeś taki cios, że udało ci się zrzucić z tronu padyszacha. Odebrałeś mu życie. Nagroda za to będzie, kto wie, jak wielka. Od dzisiaj nie zaspokoją cię skarby”.

Odcięte ucho młodego Osmana godzinę później wręczył sułtance matce pochłoniętej przeprowadzką do Nowego Pałacu.

– Prezent dla Jego Wysokości od jego służki.

Ujrzawszy straszny uśmiech na twarzy wezyra, wzdrygnęła się mimo woli. „Tego człowieka należy się bać” – pomyślała. Otworzył na oścież drzwi sułtańskiego pałacu przed nią i jej synem, ale wszystkiego można się było po nim spodziewać. Również zdrady. „Muszę na niego uważać. A nawet przy pierwszej okazji...”.

Wystraszywszy się, że wezyr odczyta jej myśli natychmiast się uśmiechnęła:

– Skoro to ty zmiądzylesz łeb wężowi, wielmożny panie – odparła szeptem – niechaj twój prezent będzie naszym prezentem. Jego Wysokość jeszcze tej nocy, jestem przekonana, hojnie was nagrodzi.

Davud Pasza pokłonił się do ziemi. „Nagrodzi” – powtórzył w duchu. „Hojnie nagrodzi, ha! Myślisz, że może być dla mnie teraz hojniejsza nagroda niż tron padyszacha, stary nietoperzu?”.

Pieniądze, ozdoby, domy, pałace, diamenty, rubiny nie miały już dla niego wartości. Ilu przeciwników już pokonał za jednym ciosem. Osmana pozbawił tronu i życia, poćwiartował swoich największych wrogów Dilavera Paszę i Husejna z Ochrydy. Na czele państwa posadził wariata – dzisiaj jest, jutro go nie będzie. Minie parę miesięcy i wzniesi nowe powstanie przeciwko wariatowi. Potem... „Nie wystarczy wam

tego, co wycierpieliście od pomyleńca? Uwolniwszy się od wariata, przekażecie tron imperium w ręce Murada epileptyka? Państwo potrzebuje zdrowego, męznego jak lew padyszacha” – tak mówiąc, załatwiłby sprawę.

„Jeszcze niech tylko rozprawię się z tym wariatem i jego matką, tą rumelijską prostytutką Mahpeyker Kösem i jej dziećmi i wtedy zobaczymy” – postanowił w duchu.

Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech. „Ale pierwsze, co zrobię – zadecydował w duchu – przemianuję się z Kary na Lwa. Niech już teraz ludzie przyzwyczają się do tytułu Lew Davud Pasza.

Śmierć młodego Osmana wstrząsnęła Mahpeyker bardziej, niż ona sama mogłaby się tego spodziewać. Zwłaszcza słysząc padające z ust wleczonego na śmierć do Twierdzy Siedmiu Wież Osmana frazy, jej serce ścisnęło się boleśnie i wyszeptała:

– Ach, Osmanie – Şarazad i Semiha były zaskoczone, że śmierć syna największego wroga ich pani, poruszyła ją do łez. – Powiedz jeszcze raz, Semiho – zwróciła się cicho Mahpeyker – jakie słowa wypowiedział mój syn przed śmiercią?

„Mój syn!”.

Określenie „mój syn”, które padło z ust Mahpeyker w odniesieniu do Osmana, również zadziwiło dwórki. Jednak ani własny głos, ani słowa nie zabrzmiały obco w uszach Mahpeyker.

Semiha nie wytrzymała i zbliżywszy się do swej pani, ujęła ją za rękę. Ucałowawszy, zbliżyła ją do czoła.

– Kto mówi o tobie, pani, że masz kamienne serce, niech mu język uschnie.

Dziewczyna ucałowała dłoń Mahpeyker. Gdy podnosiła ją do czoła, poczuła wilgoć łzy, która spłynęła z oczu sułtanki.

– Powiedz – powiedziała Mahpeyker. Patrzyła w zamyśleniu. – Postaraj się powtórzyć, nie pomijając choćby jednego słowa, Semiho.

– „Ogród różany” – szepnęła Semiha. Zatrzymała się. Czuła, jakby ktoś ścisnął ją za gardło. Przełknęła i zaczęła od nowa:

– Nie ma kwiatu bez kolców w ogrodzie różanym;
na tym świecie zazdrość innych złorzeczy kochanym.
Chciałem służyć państwu nie dla własnej chwały,
lecz zazdrość i jej słodzy pragnęli mej zguby.

Przy ostatnim wersie z oczu Semichy też popłynęły łzy.

– Niech Bóg czuwa nad jego duszą – szepnęła Mürüvvet. Şarazad pokiwała głową.

Hayganoş, która nie opuszczała Starego Pałacu od wybuchu powstania, wtrąciła szeptem:

– Niech będzie przeklęty. Kto podniósł rękę, niech będzie przeklęty.

Mahpeyker tej nocy nie zjadła kolacji. Krążyła po pokoju dzieci. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby nie dowiedziały się, o tym, co zaszło, ale wszystkiego były świadome. Książę Murad dostał pod rząd dwóch ataków epilepsji. Gdy drgawki ustąpiły, podniósłszy się z ziemi, zażądał stanowczo:

– Miecz. Dajcie mi miecz, żebym, jak przyjdą buntownicy, przynajmniej kilku odebrał życie.

Dopiero po tym, jak przypięto mu do pasa niewielkich rozmiarów miecz, zdołano uspokoić syna Mahpeyker. Ibrahim skulił się w kącie. Przy najmniejszym szeleście, z okrzykiem: „Idą!” chował głowę między poduszkami, ukrywał się w najciemniejszym kącie szafy z pościelą. Dziewczynki były spokojniejsze. Mahpeyker napomniawszy surowo niańki i sługi w korytarzach, wcześniej udała się do swojego pokoju. Zgasiła świece i lampy. Ach, chętnie ukryłaby się za chmurami, wstydząc się popełnionego ciężkiego grzechu, krwawej zbrodni.

Długo spoglądała w ciemność za oknem.

„Dzieci we krwi” – wyszeptała. Jakże los był okrutny. Wszystko, co ujrzała we śnie, jedno za drugim stawało się prawdą. Widziała Mahfiruz rodzącą pokrwawione niemowlęta. Obydwaj jej synowie zginęli krwawą śmiercią. Swego czasu żałowała, że dzieci Lodowej Królowej przeżyły, a teraz płakała nad ich strasznym końcem. Śmierć młodszego syna Mahfiruz, Mehmeta, z rozkazu starszego brata również sprawiła jej ból. Jednak śmierć dosięgła w końcu również Osmana bratobójcę. Los, jaki go

spotkał, dotknął ją do żywego.

Tysiące sprzecznych uczuć kotłowało się w duszy Mahpeyker. Cieszyło ją obalenie Osmana, które otwarło drogę do panowania jej synom. Bolała jednak nad jego śmiercią. Zwłaszcza po tym, jak dowiedziała się o wszystkim, co się stało, i o ostatnich słowach Osmana.

– Ten chłopak – szepnęła w ciemności – przecież sobie na to nie zasłużył.

„Nie zasłużył?” – sprzeciwił się rozum. „Zabił swojego brata. Był mordercą”.

W zamyśleniu pokiwała głową jakby na potwierdzenie swoich myśli. Westchnęła ciężko. Któż nie zabija dla tronu, dla władzy, dla potęgi i panowania! Dlaczego więc Osman miałby nie zabić, broniła go w myślach. Taki jest porządek rzeczy. Albo zabijesz, albo zabiją ciebie. I tyle... Poza tym Mehmet prowadził jakieś intrygi za plecami Osmana.

Z pewnością sama też pragnęła obalenia Osmana. Ale nie miało do tego dojść w ten sposób.

„A w jaki?” – zaoponował rozum. „Jak sobie wyobrażałaś usunięcie go? Nienatłuszczonym powrozem, tylko łańcuchem? Czy zdjęwszy pierścień Safiye Sultan z palca jego pogrzebanej matki, zamierzałaś założyć go Osmanowi? Wystarczy już. Chłopak zginął. Ktoś inny zrobił to za ciebie. Czego jeszcze chcesz? Przed Muradem droga wolna. Nie ubrudziłaś ręki we krwi.

Rozum miał rację. Takie było życie. Bezlitosne! Nie ulitowało się nad nią swego czasu. Dzisiaj zaś pogrzebało Osmana.

„Ile miał lat?”, zastanowiła się w pewnej chwili. Gdy próbowała policzyć na palcach, zalała ją fala wspomnień. Ścisnęło ją w gardle.

„Dziewiętnaście”. Z piersi Mahpeyker wyrwał się mimowolny krzyk:

– O Boże, miał zaledwie dziewiętnaście lat! Był tylko osiem lat starszy od mojego Murada.

Mahpeyker usiłowała przez chwilę o niczym nie myśleć. Zapatrzyła się w ciemność. Po jakimś czasie powiedziała cicho:

– Widzisz, Mahfiruz? – własny głos wydał jej się obcy. – Widzisz, co się stało? Ale wiedz, że nie ma mego udziału w tym, co spotkało twego syna. Żadnego! – zamilkła i przełknęła ślinę. – Gdyby to ode mnie zależało –

ciągnęła dalej – nie syna Lodowej Królowej, lecz Osmana Chana wysłałabym gdzieś daleko. Powiedziałabym mu: „Wyruszaj, dokąd chcesz, tam, gdzie będziesz żyć szczęśliwie”. Nawet szepnęłam to do ucha matce tego szaleńca. „Ech” odparła, nic więcej nie rzekła. Ale sama wiesz, Mahfiruz, niech tylko żądza władzy opanuje człowieka. I ty, i ja, dobrze to wiemy, prawda? Twoje własne słowa i przysięgi nie zdołały cię powstrzymać.

Milczała przez dłuższy czas. Kilka razy westchnęła głęboko.

– No więc – powiedziała w końcu. – Nie da się oszukać przeznaczenia. Udało ci się uciec przed losem? A mnie? Czy udało mi się uratować swój kark? Co robić, los tak chciał. Ja miałam się stać twoim, ty moim wrogiem. Skończona gra twoja i twoich synów. Nasza ciągnie się dalej. Zobaczymy, jaką rolę mnie i moim synom przeznaczy los.

Spojrzała w ciemność. „Boże, pokaż mi światło” – błagała w duchu. „Pokaż mi światło w tej ciemności”. Nie było go. Nie było najmniejszego przebłysku w tym mroku.

„Nie myśl, że zapomniałam. Osman, sprzeciwiając się tobie, obronił mnie i moje dzieci. Ja nie mogłam mu pomóc. Wybacz. Ale przysięgam ci, Mahfiruz, nie nazywam się Mahpeyker Kösem Sultan, jeśli nie pomszczę Osmana. Zemsta twojego syna od dziś niech będzie moją zemstą”.

Te słowa sprawiły, że poczuła dziwną ulgę w sercu, jakby otrzymała wybaczenie.

Przez jakiś czas patrzyła przez okno, wreszcie pokiwała głową.

– Osmanie – wyszeptała – synu o losie pisanym krwią. Przysięgam ci. Zemszczę się na tych, którzy ci to uczynili. Twoja śmierć utorowała drogę wariatowi. Zemsta utoruje drogę do tronu twojemu bratu, księciu Muradowi. Twój zabójca przyniesie mi i twojemu bratu słońce, Osmanie, przysięgam, że przyniesie! Osmanie mój. Mój nieszczęsny synu.

[15] Mihrab – nisza w meczetach wskazująca kierunek, w którym znajduje się Mekka (czyli gdzie należy się zwrócić podczas modlitwy).

[16] Chutba – piątkowe kazanie w meczecie, podczas którego wymieniano imię panującego władcy.

Stary Pałac
Styczeń 1623 roku

Sprawy potoczyły się zgodnie z tym, co przewidziała Mahpeyker. Mustafa dalej był szaleńcem, a jego matka żądną władzy kobietą.

Damad Kara Davud Pasza przejął całkowicie stery państwa. Na tronie zasiadał Mustafa, za połę trzymała go niewolnica Sanuber, ale rzeczywistym sułtanem był sadrazam, morderca młodego Osmana.

W stolicy mimo to nie udawało się jakoś zaprowadzić spokoju i porządku. Zbójckie bandy grasowały po ulicach, rabunkom i gwałtom nie było końca. Drożyzna, głód, bieda trwały dalej.

Davud Pasza był tylko obserwatorem. Cieszył się w duchu, widząc te wszystkie nieszczęścia jako przesłanki do kolejnego powstania. Przesłanki do buntu, który miał obalić Mustafę i jego samego wynieść na tron. Miał przed sobą tylko jedną przeszkodę.

Mahpeyker Kösem Sultan i jej czworo dzieci.

Sadrazam Davud Pasza nie robił niemal nic, żeby zapewnić spokój w państwie, ale zarazem nigdy nie marnował okazji, aby przekazać valide złowrogie wieści.

– Dzisiaj znowu złupili pięć domów, pani. Jeden z naszych oficerów poprzysiął na Boga. Wśród bandytów byli też słudzy Mahpeyker...

Ilekróć to mówił, słuchająca go z przymkniętymi powiekami, jakby drzemiąc, sułtanka matka otwierała szeroko oczy.

– Póki nie zobaczę na własne oczy, nie chcę rzucać oskarżeń, ale, pani, człowiekowi do głowy...

Nie musiał kończyć zdania. Wiedział, że zapyta.

– Co przychodzi człowiekowi do głowy, sadrazamie paszo?

– Hm... jak by to rzec, pani... Nie chcę rzucać na nikogo oskarżeń... Ale czy to możliwe, pytam się, że Stary Pałac podgrzewa tę niekończącą się zawieruchę?

Nie musiał pytać, czy to działania Mahpeyker. Ponieważ powiedzieć „Stary Pałac” znaczyło tyle samo, co powiedzieć „Mahpeyker Kösem Sultan”.

– Pani Mahpeyker jest naszą przyjaciółką, paszo. Niemało nam pomogła. I kocha naszego sułtana.

Ale Damad Kara Davud mógł przysiąc, że oczy kobiety rozbłysły.

– Nie uważam, żeby mogła angażować się w intrygi przeciwko nam, Wasza dostojność.

– Ach, oczywiście – mówił za każdym razem pasza, rzuciwszy sugestywne spojrzenie. – Ja również się tego nie spodziewam. Ale na myśl o czterech latoroślach tej damy szatan zasiewa w człowieku takie bezpodstawne podejrzenia, pani.

Kobieta nie dała po sobie poznać, ale szatan te podejrzenia zasiewał również w niej.

I w Mahpeyker również.

Po pierwsze zabito Osmana. Otworzono butelkę, wypuszczono dzina. Od tej chwili nie dało się przewidzieć, co zrobi dalej. Czy morderca członka dynastii zawahałby się przed jakimkolwiek innym morderstwem? Jej dzieci były w niebezpieczeństwie. Matka Mustafy, łamiąc dane Mahpeyker słowo, dała wolną rękę zabójcom Osmana, a nawet podżegała ich do zbrodni. A teraz z pewnością widzi jej dzieci jako zagrożenie dla swej władzy.

„A nawet jeśli sama nie widzi, Kara Davud, ten morderca, pomoże jej zobaczyć” – zgrzytała zębami. „Przeklęty sukinsyn usiłuje przemianować się na paszę Lwa”.

Skoro tak, godzina wybiła.

Jeśli ona nie wykona ruchu, tamci nie pozostaną w miejscu.

Nadszedł czas dotrzymać słowa danego Safiye Sultan. Nie mogła się spóźnić. „Ani za wcześnie, ani za późno” – czyż nie takie były słowa Safiye Sultan? Oto teraz nadszedł właściwy czas. Czas działania.

Czas, kiedy przyniosą im słońce!

Słoneczną koronę włoży na głowę Muradowi własnymi rękoma.

Zawahała się na moment. Nigdy nieprzemijający ból ścisnął ją za serce. Wyprostowała się i wstała. Nawet jeśli mój Murad jest epileptykiem, to co z tego? Przynajmniej nie jest wariatem!

Rozesłała na wszystkie strony tajnych gońców. Zaufani posłańcy dostarczyli listy Mahpeyker Kösem Sultan. W razie pojmania mieli rozkaz je zniszczyć. Za cenę życia mieli nie dopuścić do tego, by listy dostały się w ręce szpiegów valide sultan i ludzi wezyra.

Do swojego starego pana z Kumanowa napisała nawet własnoręcznie. Karayelzade Ibrahim Bej był już w podeszłym wieku, ale wciąż miał znaczne wpływy w armii i radzie alimów.

„Do czcigodnego Karayelzadego Ibrahima Beja,

Stan rzeczy nie pozostawia wątpliwości. Jak długo morderca pozostanie nieukarany, w imperium nie zapanuje pokój. Sądzę, że Osmana odprawiono do Twierdzy Siedmiu Wież, żeby go uwięzić. Gdyby chciano go zabić, nie wysyłano by go do lochu”.

Nie sądziła, że ktokolwiek mógłby pomyśleć inaczej. Szczególnie Ibrahim Bej. Teraz przyszła kolej na wieść, którą chciała rozgłosić wśród armii i ludu.

„Teraz słyszymy, że janczarzy i spahisi są zaszczuwani w swoich wilajetach. «Zabiliście swojego sułtana» – obarczają ich winą. Tutaj sytuacja wygląda tak samo. Ani alimowie, ani urzędnicy, ani janczarzy, ani żołnierze, ani spahisi, nawet pokojowcy wstydzą się spojrzeć w twarz ludowi. Wszyscy mają spuszczone głowy. Rzecz jasna, kto spowodował zabójstwo, ten jest odpowiedzialny, ale ten kto zabił, nie powinien uniknąć kary. Jeśli padyszach wydał ferman, to jego wola. Niech jednak morderca zostanie zgładzony, żeby wszyscy poddani nie musieli cierpieć przez to ciężkie przewinienie”.

Mahpeyker na moment odłożyła pióro. Myślami wróciła do przeszłości; do tamtych dni, kiedy w pałacu w Kumanowie przysłuchiwała się rozmowom beja Ibrahima z bejlerbejem Mehmetem. Gdyby powiedzieli jej wtedy, jak krwawe okaże się zatrute życie stołecznego pałacu, nie uwierzyłaby za nic na świecie.

Westchnęła i sięgnęła ponownie po pióro.

„Wy przecież należycie do tych, którzy sprawiedliwość i dochowanie lojalności uważają za obowiązek. Bycia sprawiedliwą i lojalną nauczyłam się tak od was, jak i od rodzonych ojca i matki. Jesteście dla mnie jak drugi ojciec, z którym wiązę najpiękniejsze uczucia mojego serca. Jesteście bohaterem, Karayelzadeju Ibrahimie Beju. Nie wątpię, że jesteście z nami jednej myśli. Jeśli nie mamy racji, powiedzcie: «W imperium osmańskim nie ma już miejsca na sprawiedliwość, prawo, kodeks, religię, sumienie, lojalność, wierność. Sprawiedliwe jest, by państwo, w którym nie ma sprawiedliwości, prawa, kodeksu, religii, sumienia, lojalności, wierności, upadło». Przysięgam więc, że ja również pogrążona jestem w zgryzocie na nasz los. Powiem: «Skoro tak, co mi zostało, kiedy nie ma już imperium; niech morza się wzburzą, niech wyleją rzeki, runą góry, niech razem z tym przepadnie cały ten świat»”.

Na końcu napisała swe imię: „Dziewczynka, którą znaliście jako Nastję. Pani imperium osmańskiego, Mahpeyker Kösem Sultan, wielka sułtanka matka”.

Tajne listy wysłane do bejów, wezyrów, bejlerbejów, hodźów, przywódców, których znała za życia swojego męża, krążąc z ręki do ręki w niedługim czasie stały się deklaracją nowego powstania.

Zwerbowane przez Karayelzadego Ibrahima Beja jednostki spahisów ruszyły konno do stolicy. Z innych miejsc, z innych ziem, ruszyli za nimi janczarzy.

Valide sultan, rozumiejąc, że obecny stan rzeczy nie wróżył dobrze, pewnej nocy zawołała Sanuber i w imieniu swego syna wydała ferman, pozbawiający Damada Davuda Paszę tytułu sadrazama.

Davud, uwiedziony marzeniem o przyszłym panowaniu, przyzwyczajony do okrzyków „Lew” na apelach wojskowych, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, ale dostrzegł w nim boską opatrność. Teraz lepiej było przyczać się na stronie, niż przebywać na widoku.

Nowy wezyr również nie sprostał sytuacji. Sułtanka matka jego również poleciła niewolnicy zastąpić kolejnym. Najpierw Lefkeli Mustafa, następnie zaś Gruzin Mehmed Pasza zostali mianowani wielkimi wezyrami.

Ale sprawy już zupełnie wymknęły się spod kontroli. Sułtan Mustafa wydawał na prawo i na lewo absurdalne rozkazy.

– Sanuber, wydaję ferman, pisz. Niech zostaną zniszczone wszystkie klatki w stolicy. Niech ptaki zostaną uwolnione!

Biedna dziewczyna pisała, co jej kazano.

Innego dnia sułtan przywołał sadrazama Gruzina Mehmeda Paszę.

– Gdzie są, drogi panie, gdzie są ptaki? Czy nie jesteś głównym ptasznikiem? Żądamy odpowiedzi. Gdzie są ptaki? – wybuchnął. – Dlaczego w moim pałacu nie fruują ptaki?

Po czym zerwał się z wysadzanego masą perłową fotela i zebrawszy poły szat, odprowadzony osłupiałym wzrokiem wezyra, wypadł na korytarz. Machając ramionami niczym skrzydłami, oddalił się truchtem.

– Frr, frr, fruuum!

Mianowanie Gruzina Mehmeda Paszy na wielkiego wezyra sprawiło, że gotujący się w oddziałach janczarów kocioł w końcu wykypiał.

Wdarłszy się na dywan żołnierski, napadli na Mehmeda Paszę.

– Nigdy nie pozwolimy na to, żeby wielkim wezyrem był kastrat. Jeśli się sprzeciwisz, wyciągniemy nóż i cię poćwiartujemy.

Wezyr w strachu zwrócił pieczęć sułtanowi Mustafie i wycofał się do swego pałacu. Padyszach, za radą swej matki, wydał ferman głoszący, że „kogo zechce lud, temu przekazemy pieczęć”. Wówczas pod naciskiem armii nieznający tureckiego Albańczyk Mere Husejn Pasza znowu został wezyrem.

Valide sultan myślała, że odtąd sprawy zaczną się układać, ale nie miała racji. Nie zdążyło upłynąć wiele czasu, kiedy rebelianci zażądali usunięcia głównego skarbnika Husejna Paszy.

Mere Husejn Pasza, który sądził, że zyskał sobie przychylność wojska, był jednym z tych, którzy mówili, że „klin wybija się klinem”. Kadiego, o którym się dowiedział, że przyjął łapówkę na dywanie, ukarał falaką. Wszyscy kadi, gdy zebrali się w meczecie Fatiha, napisali fatwę głoszącą, że „Mere jest heretykiem i krew jego należy przelać. Sułtan Mustafa zaś nie jest zdrowy na umyśle. Nie godzi się, by przewodził państwu” i oświadczyli, że nie uznają władzy Mustafy.

Ale nikt nie mógł ruszyć palcem Mere Husejna. Sułtanka matka,

wiedząc o poparciu armii dla Merego, nie odważyła się nakazać synowi odwołania wezyra ze stanowiska.

„A jeśli by tak poradzić się Mahpeyker?” – przemknęło jej przez myśl. „Do diabła” – mruknęła ze złością. „A gdzie moja duma?”.

Wcale jej się nie marzyło iść po radę do Mahpeyker, ale nadeszły takie dni, że człowiek łamał dane słowo i złożoną przysięgę. Czymże była duma na tym tle?

W owych dniach w Starym Pałacu zjawiała się posłanka z Nowego Pałacu.

– Jej Wysokość valide sultan – zwróciła się z wyższością do Samihy dziewczyna – pragną, aby pani Mahpeyker złożyła wizytę w Nowym Pałacu. Dogodny dla pani Mahpeyker dzień i godzinę przekażę Jej Wysokości.

Semiha wiedziała, jaka będzie odpowiedź Mahpeyker, jednak podniósłszy głowę, spojrzała. Zdziwiła się, gdy zamiast ściągniętych brwi i rozeźlonej twarzy napotkała rozjaśnione, radosne spojrzenie.

– Słońce – szepnęła Mahpeyker. – Rozumiesz? Zbliża się wschód słońca.

A to cóż miało znaczyć? Jaki wschód? Przecież był środek dnia.

Mahpeyker widziała, że dwórka nie była w stanie nadać sensu jej słowom. Uśmiechnęła się.

– Niedługo przyniosą nam słońce, Semiho. Czuję to każdym skrawkiem swego ciała.

Dziewczyna znowu nic nie zrozumiała. Mahpeyker tym razem uśmiechnęła się z lekką ironią.

– Wiesz, Semiho, że trochę źle się czuję. Przeziębiam się. Nie wstaję z łóżka. Przekaż dziewczynie. Jak tylko poczuję się lepiej, każę przekazać wiadomość.

Sułtanka matka zrozumiała, że taka wiadomość nigdy nie nadejdzie.

– A więc tak, Mahpeyker – mruknęła. – A więc spaliłaś za sobą mosty.

Zamknęła oczy. „Rób, jak uważasz” – pomyślała. „Mój syn jest szalony, ale zasiada na tronie. Ja zaś jestem valide. A ty? Ty i twój syn epileptyk – kim wy jesteście? Niczym. Wasze życia zależą od mojego

rozkazu”.

Spojrzała na przybyłą służącą spomiędzy na wpół przymkniętych powiek. W ostatnich miesiącach stało się to jej zwyczajem. Ten, kto nie wiedział, mógł sądzić, że śpi. Ale kobieta spomiędzy powiek śledziła otoczenie lisimi oczami.

– Obawiam się – syknęła – że od teraz głowa tej kobiety często będzie boleć. Rozprawmy się już z tym problemem.

Szalonemu Mustafie i jego matce nie udało się pozbyć utrapień. Sadrazam Mere Husejn Pasza tak się rozzuchwalił, że tym razem jednego z bejlerbejów na dywanie poddał karze falaki. Człowiek na oczach dziesiątków ministrów wyzionął ducha pod razami. Zjawiwszy się na zebraniu w meczecie Fatiha, wydał kolejno wyroki śmierci na kadich, którzy przygotowali fatwy o jego herezji. Aby wzmocnić swoją pozycję, zaczął też nastawiać przeciwko sobie spahisów i janczarów.

Najpierw powstały oddziały spahisów napływające do stolicy z prowincji. W ślad za nimi janczarzy. W styczniu tysiąc sześćset dwudziestego trzeciego roku natarli na pałac sułtański, żądając „sprawiedliwości” i „śmierci dla zabójców Osmana”.

Wszystkie oddziały, zgromadziwszy się przed Bramą Pozdrowień, zjednoczyły się w jednym okrzyku:

– Osmana odprawiono do Twierdzy Siedmiu Wież, żeby go uwięzić. Gdyby chciano go zabić, nie wysyłano by go do lochu. Jesteśmy zaszczuwani w wilajetach. „Zabiliście swojego sułtana” – obarczają nas winą. Rzecz jasna, kto spowodował zabójstwo, ten jest odpowiedzialny. Ale ten, kto zabił, nie powinien uniknąć kary. Jeśli padyszach wydał ferman, to jego wola. Ale niech morderca zostanie zgładzony, żeby wszyscy poddani nie musieli cierpieć przez to ciężkie przewinienie.

Oto myśli Mahpeyker spisane w listach. Nauczono się ich słowo w słowo, wykrzykiwano na ulicach stolicy jak zapowiedź zemsty za krew Osmana.

Spahisi i janczarzy, wspierani przez lud, zaczęli szukać zabójców Osmana na ulicach Stambułu. Na początek odnaleziono Skromnego Złodzieja, który gwałtem na przyrodzeniu młodego padyszacha sprawił, że ten zmarł na zawsze w bezruchu. Co znalazło się w ręku – strzelba,

włócznia, miecz – tym poćwiartowali sprawcę.

Inicjator powstania, Kara Davud Pasza, po marzeniach o zostaniu padyszachem, uciekł w strachu o własną skórę. Davud, do którego zdrada przylgnęła jak drugie imię, po kilku dniach sam stał się jej ofiarą. Odnaleziony, gdy chował się w stodole w jednej z wsi, został przywieziony do stolicy. Zawleczony jak Osman do piekielnego lochu siedem piętér pod ziemią w Twierdzy Siedmiu Wież usłyszał ten sam okrzyk: „Zdychaj, zdychaj, heretyku!”. W miejscu, gdzie zadusił Osmana i gdzie, nie mogąc powstrzymać swej żądz, odciął mu ucho, po wykonaniu dokładnie tego wszystkiego, co on swego czasu uznał za konieczne wykonać na Osmanie, ścięto mu głowę.

Wszyscy, którzy w Twierdzy Siedmiu Wież zarzucili Osmanowi na szyję arkan, zostali albo powieszoni, albo ścięci. Mustafa Łajniarz, Ślepy Çökürçü, Hasan Kucharz, Mustafa Flisak, Bezręki Mehmed, Muslu Złotnik zostali poćwiartowani. Przywódców powstania, takich jak podżegacze Cerrahzade Mehmet Czelebi czy Feridun Efendi, złapano każdego z osobna i zabito. Mere Husejn Pasza, zrozumiałwszy, że na niego również przyszła kolej, pewnego dnia zniknął z dworu. Sułtanka matka uczyniła wezyrem analfabetę Kemankesza Karę Alego Paszę.

Kiedy Semiha, z trudem łapiąc oddech, wbiegła do sali, Mahpeyker dopiero co usnęła. Codzienne śledzenie wieści i rozwoju wydarzeń zmęczyło ją. Żelazo było gotowe. Kuto je. Zbliżał się czas.

– Wstawaj, pani.

Mahpeyker zerwała się w strachu. Ujrawszy nad sobą Semihe, wpadła w panikę.

– Co? Co się dzieje? Idą tutaj? Dzieci? Semiha, gdzie moje dzieci? Gdzie mój Murad?

– Nie, nic takiego – złapała ją za rękę dziewczyna. Żeby ją uspokoić, zaśmiała się nawet. – Oznajmili, że przybył sadrazam pasza. Czeka w sali z przegrodą.

W sennym zamroczeniu nie zrozumiała od razu.

– Sadrazam? Przecież Mere uciekł?

– Mówię o Kemankeszu Alim Paszy. Przyszedł na jego miejsce. Padyszach tego wieczoru uczynił go wielkim wezyrem.

Wtedy dopiero Mahpeyker się obudziła. „Słońce” – szepnęła sama do siebie. „Przyniósł mi słońce”.

Natychmiast podniosła się z łóżka.

– Nie mówiłam? – zwróciła radośnie do Semihy. – Nie mówiłam, że wszędzie słońce? Patrz, oto weszło. Przynieśli mi słońce. Przynieśli mi słońce. Rozumiesz mnie? Mnie i Muradowi przynieśli słońce! Rozumiesz mnie?

Nie rozumiała.

Nie próbowała tłumaczyć. Ubrawszy się naprędce, pobiegła do sali, gdzie czekał Ali Pasza.

– Paszo – odezwała się zaraz od progu.

Zauważyła, jak cień po drugiej stronie przegrody podniósł się z miejsca w poruszeniu.

– Pani.

– Błogosławione niech będzie twoje panowanie.

Cień zbliżył się do okratowania.

– Nadszedł czas służby, pani.

Żeby się upewnić udała, że nie zrozumiała.

– Niełatwa jest służba na dworze Mustafy. Niech Bóg...

– To jasne – przerwał Kemankesz – że od teraz każdy poddany wielkiego imperium będzie służyć Muradowi Chanowi.

„Słońce!” – rozległo się w głowie Mahpeyker. „Weszło słońce!”.

Pomimo przepelniającego ją podniecenia zdołała ukryć swoją radość.

– Jednakże – szepnęła do paszy, słuchającego jej po drugiej stronie przegrody – następca jest jeszcze bardzo młody.

– To prawda, ale jego matka, Mahpeyker Kösem Sultan, jest wystarczająco doświadczona, aby poprowadzić naszego młodego padyszacha.

W jej głowie po raz wtóry rozległ się ten sam krzyk.

„Słońce! Przynieśli mi słońce”.

– Do czasu gdy władca będzie gotów sam przyjąć na swe barki ciężar rządzenia wielkim imperium, jeśli valide sultan zgodzi się objąć rolę regentki, nie będzie żadnego problemu.

– Zasięgnęliście opinii rady alimów? Czy prawo akceptuje kobietę

padyszacha? Wydadzą stosowną fatwę?

Cień za okratowaniem odchrząknął.

– Jeśli Wasza Wysokość uzna to za słuszne, nie będziemy mówić pani sułtanka. Sądzę, że takie tytuły jak starsza matka, matka seniorka, wspaniała matka, wielka matka będą bardziej stosownymi zwrotami.

„Na Boga! Naprawdę zostaje królową. Mała Nastja z Milos zostaje prawdziwą osmańską królową”.

Milczała przez chwilę, jakby się zastanawiała.

– Wszak nasze intencje są czyste – odezwała się w końcu spokojnym głosem. – Pamiętamy, co się wydarzyło, kiedy na tronie zasiadło dwóch padyszachów. Mustafa...

– Nie sądzę, żebyśmy mieli napotkać trudności w urzędzeniu tej kwestii. Możemy to wspólnie zaplanować – odparł cień za przegrodą.

Naradzając się, zbliżyli się do siebie po dwóch stronach okratowania do tego stopnia, że ich usta niemal dotykały perłowych wykończeń.

Kiedy Kemankesz Ali Pasza się oddalił, Mahpeyer wróciła do swojego pokoju spokojna ponad wszelkie oczekiwania.

– Niech obudzą Murada Chana – zarządziła.

– Ale jest jeszcze wcześnie – zauważyła dziewczyna, na co Mayhpeyer zawołała w uniesieniu:

– Obudź! Słońce wzeszło. Padyszachowie nie śpią długo!

– Muradzie mój, padyszachu – szepnęła z czułością Mahpeyer po wyjściu dziewczyny. – Tylko błagam, nie dostań ataku z ekscytacji. Błagam cię, Boże mój, niech nie dopadnie go epilepsja. Daj mu siłę.

Kemankesz Ali Pasza, opuściwszy Stary Pałac, natychmiast udał się do pałacu szejcha al-islama Yahyi Efendiego.

Szejch al-islam o tej późnej porze czekał na jego przyjście.

– Udało się? – wyszedł na spotkanie wielkiemu wezyrowi. – Zgodziła się?

– Tak, ale postawiła warunek.

– Warunek?

– Tak. I ma rację. Nie na darmo świętej pamięci Ahmed Chan nazwał ją Mahpeyer Kösem. Sułtance matce nie wystarczą obiecanki. Żąda fatwy od rady alimów i ciebie potwierdzającej jej prawo do używania

tytułu matki regentki, do czasu gdy Murad Chan osiągnie stosowny wiek.

Yahya Efendi podrapał się w brodę.

– Fatwy, he? – na moment jego twarz przybrała zamyślony wyraz. – Dlaczego by miała nie mieć prawa, Sadrazamie Paszo. Murad Chan jeszcze nie został obrzezany. Przecież to obowiązek nałożony na matkę przez Allaha, aby ta, dopóki władca nie osiągnie dojrzałości, była jego opiekunką i doradczynią.

Usiadł przy pulpicie.

– Napiżemy fatwę. Ty załatw resztę. Jeśli do jutra ta sprawa się nie rozwiąże, źle się skończy.

– Rozwiąże – odparł Kemankesz Ali. – Tak czy inaczej, rozwiąże się. Imperium już nie ma więcej cierpliwości dla szaleńca. W przeciwnym razie całe to zamieszanie i zabójstwa doprowadzą nas, nie daj Boże, do anarchii.

Ali Pasza z pałacu szejcha al-islama pospieszył do Nowego Pałacu. Obudzono valide sultan. Kobieta, widząc wielkiego wezyra przybywającego tak wcześnie, wszystko zrozumiała. Ali Pasza również nie przedłużał niepotrzebnie.

– Sprawy z każdą minutą wyglądają coraz groźniej – oznajmił stanowczo. – Obawiam się, że trzeba będzie udowodnić przed wybraną grupą spahisów i janczarów, że władca jest zdrowy na umyśle.

W przeciwnym razie, niech Bóg bro...

– Co też mówisz, paszo, stan umysłu naszego syna zostanie poddany próbie?

– Alimowie są podobnego zdania, pani. „Jeśli nie jest słaby na umyśle, jesteśmy na jego rozkazy. Ale jeśli, tak jak krążą słuchy, klepie ministrów w dywanie po karkach, tak że spadają im z głów turbany, nie chcemy go”. W tej sytuacji nie ma innego wyjścia.

– Stan władcy jest wiadomy. Serce nie pozwala nam zgodzić się na takie poniżenie naszego syna.

– Nie ma innego wyjścia.

Kobieta milczała. Patrzyła długo spod na wpół przymkniętych powiek. Ali Pasza przez moment pomyślał, że śpi. Nagle sułtanka matka

przemówiła.

– Jest – powiedziała. – Jest inne wyjście. Jeśli dane nam zostanie słowo, że naszemu synowi ani nam nic się nie stanie, zrzekniemy się tronu. Nie sądzę nawet, żeby władca zdał sobie z tego sprawę.

Kemankesz Ali Pasza, ukłonił się z szacunkiem. Natychmiast przypomniał sobie słowa Mahpeyker: „Jeśli wystraszycie ją, sugerując, że jej syn może zostać zabity, a następnie zaproponujecie łapówkę w cenie życia, kobieta zgodzi się ustąpić z tronu”. Nie spodziewał się, że taktyka sułtanka w tak krótkim czasie przyniesie pożądany rezultat.

– Odebrawszy mojemu synowi tron, wyniesiecie na niego dziecko tej kobiety? Następcę, który jest jeszcze małym chłopcem?

– Władca – odparł pasza – spokojnie powróci do swojego starego mieszkania w Nowym Pałacu. Aczkolwiek...

Kobieta spróbowała wyprostować się w fotelu.

– Nie ma potrzeby, żeby to mówić, paszo – syknęła. – Wiemy, dokąd się udamy.

Dziesiątego dnia września tysiąc sześćset dwudziestego trzeciego roku o wschodzie słońca ulice stolicy rozbrzmiały stukotem kopyt i turkotem kół. Trzy powozy pędziły ze Starego Pałacu do Nowego, jeden zaś z Nowego do Starego. Los chciał, by powozy ze ściśle zasuniętymi zasłonkami w pewnym momencie się zrównały. Osoby, które jechały w środku, nie ujrzały się, ale usłyszały turkot kół, wyczuły swoją obecność.

Z jednego z trzech powozów, które dotarły do Nowego Pałacu, wysiadł dwunastoletni Murad. Sadrazam Kemankesz Ali Pasza, szejch al-islam Yahya Efendi i kilku wezyrów ze słowami: „Niech żyje mój padyszach” zbliżyli się, aby ucałować poję jego szaty. Murad, zgodnie z tym, czego nauczyła go matka, nie zwrócił na nich uwagi. Zmuszony wcześniej wstać, był teraz niewyspany i rozeźlony. Odrzucając stanowczo poję do tyłu, nie dał jej ucałować. Jego pierwszy rozkaz składał się z jednego słowa: „Chodźmy”.

Z drugiego pojazdu wysiadła starsza matka, matka seniorka, wspaniała matka, wielka matka Mahpeyker Kösem Sultan i jej dwórki. Wszyscy byli pod wrażeniem tego, jak pięknie i wspaniale sułtanka

matka wyglądała o tak wczesnej porze. Mahpeyker uśmiechnęła się do sadrazama, który uklonił się również przed nią:

– Jakże jasne jest dzisiaj słońce! Czyż nie prawda?

Ali Pasza i Yahya Efendi popatrzyli po sobie, jakby pytali, co to ma znaczyć. Nocne niebo dopiero co zaczynało szarzeć. Nie było nawet zapowiedzi słońca. Ale pokiwali głowami, jakby w jej słowach ukryty był tajny sens. Słońce było bardzo jasne, bardzo!

Mahpeyker zatrzymała się dumnie wyprostowana. Wszystkie dwórki na raz podbiegły, żeby poprawić spódnicę i czarną jak smoła wyszywaną srebrem wspaniałą suknię. Wraz z upływem lat czarny pasował Mahpeyker jeszcze bardziej. Szyty złotem długi czarny tiul płaskiej czapki opadał jej na ramiona. Valide sultan, nie zmieniając swej postawy, powoli odwróciła głowę w stronę, z której dobiegł dźwięk stukających kół. Dwórki, nianie, odaliski pobiegły w stronę trzeciego powozu.

Z pojazdu wysiadły pozostałe dzieci Mahpeyker: Sulejman, Kasım, Ayşe i Fatma. Ale drzwi wciąż pozostawały otwarte.

– Chodź – prosiła jedna z kobiet, zaglądając do środka. Ale ktoś, kto był w środku, nie zamierzał wychodzić.

Mahpeyker podniosła głos:

– Fitnat! – mimo dumnej postawy, jaką zachowała, głos wydał jej irytację. – Zamiast wzywać, wejść do środka i wyprowadź go.

Przestraszona Fitnat usłuchała rozkazu. Wyprowadziła Ibrahima z powozu, niemal go wlokąc.

– Nie! – zakrzyknął chłopiec. – Nie, właśnie, że nie pójdę! Nie. Nie zgadzam się. Rozkazuję. Zostawcie mnie!

Ibrahim, który wraz z intronizacją swojego brata, stawał się następcą tronu, był przerażony. Z szeroko otwartymi ze strachu oczami schował twarz w fałdach ciasno zawiniętej sukni swojej niani. W drodze do Nowego Pałacu stawiał rozpaczliwy opór.

– Zlitujcie się, zlitujcie się. Jestem jeszcze mały! – wyrywał się z płaczem. Księcia Ibrahima jako tako udało się uspokoić sługom, którzy uciekli się do szeregu sztuczek.

Mahpeyker, nagradzając dostojnika pałacowego, który wyszedł jej na spotkanie, jednym z najpiękniejszych swoich uśmiechów, próbowała

odwrócić uwagę od hysterii Ibrahima.

– Cieszę się, że znowu was widzę.

Przeszła, nie patrząc na pochylone przed nią głowy. Dwie małe dwórki niosły okazały koniec spódnicy, która ciągnęła się spod czarnej sukni.

– Przed chwilą powiedziałam to samo sadrazamowi paszy i hodży efendiemu. Jakże jasne jest dzisiaj słońce, nieprawdaż?

Wiedziała, że obróciwszy się, ujrzałyby lud pałacowy w zadziwieniu szukających słońca. „Głupcy” – pomyślała. „Słońce idzie przed wami. Patrzcie!”.

Obudzony przez Sanuber Mustafa spytał zaś, kiedy prowadzono go do starego mieszkania:

– Dokąd idziemy?

– Do ptaszków – odparła dziewczyna. – Ptaszki na was czekają, sułtanie mój.

Mustafa podskoczył z radości jak dziecko.

– Ach, jak dobrze, lećmy więc i my. Znudziło nam się w tej klatce.

Wymachując rękami i biegnąc, zaświergotał:

– Fruuu, fruuu!

Stolica, hipodrom
Październik 1623 roku

„Oto, czym jest bycie królową!”.

Mahpeyker triumfowała. Być piękną jak anioł, majestatyczną jak ośnieżone szczyty, radosną jak motyl!

Była piękna. Bardzo piękna. Mimo że miała już za sobą trzydzieści trzy zimy, była piękna jak marzenie. W szytej złotem wspaniałej sukni i stożkowej czapce z czerwonym szyfonem opadającym jej na ramiona swym majestatem przewyższała góry.

Ale nie mogła latać! Nie dając po sobie poznać, bała się do szaleństwa. „Mój Boże” – modliła się w duchu. „Błagam, dopomóż Muradowi. Uchronń mego syna od wstrząsów epilepsji podczas uroczystości!”.

Całą noc przewracała się w pościeli. Wciąż miała przed oczami tę straszną scenę.

Murad na oczach wezyrów i paszów rzucał się na ziemię, i z pianą na ustach tarzał się w konwulsjach...

Serce zamierało jej w piersi na samą myśl. Kto wie, co by powiedzieli, widząc jej syna w takim stanie.

„Odprawiliśmy szaleńca, sprowadziliśmy epileptyka, panowie!”.

„Popatrz, paszo, co też się dzieje w tym imperium. Raz na łasce wariata, raz epileptyka!”.

Do diabła, do diabła!

Tak myślała Mahpeyker, zgadując ich reakcję.

Tego dnia, kiedy Murada zabierano do meczetu Eyüp Sultan, zmówiła za niego wszystkie znane jej modlitwy. Murad po raz pierwszy znalazł się od niej tak daleko, udał się na najważniejszą próbę w swoim życiu,

a ona zmuszona była czekać tutaj, w czterech ścianach. Jej Wysokość Mahpeyker tego dnia wiele godzin modliła się do Proroka Mahometa, Boga Ojca, Marii Panny, aby pomogli jej synowi.

Wreszcie przyszła kolej na to straszliwe oczekiwanie. „Nie” – mówiła sobie Mahpeyker, usiłując zagłuszyć swój strach. „Bóg nie zrobi tego Muradowi. Nie dopuści, aby zesłana przez Niego choroba skompromitowała mojego syna przed poddanymi”.

Podczas gdy w Eyüp Sultan trwała uroczystość, liczyła w duchu minuty i godziny. Teraz przekazują Muradowi miecz Osmana Gazi, zgadywała w myślach. Teraz wezyr i rada wezyrów, bejowie, agowie podchodzą kolejno, by ucałować poję jego szaty.

W końcu pękła jej cierpliwość. Nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Zamknijcie okna – rozkazała dwórkom. – Wszystko pozamykajcie. W przeciwnym razie matka waszego sułtana, wielka matka, wspaniała matka, starsza matka, czy co tam jeszcze, w każdym razie ta właśnie matka dostanie ze szczęścia skrzydeł i pofrunie.

Nie tylko ona. Şarazad, Mürüvvet, Semiha, pozostałe dwórki, odaliski, słudzy – wszyscy bez wyjątku byli uradowani.

Nie widziała ani jednej twarzy, na której nie gościłby uśmiech.

Nie było ani jednej głowy, która nie pochylałaby się przed nią.

Tylu ludzi nie urządziłoby naraz maskarady, żeby jej się przypodobać.

Ale tego dnia najtrudniejsza rola przypadła jej w udziale. W jej piersiach wzbierał okrzyk radości. Chciało jej się złapać tamburyn i grać: „Tam, tam... Tam, tam, ta, tam, tam... Tam, ta, tam... Tam, tam, ta, tam, tam! Hej!”.

Jak w dzieciństwie, kiedy w Milos tańczyła bosą na trawie, śpiewając piosenki, chciała teraz tańczyć i śpiewać.

Ale, rzecz jasna, niczego takiego nie mogła zrobić. Była królową. Jej majestat, duma i honor nie mogły odnieść najmniejszego uszczerbku. Jej dusza mogła tańczyć i śpiewać, ale wielkiej matce Mahpeyker Kösem Sultan należało stać z podniesioną głową i dumną twarzą. Do końca życia powinna była tak patrzeć na swój lud, jak ćwiczyła tysiące razy, rzucając spojrzenia na okienne szyby i srebrne lustra.

„Mój Boże” – pomyślała. „Wypełniła się przepowiednia. Piękna

młodziutka służąca została królową. Marzenia się spełniły. Od teraz jestem królową. Mam swoich poddanych. Moi są poddani, wezyrowie, dowódcy, żołnierze. Jestem królową w państwie osmańskim, w państwie siedmiu klimatów, trzech kontynentów i wielkiej potęgi!”.

Gdy hałasy za oknem nasiliły się, wszystkie obecne w pokoju dziewczęta, zapomniawszy nawet, że znajdują się w obecności swej pani, pobiegly do okna, wydając okrzyki radości.

Kapela janczarów wprawiała w drzenie nie tylko swoje siedem bębnów, ale cały dwór, całą stolicę.

„Dum... dum... dummmm...!”.

Dziewczyny, służący, pacholkiwie przekrzykiwali się wzajemnie:

– Idzie!

– Idzie nasz pan!

– Nasz władca powraca z Eyüp Sultan!

„Nasz pan” – powtórzyła Mahpeyker. „Nasz władca. Mój syn! Mój Murad. Mój padyszach!”.

Wszyscy rzucili się do okien, z których widoczna była Brama Pozdrowień.

Ale również i po nich było widać, jak bardzo chcą znaleźć się przy oknie. Patrzyły na nią błagalnym wzrokiem.

– No więc – odezwała się z dumą Mahpeyker. – Na co czekacie? My również chcemy być świadkiem powrotu naszego wład...

Nie zdążyła dokończyć. Şarazad złapała długi koniec czerwono-żółtoniebieskiej spodniej sukni z joruckiego jedwabiu, która opadała jej aż do kostek. Semiha wzięła ją za rękę. Mürüvvet, wystąpiła przodem, żeby utorować drogę. Również Hayganoş Kalfa, mimo swych ogromnych piersi i imponujących pośladków rozmiaru kotła, pobięła ich śladem.

Jednocześnie wykrzykiwała przerywanym głosem:

– Rozeeee...jść się, mówię wam! Rozeeeejść...! Nie słyszycie? Nie widzicie? Wielka matka Kösem Sultan idzieeee...!

Tłum rozstąpił się, dając jej drogę. Wszystkie głowy były pochylone, wszyscy skłonieni w pasie. Była przyzwyczajona do pokłonów od czasu, kiedy została księżycem Ahmeda, ale to było coś innego. To nie był splamiony zazdrością szacunek okazany niewolnicy, która spodobała się

swemu padyszachowi. Teraz czuła sympatię, zachwyt, zadowolenie z bycia w jej poddaństwie. To było pozdrowienie królowej, nie konkubiny!

Z okna widać było zarówno Bramę Pozdrowień, jak i wielki plac za nią. Wydawało się, że nastąpił koniec świata. Stolica zerwała się na nogi, tłumy wylały się na ulice. Jakże prędko dowiedział się lud o intronizacji jej syna i wybiegł mu na spotkanie!

Na widok procesji tłum zafalował. Szyby brzęczały w oknach od okrzyków: „Niech żyje padyszach!”. Tłum za oknem wtórował: „Sto lat Murad Chanie!”. Okrzyki „Sto lat, wielka matko Kösem!” mieszały się z oklaskami. Tuż za jej plecami Hayganoş odmawiała modlitwę.

– No, no, no... – zacmokała. – maşallah... maşallah... zachowaj, Boże, mojego sułtana i sułtankę od złego oka, słyszysz?

Mahpeyker również odmawiała w duchu wszystkie modlitwy, jakie знаła. Kiedy pochód minął arkadę, ujrzała go. „Oto on” – wykrzyknęła bezgłośnie. „Mój syn!”.

Sułtan Murad jechał na kasztanowym koniu na samym przedzie. Kasztan Aga – tak nazywał się koń. Padyszach siedział wyprostowany w siodle. Był wspaniały w turbanie z ogromnym piórem, w zarzuconym na ramiona kołnierzu, w haftowanym złotem trochę za dużym kaftanie. Brylanty, szmaragdy i rubiny jaśniały w południowym słońcu oślepiającym blaskiem. Jakby zamiast korony jej syn niósł na głowie słońce. Był majestatyczny nie jak dwunastolatek, lecz jak dorosły mężczyzna.

„Do twarzy” – pomyślała natychmiast Mahpeyker. „Do twarzy mu władza sułtana”.

Po jego lewej stronie, nieco w oddaleniu od Kasztana Agi, na olbrzymim siwym koniu, jechał straszny człowiek. Aga Zbrojmistrz. Wiózł miecz padyszacha. Wydawało się, że wagę powierzonego zadania rozumieli zarówno aga, jak i jego koń. Zwierzę stąpało, kołyszając się na boki, Aga Zbrojmistrz, wzbudzał grozę, rzucając spod ściągniętych brwi spojrzenia, które, zdaje się, zdolne by były przebić na wylot tarczę.

Zaraz za Muradem podążało na czarnych jak noc karych koniach siedmiu olbrzymów. Nieśli na halabardach siedem sułtańskich piór.

Nowy padyszach wielkiego imperium w prawej ręce trzymał wodze

Kasztana Agi. Lewą zaś rękę, zgiętą w łokciu, oparł na lewym udzie. Patrzył prosto. Twarz wyrażała powagę. Nie malowały się na niej ani radość, ani zadowolenie, ani dziecięce zagapienie. Twardą jak skała, mocną jak podwójnie hartowany miecz, niezłomną wolę ukazywał przed swym ludem.

Tak jak go nauczyła, tak jak go przygotowała!

Naraz jej oczy wypełniły się łzami.

„Nie, nie teraz” – powiedziała sobie w duchu. „Nie teraz. Królowe nie płaczą. Ani z bólu, ani z radości”.

Tego dnia Sułtan Murad zasiadł na tronie w Sali Audiencyjnej. Jeszcze nawet nie został obrzezany. Mahpeyker, jako valide sultan, usiadła nieco z tyłu, po prawej ręce syna na małej sofie. Siedziała prosto, z rękami na kolanach. Na nakrycie głowy założyła koronę – pamiątkę przekazaną przez sułtanekę Nurbanu sułtance Safiye, a następnie jej samej.

Syn, pod promieniami światła, padającego przez okna ozdobione kolorowymi szybkami, wydawał się skąpany w słońcu. Alimowie zinterpretowali ten widok jako pomyślny znak.

– Jak Bóg da, wielkie imperium znów załśni jak słońce pod panowaniem naszego sułtana. Taki jest nasz cel.

Mahpeyker, w ciągu trwającej kilka godzin ceremonii koronacyjnej, ani razu nie drgnęła. „W końcu złożyłam na głowie mojego syna słoneczną koronę” – pomyślała z dumą. Wiedziała. Słońce świeciło również na jej głowie.

Murad pięć dni później przeszedł obrzęd obrzezania.

Kiedy Sadrazam Kemankesz Ali Pasza stawił się, aby powiadomić o pomyślnym przebiegu obrzędu i dobrym samopoczuciu padyszacha, Mahpeyker dostrzegła w jego oku dziwny błysk.

– Zarządziliśmy – powiedział zdecydowanym tonem – aby uroczystości związane z obrzezaniem odbyły się wówczas, gdy Jego Wysokość w pełni powróci do zdrowia. Pierwszy tydzień października. Stolica jeszcze nie widziała takiego przepychu, takich uroczystych obchodów.

Mahpeyker Kösem nie słuchała dalej. „Zarządził” – mruknęła w duchu. Poczula lekki niepokój. „Uważaj” – natychmiast powiedział rozum. „To nie jest człowiek, któremu można ufać, sułtanko matko. Nie spuszcza go

z oka. Pozbądź się go w jak najkrótszym czasie”.

Kiedy sadrazam opuszczał salę, Mahpeyker postanowiła posłuchać głosu rozumu.

Dla obchodów związanych z obrzezaniem przygotowano hipodrom. Sadrazam Kemankesz Ali Pasza kazał ustawić namiot jedynie dla padyszacha. Dla przedstawicieli obcych państw ustawiono specjalne ławy naprzeciwko namiotu władcy. Ale i oni mieli, tak samo jak zwykły lud, przyglądać się uroczystościom w słońcu, pod gołym niebem. Mahpeyker myślała najpierw, że będzie oglądać uroczystości z namiotu sułtana. Ale usłyszawszy od paszy, że ten domyśla się, iż „Jej Wysokość matka sułtana będzie zdania, iż nie przystoi matronom przebywać w obecności mężczyzn”, nie wydał „poleceń odnośnie do haremu”, oszalała z wściekłości.

– Czy hipodrom wypełnią mężczyźni? Wszystkich, którzy zabiorą ze sobą żony i córki na uroczystości na cześć naszego syna, mamy wyprawić z powrotem do domu? Cóż to za arogancja! A może nie ma kobiet w imperium osmańskim, a mężczyźni Allah stwarza z kamienia? – miotła gromy.

Intencja paszy była jasna. Sadrazam próbował odsunąć ją w cień. Znaczyło to tyle co: „Na czele imperium stoi Murad Chan, a za nim ja. Ciebie nie ma”.

Zawołała zarządcę haremu.

– Ogłoś, niech ktoś się tym zajmie i niech się pośpieszy! – zawołała. – Obok namiotu naszego syna stanie również mój namiot. A jak nie, to nie ręczę za siebie. Przysięgam, nie ręczę za siebie. Matka ma nie oglądać swego syna w chwale, a Kemankesz będzie?!

Ali Pasza dowiedział się o gniewie, w jaki wpadła Kösem Sultan. „Pospieszyłem się” – pomyślał z niepokojem. Pobiegnął w te pędy prosić o wybaczenie.

Ale Mahpeyker kazała odprawić go słowami: „Dzisiaj źle się czujemy. Zawołamy, jak nam się polepszy”.

Nie miała zamiaru dzielić z nikim swojej władzy. Do czasu, kiedy jej syn miał przyjąć na siebie odpowiedzialność za sprawy państwowe, to ona była głową wielkiego imperium. Nikt inny. Kiedy nastanie czas,

oboje będą zarządzać imperium. Tak zaplanowała tę grę, po to latami walczyła, ocierając się o śmierć. To dlatego czekała, aż słońce zejdzie z nieba, by spocząć na ich głowach.

Wyraz twarzy, z jakim sadrazam opuszczał pałac, nie wróżył dobrze, o czym pospieszyła zawiadomić Mahpeyker Semiha. Mahpeyker wzruszyła ramionami.

– Gdybyś widziała wyraz mojej twarzy, gdy usłyszałam o tej impertynencji!

Przez siedem dni i siedem nocy trwania uroczystości stolica wrzała z podekscytowania. Sułtan Murad i Mahpeyker Kösem Sultan przyglądali się przedstawieniom ze wspólnego namiotu wraz z książętami Sulejmanem i Kasımem oraz sułtankami Ayşe i Fatmą. Mimo próśb i błagań nie zdołano uprosić Ibrahima, aby udał się wraz ze wszystkimi. Zamknął się w swoim pokoju i jakkolwiek się nie starali, nie udało się go stamtąd wyciągnąć.

Mahpeyker zdawała sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła w synu. Już wcześniej był kapryśnym i niespokojnym dzieckiem, ale od momentu, kiedy się dowiedział, że Murad został padyszachem, naprawdę zdziwaczał.

– Zostawcie go – zdecydowała. – Nie naciskajcie. Jak chce, niech tak będzie. Niech zostanie z nianiami. Może jutro się pojawi. Ani jutro, ani następnego dnia książę Ibrahim nie wyszedł ze swojego pokoju.

Akrobaci i kuglarze pokazali całe swe mistrzostwo. Przywiezione w klatkach z sześciu krajów sześć egzotycznych zwierząt, jakich stolica jeszcze nie widziała – krokodyl, wąż boa, nosorożec, hipopotam, struś i lew morski – wzbudziły ogromne podniecenie. Janczarzy urządzili defilady, straż i spahisi widowiska. Pojedyńki na miecze janczarów i konne popisy spahisów wywołały salwę braw. Największe zainteresowanie wzbudziły walki zapaśników oraz zawody w rzucie oszczepem i wspinaniu się na natłuszczony pał.

Zabawa trwała również w nocy. W ogromnym tłumie wypełniającym hipodrom roznoszono z rozkazu Mahpeyker kotły pilawu, pieczone kury, mięsiwa, desery szafranowe przyrządzone w pałacowych kuchniach. „Jeśli choć od jednego z moich poddanych usłyszę, że się nie najadł, każę

tę kuchnię zrównać z ziemią i was razem z nią” – ostrzegła. Serwowano tace baklawy, böreków, kotły wypełnione pistacjowym szербetem. Do kwater janczarów, spahisów i marynarzy jeden za drugim ciągnęły powozy wypełnione tacami baklawy i kotłami zupy.

Ostatniego dnia widowisko mieli urządzić marynarze. Kiedy nadeszła pora pokazu, sułtan Murad i sułtanka matka zajęli miejsca. Lud, po zmówieniu modłów za padyszacha i jego rodzicielkę, zamilkł w ciszy. Wszyscy czekali w zaciekawieniu, jakie to widowisko mieli urządzić ludzie morza. „No przecież – dało się słyszeć w rzędach – co będą robić na lądzie, ci, którzy chodzą po wodzie?”.

Nie musieli czekać długo na odpowiedź. Na jednym z krańców hipodromu rozległ się hałas. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtym kierunku. Rumorem, który postawił wszystkich na nogi, był turkot dwudziestu drewnianych kół ogromnych rozmiarów wozu, który ciągnęło, machając łbami, pięćdziesiąt wołów. Wóz był tak wielki, że pod ogromną galerą, którą na niego wstawiano, wyglądał jak wyspa. Biegający po obu stronach marynarze polewali wodą koła, które rozgrzewały się, dźwigając na sobie ciężar wozu i statku. Żagle galery były zwinięte. Na grotmaszcie i rufie statku powiewały flagi imperium osmańskiego i marynarki imperium.

Wzdłuż obu burt ustawili się marynarze ubrani w czerwone kamizelki i krótkie niebieskie szarawary. Na głowach zawiązali czerwone opaski. Piersi mieli obnażone. Stali każdy w rozkroku z założonymi za plecami rękami, a w zębach ściskali zakrzywione noże. Hipodromem wstrząsnęły owacje.

Chwilę później dał się słyszeć hałas od strony, gdzie znajdował się pałac Ibrahima Paszy. Zaraz też ukazał się załadowany na jeszcze większy wóz czarny galeon. Na maszcie powiewała biała flaga z niebieskim krzyżem. Była to makieta floty krzyżowców.

A więc marynarze mieli się zetrzeć z wrogiem na hipodromie w walce morskiej!

Lud z okrzykiem ekscytacji zwrócił się w tamtym kierunku. Wrogi statek wtoczył się na plac wśród docinków, szyderstw i przekleństw. Lud, rzucił się w ferworze na żołnierzy giaurów, którzy ze sztucznymi

tarczami stali na pokładzie. Znaleźli się nawet tacy, co wyjąwszy z buzi ajwę, którą właśnie jedli, rzucili nią we wroga.

W końcu zapanowała cisza. Również Mahpeyker za tiulową zasłoną czekała w napięciu. Czuła w sobie, dziwne, niezrozumiałe podniecenie. Uśmiechnęła się do dziewcząt.

– Co za emocje!

Księżę Kasim wysunął się do przodu, żeby lepiej widzieć. Sulejman natomiast sprawiał wrażenie nieobecnego.

Niespodziewanie, na pokładzie statku krzyżowców zapanowało poruszenie. Błysnął ogień i zniknął. Zaraz potem usłyszano wybuch. Z pustej armaty załadowanej jedynie prochem podniósł się dym. „Hurra, hurra!”, dały się słyszeć krzyki. Pokład i drabinki sznurowe wypełniły się wrogimi marynarzami z mieczami, włóczniami i zakrzywionymi pałkami w rękach.

W tej samej chwili, jakby na rozkaz, zgromadzony tłum zwrócił głowy w stronę galery z flagą imperium.

– Ej! – zawołał ktoś, podnosząc dłoń do ust. – Heretycy atakują, na co czekacie, he?

Nagle ryk „Ya Allah!” wydobył okrzyk zaskoczenia z piersi zgromadzonych na placu. Ustawieni wzdłuż relingu marynarze, chwytając noże, które trzymali w ustach, jednym rykiem odparli: „Bismillah!”.

Na hipodromie zawrzało. Z tysiąca gardeł wyrwał się krzyk, mający zagrzać do walki pospieszających z pokładu na pole bitwy marynarzy.

– Ya Allah, Bismillah!

Ciarki przeszły po plecach Mahpeyker. Odwinąwszy rękaw sukni, pokazała Semisze gęsią skórę na przedramieniu. Każda z dziewcząt była nie mniej poruszona.

Gdy obróciła się z powrotem do przodu, z zamiarem dalszego oglądania pokazowej bitwy, ujrzała jego.

Na moment straciła oddech. Zdławiła krzyk w piersiach.

Święty Boże!

To on!

Nie mogła uwierzyć. Tuż obok sternika na galerze stał marynarz

z obnażonym mieczem. Czarnobrody, czarnobrewy marynarz. Jego strój różnił się od reszty. Na głowie miał biały zawój. Nosił niebieską kamizelkę, ale jego pierś, pokryta czarnymi włosami, była odsłonięta. Ubrany był w szerokie czerwone spodnie.

W oczach miał błyskawice.

To po oczach go poznała.

Wyprostowała się, mimowolnie przyciskając ręce do piersi, jak zwykle, kiedy była przejęta. Przyjrzała się uważniej.

Była pewna.

O Boże, o Boże! To on – Kemal!

„Ile to lat minęło” – przemknęło jej przez myśl. „Dziesięć? Dwadzieścia? Czy tysiąc?”.

Kemal, unosząc miecz, wykrzyczał coś. Owacje i okrzyki tłumu zagłuszyły jego słowa. Ale w tym samym momencie z galery wystrzeliło kilka pocisków.

Semiha i Mürüvvet od razu zrozumiały, że podniecenie Mahpeyker nie było spowodowane oglądaną sceną batalistyczną. Rzuciły sobie krótkie spojrzenie.

– Kto to? – spytała szeptem Mahpeyker.

Semiha pochyliła się.

– O kogo pytacie, pani?

– O tego... Mąż, który stoi obok sternika na naszej galerze.

Mürüvvet i Semiha znów wymieniły krótkie spojrzenia.

– Nie wiem, pani – odparła również szeptem. – Jeśli sobie życzyacie, dowiem się.

Matka sułtana nie odpowiedziała. Nie było potrzeby. Semiha, skłoniwszy się lekko, odwróciła się i wyslizgnęła z namiotu.

Mahpeyker jej nie usłyszała. Rozgrywającej się na jej oczach bitwy również nie widziała. Jej wzrok przykuty był do marynarza z błyskawicami w oczach. Zatopiła się w morzu wspomnień. Tak, jak swego czasu w Kumanowie, w domu Karayelzadego Ibrahima Beja, robiła to mała służąca.

Wieści przyniesione przez Semihe tego wieczoru nie zdziwiły jej.

– Dowiedziałam się, pani. Marynarz, którego wskazaliście na naszej

galerze, to kapitan Kemal. Wielki mąż, powiedzieli.

Pokiwiała głową. To prawda, zgodziła się w duchu. Wielki mąż.

Tej nocy długo nie spała.

Gdyby była tą młodziutką służącą, pobiegłaby teraz i rzuciła się w objęcia Kemalowi.

Ale już nią nie była. Wspaniała matka, wielka matka, nie wiedzieć jeszcze, jaka matka Mahpeyker Kösem Sultan – oto, kim była. Królową. Królowe nie mogą robić wszystkiego, co im wpadnie do głowy.

„Nie mogą?” – zapytał w środku głos. To był rozum.

Zamknęła oczy. Próbowwała nie słyszeć tego, co mówił.

Ona zobaczyła, ale Kemal nie zobaczył. Nie wiedział nawet, że istnieje. Skąd miał wiedzieć, że piękna Nastja, sprzedana bejowi Ibrahimowi została valide sultan?

Poczuła łzę spływającą jej po policzku. „Kemal” – szepnęła bezgłośnie. „Kemal o brwiach jak łuki. Gdybyśmy się mogli nie rozstawać, powiedziałeś... Patrz, oto odnaleźliśmy się”.

Czy naprawdę się odnaleźli?

Tamtej nocy pierwszy raz od lat szatan zabawił się z nią we śnie. Całą noc zwijała się z pożądania, uniesiona burzą większej niż kiedykolwiek rozkoszy. Nie miał twarzy człowieka, w ramionach, którego drżała, który doprowadzał ją do szaleństwa swoimi ustami, dłońmi, pieszczotami, ale wiedziała. To był Kemal.

– Kemal! – krzyknęła. Zerwała się z łóżka w rozkoszy, jakiej nie doznała nigdy na jawie. Była cała mokra.

Nie mogła zdecydować, co robić. Miała do niego iść? Czy miała wysłać wiadomość: „Przychodź, mój drogi. Jestem nią. Nastja”.

Czy, zgodnie z zasadą, że królowe nie robią wszystkiego, na co przyjdzie im ochota, miała siedzieć z pochyloną głową?

Mogła udać się do niego w przebraniu. Było to bardzo niebezpieczne.

Mogła znaleźć sposób na przemycenie go do pałacu. To było jeszcze bardziej niebezpieczne. Pierwszy sposób był gorszy dla niej, drugi dla Kemala.

Gotowa była znieść falę plotek, ale gdyby sprawa wyszła na jaw, nie byłoby dla Kemala ratunku.

Najrozsądniej było zapomnieć. Miłość do Kemala przeżywać w marzeniach i snach.

Przez wiele dni trzymała się podjętej decyzji. I tak już przeżywała ogromną rozterkę.

Księżę Ibrahim wyprawiał szalone rzeczy. Wieści od nianiek były zastraszające. Jej syn nie wychodził z pokoju nawet zaczerpnąć powietrza.

– Ty nie znasz Murada – szepnął pewnego dnia do ucha jednej z nianiek. – Nie zostawi mnie przy życiu, zabije!

Nocami ustawiał pod drzwiami skrzynie, koszyki, wszystko, co było pod ręką. Nie wpuszczał żadnej służącej, która przynosiła jedzenie. Zasiadał do posiłku dwie godziny po tym, jak jedna z dziewcząt spróbowała jedzenia. Do tego czasu było już kompletnie zimne.

Nawet jego spojrzenie się zmieniło. Mahpeyker dobrze je знаła. Sułtan Mustafa patrzył tak samo; rozbieganym nerwowo wzrokiem.

Zrywał się niespodziewanie z miejsca, gdzie siedział.

– Nie zabijaj mnie, panie Muradzie – płakał.

W ostatnich dniach przywiązał się do pereł. Godzinami nawlekał perły. Odaliski bez przerwy tylko przynosiły mu koraliki.

Nawet ona sama nie mogła dłużej mówić o nim, że jest dziwny. Ibrahim był wariatem.

„Mój Boże, mój syn jest wariatem” – myślała, a serce kołatało jej w piersi. „Mój Ibrahim jest wariatem! Strach przed śmiercią doprowadził mojego syna do szaleństwa”.

Czy Bóg karał ją za pychę, której uległa po zostaniu królową? Czy może nieświadomie zaśmiała się z szaleństwa Mustafy? Nie pamiętała, ale bała się, że mogło tak być. Jeśli rzeczywiście tak było, z pewnością obraziła Boga. „Śmiejesz się z wariata? Dam ci wariata, a zobaczymy, jak się będziesz śmiała” – zdecydował pewnie.

Przez wiele tygodni chodziła przytłoczona z jednej strony tragedią Ibrahima, a z drugiej swym uczuciem wobec Kemala. Dni spędzała teraz z Ibrahimem, zadając mu pytania, za pomocą których próbowała zważyć stan jego umysłu.

– Jaki mamy dziś dzień?

– Piątek.

– Ile masz lat?

– Osiem.

– Kto to?

– Siostra. Sułtanka Ayşe.

– A ja kim jestem, Ibrahimie?

Oczy syna poruszały się nerwowo.

– Strażnikiem.

„O mój Boże!” – jęczała w duchu Mahpeyker. Ale mimo to śmiała się.

– Mój książę dzisiaj znów jest bardzo dowcipny. Matkę nazywa strażniczką.

– Właśnie, że jesteś strażniczką. Moja matka nie żyje. Murad ją zabił!

Wyciągała rękę i zatykała Ibrahimowi usta, próbując go uciszyć.

– Gdzie mieszkasz?

– W lochu.

Syn miał rację. Mieszkał w lochu. Sam stworzył sobie loch, sam też się w nim uwięził.

Marzeniami o Kemalu próbowała Mahpeyker przynieść ulgę swej obolałej duszy.

W marzeniach i snach kochała się z nim. Śpiewała mu piosenki, tańczyła dla niego. Następnie Kemal chwycił ją w objęcia i porywał na statek. Wiatr wzdymał żagle, fale niosły statek. Nie pytała, ponieważ wiedziała, dokąd płyną.

Na piękną wyspę Nastji. Na Milos.

Pewnego ranka po takiej właśnie nocy nie wytrzymała. Niech się dzieje, co chce, pomyślała, wstając z łóżka.

– Idź i znajdź go – powiedziała cicho do Semihy. – Albo mnie zaprowadź do niego, albo jego przyprowadź do mnie.

Dziewczyna nawet nie spytała, kogo. W jednej chwili zniknęła z oczu.

Mahpeyker Kösem Sultan z niecierpliwością czekała na powrót ochmistrzyni. Nie mogła siedzieć, nie mogła mówić, nie mogła słuchać. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Kiedy usłyszała w końcu kroki dziewczyny, była bliska omdlenia.

Ujrzawszy twarz Semihy, zrazu nie mogła odgadnąć własnych uczuć.

Czy była zdruzgotana? Czemu więc rozum powtarzał jej: „Ciesz się”?

– Pani – odezwała się cicho dziewczyna. – Odpłynął.

Odpłynął!

– Kapitan Kemal w zeszłym tygodniu odpłynął z flotą na wojnę.

Popłynął na wojnę!

Kemal... odpłynął. Rozwinął żagiel i odpłynął.

Tamtej nocy długo czekała, długo błagała, bardzo pragnęła, ale Kemal nie przyszedł do niej we śnie.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Ani we śnie, ani na jawie. Z marzeń też musiała go wymazać. Trudne to było, ale musiała. Tak było lepiej.

Tym razem los słusznie rzucił zasłonę, uchronił ją.

Pałac Beylerbeyi
Łato 1630 roku

Na widok wielkiej matki Mahpeyker Kösem Sultan zmierzającej prosto ku sadzawce służący ukryli się w cieniu drzew, starając się pozostać jak najdalej z zasięgu jej wzroku.

Ta życzliwa, pokojowa, sprawiedliwa, uśmiechnięta Mahpeyker Sultan zapamiętana z pierwszych lat panowania Murada Chana odeszła, zaś na jej miejsce przyszła zgryźliwa, wtrącająca się we wszystkie sprawy, gniewna Kösem Sultan.

Tylko dlatego służący i dworzanie Pałacu Beylerbeyi nie chcieli nadejścia wiosny. Bowiem wraz z końcem kwietnia sułtanka matka zabierała ze sobą wszystkie dwórki, jakie miała, a wraz z nimi ich dzieci i niańki z wnukami, i udawała się do ogrodu.

Valide sultan nie patyczkowała się ze służbą. Nie знаła już pojęcia wyrozumiałość. Nie wybaczała najmniejszego potknięcia. Najlżejszą karę wymierzała słowami: „Wystaw dłoń”. Wykonania również nie powierzała nikomu innemu, sama brała w rękę różgę. Ręka ukaranego puchła, jeszcze nim zdążył minąć ból. Dochodziło nawet do wymierzenia kary falaką.

Ale Kösem Sultan za najcięższą karę uznawała „wydalenie ze służby”. Nie zdawała sobie sprawy, że wielu służących modliło się, aby ją otrzymać.

Jej twarz znów była pociemniała jak chmura gradowa. Wraz z podążającymi za nią ośmioma dwórkami zeszła nad brzeg sadzawki. Dziewczyny zakrzętnęły się przy rozłożeniu otomany. Jedna z nich ustawiła tygielek z kawą na ustawionym w oddaleniu rozżarzonem

mangalu. Inna przysunęła niski stolik z napełnionymi schłodzonym w śniegu sorbetem szklanymi dzbanami.

Mahpeyker jakby nie zauważała krzątaniny. Wpatrywała się w cieniutkie strużki wody wytryskujące z fontanny. Sądzono, że sułtanka matka przyglądała się tryskającej z fontanny wodzie, która, opadając na pływające w sadzawce liście nenufarów, odbijała się od nich tysiącem malutkich kropelek. Ale wcale tak nie było.

„Nie wytrzymuję” – myślała w owej chwili Mahpeyker Kösem Sultan. „Już nie wytrzymuję. Co się stało temu dziecku? W kogo się wdał? We mnie? Nie. W ojca? Co za pomysł. W kogoś z przodków?”.

Syna, nad którym kiedyś się trzęsła i przez którego dusiła się we łzach, gdy ten tarzał się w ataku epilepsji, teraz się bała. Nie było już pięknego, delikatnego, ale zarazem silnego, darzącego ją przywiązaniem i szacunkiem Murada. Mimo że był żywy i zasiadał na tronie wielkiego imperium, zapomniał, że zawdzięczał to matce.

Obaj jej synowie byli szaleńcami. Stan Ibrahima już dawno nie pozostawiał wątpliwości. Zamknięty w swoim pokoju, nawlekał perły albo bawił się ze sługami w chowanego. Dziwaczna to była zabawa. „Nianiu – zwracał się do nich szeptem – schowajcie mnie, tak żeby Murad nie mógł mnie znaleźć. Jeśli brat mnie znajdzie, zabije”.

Sułtan Mustafa przywiązał się do ptaków, jej syn do pereł. Ale obu doprowadziło do szaleństwa to samo: strach przed zamordowaniem!

Pałacowe mury przesiąknięte były odorem śmierci.

A Murad? Co mu się stało? Czy Murad, podobnie jak jego wuj i młodszy brat Ibrahim, nie żył, ocierając się nieustannie o śmierć? Czy jego życie nie leżało w ustach jednego człowieka, czy nie było zależne od jednego rzuconego oszczerstwa? On też wyrósł w strachu. Słuchał zbliżających się kroków. Wiedział o zabójstwach książąt, jakie dokonały się w przeszłości w pałacu. Padyszachowie zabijali swoje dzieci, swoich braci. A jeśli dzieci były padyszachami – swoich braci, a nawet ojców.

Ale przeżyty strach wycisnął na nim inne piętno. Jej syn okazał się tyranem. Wieszanie i ścinanie było na porządku dziennym.

Sadrazamowie nie byli w stanie utrzymać się przy Muradzie. Zdarzało się nawet, że człowiek, który jednego dnia otrzymywał pieczęć,

następnego tracił głowę.

Niespodziewanie ożyło w pamięci Mahpeyker wspomnienie chwil, kiedy jako wielka matka, matka seniorka, starsza matka i wspaniała matka siedziała obok, ale nieco z tyłu za swoim synem. Jakże grzecznym był dzieckiem. Poczuvwszy, że zbliża się atak epilepsji, biegł do jej komnaty: „Matko, ukryj mnie. Niech wezyrowie nie widzą, jak się tak rzucam”.

Ona zaś zamykała drzwi, brała syna w ramiona, a z nadejściem ataku jedynie patrzyła bezsilnie. Jedyne, co mogła, to wycierać piniącą się na jego ustach ślinę.

Próśb i rozkazów nie musiała powtarzać dwa razy. Ale to nie trwało długo. Murad szybko oduczył się mówienia: „Dobrze, matko”.

Gdy przypomniała sobie dzień, w którym zauważyła zmianę, jaka w nim zaszła, jej serce ścisnęło się boleśnie. Gdy zasugerowała mu, że Kemankesz Ali Pasza nie jest odpowiednią osobą na swoje stanowisko, Murad popatrzył jej głęboko w oczy.

– Co należy uczynić, matko?

– Pozbaw go urzędu sadrazama. Czy Muradowi Chanowi przystoi mieć na stanowisku sadrazama analfabetę?

Mahpeyker wytarła opuszkami palca krople wody, które opadły na jej twarz z tryskającej fontanny. Jeszcze tamtego dnia powinnam była zrozumieć, że syn wypowiedział jej posłuszeństwo, westchnęła.

– Jeszcze się zastanowimy, matko – odparł Murad przemądrzałym tonem.

Nad czym miałyby się zastanawiać?

Ktoś zapewne – nie zapewne, lecz niewątpliwie – faszerował go myślami w stylu: „Nie przystoi padyszachowi zachowywać się, tak jakby słucał każdego jej słowa”. Murad też najpewniej zaczął być przekonany, że powinno być nie tak, jak mówi matka, ale jak mówi on sam.

Przyznała mu rację, kiedy skończył piętnaście lat. Rzeczywiście, przynajmniej tak powinno było to wyglądać z zewnątrz. Mahpeyker tego dnia zdecydowała, że skoro tak było trzeba, aby utrzymać swoją kontrolę nad Muradem, usunie się w cień.

Tak naprawdę analfabetyzm Alego Paszy nie był zasadniczym

problemem. Sadrazam ogarnięty był pragnieniem samodzielnego rządzenia państwem. Owszem, była regentką, ale było również jasne, że pasza miał swoje zdanie na ten temat: „Od kiedy kobiety znają się na rządzeniu państwem? To nasza robota”. Nie zapomniała o zuchwalstwie, jakiego dopuścił się w czasie przygotowań do obchodów z okazji obrzezania. Niewątpliwie jeśli rządzenie państwem stanie się „jego robotą”, milion swoich akcje powiększy o kolejny.

Aby wypróbować powtórnie sadrazama, wezwała do stolicy przebywającego na wygnaniu starego zarządcę haremu, czarnoskórego Mustafę Agę i zażądała, by z powrotem wstąpił na służbę.

Podczas gdy wezyrowie ostrzegali go słowami: „Ależ Wasza Wysokość, ten czarny Mustafa to najzwyklejszy zdrajca i intrygant”, pasza wykonał to, czego zażądała. Ale szpiedzy donieśli Mahpeyker, co pasza odparł niektórym wezyrom: „Niech będzie, jak życzy sobie valide sultan. Ale zobaczcie, że powietrze stolicy nie pomoże Mustafie Efendiemu”.

Dowiedziawszy się o tym, zwróciła się groźnie do paszy:

– Paszo, już drugi raz nadszarpnęliśmy ci reputację, tak że już jej nie naprawisz. Przekonajmy się, komu zaszkodzi powietrze stolicy.

Skoro tylko Mustafa Aga pojawił się z powrotem w pałacu, zgodnie z jej poleceniem postarał się, aby rzeka plotek popłynęła wartkim nurtem. Wypełniając harem trzynastoletniego wówczas Murada pięknymi odaliskami, organizując co wieczór rozrywki, próbował rozbudzić w padyszachu zamiłowanie do intymnej atmosfery.

Kiedy umysł Murada już dobrze zmętniał pod wpływem wina, którym poiły go odaliski, zarządca czarnych eunuchów nie zaniedbywał swego obowiązku względem Kösem, szepcząc mu wszystko, co nakazywała. W rzeczywistości aga nie zdawał sobie sprawy z tego, że przyzwyczajają Murada do libacji, ale jeśli tak miało być, to dobrze. Każdy mistrz ma swoją metodę. Ona miała taką.

– Mój władco – tak zwracał się do jej syna zgodnie z jej rozkazem Mustafa Aga. – Waszego unizonego sługi to nie dotyczy, ale Sadrazam Kemankesz Ali Pasza ukrył przed wami, że Bagdad przeszedł w ręce safawidzkiego szacha Abbasa. Armia Safawidów posuwa się do przodu; tego też wam nie mówi. Powstanie Abaza Paszy na Wschodzie toczy się

jak kula śniegowa. Lud przyłącza się do Abaza Paszy, który przyrzekł, że pomści młodego Osmana – również o tym Ali Pasza nie wspomina. Kraj pogrąża się w chaosie, skarbiec pustoszeje, żołnierze nie słuchają rozkazów. Czym zajmuje się Kemankesz w tej sytuacji?

O tym, czym zajmuje się Kemankesz, Mahpeyker również nie zapomniła wspomnieć czarnemu zarządcy haremu.

– Knuje intrygi, żeby swemu przyszłemu teściowi przekazać urząd szejcha al-islama.

– Co za intrygi? – spytał Murad, a wówczas Mustafa Aga mamrotał coś niewyraźnie, jakby dając do zrozumienia, że nie chce odpowiadać.

Syn zareagował tak, jak przewidziała to Mahpeyker:

– Co knuje, ago? Mów otwarcie.

– Hodża Yahya Efendi ma się zwrócić do was z prośbą o odwołanie z urzędu, abyście na jego miejsce mianowali teścia Kemankesza. Ali Pasza rozsiewa te pogłoski po całym mieście.

Następnego dnia Murad przywołał do siebie Yahyę Efendiego.

– Powiadają tak a tak, hodžo. Była taka rozmowa z Kemankeszem Paszą czy nie?

Hodży ze zdziwienia odebrało mowę. „Patrzcie na tego łysego Alego” – pomyślał urażony do żywego. „Jakże szybko zapomniał, jak przyszedł do mnie z prośbą o fatwę dla posadzenia tego dzieciaka na tronie! Teraz rezerwuje moje miejsce dla niespełna rozumu ojca swojej żony”.

Tak jak zakładała Mahpeyker, Yahya Efendi, nieświadom, że wszystko to jest misternie zaplanowaną przez sułtanekę matkę grą, rzucił się na ziemię przed Muradem.

– Ależ panie mój, gdybyśmy nosili się z takim zamiarem, czy ukrywając to przed naszym padyszachem, ujawnilibyśmy nasz plan jego poddanemu? Służenie naszemu władcy uważamy za rzecz świętą. Mielibyśmy pogwałcić świętość?

Był to wyrok na Kemankesza Alego Paszę.

Gdy dwa dni później Mahpeyker dowiedziała się, że jej syn wezwał Alego Paszę do pałacu i kazał ściąć, nie zdziwiła się ani trochę. Dobrze pomyślała, synu, pomyślała wówczas. Skoro tak, wszystko, co będę ci mówić, będę mówić przez innych, żeby nie powtarzano, że „władca robi

wszystko, co matka każe”.

W końcu zrozumiała, jak wielki to był błąd. Ale nastąpiło to bardzo późno. Murad już raz poznał smak samodzielnego podejmowania decyzji, niedzielenia – czy to z matką, czy z kimkolwiek innym – władzy i autorytetu, a przede wszystkim ścięcia głowy.

Majątek Kemankesza Alego Paszy o wartości siedmiu milionów akcze Mahpeyker odnalazła przez swoich ludzi w miejscu, gdzie ukrył go pasza. Z pieniędzy tych pokryła dziurę budżetową. Tego samego dnia pojmano i ścięto jednego z głównych winowajców nieszczęść, Mere Husejna Paszę.

Mahpeyker w zasadzie nie sprzeciwiała się decyzjom syna. Ale była już świadoma tego, że odebrał jej ster władzy. Pytanie: „Co należy uczynić, matko?” nie padało już więcej z ust Murada.

Któregoś dnia, gdy udała się do niego z pewnym pomysłem, ściągnął brwi i odparł podniesionym głosem:

– Matko, przypasano nam miecz, czyniąc nas padyszachem. Nosimy przy pasie miecz Osmana Gaziego. Sprawy miecza zostaw nam. Idź i zajmij się pobożnymi sprawami, matko.

Mahpeyker poczuła się jak raniona strzałą. „Idź i zajmij się pobożnymi sprawami”, ha!

A ty co zrobisz?

O poczynaniach Murada dowiadywała się od Mustafy Agi:

– Władca przekazał urząd sadrazama Czerkierzowi Ali Paszy.

Nie pytając jej.

Hafiza Ahmeda Paszę z Płowdiwu, Damata Halila Paszę, Gazi Ekrema Hüsrev Paszę również nie zapytawszy choćby raz: „Co myślisz, matko?”, uczynił sadrazamami. Większość z nich też potem kazał powiesić lub udusić.

Gdy wysłuchiwała Mustafy Agi, krew uderzyła jej do głowy. Nie wierzyła własnym uszom.

– Nasz sułtan – powiedział cicho pewnego dnia Mustafa Aga – idzie w ślady swych świętej pamięci ojca i bohaterskiego brata młodego Osmana. Nie obawiajcie się.

– Tak mówicie, ago? Cóż to za ślady?

– Wprowadził prohibicję. Nie będzie litości dla urządzających libacje.

Murad skończył już siedemnaście lat. Nocami w przebraniu opuszczał pałac i spacerował po stolicy. Ze sobą zabierał jedynie Mustafę Agę. Czarnoskóra mężczyzna zlewał się z mrokiem.

Stare winiarnie, kawiarnie, przytułki rybackie, przystanie w dzielnicy Galata – zaglądał wszędzie, a nawet, wdając się w rozmowę, podpuszczał do złorzeczeń przeciwko sułtanowi i życzył sobie wina.

– Zaszło nam w gardle, panowie. Przez tego młokosa Murada zwęglimy się we własnym zapale. Tego, co pijąc winogronowy napój, nie podzieli się łykiem, niech Bóg sądzi. A dzielący się niech ma nagrodę; niech każda dziewczyna będzie mu rada. I mówiąc „mu rada” nie mamy na myśli szanownego młodzieniaszka, ha!

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem.

Ci, którzy, zaufawszy młodemu chłopakowi z dopiero sypiącym się wąsem, zaczęli wygłaszać mowy przeciwko padyszachowi lub w geście współczucia nalewali mu z ukrytych dzbanków kilka łyków wina, gorzko za to płacili kolejnego dnia. Tego, kto ukrywał wino na własny użytek, karano rozbiciem dzbanów i rozlaniem wina. Temu, kto sprzedawał wino innym, rozłupywano na głowie ładę, a biedak nawet nie wiedział, skąd spadło na niego to nieszczęście. Jeśli zaś zbyt popuszczali wodze, złorzecząc padyszachowi, ginęli pod karą falaki.

– Będziesz dalej pić, będziesz pić?

– Nie będę, nie będę pić, litości, panowie! – błagał we łzach bywalec szynku, podczas gdy stopy nieszczęśnika puchły pod razami.

I to jeszcze nie było wszystko.

Murad był bezlitosny dla używających wina i tytoniu. Winiarnie, nawet domy, z których kominów unosił się dym, palił i niszczył.

„Padyszach, sądząc, że palimy tytoń, zrównuje z ziemią nasze domowe ogniska” – mówiono i bano się rozniecić ogień w piecu, nawet gdy było zimno. Ale odpowiedzialny za to wszystko sułtan Murad sam w pałacu nie wstawał od stołu zastawionego trunkami.

Zimą przy kominku, latem w ogrodzie różanym lub tulipanowym bądź też nad brzegiem stawu, w którym pływały czerwone i złote rybki, obalał dzbanki wina jeden za drugim.

– Nie sierzście się, pani – mówił Mustafa Aga. – Jest młody. Młoda

krw. Krew się burzy, dusza pragnie. Zwykle ziemskie uciechy.

– Ziemskie uciechy, ago? Czy to sprawiedliwe, piętnując je jako grzech, jako nieczystość, uciskać i tyranizować swoich poddanych, by później we własnych komnatach raczyć się winem? To, co jest grzechem dla ludu, dla padyszacha jest dobrodziejstwem?

Najbardziej denerwował Mahpeyker kpiący wyraz, który przyjmowała twarz Mustafy Agi.

– Tak jest – powiedział pewnego dnia aga. – To, czego nie wolno poddanym, wolno padyszachowi. Poza tym, czy łatwo jest odprawić piękności przynoszące wino i gładkich paziów?

O tym, że Mustafa przyprowadzał jej synowi dziewczyny, z których jedna była piękniejsza od drugiej, wiedziała. Nawet, w pewnym sensie, to ona zachęcała go ku temu. Spodziewała się, że Murad, oddawszy się haremowym uciechom w ramionach pięknych kobiet, pozostawi jej zajmowanie się sprawami państwa. Ale skąd wziął się pomysł ucztowania z paziami?

Poczuła, jak zalewa ją fala gorąca.

– Siostró – zwróciła się Mahpeyker do Mürüvvet, która stała nieopodal. Kobieta miała już na głowie siwe włosy. – Powiedz Ruhsar, niech przygotuje nam sorbet. Niech doda trochę soku z cytryny. Ciągle czuję ucisk w sercu. Może to złagodzi napięcie.

Mürüvvet skierowała się prosto ku siedzącym w oczekiwaniu na rozkazy po drugiej stronie sadzawki dwórkom.

– Ruhsar – zwróciła się do jednej z dwórek o różowych policzkach i smukłej jak minaret. Ta natychmiast wystąpiła na przód. – Wielka sułtanka matka chce się napić sorbetu. Dodaj cztery krople soku z cytryny. Tylko nie przesadz.

Popatrzyła z czułością za oddalającą się pospiesznie w stronę ukrytego za jednym z drzew stołu Ruhsar. Dziewczyna przypominała jej Sofię. „Może Mahpeyker również”, pomyślała. Nigdy nie poruszyła tego tematu, ale wiedziała, że sułtanka lubiła Ruhsar. Była przy niej od lat. Nikt nie wiedział też lepiej od niej, jak Mahpeyker patrzyła na wroga, a jak na kogoś, kogo lubiła.

Mahpeyker znów zastygła zapatrzona w drobne krople odbijające się

od liści nenufarów. Naraz pomyślała, że jej mózg stanął w płomieniach. Przypomniała sobie panikę, jaką przeżyła, gdy po raz pierwszy zwróciła uwagę na słowo „gładki”, gdy Mustafa Aga wspomniał o paziach. Co też kryło się za jego słowami?

– Paziowie, ago? Co masz na myśli, mówiąc „gładkich”? Mów, nie mamroc, ago. Wiesz, że nie lubię owijania w bawełnę.

– Nic – odparł aga, pocierając ręce. – Nasz pan ma nowego dworzanina. Mówią na niego Niesforny Czelebi.

– I?

Aga udał, że przełyka ślinę.

– Mów, ago! – wrzasnęła Mahpeyker, zerwawszy się na równe nogi. – Wyrzuć to z siebie!

– Hm... To znaczy... nie wiem, jak to określić. Mam rzec mąż czy niewiasta? Nie do końca to jest jasne właśnie. Tak go stworzył Allah. Jest bardzo bliski naszemu władcy.

Zrozumiawszy sugestię zawartą w tonie agi, Mahpeyker poczuła, jak krew uderzyła jej do głowy. Mąż czy niewiasta, nie do końca to jest jasne właśnie... Jest bardzo bliski naszemu władcy!

Święty Boże! Czy to być mogło?!

Jej syn, który kiedyś czerwienił się ze wstydu jak burak, gdy patrzono mu na twarz, jej syn miał być...

Ani umysł ani serce nie pozwalały jej na razie pomyśleć więcej. Jeszcze tej samej nocy poruszyła temat.

– Kim jest ten Niesforny Czelebi, synu?

Zaraz też otrzymała odpowiedź.

– Moim serdecznym przyjacielem, matko. Bratnią duszą...

Język przywarł jej do podniebienia. Niewiele razy zdarzyło jej się w życiu zaniemówić. To, co przeżyła Mahpeyker tej nocy, to właśnie był jeden z tych razów.

– Nie słyszeliście, matko, o sławnym mężu zwanym Aleksandrem Wielkim? – spytał Murad, patrząc jej w oczy. – Jeden z waszych przodków. Tylko nie pochodził z wysp, był Macedończykiem. Wedle słów jednego z naszych nauczycieli był wielkim bohaterem. Podbił świat. W każdym podboju towarzyszył mu niezmiennie przyjaciel. Przyjaciel,

któremu zwierzał się ze wszystkiego, co ciążyło mu na sercu. My również chcemy, by, kiedy będziemy zdobywać Bagdad, towarzyszył nam Niesforny Czelebi. A może uważacie, że to zbyt wiele pragnąć, by, jak Aleksandrowi, towarzyszył nam przyjaciel? Czemu? Czego nam brakuje? Bohaterstwa, siły, męstwa?

„Mój Boże” – wzdrygnęła się Mahpeyker, słysząc te wypowiedziane przez jej syna bez najmniejszego wstydu słowa. Chciała coś odrzec, nie wiedziała co. Cóż mogła powiedzieć rozmawiającemu tak arogancko ze swoją matką synowi? A tym bardziej padyszachowi?

Widząc, jak zamilkła, Murad jeszcze się roześmiał.

– Daj spokój. Z tym już sobie dawno poradziliśmy, nie przejmuj się... A, przy okazji, jak się mają sprawy z dobroczynnością? Jeśli potrzeba złota ze skarbcza, nie wahajcie się powiedzieć.

Za każdym razem gdy przypominała sobie słowa syna, czuła jakby jej serce przeszywała strzała. „Idź i zajmij się pobożnymi sprawami, matko”.

Nawet nie zauważyła, jak Mürüvvet przyniosła przygotowany przez Ruhsar sorbet. Kobieta zwróciła się do niej kilka razy, ale nie usłyszała. Dopiero za czwartym razem poruszyła się, wychodząc ze świata swoich myśli:

– He? Czego chciałaś, siostrze?

– Sorbet jest gotowy, moja pani. Ruhsar przygotowała własnoręcznie. Jest chłodniusieńki.

Posłyszawszy imię dziewczyny, mimowolnie obróciła się w stronę, gdzie stała Ruhsar.

– Bóg zapłać – szepnęła – temu, kto przygotował i temu, kto przyniósł. Nachyliła się, by poczuć zapach cytryny. Wypiła łyk.

– Nie wytrzymuję, siostrze – szepnęła. – Pali mnie w środku.

Mürüvvet pochyliła głowę. Nie odważyła się niczego rzec, ale wiedziała o dziwnych rzeczach, jakimi zajmował się Murad, któremu Mahpeyker oddała całe swe życie. Czy był w imperium ktoś jeszcze, kto nie wiedział?

Pił do pomieszania zmysłów. Zimą kazał niewolnicom nago zanurzać się w skutej lodem ogrodowej sadzawce i ze śmiechem przyglądał się, jak drżały, drąc się wniebogłosy. Starych służących żenił z młodziutkimi dziewczynami w wieku ich wnuków, siedemdziesięcioletnie matrony

z piętnasto-, dwudziestoletnimi młodzieńcami.

Kazaskera pod groźbą miecza napił winem. Gdy zaś nieborak zataczając się, przewrócił o podstawioną umyślnie nogę, kazał go wychłostać, mówiąc: „Co się uczepiłeś nogi władcy, psie! A może chciałeś targnąć się na nasze życie?!”.

Zbrojmistrz Musa Pasza przypominał budową zapaśnika. Dłonie miał wielkości bochnów chleba. Na każdym z jego barków mogło spokojnie usiąść po jednej osobie. Tak imponujący był zbrojmistrz. Murad pochwycił tego olbrzyma w pasie jedną ręką i wywinąwszy nim parokrotnie rzucił na ziemię. „No, no – powiedzieli wezyrowie. – Powinszować, co za siła, co za moc”.

Poza tym z twarzy padyszacha nie dało się odczytać najmniejszej oznaki zmęczenia.

Na zebraniach dywanu napastował starych siwych wezyrów, czy to złapawszy nieszczęśnika za kark, próbując go obmacać, czy to chwyciwszy jak zbrojmistrza Musę Paszę w pasie, udając, że chce go podnieść. Biedacy w strachu nie wiedzieli, jak się zachować. Poddanie się groziło połamanymi żebrami lub innym miejscem, sprzeciw lub ucieczka – wezwaniem katów.

Pewnej nocy padyszach, wstając od zastawionego trunkami stołu, zwrócił się do siedzącego obok pazia z obnażoną pierśią:

– Patrz, Niesforny Czelebi, co teraz zrobię? Zobaczymy, jak wielka jest moja siła!

Odaliski usłyszały, jak Niesforny odparł: „Na Boga, mój Muradzie”. Ich szepty docierały również do ucha Mahpeyker podsłuchującej za drzwiami.

– Słyszałaś, co odpowiedział naszemu władcy?

– Co, co odpowiedział?

– „Czyż twój sługa Niesforny nie zna twojej siły i mocy, mój mężu?” powiedział i objął go za szyję.

– Aaa! – wydawała okrzyk inna. – Naprawdę już postradał moralność i wstyd.

Nawet czarnoskórym odaliskom występowały od tego na ciemnych policzkach rumieńce.

– No więc, opowiadaj dalej. Co zrobił Murad Chan?

Co zrobił syn, opowiedział Mahpeyker Mustafa Aga:

– Nasz pan podniósł się z łoża, na którym siedział wraz z Niesfornym Czelebim. „Przynieście mój łuk i strzałę” powiedział. Nie dając mi czasu powiedzieć: „Nie ma szans, nie napnie tego łuku”, napiął do oporu owinięty skórą byka łuk i uwolnił strzałę. Niewątpliwie Allah darował naszemu panu siłę lwa. Wystrzelona strzała... Pamiętasz, pani, te wrota, przez które wychodzi się z wewnętrznego dziedzińca na Galerię Sułtańską? No więc wbiła się w te wrota niemal do połowy. Gdybym na własne oczy nie zobaczył, nie uwierzyłbym. Wrota są żelazne i pokryte srebrem. Na Boga, strzała władcy przesywa metal.

„Szalony jeździec”, taki przydomek zyskał sobie Murad. Naprawdę jednak znał się junak na rzeczy. Zwłaszcza gdy dosiadał Skrzydlatego lub Wichrogóra. Najszybszym spahisom puszczał w twarz deszcz kamieni tryskających spod końskich kopyt.

Mürüvvet, pochyliwszy głowę, bezgłośnie osunęła się na ziemię. Mahpeyker nie wytrzymała. Serce oddanej dwórki również ścisnął żal.

Wydawało się, że opowieści o wyczynach Murada można by przedłużać bez końca. Każda miała ciąg dalszy. Setki, tysiące ciągów.

Mahpeyker zaczęła już nawet powątpiewać – „Który jest bardziej szalony – Ibrahim czy też Murad?”.

Mustafę zepsuły ptaki, Ibrahima perły, tego zaś Bagdad, wyliczała w duchu. Posyłał kolejnych wezyrów i urządzał jedna za drugą wyprawy wojenne, żeby odebrać Bagdad z rąk abasydzkiego szacha. Ale nikt nie był w stanie przekroczyć bram Bagdadu. Powracający z pustymi rękoma pasza był pozbawiany albo stanowiska, albo życia. Ilu paszów straciło głowy za sprawę Bagdadu, nie wiedział nikt.

Hüsrev Pasza, którego syn uczynił sadrazamem, wszedł do Erzurum i złapał, a następnie przywiózł do stolicy Abazego Paszę, który od czterech lat, „msząc śmierć młodego Osmana”, był prawdziwym utrapieniem dla państwa. Wspaniale, pięknie. Dlatego też Hüsrev Pasza został przywitany w Stambule zwycięską paradą.

Ale jaka była rola Abazego w paradzie? Czy słyszał ktoś, żeby zakładnik podczas zwycięskiej parady jechał dumnie na koniu obok

naczelnego dowódcy?

Ludzie, mimo że zdziwieni tym, co zobaczyli, byli przekonani, że padyszach każe ściąć Abazego. Jednak Murad mianował paszę na bejlerbeja w Bośni. „Wobec tego, że pomściłeś krew naszego brata Osmana, jesteś szlachetnym człowiekiem. Bierz swój urząd i służ nam wiernie” – rzekł i jeszcze poklepał go po plecach.

Gaziego Hüsreva Paszę jakiś czas później kazał ściąć.

„Czy państwo, które daje urząd temu, kto przeciwko niemu występuje, może utrzymać się na nogach?” – pytała samą siebie Mahpeyker, roztrząsając w głowie błędy syna. „Jeśli dajesz urząd buntownikowi, jakąż ma być wartość wierności i nagroda za nią?”.

„No dobrze, niech będzie, uczyniłeś go bejlerbejem”. Ale nie. Murad dwa lata później wezwał Abazego do stolicy, zasiedli wspólnie do libacji i jeszcze nim wstali od stołu, kazał go na miejscu udusić.

Była jedna dobra rzecz, którą zrobił Murad. Na jej prośbę zwolnił Şarazad i Semię.

Mürüvvet nie chciała odchodzić.

– Czy masz już dość swojej służebnicy, pani? – powiedziała i łzy pociekły jej z oczu. – Pozwól, by Mürüvvet oddała duszę u twych kolan.

Mahpeyker, wsadziwszy Şarazad na okręt kierujący się ku Morzu Śródziemnemu, odprawiła ją do jej ojczyzny. Kobieta chwyciła się jej rąk, następnie upadła do stóp, by w końcu rzucić jej się na szyję.

Nie miała wieści, czy dotarła do miejsca, w które się udawała. Ale trudno. Wciąż myślała sobie, że Şarazad wróciła do swego gniazda.

Semię wydała za mąż.

Tyle że kobieta sama sobie wybrała kawalera. Wychowanek Enderun, był wysoki i postawny. Wyrosła u boku sułtanki Safiye i usługująca latami jej samej Semiha znalazła sposób, by ją przekonać do wybranka swego serca.

Dziewczyna była szczęśliwa. Mahpeyker również. Przynajmniej udało jej się uczynić szczęśliwymi dwójkę ludzi. Wydzieliła jej jedną z pałacowych willi. Semiha zamieszkała tam z mężem i dalej jej towarzyszyła.

Mahpeyker dotrzymała jeszcze jednego słowa.

– Przyprawdźcie ze Starego Pałacu koniuszego Ahmeda – zarządziła.

Przed jej obliczem stanął zgorzkniały człowiek.

– Nie myśl, że zapomnieliśmy o danym przyrzeczeniu. Dzisiaj udamy się do niej.

Ahmed zwrócił ku niej zmęczony wzrok.

– Poprowadzisz nasz powóz.

Oczy mężczyzny zalśniły.

Mahpeyker kazała stawić przed bramą haremu powóz, który swego czasu dla Safiye Sultan codziennie wycierała i polerowała na dziedzińcu przed stajniami w Starym Pałacu.

– Opisz Ahmedowi miejsce – powiedziała cicho do Mürüvvet. – Od teraz on jest naszym głównym woźnicą.

Oprócz Semihy wzięła ze sobą również Ruhsar.

Nie widziała, ale usłyszała jego głos. Ahmed z takim zapalem strzelił batem, że konie, zdawało się, zrozumiały, że śpieszno mu było do Sofii. Wystrzeliły z kopyta i pognały, dzwoniąc kopytami po ulicach stolicy.

Pierwszy raz widziała mogiłę Sofii.

Na mogile rosły kwiaty. Jej ukochane fiołki. Obróciwszy się, spojrzała na Semihe. Na pewno był to jej pomysł. Powiedziała jej pewnego razu, że wybierze się z Ahmedem na grób Sofii. Nikt poza Semihe nie mógł wykazać się takim wyczuciem.

Mahpeyker nawet przez moment nie pomyślała o swoich złotych haftach, które mogły się pobrudzić. Nie zważając na mokrą ziemię, przyklękła nad mogiłą, która chowała w sobie Sofię.

– Patrz... kogo ci... przyprawdziłam.

Jej usta z trudem wypowiadały słowa.

– Wiesz... – nie mogła mówić dalej. Głos jej się załamał. – Jego... Ahmeda ze sobą...

Nie wytrzymała. Poczowała, jak płacz podchodzi jej do gardła. Załkała, dławiąc się. Obróciła się i pobiegła w stronę powozu. Śladem nadbiegły dziewczęta.

Zostawiły Ahmeda sam na sam z jego nieszczęsną gołąbką.

Nie mogły znieść rozdzierającego serce widoku spotkania ukochanych,

widoku ogromnego jak góra mężczyzny obejmującego ziemię. Cztery kobiety – jedna z nich sułtanka, trzy pozostałe służące – zanosily się od szlochu.

Mahpeyker pomyślała, że lzy zmyły grzech popełnionej zbrodni. To ona zabiła Sofię. I to ona przyprowadziła do niej ukochanego. Nie dała jej Ahmedowi żywej, ale dała mu ziemię, w której spoczywała.

Nikt z nich nie wiedział, jak długo tam pozostali. Może kilka minut, może kilka godzin.

Kiedy mężczyzna powrócił do powozu, usiadł na swoim miejscu bez słowa. Nie było w oczach Ahmeda ani światła, ani zgryzoty. Na pociemniałej twarzy nie pozostał żaden wyraz.

Strzelił z bata. Konie tym razem, jakby nie chcąc oddalać się od Sofii, zmęczone i odporne ciągnęły powóz.

Powrócili do pałacu. Ahmed nie zeskoczył z kozłów, żeby otworzyć drzwi. Mahpeyker wysiadła z pomocą służących, którzy wybiegli na spotkanie. Ogradzając dłonią oczy przed świecącym jej w twarz słońcem, spojrzała w miejsce, gdzie siedział Ahmed.

– Przygotowaliśmy ci miejsce – wyrzekła powoli. – Dwa pokoje w barakach koniuszego. Od teraz będziesz mieszkać z nami w pałacu.

Chłopak znów nic nie odparł.

Mahpeyker mogła widzieć przez zmrużone od słońca oczy jedynie sylwetkę Ahmeda. Nawet nie ujął bata. Poruszył wodzami. Powóz z wolna oddalił się w stronę stajni.

Nikt już nigdy więcej nie zobaczył Ahmeda.

Niespodziewanie rozległ się krzyk.

– Pomocy! Ratunku!

Krzyczała jedna ze służących.

– Nieszczęście, pani, pani!

Mahpeyker ze wspomnień, w których była pogrążona, wyrwał dopiero ten krzyk.

– Co się dzieje? – spytała rozkojarzonym głosem. – Skąd ten krzyk?

Semiha, Mürüvet, Ruhsar – wszystkie dwórki zerwały się na nogi.

– Hej! – zakrzyknęła w kierunku biegnącej prosto na nie dziewczyny. – Czemu krzyczysz? Co się stało?

Pierwsze, co przyszło na myśl Mahpeyker, był pożar. „Uchowaj Boże” – pomyślała. Nie było już pożaru, powodzi, dżumy, od której nie ucierpiałaby stolica. Pierwsze, co myślała, gdy ktoś mówił „nieszczęście”, to były właśnie te katastrofy.

Dziewczęta biegały, wymachując rękami i zarazem wykrzykując: „Koszmar! Koszmar!”.

„Na litość boską!”.

Naraz poczuła, jakby nóż zatopił się w jej piersi. Do serca zakradło się przeczucie. Zatrzęsła się w panice. „Boże” – powiedziała bezgłośnie. Znała dobrze ten stan. Ile razy już się przekonała. Nie była bezpodstawna ta gorączka, którą czuła w piersi. Ilekroć ogarniało ją to uczucie, zaraz potem następowało nieszczęście.

– Mówże, dziewczyno, co się stało! – krzyknęła, wstając. – Wybuchł pożar?

„Boże” – modliła się w duchu. „Błagam, niech to nie będzie to, czego się boję. Nie mam już sił znieść kolejnej katastrofy”.

– Dzieci!

W pierwszej chwili nie zrozumiała okrzyku zdyszanej dziewczyny.

„Co powiedziała?” – myślała Mahpeyker, a jej mózg rozpadał się na kawałki. „Dzieci? O nie! Dzieci?”.

Mahpeyker była jak w gorączce. Nie miała świadomości tego, że biegnie w stronę dziewczyny.

– Dzieci? – krzyknęła. – Dzieci? Co z moimi dziećmi, kobieto, mów!?

Dziewczyna nie mogła już więcej biec. Upadła na kolana. Zagarniając z ziemi żwir, sypała go sobie na głowę i biła się w piersi.

Mahpeyker i dwórki podbiegły do dziewczyny. Mahpeyker rzuciła się na nią i złapawszy za ramiona, potrząsała z całą siłą.

– Mów! Mów! Co się stało z dziećmi? Mów!

Od płaczu i z przerażenia oczy dziewczyny nabiegły krwią. Nie były pewne nawet, czy nie postradała zmysłów.

Podczas gdy dziewczyna dalej sypała na siebie kamyki, z jej piersi wyrwał się straszliwy jęk.

– Zabite! Zabite! Dzieci zabiteee...!

– Neeee...! – wyrwał się przypominający wycie krzyk z piersi

Mahpeyker. – Neeee...!

Rwąc sobie włosy z głowy, zaczęła policzkować dziewczynę.

– Nieprawda! Nieprawda! Kłamiesz, dziwko! Obedrę cię ze skóry i posypię rany solą! Przyznaj się, powiedz, że skłamałaś! Powiedz, że dzieci są całe i zdrowe. Natychmiast! Błagam. Powiedz, że żyją!

Służące złapały Mahpeyker za ręce. Mürüvvet i pozostałe dziewczyny zakrzyły się, by ją uspokoić. Ale nie dało się utrzymać Mahpeyker. Nieprzerwanie policzkowała dziewczynę.

– Mów, mów! Mów: „Skłamałam”!

– Gdybym mogła powiedzieć, pani, matko! – zawyla dziewczyna. Od wymierzonych policzków, od paznokci Mahpeyker na jej twarzy wystąpiły krwawe ślady. – Gdyby to było kłamstwo i to mnie oddano katu.

Mahpeyker niespodziewanie zamarła.

– Katu?

Splątane włosy, ślady, które zostawiły łzy na jej policzkach, przydały jej twarzy straszny wyraz.

– Kat... Kaci naszego pana... Nocą... Księcia Sulejmana i księcia Kasima...

Nie mogła wymówić reszty. Znow jęła sypać na siebie żwir i okładać pięściami kolana.

Mahpeyker, która podniosła się z ziemi, wyglądała, jakby zamieniła się w skałę. Nie wydała ani głosu, ani tchnienia. Służące spodziewały się, że sułtanka matka wobec tej straszliwej tragedii będzie się tarzać po ziemi, rwać włosy z głowy, płakać krwawymi łzami. Ale ona nie zrobiła nic podobnego. Tylko tak stała.

– Och – po dłuższej chwili wyrwał się z ust Mahpeyker ledwie słyszalny jęk. – Sulejman, Kasım. Moi nieszczęśni synkowie.

Byli jeszcze tak mali. Jeden miał dziesięć, drugi osiem lat.

Oczy dziwnie jej błyszczały. Takiego straszliwego błysku nie widział wcześniej nikt, nawet Mürüvvet. Śmierć! Ich pani patrzyła w oczy śmierci. Jej spojrzenie było spojrzeniem kogoś gotowego oddać i zabrać życie.

„Teraz, jeśli by tu stanął...” – przemknęło jej przez myśl. W tej chwili,

dokładnie tutaj, gdyby pojawił się przed nią jej syn Murad, rozszarpałaby go gołymi rękami.

– Ibrahim żyje, pani. Tak powiedzieli – wymamrotała dziewczyna, która doszła już nieco do siebie. – Nie przyszli po niego kaci.

Mahpeyker o nic więcej nie spytała, nic więcej nie rzekła. Domyślała się bowiem, co zaszło. Murad tym razem sam wyprawiał się na Bagdad. Z pewnością zmącili mu umysł.

– Kiedy padyszach idzie na wojnę, jego oczy nie powinny patrzeć za siebie.

– Dlaczego? Zostawimy w zastępstwie kajmakama, rzecz jasna.

– Ale pozostaje jeszcze dwoje książąt.

– Sulejman i Kasım? Ale oni są jeszcze bardzo mali, paszo.

– Macie rację, sułtanie. Oni są mali, ale szach Safawidów wraz z tymi, którym oczy zaślepiła żądza władzy, jest wielki. Niech Bóg broni, ale obawiamy się, że używając książąt, sprowadzą na głowę imperium walkę o tron. Na Boga, trzech pretendentów do tronu doprowadzi państwo do zguby.

Mahpeyker była pewna przebiegu tej rozmowy co do słowa.

– Ciała – wymamrotała w zamyśleniu, idąc w stronę pałacu. – Chcemy zobaczyć ciała swoich synów.

Dziewczęta, bijąc się w kolana, podążały śladem.

– Natychmiast zaniesiono do mauzoleum, gdzie spoczywa ich świętej pamięci ojciec, pani matko.

„Ach, Muradzie” – jęknęła w myślach. „Nie dałeś mi nawet możliwości ostatni raz zobaczyć moich synów, niech Bóg cię przeklnie, Muradzie”.

Zamknęła się w pokoju. Chowając głowę w poduszkach, wydała z siebie przeciągły krzyk. Mijały godziny, a ona, powtarzając: „Ach, mój Sulejmanie”, „Ach, mój Kasımie”, biła się w pierś. Płakała. „Jak mogłeś podnieść rękę na moje dzieci? Jak mogłeś nasłać kata na Kasıma, który rzucił ci się do nóg ze słowami: „Mój bracie lwie”? A Sulejman? Jak mogłeś oddać jego cieniutką szyję natłuszczonym arkanom, synu?”.

„Przekleństwo” – powtarzała, rwąc włosy z głowy. „Czy na tym miało polegać bycie królową? Władza, tron, potęga? Żądza władzy nasyłająca brata na brata? Jeśli tak, niech będzie przeklęta!”.

Płakała, aż skończyły jej się łzy. Skamieniała, ale w środku płakała dalej. Jej dusza, rozum, serce płakały.

Wraz z nadejściem dnia wyprostowała się. Podeszła do okna. Spojrzała na słońce wschodzące z naprzeciwka.

– Słońce, ha! – mruknęła. – Król, któremu uczyniłaś koronę ze słońca, ha! Niech słońce zajdzie, Muradzie! Ach, gdyby tak tobie odebrali życie, Muradzie, a nie Osmanowi! Gdyby tak zamiast ucha mego syna Osmana to twoje odcięli i mi przynieśli!

Wróciła do Nowego Pałacu, jakby nic się nie stało. Ibrahim, usłyszawszy o zabójstwie swoich braci z rozkazu starszego brata, postradał resztki rozumu. Siedział w okiennej wnęce.

Murad nie tknął go, bo był szalony.

„Szalony, o tak” – mówiła w duchu Mahpeyker. „Ibrahim Szalony... Myślisz, że z niego nie będzie padyszacha, ale zapominasz, że jego matką jest Mahpeyker Kösem”.

Od tego dnia nie wtrącała się w żadne sprawy syna. „Nie jestem żadną królową” – mówiła sama sobie. „Ja tutaj w tym dramacie jestem niewolnicą swojego syna. Jeśli otworzą się drzwi i na progu staną kaci Murada, nie zdziwię się”.

Ale musiała żyć.

– Mam dużo pracy, mruknęła. Z jeszcze jednego szaleńca uczynię króla.

Nowy Pałac
Luty 1640 roku

Aby uczynić z szaleńca króla, musiała czekać dziesięć lat. Gdy myślała, co wydarzyło się przez te dziesięć długich lat, ogarniało ją zadziwienie.

Jakby całe życie minęło.

„Ukryjemy przed Ibrahimem śmierć braci z ręki Murada” – postanowiła, choć wiedziała, że było to niemożliwe. O czym to tylko nie dowiadywano się w pałacu! Niemożliwością zatem było zachować przed kimś w tajemnicy krwawą zbrodnię. Tym bardziej przed wiecznie ogarniętym podejrzeniami Ibrahimem. Nim minęły dwa dni, dowiedział się wszystkiego. Jak drżeli, jak błagali, jak płakali jego bracia, wszystkiego.

I, tak jak przewidziała, oszalał do cna.

„Zabije. Murad odda mnie katom” – trząsał się całymi dniami. Rzucał się na każdego, kto wszedł do jego pokoju, krzycząc: „Przyszedł kat, przyszedł kat!”.

Nie był też bez racji. Murad jednego dnia współczuł, drugiego zabijał. Jego podejrzenie lub gniew mogły w jednej chwili obrócić się przeciwko Ibrahimowi.

Dodatkowo choroba pogłębiała się z każdym dniem i o szaleństwach Ibrahima rozprawiano wszędzie.

Żałoba Mahpeyker nie trwała jeszcze tygodnia, gdy postanowiła ukryć Ibrahima. Od tamtego dnia chowała syna w ciemnych, dusznych schowkach, wnękach, szafach ukrytych w bezkresnych korytarzach haremu. Nie pozwalała mu zostawać długo w jednym miejscu. Zdarzyło się nawet, że ukryła go w pałacowej chłodni.

Od przebywania ciągle w ciemnych, dusznych i ciasnych pomieszczeniach o niskich sklepieniach zdrowie fizyczne Ibrahima również zaczęło się pogarszać. Nie widział już dobrze. Jego skóra stała się tak cienka, że niemal przezroczysta. Prawie wszystkie żyły były pod nią widoczne. Lśniła jak pokryta masą perłową. Przez to, że nie mógł się wyprostować, rozwinął mu się garb. Nie mógł chodzić prosto. I na ile jeszcze miało i mogło się to rozwinąć, Mahpeyker nie wiedziała.

Marzenie Mürüvvet się spełniło. Pewnego dnia, siedząc u jej kolan, niespodziewanie osunęła się i opuściła ten świat.

Umarła z otwartymi oczami.

A więc umierając, wciąż tęskniła za czymś. Sama zamknęła oczy życiowej towarzyszki. Nie zaniedbała najmniejszej powinności.

Semiha doczekała się dzieci. Mahpeyker miejsce Sulejmana i Kasima potajemnie oddała synkom dziewczyny. Nic nie mogło się równać z miłością, jaką człowiek darzy własną krew, ale obu każdego dnia przyciskała do piersi. Jeden miał na imię Cihan, drugi Selim. Dopiero pod wieczór wraz z matką pokoje Mahpeyker. Chłopcy też ją uwielbiali. „Matulu, matulu” – paplali, płacząc się nieustannie u jej nóg.

Semiha urodziła też córkę. Obie, nie namyślając się, postanowiły nazwać ją Safiye. Imię kojarzyło się z Sofią. Najczęściej zresztą Mahpeyker zwracała się do dziewczynki „Sofio”.

Nie było już przy niej ani Şarazad, ani Mürüvvet. Semiha przychodziła codziennie, ale i ona miała swoje życie. Gdy dziewczyna wymykała jej się z rąk, nie naciskała, nie zaganiała jej do pracy. Wystarczało jej nawet po prostu, że przebywała w pobliżu.

Obowiązki Semihy przejęła Ruhsar. „Dobrodziejko, dobrodziejko” – kręciła się cały czas pod nogami jej rudowłosa Ruhsar.

„Przysięgam” – mówiła w duchu, obserwując Ruhsar. „Jeśli pewnego dnia powie «Ten jest miły memu sercu», niech to będzie nawet tragarz z Galaty – nie sprzeciwię się. Nie powiem, «Wychodź za tego». Zabiłam moją Sofię, Ruhsar dam życie”.

Niewolnice sułtana Murada powiły całe mnóstwo synów i córek, ale valide sultan ani razu nie zjawiała się u syna, żeby pobłogosławić potomków. Matkom wysłała kilka prezentów, nic poza tym. Jakaż była

wina tych kobiet? Synowie Murada nie utrzymali się przy życiu. Ahmed, Sulejman, Mehmed i Alaeddin poumierali jeden za drugim.

Każda ze śmierci ledwie dostrzegalnie poruszyła Mahpeyker. Ale przy każdej okazji jakiś głos w środku, chichocząc, mówił: „Dobrze, dobrze”.

Jeśli miała uczynić króla z jeszcze jednego szaleńca, należało aby syn nie zostawił po sobie następcy.

Murad nie przejmował się chłodem swojej matki. „Cokolwiek czynię – mówił do siebie, kładąc nocą głowę na poduszce – i cokolwiek uczynię, robię dla dobra wielkiego imperium. Umoczyłem nawet ręce we krwi własnego rodzeństwa i, jeśli będzie trzeba, jutro też umoczę”.

Mahpeyker wyczuwała, że próbował uspokoić swoje sumienie. Ale nie obchodziły ją żadne usprawiedliwienia, które sobie znajdował. Wyrzuciła Murada ze swego serca, i tyle. Nie mówiła już o nim „mój”. „Mam dwóch sułtanów i jednego syna. Bóg dwóch naszych synów musiał kochać bardziej od nas, że zabrał ich do siebie”.

Nie ucieszyła się nawet na wieść, że Murad wkroczył z pompą do Bagdadu, który udało mu się podbić po czternastu latach okupacji safawidzkiej. Słudzy, którzy przyszli z wieściami, powiedzieli, że Murad przeżył rozczarowanie. Bowiem jak inaczej można było zrozumieć słowa Murada, które skierował do paszów: „Co to, czy zdobywanie Bagdadu okazało się wspanialsze od samego Bagdadu?”.

– Był przy nim gładki Niesforny? – spytała Kethüde.

– Był, pani.

Murad wszedł do Bagdadu z Niesfornym, ale powrócił do stolicy bez niego. Opowiedziano jej, że Czelebi niespodziewanie, w tajemniczy sposób zmarł.

– Ooo – powiedziała jedynie. Nic więcej.

Lud, który nie wytrzymał już opresji Murada, podżegany przez rywalizujących między sobą wezyrów i paszów, buntował się raz za razem. Podchodził pod pałac. Zdarzyło się nawet, że przedostawał się na wewnętrzny dziedziniec. Ale Mahpeyker ani razu nie wystraszyła myśl: „Czy mój syn skończy jak Osman? Czy jak Osmana zabiją go w lochu?”.

„Dlaczego miałabym się bać?” – pytała samej siebie. „Czy tamtego fatalnego dnia w Pałacu Beylerbeyi to nie ja modliłam się, mówiąc:

«Niechaj by słońce zaszło, Muradzie! Niechaj by zamiast Osmanowi tobie odebrali życie, Muradzie! Zamiast ucha mego syna Osmana niechże by twoje odcięli i mi przynieśli!»? Będzie jak Allah postanowi. Jeśli tak mu jest pisane, nic nie można zrobić”.

Powstania wybuchały jedno za drugim, a padyszach ani razu nie przyszedł do jej pokoi. Nie spytał: „Matko, jest tak a tak. Co przedsięwziąć?”. Postępował wedle znanej sobie strategii. Każde z powstań zdusił, nie szczędząc krwi. Głowy janczarów przyłapanych na libacji lub paleniu tytoniu miażdżył kiścieniem. Sadrazama Bayrama Paszę, który osądził go w napisanym przez siebie wierszu, kazał ściąć. Zamiłowanie do latania dwóch zacnych mężów – Hezarfena Ahmeda i Legariego Hasana – wprowadziło go w przerażenie. Tym bardziej więc, gdy Hezarfen przepłynął się na skrzydłach z Wieży Galata do Üsküdar, kazał złapać obu i zaprowadzić przed swe oblicze. „Tacy jak wy – powiedział, patrząc na nich przeciągle – to bardzo straszni ludzie. Osiągają wszystko, co sobie zamyślą. Dlatego nie należy wam się żywot”. Ale z jakichś przyczyn nie zawołał kata. Hezarfena wygnał do Algierii, Legariego zaś na Ukrainę. Wynajętym przez grupę osób, która postanowiła go zgładzić, czterem mordercom udało się przedostać aż do jego sypialni, ale Murad obudził się i swoim sławnym kiścieniem roztrzaskał czaszki wszystkim czterem.

Sułtana Murada, którego nie zmożły powstania, mordercy, przekleństwa rodzeństwa ani modlitwy matki, przykuła w końcu do łóżka choroba. Jedni z lekarzy zdiagnozowali ją jako marskość wątroby, inni określili jako podagrę.

Nawet wiadomość o tym, że śmierć stanęła u wezglowia jej syna, nie zmiękczyło skamieniałego serca Mahpeyker.

Tamtej nocy zamknęła się w pokoju. „Zbliża się ta godzina” – powiedziała w duchu. Udało jej się przeżyć i uchronić Ibrahima. Przyszła kolej na wyciągnięcie Ibrahima z ciemnych korytarzy i złożenie słońca na jego głowie.

Była pewna. Jeszcze raz przyniosą jej słońce. Musiała tylko jeszcze trochę poczekać i być czujną. To wszystko.

Epileptyk Murad zatrął jej życie królowej. Ale była zdecydowana, by

zasmakować wszystkich uroków władzy podczas panowania Ibrahima.

Kiedy Ruhsar powiadomiła ją, że Kemankesz Kara Mustafa Pasza pragnie się z nią widzieć, uśmiechnęła się. „Czekaliśmy na niego”.

Ujrzawszy, że dziewczęta krzątały się w pośpiechu, by ją przyodziać, rzekła:

– Nie spieszcie się – była zupełnie spokojna. – Niech jedna z was pójdzie do pokojów Ibrahima i sprawdzi, czy nie ma jakiegoś niedopatrzenia, braku w podjętych przez nas krokach. Wartownicy, strażnicy są na miejscu?

Kiedy wszystko było już gotowe, popatrzyła w lustro, które trzymała Ruhsar. „Piękna” – pomyślała. „Gdybym nie przeżyła żałoby po synach, byłabym jeszcze piękniejsza”.

Nikt nie mógł przypuszczać, że Mahpeyker Kösem Valide Sultan zostawiła za sobą już pięćdziesiąt zim.

Ale ona wiedziała.

Na zewnątrz była piękna, ale w środku zaczynała się psuć. Bolał ją krzyż. Wstawanie i siadanie stało się męczące.

– Ruszajmy, Ruhsar. Zobaczymy, co też nam przyniósł Jego Wysokość pasza?

Dziewczyna była zaskoczona.

– Pasza mieli coś przynieść?

Mahpeyker zachichotała.

– Słońce.

– Chcieliście nas widzieć, sadrazamie paszo – powiedziała Mahpeyker, wchodząc do sali z przegrodą.

Kemankesz Kara Mustafa Pasza wyprostował się za parawanem. Przywitał ją ukłonem. Przysiedli każdy na ławie po swojej stronie parawanu.

Mustafa odchrząknął raz i drugi.

– Niepokoję was ze względu na ważną kwestię, którą chciałabym poruszyć.

– Słucham.

– Mam dla was wiadomość, Wasza Wysokość.

„Mów, co masz powiedzieć” – zniecierpliwiła się w duchu. „Co masz powiedzieć, rzeknij. Powiedz «Przyniosłem ci słońce imperium», a potem wynoś się stąd”.

– Czy wybiła godzina padyszacha?

Jej głos był tak zimny, że nawet sadrazam się zdziwił. Czy tak pytała matka o stan swojego syna, będącego na łożu śmierci?

– Nie – odrzekł. – Jeszcze nie. Ale nie sądzę, by zostało wiele czasu. Lekarze nie dają nadziei.

Mahpeyker westchnęła. Nic nie odparła.

Kemankesz Kara Mustafa Pasza ponownie odkaszlnął. Był Węgrem z pochodzenia. „Oni wszyscy są tacy” – pomyślała. „Ilu widziałam w pałacu węgierskich brańców, wszyscy byli tacy. Zanim wyduszą z siebie dwa słowa, każą człowiekowi umrzeć z ciekawości”.

– Władca... – wymówił w końcu. Mówił tak cicho, że Mahpeyker musiała przytknąć ucho do okratowania, żeby słyszeć. – Wczoraj w nocy wezwał mnie przed swoje oblicze.

„No, popatrz” – mruknęła w myślach. „A podobno był ciężko chory”. Nic nie odparła, żeby nie zbić go z tropu.

– Jego Wysokość zwrócili się do mnie z pewnym żądaniem.

Z pewnym żądaniem? Jakim? Tajemniczy ton paszy wzbudził w niej podejrzenia.

– Z jakim żądaniem zwrócił się do was padyszach, paszo?

Pasza długo chrząkał i odkasływał. W końcu odkaszlnął jeszcze raz. Naraz poczuła chęć zerwać się z miejsca, przewrócić parawan i złapawszy go za kołnierz, potrząsnąć nim porządnie. „Mówże chłopie, czego chciał od ciebie Murad?”.

Sadrazam jakby wyczuł zniecierpliwienie sułtanki matki.

– To jest – powiedział szeptem – żebyśmy odnalazł miejsce, gdzie ukrywacie Ibrahima i zabił go.

Mahpeyker poczuła się, jakby kiścień Murada zmiażdżył jej głowę.

– Co!? – poderwała się z miejsca.

– Tak – jęknął sadrazam po drugiej stronie. – Niestety taki jest rozkaz wydany przez władcę swojemu słudze, ale... jeśli pa... padyszach... umrze... – wyjąkał.

Kemankesz nie zdołał więcej powiedzieć.

Mahpeyker w jednej chwili wybuchła.

– I ty teraz, nie bacząc na swoje lata, swoją siwą brodę, przychodzisz, żeby spytać mnie, gdzie przebywa Ibrahim?! Po wyjściu stąd pójdziesz go za... – głos jej się urwał. Trzęsła się z gniewu. – Jeśli Murad umrze, a Ibrahim zginie, co będzie dalej, zastanowiłeś się, paszo?

Mężczyzna pokiwał głową za parawanem. Zastanowił się.

– Skoro pomyślałeś, nie powiedziałaś mu tego?

– Powiedziałem. Przyrzekam, powiedziałem. Ryzykując głową, powiedziałem: „Jeśli księżę zostanie stracony, tron zostanie bez następcy”.

– I?

– Chwyciwszy mnie za kaftan, przyciągnął do siebie. „Nie zostanie! – warknął – nie można przekazać państwa w ręce szaleńca. Panowanie stryja Mustafy niczego was nie nauczyło? Wypełniaj rozkaz, paszo. Tron ma następcę. Nie obawiaj się”.

Mahpeyker była bliska szaleństwa. Co to był za człowiek? Będąc sam na łożu śmierci, usiłował odebrać innemu życie. W dodatku jedynemu bratu, jaki mu pozostał. W dodatku niespełna rozumu, niewinnemu! Jedynemu potomkowi Osmana!

– Słuchaj – warknęła. – Jest gdzieś ukryty księżę, o którym nam nie wiadomo? Kimże on jest, następca tronu Wielkiej Porty?

– Mehmed Girej Chan. Chan krymski.

Co?!

– Zwariował – syknęła Mahpeyker. – Choroba zrobiła z niego wariata. Chce zburzyć gniazdo imperium? Wytępić ród? Ród Osmana odejdzie, a na jego miejsce przyjdzie ród Mehmeda? Od teraz będą na nas mówić „państwo Gireja”?

Pasza milczał.

– Posłuchaj, paszo – powiedziała Mahpeyker, podnosząc się z miejsca. – Jeśli przyszedłeś tutaj wypełniać rozkazy szaleńca, nie mam dla ciebie syna do wydania. Idź i przekaz swojemu panu: „Dopóki żyje jego matka, nikt nie podniesie ręki na księcia Ibrahima. To on przedłuży ród i obejmie tron”.

I wtedy wzeszło słońce.

– To samo przyszedłem wam powiedzieć – odparł pasza niespodziewanie prędko. – Murad Chan mógł wydać ten rozkaz również innym osobom. Należy zapewnić Ibrahimowi dobrą ochronę i być gotowym do intronizacji. Nie wiemy, co przedsięwziął Jego Wysokość w sprawie Mehmeda Gireja Chana. Dobrze byłoby działać szybko i zapobiegawczo.

Mahpeyker nie wahała się ani chwili.

– Zapobiegawczo będzie, jeśli padyszach czym prędzej wyzionie ducha, paszo – odparła. – Inaczej imperium stanie w płomieniach. Swój kiścień tym razem zbruka w osmańskiej krwi.

Na szczęście tak się nie stało. Sułtan Murad osiemnastego dnia lutego roku tysiąc sześćset czterdziestego o zachodzie słońca oddał duszę aniołom. Wiele było tych, którzy się cieszyli. Tyleż samo bijących się z płaczem w piersi. Mustafa Pasza owego dnia wykonał to, co postanowili z Mahpeyker Sultan. Czerwone światło ostatnich promieni zachodzącego słońca odbiło się od wewnętrznego dziedzińca na szyby haremu.

Podczas gdy śpiewano sele, Kara Mustafa Pasza, biorąc ze sobą drugiego wezyra i naczelnika czarnych eunuchów, pospieszył do sułtanki matki.

– Moje kondolencje.

– Dziękuję, paszo.

– Nadszedł czas przekazać wieści nowemu padyszachowi.

Mahpeyker popatrzyła przez moment w oczy przybyłym. Bała się, że wszystko to może być pułapką. Czy była to tylko gra, w którą wciągnął ją Murad, by się dowiedzieć, gdzie trzyma Ibrahima?

Ale nie było już czasu do stracenia. Musiała podjąć ryzyko.

– Czy na morzu podjęto środki, o których mówiłam, sadrazamie paszo?

– Flota wypłynęła z Zatoki Poyraz na Morze Czarne, pani.

Był to środek ostrożności wobec możliwego ataku na stolicę ze strony chana krymskiego w sprzymierzeniu z kozackimi korsarzami, których nigdy nie brakowało na Morzu Czarnym.

– Bramy miasta zamknięte?

– Od rana.

– Sytuacja w koszarach, w porcie, w kajutach marynarskich?

– Spokój.

Był wieczór, ale wraz z wyprowadzeniem Ibrahima z jego kryjówki miało wzejść słońce w życiu jej syna.

– Chodźcie za mną.

Minęli niezliczoną liczbę korytarzy. Ani sadrazam, ani wezyrowie nie znali drogi. Nie przeszło im nawet przez myśl, że pałac kryje w sobie takie miejsca. Skąd mieli wiedzieć, skoro nigdy w życiu nie przeszli przez Dziedziniec Nowicjuszek? Nie mieli przyjaciółki w osobie Mürüvvet ani przewodniczki w osobie nieszczęsnej Eftalyi. W miejscach, które mijali, Mahpeyker mogła ukryć nie jedną osobę, ale cały tłum ludzi.

W końcu po zejściu na dolne pokoje kafesu dotarli do kryjówki Ibrahima.

– Ibrahimie! – zawołała, zaglądając do środka. Po raz pierwszy od lat nie ściszała głosu, wołając syna. – Przyszłam po ciebie.

Nie było odpowiedzi.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Zabiorę cię stąd. To koniec męczarni. Otwieram drzwi. Tylko się nie przeraż.

Wetknęła w zamek ogromny klucz. Za drzwiami dał się słyszeć hałas. Mahpeyker wiedziała, co się działo. Ibrahim w panice chował swoje sakiewki z perłami.

– Jest ze mną troje ludzi – uprzedziła Mahpeyker. – Ja zostanę na zewnątrz. Oni wejdą do środka.

– Kaci! To kaci! Niech nie wchodzą! Nie chcę! – krzykiem zawtórował przeraźliwy wybuch śmiechu. Wszystkim trzem mężczyznom ciarki przebiegły po plecach.

– Nie – odparła Mahpeyker. – To nie kaci. Wszyscy trzej to twoi przyjaciele. Jeden z nich to sadrazam Mustafa Pasza. Ma dla ciebie wieści.

– Tak, tak, tak! – zawrzeszczał histerycznie Ibrahim. – Murad cię oszukał! To kaci. Zabiją mnie. Zabiją mnie. A może ty też jesteś katem? To ty mnie udusisz?

– Nikt cie nie udusi. Zaufaj mi. Otwieram drzwi. Słuchaj uważnie, co powie sadrazam pasza.

– Nie będę, nie będę słuchał. Ty powiedz mi, co mają do powiedzenia. Nie wpuszczaj katów. Zabiją mnie... Ukradną mi perły... To złodzieje, matko... Złodzieje pereł. Zabiorą mi perły i zanoszą Muradowi... Murad ozdobi sobie głowę moimi perłami...

Milczący dotychczas Kemankesz Ali Pasza, przechylając się przez ramię Mahpeyker, rzekł nagle:

– Murad zmarł. Wasz brat zmarł, sułtanie.

Za drzwiami zapanowała cisza.

Mahpeyer przekręciła klucz w zamku. Ostrożnie pchnęła drzwi. Żelazne wrota otwarły się z przeraźliwym zgrzytem.

Pierwszy, który dostrzegł w mroku pomieszczenia perłowy blask, był drugi wezyr. „Zjawa” – pomyślał z przerażeniem. „Dobry Boże. Przekażemy imperium zjawie? Ten człowiek zamienił się w zjawę!”.

Sadrazam wykazał się większym opanowaniem. Nie przekraczając progu, pokłonił się w pas.

– Wasza Wysokość... Twój brat sułtan, Murad Chan zmarł godzinę temu. Zostałeś padyszachem. Nadszedł czas intronizacji.

– Łziesz! – syknął Ibrahim. – Łziesz złodzieju w wielkim turbanie.

Perłami wypchasz sobie czapkę?

Aga haremu pospieszył z pomocą.

– Mówimy prawdę, panie. Od teraz wy jesteście padyszachem.

Przyszliśmy wynieść was na tron, przypasać wam miecz, przyprowadzić poddanych, by ucałowali wasze szaty.

– Ty też łziesz. Murad nie umrze... On nie umiera... Nie umiera...

Zabija... Murad zabija!

Ujrzeni, jak perłowy blask zaczął podskakiwać i szamotać się w mroku. Sadrazam w ostatniej chwili zdążył się schylić, dostrzegłszy lecący prosto w niego przedmiot. Ciężki drewniany tambur, który przeleciał nad jego głową, uderzył w przeciwległą ścianę i roztrzaskał się na kawałki. Gdyby się nie schylił, jego własna głowa rozleciałaby się w podobny sposób.

– Ibrahimie Chanie!

To była Mahpeyker.

– Zmarł. Murad zmarł. Mówią prawdę. Zostałeś padyszachem, synu.

– Nie wierzę. Udają, że chcą posadzić mnie na tronie, a tak naprawdę

oddadzą w ręce Murada.

Sadrazam wzruszył ramionami z rezygnacją.

Mahpeyker nie chciała na siłę wyciągać syna z pomieszczenia.

Odebrałoby to już nawet tę resztkę rozumu, jaka pozostawała w jego głowie.

– W porządku – powiedziała z uśmiechem. – Co mamy zrobić, żebyś uwierzył? Jeśli zobaczysz zwłoki Murada, uwierzysz?

Perłowy blask przestał się szamotać.

– Zwłoki? Uwierzę.

Przynieśli. Pokazali. Sułtan Ibrahim Chan zobaczył i uwierzył.

Następnego ranka w Sali Audiencyjnej na jego głowie jaśniało słońce. Na głowie starszej sułtanki, wielkiej sułtanki, wspaniałej Mahpeyker Kösem Sultan również.

„Udało mi się” – powiedziała w głowie, patrząc na swego syna obwieszzonego dziesięcioma sznurami pereł. „Z jeszcze jednego szaleńca uczyniłam króla”.

Harem, kafes
2 września 1651 roku, noc

Nie wiedziała, jak wytrzyma, czekając tyle godzin w tym ciemnym, dusznym pomieszczeniu, ale nie było wyjścia. Miała przed sobą dwie możliwości – stać się głową państwa albo pokarmem dla sępów. Nie było już odwrotu. Jeśli jej się nie uda... Wówczas: witaj, śmierci! Gość w dom, Bóg w dom. „Ta moskiewska lizka nie da mi żyć!”.

Mahpeyker niespokojnie wierciła się na drewnianej ławce. Już teraz wszystko ją bolało. „Oby tylko Üveys wypełnił powierzone zadanie” – mruknęła pod nosem. Własny szept wystarczył, by wpadła w panikę. Czy ktoś usłyszał, pomyślała zaraz, wpatrując się w ciemność dookoła. Nasłuchiwała z wstrzymanym oddechem. Nikogo nie było.

„Kto niby?” – zbuntował się od razu rozum. „Sądzisz, że ktoś miałby zajrzeć do tej nory, w której latami trzymałaś Ibrahima?”.

Nie sądziła, ale wyszła na dobre zaniepokojona. „Czy to moja wina?” – mruknęła w myślach. „Każdy, kto przeszedłby przez to co ja, zachowałby się tak samo”.

Komu przyszłoby do głowy, że stara wielka sułtanka matka cztery piętra pod ziemią, w izbie pełnej myszy, robaków, pajaków i kto wie czego jeszcze, będzie czekać na Üveysa Paszę. Musiałby być szalony ten, kto by tak pomyślał.

„Ty też jesteś szalona” – zachichotał rozum. „A jaka jeszcze może być matka szaleńca?”.

„Nie jestem żadna szalona” – sprzeciwiła się Mahpeyker. „A nawet jeśli oszalałam, to życie mnie do tego doprowadziło”.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się pomyślnie. Jakże do twarzy było

ubranemu w ozdobiony perłami kaftan Ibrahimowi z władzą sułtana. Syn, którego wyciągnęła z lochów kafesu i któremu założyła na głowę słoneczną koronę, był jak nowo narodzony. „Matko – powiedział w dniu intronizacji – daj, ucałuję twoją rękę”.

„Na mojej głowie również świeciło słońce” – westchnęła w środku. Wszystko układało się wspaniale. Przebudzili się oboje z koszmaru. Byli szczęśliwi.

Ale potem... potem nagle wszystko pociemniało.

Pokiwiała głową. Tak, to życie ją do tego doprowadziło. Bała się już nawet własnego cienia. Sądziła, że jest tu bezpieczna, ale kto wie, jakie zagrożenia czaiły się w tym schowku?

Aby nikt nie widział, jak udaje się do kafesu, wcześniej opuściła pałac. Do Ruhsar powiedziała: „Jeśli ktoś zapyta, powiedz, że jestem w swoich komnatach. Nie czuję się dobrze i leżę w łóżku. Zrozumiałaś?”.

Dziewczyna popatrzyła na nią z niepokojem w oczach: „Jeśli trzeba będzie, gdzie was znajdę, pani matko?”.

Pani matka? Ani sułtanką już nie była, ani matką. „Wspaniała sułtanka” – mruknęła. Sułtanka seniorka... wielka sułtanka... Ach! Wszystko odeszło i zniknęło. Może gdzieś jeszcze przetrwało, ale w środku już było puste. Swego czasu budzące postrach tytuły nikomu nic już nie mówiły. Była już tylko „starszą sułtanką”. Albo „babką sułtanką”. Mój Boże, szepnęła. „Babka sułtanka? Ja, wspaniała Kösem – babką sułtanką?”.

Teraz to nazywana Turhan niebieskooka moskiewska liszka była sułtanką matką. Słodka dziewczynka, którą sama znalazła i podetknęła Ibrahimowi pod nos. Ta słodka dziewczynka teraz narobiła jej kłopotów jako w pełni dorosła kobieta.

Spostrzegłszy, że Ruhsar nadal czeka na odpowiedź, odparła z gorzkim uśmiechem:

– Nie będzie trzeba. Ci, którzy odczuwają taką potrzebę, niech idą do niebieskookiej.

Dziewczyna niewątpliwie zrozumiała, że jej pani nie chciała, aby ktokolwiek ją tam zobaczył. Nie wiedziała, ani co zamierza zrobić, ani dokąd się udać, ale z pewnością i ona czuła, że wydarzą się ważne rzeczy.

Czy pozostał zresztą ktokolwiek, kto by tego nie czuł?

Należało zejść wcześniej. Robiła to latami, gdy ukrywała Ibrahima przed jego bratem. Gdyby skierowała się do kafesu, a następnie, udając, że idzie do stajni, weszłaby po stromych schodach wieczorem, po zmroku, kiedy zbliżał się czas nadejścia Üveysa, natychmiast zwróciłaby na siebie uwagę. W nocy zamykano bramy, na dziedziniec nikt nie mógł przeniknąć bez pozwolenia. Należało przejść dziedziniec w porze, kiedy był zatłoczony, aby ten, kto zwróci na nią uwagę, sądząc po jej stroju, pomyślał, że jest jedną z pomocy kuchennych, która idzie z jedzeniem do stajni.

Stało się dokładnie tak, jak zamierzała. Nie zwróciła niczyjej uwagi. I oto teraz była tutaj. Chłopak, z którego zamierzała uczynić padyszacha, spał w celi oddalonej od niej o dwa korytarze. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że przyniesie mu słońce.

„Jeśli mój plan się powiedzie... nie dojdzie do zdrady... Jeśli Üveysowi uda się wykonać moje polecenie...” – mamrotała.

Znów chodziła po krawędzi. Przywykła do niebezpieczeństw i igrania ze śmiercią, ale ten raz był inny. Tym razem nie próbowała zdobyć czegoś, co do niej nie należało. Odwrotnie, walczyła o to, by nie zgubić tego, co wygrała, co zdobyła, co posiadała wcześniej. Chodziła po krawędzi, a w dole płonął piekielny ogień.

Myśląc o tym, nietrudno było oszaleć. Czy to po to przez czterdzieści pięć długich lat trudziła się i harowała, tańczyła ze śmiercią?

Była kobietą, która złożyła imperium w ofierze czterech swoich synów. Pięciu też wyniosła na tron. Nad ranem miała wynieść szóstego. Co sobie myśleli? Że koronę, władzę, autorytet, które własnymi rękami złożyła u stóp swego syna, odda w ręce niezdarnej dziewczyny?

„Nie ma mowy” – mruknęła Mahpeyker. Jeszcze raz przyniosą jej słońce.

Korona znów miała zajaśnieć na jej głowie. Czyż za każdym razem, gdy mówiono: „Umarła, to koniec, teraz już tylko zgnije w pałacu i odejdzie” – czyż nie wyłaniała się na nowo zza chmur? I znów miało się tak stać. Dlaczego? Bo takie było jej przeznaczenie. Być królową. Żebrak w Kumanowie powiedział do niej kiedyś: „Królowo”. „Piękna królowo!”.

Przypomniała sobie swój śmiech. „Czy służąca może zostać królową?”.

„Będiesz królową” – odparł.

I została.

I nie raz, ale tysiąc razy! I znowu miała zostać.

Serce waliło jej z przejęcia.

Czy Üveysowi uda się załatwić sprawę w koszarach?

Czy sadrazam Siyavuş Pasza zrobi to, co mu wypadło?

Myślała o Gruzynie Mehmedzie Paszy. Czy zdołał podjąć zleczone przez nią kroki?

„Blondyn, trzeba uważać. Nie można na nim polegać” – pomyślała i zleciła szereg zadań również blondynowi Tarhuncu Ahmedowi Paszy. Nie usłyszała słówka sprzeciwu. A może to była tylko maskarada, charakteryzacja? Gra?

Hadzi Abdürrahim Efendi nie zdradził jej w sprawie Ibrahima, dotrzymał słowa. Ale zobaczymy, czy Abdülaziz Efendi – jak powiadają, syn Karaczelebiego – wyda żądaną fatwę?

„Jeśli wyda, to wyda, jeśli nie, to jego sprawa” – pomyślała, wruszając ramionami. Wystarczyło jedynie, żeby trzymał język za zębami. „Ten sobie pójdzie, na jego miejsce damy Ebu Saida Efendiego. Nie na darmo wciąż zagląda mi w oczy”.

Zdrada stała się jej towarzyszką. Czy mało doświadczyła zdrady, kiedy zajmowała się intronizacją Ibrahima? Ale musiała komuś zaufać. Z kolei ci, którzy mieli się tym zająć, też musieli jej ufać, sukces, który im poprzysięgła, powinien był ich oślepić. W chwili, w której uwierzyliby, że ta liszka, która miała zostać jej synową, ofiarowałyby im wspanialsze nagrody, bez chwili namysłu wydaliby ją. Nie miała najmniejszych wątpliwości.

„Taki jest porządek” – mruknęła. „Kto płaci, ten zamawia muzykę”.

Była zmuszona polegać na innych. Nie mogła sama poprowadzić wojska. Trzechsetletnie obyczaje osmańskie nie pozwalały kobiecie stanąć do walki.

Przekonała paszów, że nasyci ich lepiej niż synowa Turhan. Tak czy inaczej, na dany moment jej wierzyli. Lub też tak wyglądali. Była jeszcze jedna rzecz. Wszyscy oni dobrze znali Mahpeyker Kösem Sultan.

Każdy z nich wiedział, czego dokonała w przeszłości. I oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli uda jej się osiągnąć to, czego się podjęła, w przypadku zdrady pościna im głowy.

To był łańcuch. Każde ogniwo musiało być trwałe. Jeśli choć jedno z nich miało pęknąć, cała sprawa ległaby w gruzach. „Ja również” – pomyślała. „Ja też legnę w gruzach”.

Śpiewane razem z porannym ezanem żałobne sele nie obwieszczałyby śmierci tych dwóch, tylko jej własną.

Musiała się czymś zająć, żeby nie myśleć. Czuła, że w innym wypadku by oszalała.

„Zapalić świecę?” – zastanowiła się w duchu. Nie mogła tak siedzieć godzinami w nieprzeniknionym mroku.

Ale Ibrahim siedział. Siedział i nieźle zwariował jej syn. Teraz z kolei siedział Sulejman. Na szczęście był jeszcze młody. Nie był jeszcze bliski szaleństwa, od kiedy go tu ukryła.

„A niech go lichy” – mruknęła, podnosząc się z drewnianego siedziska. „Ibrahim nie był żadnym szaleńcem. Był dżinem. Dżinem, który oszukał nie tylko Murada, ale również mnie”.

Nawet jeśli był szalony, po objęciu tronu i wzięciu do ręki bicza władzy nagle powrócił do zmysłów. Ibrahim, którego nie dotknęła ręka kobiety, ten, o którym mówiono, że jest wyzbyty pragnień, nim upłynął rok... Ho, ho...

Mahpeyker zaśmiała się pod nosem. „Ho, ho i ho, ho” – mruknęła, przypominając sobie haremowe przygody swego syna Ibrahima.

Aby zapalić świecę, którą wyjęła z kieszeni, długo pocierała hubkę o krzesiwo. W końcu od powstałej iskry na samym czubku knota zajaśniał ogień. Wystraszyła się, że zgaśnie. Nachyliwszy szybko świecę, poczekała, aż ściekający tłuszcz nasyci knot. Podniósłszy źródło światła, rozejrzała się dookoła.

„O Boże!”.

W martwym, drżącym, żółtym świetle wszystko było jeszcze straszniejsze. Cienie były jeszcze bardziej przerażające, mrok jeszcze ciemniejszy.

Nagle w jej głowie rozległ się głos. „Hej! Nie należy bać się cieni!”.

Był to głos hodży Husejna Efendiego, znachora z Safranbolu. „Do diabła” – mruknęła w głowie. Skąd teraz przyszedł jej do głowy znachor?

Dowiedziawszy się, że oddech i amulet sławnego znachora potrafiły uleczyć każde zło, potajemnie przyprowadziła go do pałacu. „Hej! Nie należy bać się cieni!” – to były jego słowa po konsultacji z dżinami

Ale bała się. Nawet bardzo. Tak jak teraz.

„Dżiny nie lubią światła” – powiedział hodża efendi, gasząc wszystkie światła i zostawiając tylko jedną świecę. Jedną rzucającą światło świecę – jeśli w ogóle można było to nazwać światłem. Płomień tańczący na czubku knota nie oświetlał niczego poza samą łożówką. Wręcz przeciwnie, ożywił wszędzie wokół martwe, żółte, groźne cienie. Bezdenne otchłanie mroku. Odbicie światła świecy na szybach było jak obserwujące ją oczy trupa. Mahpeyker wzdrygnęła się mimowolnie. „W tym złowrogim otoczeniu już nie dżiny, ale dosłownie wszystko może się objawić” – przemknęło jej przez myśl.

Stała jej przed oczami twarz Husejna Efendiego. Miał wielką, okrągłą głowę. Połowę jej stanowiło czoło. Pod nim opadające na oczy siwe zwoje brwi. Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie spotkała człowieka z tak małymi oczami. W świetle świecy zapadły się jeszcze bardziej. Oczy hodży efendiego były małe, ale za to ożywione jak dwa wesółki. Nawet przez chwilę nie przestawały się ruszać, biegały od przedmiotu do przedmiotu. Nos jak kropka. Obramująca policzki cienka czarna broda. W przeciwieństwie do nosa imponującej wielkości usta, a nad nimi śmieszne, cieniutkie wąsy. Nie miał też szyi. Jego głowa była jakby nałożona bezpośrednio na ramiona.

Ale temu brzydkiemu, małemu, a nawet śmiesznemu człowiekowi były podporządkowane straszne moce dżinów. Mahpeyker nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Włos zjeżył jej się na głowie. Dokładnie w chwili gdy zatraciła się wśród cieni, w mroku oświetlonym pojedynczą świecą, zrozumiała, że się boi.

– Czego się wystraszyliście, pani?

– Dżinów. W takim mroku...

Husejn Efendi pokiwał palcem, mówiąc: – Nie należy się bać dżinów, pani. Święci są jak cienie. Są zawsze z nami. Albo przed nami, albo za

nami. Albo po naszej prawej stronie, albo po lewej. Cienie różnią się od dżinów tylko tym, że możemy je widzieć. Powiedzmy że... Przywołam teraz Salkıma Efendiego...

– Salkıma Efendiego? A kto to?

– Dżin, który odpowie na pytanie, które mi zadałyście.

Wystraszyła się, wywołując śmiech hodży efendiego.

– Nie ma czego się obawiać... Nie ujrzycie Salkıma Efendiego. Tym, co zobaczycie, będzie jedynie cień padający na talerzyk z wodą. A cieni nie należy się bać – prawda? Nawet jeśli tego zapragniecie, Salkım nie stanie się widoczny...

– Dlaczego?

– Salkım Efendi jest bardzo nieśmiały.

Wówczas, mimo całego swego strachu, roześmiała się w duchu, mogła przysiąc, że znachor był zwykłym szarlatanem, ale potrzebowała go. Musiała poznać się z tym nieśmiałym Salkımem Efendim dla dobra rodu Osmanów. Nie było już takiej rzeczy, której by nie zrobiła, żeby Ibrahim zbliżył się do kobiety i począł dziecko, ale wszystko szło na marne. Nie pomogły ani eliksiry, ani maści. Ponadto Ibrahim odalisce, która podniosła do jego ust maść na łyżce, wymierzył policzek, od którego przewróciła się na ziemię. „Chcesz mnie otruć, zmijo?! – wrzasnął. – Przynieś w tej chwili moje perły. Czas nakarmić rybki”.

Ostatecznie uciekła się do pomocy wychwalanego hodży z Safranbolu, o którym usłyszała od dziewcząt. „Iluż to bezpłodnym jedno jego zaklęcie zapewniło bliźnięta – mówiono. – Widzi to, czego nikt inny nie widzi, słyszy to, czego nikt inny nie słyszy. Dżin hodży efendiego jest potężny”.

Rzeczywiście tak też się stało. Tamtej nocy hodża efendi zacisnął powieki na swoich malutkich oczach i opukując lekko miskę opuszkami palców, mruczał cicho pod nosem.

– Salkııııı... Salkııııı... Jesteś na Górze Kaf, na Księżycu, na Wenus? Gdzie jeeesteś?

Wciąż nie mogła pozbyć się z pamięci mroku, strachu przed dżinem i przerażającego głosu hodży.

– Salkııııı... Widzę morzeeee... Przyyyjdź... Przed twoim obliczem burzy się moje morzeeee...

Mahpeyker przypomniała sobie, że była bliska omdlenia. Nawet odczuła żal. „Dobrze, że go przepędziłam” – mruknęła. „Inaczej Salkım Efendi by mnie wykończył”.

Czy mógłby? Mógł. Tak potężny był dżin Husejna Efendiego. Dżin był mu posłuszny, czynił, czegokolwiek tamten zażądał.

Oczy Husejna Efendiego nagle się otworzyły. Malutkie oczy mężczyzny płonęły teraz jak ogarnięty ogniem chrust. Spuścił wzrok na talerzyk. I wtedy przerażona Mahpeyker zebrała się w sobie. „Boże, zachowaj mój rozum!” – zawołała w duchu.

Woda w małym złotym talerzyku nieporuszona przez nikogo nagle wzburzyła się niczym morze. Naprawdę, burzyła się! Wydawało jej się, że wciąż widzi, jak uderzając, pieni się. Woda rozpryskiwała się dookoła.

– Witaj, Salkımmie... – głos Husejna Efendiego nie należał już do tego świata. Nie usłyszała już tego grubego, niskiego, niepokojącego głosu. Wydawało się, jakby przemawiał mały chłopiec – Witaj serdecznieeee...

Później wydawało się, jakby kogoś słuchał. Nie przestając, kiwał głową na znak potwierdzenia.

– Czyż jest ktoś, kto nie boi się twojego gniewu? Jakże więc Husejn miałby się nie bać, Salkımmie? Ale ty lubisz czynić dobrooo...

Brzmiał tak, jakby wkradał się w łaski małego dziecka.

– Ta pani potrzebuje twojej mocy, twoich czaróóów... Poznajesz ją? Naraz zaczął się trząść jak w gorączce.

– Nie! – wyrwał się krzyk z jego piersi. – Nie, to nie tak!

„Co się dzieje? – zapytała go szeptem. – Dżin nas poznał? Czy jest niezadowolony?”.

Nawet włosy na brodzie Husejna Efendiego były nastroszone. Mahpeyker nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał. Znów kiwał głową jakby na znak potwierdzenia. Jego oddech był przyspieszony.

– Nie – wyrzęził. – Poręczycielem oczywiście jestem ja.

Poręczyciel? Co za poręczyciel? Kto miał być czyim poręczycielem. Co też bełkotał ten człowiek? Czy dżin Salkım wyraził swój sprzeciw?

Hodża efendi, ogarnięty drgawkami, wymawiał jakieś niezrozumiałe słowa.

– Tarizmaj... Budosz gari! Eloj, eloj, eloj!

Mahpeyker, niemalże łapiąc hodzę za rękę, chciała wrzasnąć „Co się dzieje?!”. I właśnie wtedy na pociemniałej twarzy znachora z Safranbolu odmalowało się coś w rodzaju rozluźnienia.

– Lefayel Salkım Efendi – wyszeptał. – Lefayel domasz!

Cokolwiek to miało znaczyć.

– Powiedzcie mu – powiedział szeptem, nie odrywając wzroku od wody. – Mówcie szybko... Salkım Efendi nie lubi czekać. Błagajcie.

Ani światła, ani czekania nie lubił dżin Salkım.

– Mój syn – zaczęła Mahpeyker. – To znaczy sułtan Ibrahim... On...

Naraz pomyślała, że się boi. A jeśli dżinowie nie lubią takich nieprzystojnych tematów... I jeśli dżin Salkım również nie pochwała spraw sercowych... Jeśli się rozwścieczy, skręci jej kark...

– Mów – rozkazał dziecięcy głos. – Powiedz mu... Opowiadaj, ale zaklinam, nie zwlekaj!

– Ibrahim – podjęła znów.

Morze w spodeczku wciąż falowało, ale była bezsilna. Musiała pogodzić się z falowaniem.

– Jak to powiedzieć, nie może wejść w kobietę. Wszystkiego już spróbowaliśmy. Bez skutku. Twoja moc nie ma granic, powiedział mi Husejn Efendi... Imperium potrzebuje następców tronu, wielmożny dżinie... Błagam, daj mojemu Ibrahimowi moc, rozpal ogień w jego żyłach, ożyw jego nasienie...

Woda w spodeczku nagle znieruchomiała.

– Poszedł – powiedział hodża dżinów. Jego twarz była zlana potem. Nawet brodę miał całą mokrą. – Salkım Efendi poszedł.

Dalej wpatrywał się w wodę.

– I co teraz się stanie?

Pamiętała, jak by to było wczoraj słowa hodży dżinów Husejna Efendiego:

– Stanie się!

Święty Boże!

Wszystko w Mahpeyker się poderwało w owej chwili.

Znów to magiczne słowo.

„Stanie się”.

Hodża dżinów wyglądał, jakby dostał ciężkie baty. Zgarbił się. Oddychał z trudem. Nagle pewne podejrzenie zakradło się do głowy Mahpeyker.

– Czy coś się stało, hodżo efendi? Czy dżin powiedział coś, czego mi nie przekazaliście?

– Nie. Nie powiedział.

– To tyle? Tylko tyle powiedział Salkim Efendi?

– Tak. Stanie się.

– Posłuchaj, hodżo efendi. Niech przynajmniej jedno się stanie. Proś teraz, o co chcesz. Zasypię cię bogactwami. Słowo. Słowo Mahpeyker Kösem.

Husejn Hodża najwyraźniej się spieszył. Zebrał się w jednej chwili. Mahpeyker się nie sprzeciwiła. Sama chciała, żeby czym prędzej się wynosił. Dwórki wyprowadziły go niepostrzeżenie z pałacu.

– Imperium nadało nam już tysiąc imion, niech przynajmniej nie mówią na nas czarownica – rzekła do Ruhsar tamtej nocy.

Popłoch, w jakim opuszczał pałac, przykuł jej uwagę, ale potem nie przywiązała już do niego wagi. To jedno słowo, budzące niepokój, ale magiczne słowo zasiało nadzieję w jej udręczonym sercu.

Teraz cała sztuka polegała na tym, żeby przekonać Ibrahima, że woda, na powierzchni której dżin Salkim urządził sztorm, nie była trucizną i nakłonić go do wypicia jej.

Jeśli i to nie pomoże, osmański ród wygaśnie.

Kiedy świeca się wypaliła? Nie zauważyła. Dopiero gdy nienasycony płomień oparzył jej palec, wynurzyła się z krainy swoich myśli. Ogarek świecy, która zgasła, zadawszy ból, rzuciła pod nogi. Przydepnęła. Znowu zatopiła się w ciemnościach. Nieprzenikniona ciemność była lepsza od złowrogiej, śmiertelnej jasności.

Nie wierząc, uciekła się do pomocy Salkima jedynie z bezsilności, ale moc jego dżina objawiła się niemal natychmiast.

Działy się cuda. Inaczej nie można było tego nazwać. Ibrahim, który nawet się nie obracał, żeby spojrzeć na dziewczyny, jakie przyprowadzała mu do haremu, a z których jedna była piękniejsza od drugiej, nim upłynął miesiąc, zamienił się w lwa. Krzyki z jego sypialni

były słyszalne nawet w jej pokojach.

Teraz nie starczało już odalisek. Z jakiegoś powodu nie chciał drugi raz spać z tą, którą wziął do swego łóża poprzedniej nocy.

W tamtych dniach właśnie przyprowadzili ją do pałacu. Wzięta do niewoli przez krymskich tatarów młoda dziewczyna z Rusi – powiedział ochmistrz – ma na imię Nastja.

Nastja?

To był jeszcze jeden cud. Zdziwiło ją takie zrządzenie losu. Bóg dla przedłużenia rodu Osmana zesłał Nastji inną Nastję.

– Gdzie jest dziewczyna?

– Dziedziniec Nowicjuszek, pani.

– Natychmiast mnie do niej zaprowadź, ochmistrzu.

– Was, pani... Ale jak to?

Ochmistrz miał prawo być zdziwiony. Co miała do roboty na Dziedzińcu Nowicjuszek, wśród nowo przybyłych niewolników, sług, pomocników?

– Nie martw się – powiedziała szeptem. – Znam jedno przejście. Tamtędy się przedostaniemy. Nikt nas nie zobaczy, ale my zobaczymy wszystko.

Tak też zrobiła. Tajemnym przejściem, które swego czasu pokazała jej Eftalya, przedostała się do Podwórzec Nowicjuszy.

Dziewczyny w hamamowych chodakach z łoskotem biegały po bruku.

Nawet nie spytała, która to z nich.

Była tam.

Jak słońce.

– Oto ona – szepnął ochmistrz. – Nastja. Jasnowłosa dziewczyna, co nalewa wodę ze żłobu.

Wiedziała od razu. Tylko ona mogła być Nastją. Pokiwała głową.

Była piękna. Jeśli Ibrahim nie był szalony, na jej widok na pewno by oszalał.

– Zmienili jej imię na Hatice.

Hatice!

Przez chwilę Mahpeyker pomyślała, że taki zbieg okoliczności musi być jednak czymś więcej niż cudem. Los nie przestawał się z nią bawić. To

było jego kolejne zagranie.

Hatice!

Dobry Boże! Co też kryło się za tym boskim planem?

Wróciła. Całą noc myślała i zastanawiała się. Nie wiedziała, na czym miał polegać boski plan, ale z pewnością Bóg wiedział, co robi. Ona też.

Nad ranem zawołała dziewczynę.

„Chodź, obejrzymy cię, przyszła synowo” – mruknęła w myślach, witając ją z uśmiechem. – „Ibrahimowi podaruj syna, imperium potomka, mnie wnuka”.

Jej oczy były jak morze. Złote włosy. Nie można było się napatrzeć na jej twarz. Mogła mieć piętnaście lat albo nawet mniej.

– Podnieś głowę, niech spojrzę – powiedziała do dziewczyny, której na te słowa poczerwieniały policzki.

Mahpeyker wydawało się jakby znowu przeżywała swoje pierwsze dni w pałacu. Tak jak swego czasu przygotowywano ją dla Ahmeda, tak też teraz ona zamierzała wypucować dla Ibrahima Nastję. Hayganoş już nie trafiała igłą w nitkę. Wyszkolone przez nią kalfy miały uszyć suknię dla nowej narzeczonej. Etykiety i dobrych obyczajów miała zaś ją nauczyć osobiście. Gdy zaś nadejdzie pora, zamierzała ją przedstawić padyszachowi.

– Jak ci na imię, moja droga?

– Nadia, pani.

– Powiedzieli ci, że nasze imię w dzieciństwie też brzmiało Nastja?

Dziewczyna była zaskoczona, policzki jej zapłonęły.

– Tutaj mówią na mnie Hatice.

– Na nas też tak mówiono – popatrzyła przez chwilę w hipnotyzujące oczy dziewczyny. „Ach, Ibrahimie” – pomyślała wówczas. „Podaruj swej matce wnuka z tej dziewczyny”. – Od teraz będą mówić na ciebie Turhan.

Nie wiedziała, skąd przyszło jej do głowy to imię. „Hatice Turhan Sultan, ha” – mruknęła sama do siebie. „Pasuje. Całkiem nieźle. Hatice Turhan Sultan...”.

Dziewczyna ukloniła się z uśmiechem.

– Dziękuję, pani.

– No dobrze, Turhan, czy wiesz, kim jestem?

Skłoniła swą piękną głowę. Jej jasne jedwabiste włosy sięgające bioder zafalowały.

– Powiedzieli, że matką padyszacha.

– Zgadza się. Zwą nas sułtanką seniorką Mahpeyker Kösem Sultan.

Zmierzyła dziewczynę jeszcze raz lustrującym wzrokiem. Różane usta, obramowane czarnymi rzęsami oczy były zniewalające. Spore jak na jej wiek piersi, wąziutka talia, okrągłe biodra i długie nogi nawet dorosłych mężczyzn by uwiodły. Niech tylko nie zawróci zupełnie w głowie Ibrahimowi po tych wszystkich latach spędzonych w odosobnieniu.

– Chciałabyś, żebym zaprzyjaźniła cię z padyszachem?

Dziewczyna nic nie odparła. Jej różowe policzki raz jeszcze poczerwieniały.

– W porządku. Nie ma czego się wstydzić. Ale wcześniej musisz się przygotować – klasnęła w dłonie. – Niech zawołają krawców i tkaczy. Jutro wszystkich chcemy tu widzieć.

Wiedziała, że nie ma za wiele czasu, dlatego też nie zwlekała. Zadbala, by dwadzieścia dni później Hatice Turhan stanęła przed obliczem Ibrahima. Jeszcze wtedy zrozumiała, że Ibrahim zapalał do niej namiętnością.

– Jego Wysokość wyraził wolę, abym przyprowadził wieczorem do jego pokojów Hatice Turhan – doniósł dwa dni później ochmistrz.

Druga Nastja spoczęła w objęciach potomka Osmana.

Stało się, tak jak myślała. Dziewczyna oczarowała Ibrahima. Padyszach przez wiele dni nie opuszczał swoich pokoi. Zaczęto mówić na nią ulubienica Hatice Turhan. Albo „Moskiewska Róża”.

– Temu, kto tak mówi, urwę język – nie wytrzymała pewnego dnia. – Nie moskiewska czy jakaś tam, tylko moja synowa ulubienica Hatice Turhan. Tego, kto coś na nią powie, potraktujemy jak mówiącego na nas i wyznaczymy stosowną karę. Niech to będzie jasne.

Jakże grzeczna i uprzejma była dziewczyna. Mahpeyker postawiła ją na piedestale. Nim zdążyło wybrzmieć jedno „sułtanko matko”, rozbrzmiewało kolejne. Gdy czegoś chciała, ta, nie dając okazji dwórkom, sama biegła i przynosiła: „Proszę, sułtanko matko”.

Mahpeyker na własne uszy słyszała, ile razy mówiła do dziewczyn: „Moja prawdziwa matka to valide sultan. Rodzonej matki nawet dobrze nie znałam. Sprzedali mnie w niewolę, jak byłam jeszcze całkiem mała”.

„Och, moja synogarliczko” – pomyślała, słysząc to. „Czy ja byłam inna? Nie smuć się, moja morskooka córeczko. Dokąd zaszłyśmy? Kto wie, jakie piękne rzeczy zapisał ci w losie Bóg. Spójrz, zostałam ulubienicą wielkiego sułtana Ibrahima. Daję ci słowo, Hatice Turhan, daj mojemu synowi potomka, a już ja zajmę się ślubem.

Turhan jakby usłyszała jej myśli. Dwa miesiące później wyznała jej, że jest w ciąży. Policzki płonęły jej jak ogień.

Mahpeyker niemalże fruwała z radości. Jeszcze tego samego dnia zmobilizowała wszystkie akuszerki i lekarzy. Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiła, było obsypanie prezentami Husejna Hodzę Efendiego.

– Niech bierze też ze sobą Salkıma Efendiego. Od teraz szacowny Hodża Efendi będzie zamieszkiwać w pałacu – ogłosiła.

Ibrahim, dowiedziawszy się, że zostanie ojcem, jakby jeszcze bardziej się uspokoił. Przynajmniej nie pokazywał się już z torbami pełnymi pereł. Sadrazam Pasza również już nie biegał do niej co chwila ze skargą: „Pani, nasz pan znów wypełnił sadzawkę perłami. Ale już mniejsza o to. Zbieramy. «Przyszły nowe perły» – mówimy, wręczając mu je z powrotem. Ale teraz upiera się: «Niech nas zawiozą na Sarayburnu. Ryby w morzu są głodne. Nakarmmy je porządnie». Wiadomo, jaki jest stan skarbcza. Drożyzna szaleje. Lud głoduje. Co będzie, jeśli przy takim stanie rzeczy rozejdzie się wieść, że sułtan nasz pan rozsypuje w morzu perły?”.

Byłoby źle. Nawet bardzo źle. Ale Ibrahim zdrowiał. Z każdym dniem wyglądał coraz lepiej.

„Nie musiałam mu wtedy dwa razy powtarzać” – poruszyła się Mahpeyker na drewnianej ławce. „Weź to”. Brał. „Wyrzuć to”, wyrzucał. „Przesuń to tutaj”. Przesuwał. Królem był on, ale imperium rządziła królowa. Czyli ona.

Przypomniała sobie, jak pewnego wieczoru mrugnął do niej, mówiąc:

– Matko, jeśli Turhan urodzi syna, będę mógł razem z synem rzucić rybom perły, prawda?

Była zdruzgotana.

A zatem, to tego dnia zaczęła nawracać choroba? Czy też odbiło mu, kiedy podano do wiadomości, że Turhan urodziła syna? Nie wiedziała.

Chłopiec zrodzony z Turhan był różowutki. Podobny do matki był książę. Nazwano go Mehmed.

Mahpeyker dotrzymała obu danych przyrzeczeń. Hodżę dżinów obdarowała szczerze wszelkimi bogactwami. Turhan zaś wydała za swojego syna.

W dniu ślubu oczy wypełniły jej się łzami. Jeszcze jedna Nastja została sułtanką, pomyślała. Niewolnica Nastja była od teraz Hatice Turhan Sultan. Gdy nadejdzie czas, zostanie też valide sultan.

Miała wszystko, żeby być szczęśliwą, ale wcale nie była. Wszystko szło źle.

W nadziei, że narodziny Mahmeda wpłyną uzdrawiająco na Ibrahima, odmawiała modlitwy i składała przyrzeczenia. Amulety przepisane przez hodżę dżinów nie pomogły. Dżin Salkim zapewne opuścił hodżę efendiego.

Ale wieść, że padyszach począł syna dzięki wodzie, na którą podmuchał Husejnn Hodża Efendi, natychmiast rozniosła się po całej stolicy. Szukający uzdrowienia z ręki hodży i jego dzina nacierali na pałac. Sława hodży dżinów dotarła już do każdego. Nawet Mahpeyker. Otrzymawszy od niej pozwolenie, przeprowadził się do podarowanego mu domu. Hodża efendi był już bogaty jak krezus.

Podniosła się z drewnianej ławki. Od dłuższego siedzenia wszystko jej ścierpło. Rozruszała ręce i nogi. „Głupiec” – powiedziała w duchu. Nie zdawał sobie sprawy zaklinacz dżinów, że wraz z jego sławą rosła mu też liczba wrogów.

Umysł Ibrahima, już wtedy wielkości orzecha włoskiego, zaniknął doszczętnie. Zarządził, by dla księcia Mehmeda wykonano zdobiony perłami becik i kołyskę. Nocami zaczął potajemnie wymykać się na cypel. Rozeszła się pogłoska, że padyszach zaczął sypać rybom perły. Podczas gdy na dywanie rozprawiano na temat sytuacji w kraju, Ibrahim, wspiąwszy się na okno, odrywał od kaftana perły i rzucał je przechodniom na ulicy. Nie zdawał sobie nawet sprawy z wartości

każdego z rzuconych koralików.

Poza tym nie starczało już niewolnic dla Ibrahima. Po księciu Mehmedzie od Salihy Dilaşub urodził mu się jeszcze jeden syn. Ibrahim dla nowo narodzonego księcia również zażądał zdobionej perłami kołyski. Rozkazał, by ze skarbca wyniesiono dwie torby pereł. „Nie ma” – odparł skarbnik. „To znajdź pan” – huknął Ibrahim.

Jego oczy znów były rozbiegane jak w czasach, gdy pozostawał ukryty w kafesie. Nie słuchał również jej. Co rzekła Mahpeyker, robił odwrotnie.

Usiadła znów ze złością. „Jeśli masz przyjść, to przyjdź już, Üveysie” – mruknęła. „W przeciwnym razie umrę tu albo z nerwów, albo zduszona ciężarem przeszłości”.

Nagle przypomniał jej się dzień, kiedy zjawił się u niej zażenowany do głębi sadrazam Ahmed Pasza. Krew znów uderzyła jej do głowy.

– Pani – rzekł, skłaniając głowę. – Jestem waszym sługą, waszym poddanym.

Było jasne, że miał ze sobą złe wieści. „No mów, sługo, co za rozkaz otrzymałeś?”.

– Jego Wysokość padyszach wyraził wolę, abyście przeprowadzili się do Starego Pałacu. Natychmiast, niezwłocznie, dzisiaj.

Co?!

To Ibrahim, który w dniu intronizacji przyszedł ucałować jej rękę ze słowami: „Moja rodzicielko, błogosławiona opiekunko” i padł jej do nóg, wydał taki rozkaz? „Musiałam źle usłyszeć” – stwierdziła, patrząc z niedowierzaniem na paszę. „Co, co powiedziałaś?”.

Nie, nie usłyszała źle. Wolałaby, żeby Ibrahim, zamiast odbierać jej królewską koronę, wbił jej nóż w serce. Nawet Murad tego nie zrobił.

Nie poprzestał zresztą na tym. Miesiąc później zesłał ją do pałacu Iskendera Czelebiego we Florii.

Pewnego dnia Ahmed Pasza wygadał się.

– Padyszach w rzeczywistości chciał was wysłać na Rodos. „Nasza matka pochodzi z wysp. Powietrze na Rodos dobrze jej robi, zdecydował. Ale wraz z Turhan Sultan, która rzuciła mu się do nóg, błagając: „Sultanie mój, władco mój”, udało nam się ograniczyć wyrok do pałacu Iskendera Czelebiego.

A niech to! Jeszcze złagodzili karę!

„Karę” – zaśmiała się gorzko w ciemnościach Mahpeyker. Była to kara za zaryglowanie drzwi haremu, żeby uniemożliwić synowi wymykanie się nocami na Sarayburnu i rzucanie pereł do morza.

Kara dla sadrazama okazała się jeszcze surowsza. Ibrahim dowiedział się, że pasza przekazał jej wieści. Martwe ciało Ahmeda Paszy kazał powiesić na jednym z platanów na hipodromie. Ją zaś o tym powiadomił:

– Taki los spotyka tych, co mieszają się w nasze sprawy!

W końcu przyszło to nieszczęście, którego się spodziewała. Lud i wojsko, nie wytrzymując już szaleństw i ekstrawagancji syna, podjudzane przez konkurujących między sobą paszów i wezyrów, zbuntowały się.

Dzień wcześniej powstańcy potajemnie przekazali Mahpeyker wiadomość. „Jest z nami czy przeciwko nam? Jeśli z nami, niech znajdzie wyjście, niech nie przeleje się krew. Jeśli nie, jeśli przeciwko nam, na Boga, nie będziemy pamiętać, że to krew Ahmeda i Murada Chana”.

„Jest Bóg” – rzekła w duchu Mahpeyker z wielkim ciężarem na sercu. „Nie broniłam. Nie stanęłam na drodze. Czego miałam bronić, jak stanąć na drodze?”.

Miała bronić tego, który zabrał jej z głowy koronę królewską, ukradł słońce?

W dniu kiedy powstańcy ruszyli do pałacu, Mahpeyker przyjmowała Turhan Sultan w pałacu Iskendera Czelebiego „Chciałam zobaczyć księcia Mehmeda” – zawiadomiła. Bała się, że dziecku może stać się krzywda. W ten sposób zapewniła bezpieczeństwo Turhan i Mehmedowi. Powodzenie jej planu zależało od tego, czy przeżyją.

Turhan rozplakała się rzewnie, złapała ją za rękę.

Pamiętała, jakby to było wczoraj. Nie owijając w bawełnę, rzekła: „Córko, Ibrahim musi zostawić tron. Jeśli tak dalej pójdzie, boję się, że spotka go podobny los, co młodego Osmana”.

Z niebieskich oczu Turhan spłynęły perliste łzy na różowe policzki.

– Co zrobimy, sułtanko matko?

– Ibrahim odejdzie, a na jego miejsce przyjdzie twój syn. To jedyne, co

można zrobić.

Jakże zdziwiła się dziewczyna.

– Mój syn? Mehmed? Ale on jest jeszcze maluteńki, sułtanko matko.

– O to się nie martw.

Skąd dziewczyna miała wiedzieć, że już raz załatwiła podobną sprawę, że uzyskała fatwę, zatwierdzającą prawo małego księcia Murada do objęcia tronu.

– Mehmed zostanie padyszachem, ty zaś valide Hatice Turhan Sultan.

– Ale... ale... i mój syn jest mały... i ja młoda...

Tego również się spodziewała.

– Wiem, córeczko – powiedziała, uśmiechając się do niej słodko. – Ty też jesteś jeszcze młoda. Musisz jeszcze dojrzeć do rządzenia państwem. Do czasu gdy Mehmed dorośnie i ty będziesz w stanie zająć się tymi sprawami, cóż, ja pokieruję imperium jako starsza matka.

– Ach – Mahpeyker uderzyła się w kolana.

„Tamtego dnia powinnam była zrozumieć, że wszystko jest sztuczne w tej moskiewskiej liszce, że wszystko było grą”.

Kiedy zaś zrozumiała, było już za późno. Ale teraz miała zapłacić za swoje.

Pomacała głęboką wewnętrzną kieszeń sukni. Obie były na miejscu – buteleczki śmierci.

Ibrahim nie chciał się usunąć w cień. Miała w głowie gotowy plan. Udawszy się do Nowego Pałacu, zaryglowała drzwi pokoju swojego syna. Siedmioletniego wówczas wnuka Mehmeda posadziła na tronie.

Padyszach Mehmed, Turhan Valide Sultan. Ona też znów była królową. Obie były sułtankami. Wielka sułtanka matka. Starsza matka. To ona była prawdziwą królową imperium. Mehmed wraz ze swoją matką mogli bawić się swoimi zabawkami do woli.

Gdyby Ibrahim pozostał tam, gdzie go zamknięto, może żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła.

„Ale nie pozostał” – sapnęła. Płakał, wył, krzyczał, wołał, wrzeszczał, jęczał. „Moje perły – krzyczał, ile sił w płucach – dajcie mi moje perły”.

Jego zawodzenia życie dworu zamieniły w torturę.

Tym razem Mahpeyker znalazła inne wyjście. Pokój, w którym

uwięziła syna, kazała otoczyć dodatkowym murem. Teraz jego głos przynajmniej nie był już tak słyszalny.

Jednak ten krok nie odniósł skutku. Stolicą wstrząsnęła nowa fala buntu. Powstańcy chcieli teraz tylko jednego. Śmierci jej syna.

„Nie może być dwóch na jednym tronie. Albo ojciec jest sułtanem, albo syn. Ustalmy, który. Jeśli Mehmed, w porządku. Ale jeśli padyszachem jest perłowy Ibrahim, nie ma naszej na to zgody”.

Na wspomnienie tego fatalnego dnia Mahpeyker znów ogarnęło drżenie. Gdyby mogła, płakałaby. Ale już nie mogła płakać. Zabrakło już łez w jej oczach. Żaden ból, żadne nieszczęście nie doprowadzało jej do łez.

Sadrazam Sofu Mehmed Pasza i szejch al-islam Abdürrahim Efendi stanęli przed jej obliczem.

- Jest już naszym obowiązkiem zakończyć tę sprawę, pani.
- Do czego zmusza obowiązek, panowie?
- Jest z nami kat Czarny Ali.
- To znaczy?
- Znaczy właśnie to, pani.
- A jeśli nie ma naszej zgody?
- Wówczas Czarny Ali będzie miał dwie sprawy do załatwienia.
- Padyszach jest bezpieczny?
- Bóg widzi, Mehmed Chan jest bezpieczny.
- Sułtanka matka?
- Ona również.
- A ja?
- To zależy od rzeczzonego warunku.

Nie mogła nic zrobić ani nic powiedzieć. Obróciła się do nich plecami. To był rozkaz zabicia jej własnego syna. „Idźcie, zabijcie mojego syna Ibrahima!”.

Nie potrafiła zapomnieć swego krzyku w duchu: „Ech, losie! Tak też wobec mnie zagrałeś. W końcu zrobiłeś ze mnie morderczynię własnego dziecka!”.

Gdy Sofu Mehmed Pasza wraz z Abdürrahimem Efendim wyszli z pałacu, okazało się, że kat Czarny Ali gdzieś zniknął. Mieszkańcy

pałacu, zrozumiał, co się wydarzyło, nie pokazywali się. Nie było widać nawet pojedynczego sługi. Z daleka dobiegały niekończące się krzyki Ibrahima:

– Ej, matko! Matko zdrajczyno! Dawaj moje perły! Chcesz, żeby ryby pomarły z głodu?

Mężczyźni złapali kata, porządnie go zbili. Popychając i kopiąc, zaprowadzili prosto do pokoju, w którym darł się Ibrahim. Zburzyli mur, złamali kłódkę. Później, zgodnie z tym, co jej opowiedziano, Ibrahim Abdürrahima Efendiego, który wkroczył do jego pokoju wraz z katem Czarnym Alim, przywitał z Koranem w ręku.

– Słuchaj, Abdürrahim! – wrzasnął jej syn. – Yusuf Pasz powiedział o tobie, że jesteś „bezbożną, niewierną, przebiegłą kanalią”, której „nie ma co żałować”. Bojąc się Boga, nie kazałem cię zabić, ale widzę, że ty zamierzasz zabić mnie. Oto Koran. Jakim prawem chcecie mnie zabić, okrutnicy?

Nikt już nie przejmował się żadnym prawem. Prawo dała im jego matka. Gdy zaduszone natłuszczonymi powrozami ciało bez życia osunęło się na ziemię, z trudem udało im się rozewrzeć zaciśniętą dłoń sułtana Ibrahima. Wypadła z niej ostatnia porcja karmy dla ryb – dwie perły.

– Ach – westchnęła Mahpeyker. – Ach i ach! Nie wiedziałam, że uwolniłam lizskę, że uwolniłam żmiję.

Przez pierwsze kilka miesięcy, nawet cały rok, sprawy miały się dobrze. Jej wnuk Mehmed był padyszachem. Synowa – Turhan Valide Sultan. Wydawało się, że wszystko było tak, jak to wyliczyła. Chłopiec cały czas był przy matce, wspólnie bawili się na wewnętrznym dziedzińcu. Ona zaś była królową. Starszą sułtanką matką.

Lecz pewnego dnia doświadczyła największej w całym swoim życiu zdrady. Jedna z dwórek Turhan Sultan przybiegła do jej siedziby.

– Co to, dziewczyno? – spytała Ruhsar. – Co to za pośpiech? Czy tak się wchodzi do siedziby starszej valide, bez pozwolenia, bez pozdrowienia?

– Właśnie tak – odparła bez ogródek dziewczyna. – Jeśli Hatice Turhan Valide Sultan mówi: „Daj znać starszej pani, niech przyjdzie

czym prędzej. Czekamy”, wówczas tak się wchodzi.

„Zwątpiłam” – przypomniała sobie Mahpeyker. „Daj znać starszej pani, niech przyjdzie czym prędzej, ha”.

W całym swoim życiu nie spotkała ją większa zdrada.

– Tak nie może być – rzekła, nawet nie proponując jej usiąść ta niebieskooka synowa o jasnych jedwabistych włosach, matka wnuka, którego uczyniła padyszachem, kobieta, której nawet imię sama nadała. – Jeśli na tronie nie może zasiadać dwóch padyszachów, niestosowne jest też by w jednym haremie rezydowały dwie sułtanki matki. Zarządzamy, abyście się przeprowadziły. Miejsce same wybierzcie. Wolicie Stary Pałac czy może znów pałac Iskendera Czelebiego?

„Jasnowłosa liszka” – zazgrzytała zębami. „Przyszedeł czas się policzyć. Teraz to ja postanowiłam zepchnąć cię razem z chłopakiem. Tym razem posadzę na tronie mojego wnuczka Sulejmana. Znasz Sulejmana? To ten bobas Salihy, której zapach był Ibrahimowi miłszy od twojego. Ma dopiero cztery lata, ale to nic. Nawet fatwa jest już gotowa. Z niego zrobię padyszacha, a sama zostanę królową. A ty kim będziesz? Nie wiesz, Turhan? Zdechniesz, moja synowo. Karą za zdradę w imperium jest śmierć; nie nauczyłaś się?”.

Kafes,

tego samego wieczoru, po ostatnim namazie

Mahpeyker wzdrygnęła się. Usłyszała jakiś odgłos. Czegoś przesuwanego po ziemi.

– Üveys – szepnęła. – Jesteś?

Odgłos się zbliżał. Ktoś nadchodził, ostrożnie przesuwając stopami po ziemi.

– Üveys, to ty?

– Ja, pani.

Jej napięte jak struna nerwy naraz rozluźniły się.

– Gdzie jesteś? Nie widzę w ciemności.

– Tutaj. Po prawej.

Coś przewróciło się z łośkotem. Serce podskoczyło Mahpeyker do gardła.

– A niech to licho – mruknął mężczyzna.

– Szz! Uważaj.

W ciemnościach ukazało się straszny zarys ogromnej sylwetki.

– Popatrzyłeś dobrze za siebie, Üveys? Nikt nie widział, że tu schodzisz?

– Nikt. Kto by miał zobaczyć? Sam szatan by nie pomyślał, żeby tu zajrzeć.

– Ale liszki wcisną się w każdą dziurę. Czy wszystko, co rzekłam zostało zrobione, paszo?

– Wszystko, co do joty.

– Koszary?

– Nie ma powodu do obaw. Żołnierze są ci oddani. A Siyavuş...

– Szszsz... Mów ciszej.

– Nikt nas tu nie usłyszy. Nie obawiajcie się.

– Widziałam pięciu padyszachów, paszo! Jeśli wciąż jesteśmy przy życiu, to tylko dlatego że nie ufamy nawet ścianom. W miejscu zwanym pałacem prawe oko nie powinno ufać lewemu. Mów cicho, co masz do powiedzenia.

– Marynarze są podzieleni, ale...

Mahpeyker niespodziewanie podniosła rękę, uciszając go. Wydało jej się, że usłyszała jeszcze jakiś głos. Na zewnątrz. Jakby coś przesunęło się wzdłuż ściany za okratowanym oknem. Czy ktoś był po drugiej stronie? Wciągnęła nosem powietrze.

– Jesteś pewien, że nikt cię nie śledził, czy tak? – szepnęła do Üveysa Paszy. Nie dając mu chwili na odpowiedź, podniosła palec do ust, nakazując milczenie.

Przez jakiś czas oboje nasłuchiwali.

Nie było nic słyhać.

„Pewnie szcur” – pomyślała Mahpeyker.

– Wydawało mi się – zwróciła się do paszy. – Mów dalej. Mówisz, że marynarze są podzieleni?

– Tak. Ale podjęliśmy wszystkie środki. Przenieśliśmy tam dwa oddziały spahisów i jeden artylerii. Że niby w ramach ćwiczeń. Jeśli coś się wydarzy...

– Rozumiem.

Wyjąwszy z kieszeni sukni śmiertelną parę, podała je Üveysowi.

– Co to?

– Przydadzą ci się tej nocy.

Üveys Pasza przyjrzał się buteleczkom, obracając je w dłoniach.

– Co jest w środku?

– Sorbet!

– Zrozumiałem.

Mahpeyker wykonała gest w stronę buteleczki w prawej ręce paszy.

– Tę – syknęła – do sorbetu chłopaka.

– A jeśli się domyśli?

– Głupcze! – Jej głos był jak bicz. – Myślałeś, że o tym nie

pomyślałam?

– Ależ nie, gdzież by... Tylko...

– Nie ma zapachu i smaku. Ma kolor taki jak sorbet tamaryndowy.

Nie sposób go zauważyć...

Nie było w pałacu nikogo, kto by nie wiedział, że mały padyszach Mehmed przepada za sorbetem tamaryndowym.

– A drugi dla kogo?

– Mnie o to pytasz? – syknęła Mahpeyker po chwili milczenia. Jej głos brzmiał, jakby się śmiała. – Nie będzie dobrym rozdzielać matkę z synem... Do jej napoju. Nie bój się. Ona też nie zauważy.

Przez moment patrzyli na siebie bez słowa. Oczy obojga płonęły w nieprzeniknionej ciemności.

– Najpierw dziecko – wymówiła powoli Mahpeyker – bez tego nic się nie uda. Kiedy tamta pójdzie, druga ma być gotowa. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Kto będzie towarzyszyć Sulejmanowi w drodze do Eyüp Sultan dla przekazania miecza?

– Ja.

– Zrozumiałeś po kolei wszystko, co powiedziałam? – spytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Nie ma zmiłuj, paszo. Niech każdy ma to na względzie. Albo głowa państwa, albo pokarm dla sępów. Do porannego ezanu wszystko powinno być skończone.

Niespodziewanie Mahpeyker się podniosła. Znów usłyszała jakiś odgłos. Odgłos kroków. Coś jak świst oddechu. „Szszz”.

Przysłuchiwali się. Kroki tym razem usłyszał również Üveys. Jakby ktoś biegł. Skradający się trucht. Nagle odgłos ucichł.

– Cholerne szczury – odetchnął pasza – wlażyły przez dziurę.

Mahpeyker spróbowała się uśmiechnąć, żeby nie dać po sobie poznać przeżytego strachu.

– Załatw tę sprawę do końca, Üveys. Pokaż, co potrafisz. Nad ranem przyjdź do mnie jako drugi wezyr. A teraz idź czym prędzej.

Kiedy obróciła się, żeby spojrzeć, ciemność już go pochłonęła.

Kości zostały rzucone.

„Śmierć nadchodzi, liszko” – powiedziała w duchu. Po chwili

Mahpeyker Sultan również zniknęła w mroku. Za niedługo miała złożyć podpis pod największym w dziejach imperium zamachem, największym puczem. A słońce miało raz jeszcze powitać ją jako królową.

*3 września 1651 roku,
poranny ezan*

– Pani... pani... Przebudźcie się.

Na głos służącej Mahpeyker wyprostowała się w łóżku. Nie spała. Jak można było spać w taką noc? Nad ranem mieli jej przynieść słońce.

Odrzuciła kołdrę.

– Ciii...! Nie krzycz – zganiła stróżującą. – Słyszałam.

– Która godzina?

– Do ezanu niewiele zostało, sułtanko matko. To już lada moment.

Lada moment.

Czyli już po wszystkim!

Stworzyła dla imperium jeszcze jednego padyszacha. Sułtan Sulejman Chan! Najmłodszy padyszach w dziejach imperium!

„Ha” – rzekła w duchu. „Łatwo to być starszą valide?”. Wstała.

Rozłożyła ręce, by dwórka mogła założyć na nią kaftan. Bardzo lubiła ten smolistoczarny strój. Złocenia lśniły wyrazistym blaskiem na nieprzeniknionej czerni materiału. Inna dwórka podbiegła, by założyć jej wyszywane złotem ciżmy z zawiniętymi noskami.

Niebo za okienną kratą wciąż było ciemne. Dzień się jeszcze nie zaczął. Wraz z nastaniem jutrzeńki miało się zrodzić poruszenie. Kiedy wyjdzie jako potomek świętej pamięci Osmana Gaziego z jego mieczem przypasanym do boku, niebo i ziemia zgodnie wykrzykną: „Niech żyje padyszach... Niech żyje padyszach!”.

„Tylko jak takiemu maluchowi przypasają miecz? Ale nie mnie o tym myśleć. Znajdą sposób”.

Spojrzenie jej się rozjaśniło. Odetchnęła. Zwilżyła twarz wodą

z dzbanka, po który wysłała jedną z dziewcząt. Wytarła się podanym ręcznikiem. Poszła, usiadła na sofie. Plecy oparła o poduszki.

– Och – mruknęła. – Ten ból krzyża mnie wykończy.

Myśl o śmierci wywołała w niej dziwne uczucie.

Obydwoje już nie żyją.

Może nawet od dłuższego czasu.

„Imperium powinno kłaść się i wstawać z modlitwą na ustach – za ciebie, Mahpeyker” – rzekła sama do siebie. „Spójrz, co znów uczyniłaś? Który to już padyszach, którego darujesz imperium?”. Policzyła na palcach. „Pięciu czy sześciu? Razem ze szwagrem Mustafą należy też policzyć Osmana. Jeśli ich doliczymy, Sulejman jest siódmy. Powiedzmy, że Ahmeda nie ja koronowałam; w takim razie ten będzie szóstym, któremu pomogłam”.

Uśmiechnęła się. „Ach, ten los” – pomyślała. „Kto by powiedział, że po Ibrahimie z piwnic kafesu wyjdzie jeszcze jeden padyszach!”.

– Emine – odezwała się do dwórki. – Dowiedz się, czy Saliha Dilaşub przyszła ze Starego Pałacu.

Dziewczyna natychmiast wybiegła.

Matka nowego padyszacha musiała już tam być. Taki był zwyczaj. Zaraz po intronizacji syna nowa valide sultan przeprowadzała się ze Starego Pałacu do Nowego. „Dilaşub nie będzie jak ta moskiewska lizka” – mruknęła. „Nie trzeba jej będzie powtarzać dwa razy. Przyjdzie ucałować nam dłoń jeszcze przed ezanem”.

Emine pojawiła się w progu. Na jej twarzy malował się dziwny wyraz. Nie zrozumiała, co Dilaşub Sultan miałyby robić o tej porze w Nowym Pałacu, ale powitała starszą panią ukłonem do ziemi. – Nie przyszła, pani.

Siyavuş na pewno wszystko tak urządził. W czasie śpiewania porannego ezanu syn Salihy miał zostać padyszachem, a ona sułtanką matką. Jeszcze jedno słońce wschodziło nad głową Mahpeyker. Znów miała zostać królową. Tym razem mieli o niej mówić królowa matka. Saliha też z pewnością nie zaniechałaby okazania jej należnego szacunku. Ale czemu ta dziewczyna wciąż jeszcze nie przyszła ucałować jej ręki? Widocznie uznali, że stosowniej będzie przyprowadzić ją w porze

namazu.

Zaczęła się zastanawiać, kogo tym razem mianuje sadrazamem. „Z Turhuncu i Ahmedem Aniołem dajmy sobie spokój. Z Üveysa też nie będzie sadrazama. Pewnie najlepszym będzie jednak Siyavuş. Zobaczymy. Tak czy nie... Jak nie, palec odcięty przez szariat... nie zaboli”.

Nagle z zewnątrz dobiegł hałas. Odgłos biegnących kroków.

„Idą” – nadstawiła ucha. Dużo ich. Czyli rzecz się zakończyła. Nowy padyszach przypasał miecz. Prowadzą padyszacha.

Odgłos biegnących kroków dał się słyszeć teraz jeszcze wyraźniej. „Możliwe, że Üveys Pasza uznał, iż bezpieczniej będzie przeprowadzić tędy padyszacha do Galerii Sułtańskiej” – pomyślała. Za chwilę mieli skręcić w korytarz po prawej i oddalić się.

Wbrew temu jednak, co myślała, biegnący nie skręcili, kroki zamiast się oddalić, zbliżyły się jeszcze bardziej.

„Allahu” – mruknęła cicho. Z przejęcia w głowie miała mętlik. „Prowadzą nową sułtankę matkę, ma się rozumieć. To chyba oczywiste?”.

– Emine... Prowadzą Salihe Dilaşub. Niech dziewczęta będą gotowe na rozkazy. Jedna niech przywdzieje mi ten hotoz.

Emine pobiegła do bocznych drzwi. W miarę jak zbliżały się kroki, usłyszała nerwowy szept dziewcząt w sąsiednim salonie. Kroki zatrzymały się dokładnie przed drzwiami do jej pokojów.

Nadeszli.

Usiadła pośrodku sofy. Ręce złożyła na kolanach. Przywołała na twarz najbardziej zamyślony, najbardziej melancholijny, a jednocześnie uśmiechnięty, krzepiący i zachęcający wyraz. Pogrążona w bólu starsza sułtanka była gotowa na powitanie matki nowego padyszacha.

Usłyszała, jak otworzyły się drzwi do jej pokoju. Wydało jej się, że usłyszała wrzask. Jedna z dziewcząt musiała wydać z siebie okrzyk radości, chcąc przypodobać się Dilaşub.

– Emine! – zawołała w stronę drzwi. – Wpuść ich, córuniu, do środka. Nie każmy czekać naszej synowej, Salisze.

Emine nic nie odparła. Usłyszała liczne kroki stąpające po dywanie.

Zatrzymały się przed jej drzwiami.

– Wchodźcie – powiedziała z dumą w głosie. – Wchodźcie, czekamy.
Drzwi otwarły się z hukiem.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. „Co to za czarnuch?” – zdziwiła się.
„Niepodobny do żadnego z paszów”.

I nagle go poznała.

Czarny Ali. Naczelny kat.

Za jego plecami stali pomocnicy.

Dziewczęta zanosily się od płaczu.

– Wstań, kobieto – zagrzmiął Czarny Ali. – Wydano na ciebie wyrok śmierci. Jeśli nie chcesz odejść w niewierze, wypowiedz szahadę.

Wstała. Podczas gdy przybyli krzątali się z węzłami na natłuszczonych powrozach, krzyknęła:

– Weź sznur od kotary, zniwiarzu! Co to za zuchwalstwo, co za arogancja! Starszej valide, wspaniałej sultance, wielkiej matce Mahpeyker Kösem Sultan chcesz zawiązać na szyi ten tłusty, zakrwawiony, obrzydliwy powróż?!

Wśród osłupiałych spojrzeń katów zawołała do jednej z bliskich omdlenia dwórek.

– Emine!

Dziewczyna zachwiała się w miejscu.

– Oderwij sznur od tej kotary i niech kostucha robi, co do niej należy!

Podeszła do kata.

– Działaj szybko, Ali! Moskiewska lizka czeka na dobre wieści.

Zabierz duszę Kösem, czyn swoją powinność!

20 maja 2012 roku, Sarıyer – Miami

Słowniczek terminów orientalnych

- Abla** – starsza siostra; wyrażenie używane jako zwrot grzecznościowy w odniesieniu do kobiet wzbudzających szacunek mówiącego
- Adżarowie** – grupa etniczna w obrębie narodu gruzińskiego
- Aga** – tytuł urzędników i dowódców w wojsku i haremie, używany również jako zwrot grzecznościowy w znaczeniu „pan”
- Akce** – srebrna moneta w imperium osmańskim
- Akindzi** – nieregularna jazda w imperium osmańskim. Samodzielnie atakowali ziemie nieprzyjaciół, ich celem było rozpoznanie i złupienie nieprzyjaciela; mieli prawo zatrzymywać łupy wojenne dla siebie
- Alim** – uczony muzułmański
- Azrael** – anioł śmierci
- Bakszysz** – zwyczajowy napiwek, jałmużna dawana w zamian za wykonanie jakichś drobnych czynności
- Bej** – wyższy urzędnik państwowy, a także zwrot grzecznościowy w znaczeniu „pan”
- Bejlerbej** – (tur. bej bejów), gubernator prowincji osmańskiej
- Bunty celali** – bunty ludowe w XVI- i XVII-wiecznym imperium osmańskim
- Buzdygan** – broń obuchowa z metalową głowicą osadzoną na trzonku
- Chan** – feudalny władca lub zwierzchnik prowincji; tu: jeden z wielu tytułów sułtana
- Chutba** – piątkowe kazanie w meczecie, podczas którego wymieniało się imię panującego władcy
- Damat** (dosł. zięć) – tytuł przysługujący dostojnikom ożenionymi z osmańskimi księżniczkami
- Derwisz** – muzułmański mistyk
- Dirhem** – dawna jednostka wagi odpowiadająca od 1 do 3,25 grama
- Dywan** – rada przyboczna sułtana, pełniąca funkcję swoistego rządu
- Efendi** – tytuł nadawany osobom wykształconym, dostojnikom,

duchownym i oficerom wojskowym

Enderun – szkoła elit urzędniczych i wojskowych znajdująca się w pałacu Topkapı, a także wewnętrzna część tego pałacu

Ezan – wezwanie wiernych na modlitwę, śpiewane przez muezzina pięć razy dziennie

Falaka – narzędzie tortur służące do wymierzania kary, polegającej na chłóście stóp

Fatih – Zdobywca, tytuł Mehmeda II, sułtana, który zdobył Konstantynopol

Fatiha – sura otwierająca Koran

Fatwa – oficjalne pouczenie, wystawiane wyłącznie na piśmie przez uczonego teologa, rozstrzygające kontrowersję prawną lub teologiczną

Ferezja – (tur. ferace) długie wierzchnie okrycie kobiet

Gazel – liryczny utwór poetycki

Gazi – tytuł przysługujący zwyciężającym na wojnie muzułmanom

Giaur – niewierny; obelżywe określenie innowierców (zwłaszcza chrześcijan), używane przez muzułmanów

Hadzi – tytuł honorowy muzułmanina, który odbył pielgrzymkę do Mekki

Hamam – łaźnia muzułmańska

Hanım – pani, dama

Haseki – ulubiona nałożnica sułtana, faworyta

Hatun – kobieta, pani, dama; tytuł nadawany kobietom na wysokich stanowiskach

Hodża – tytuł grzecznościowy stosowany w odniesieniu do nauczycieli i duchownych (także kobiet)

Hotoz – rodzaj wysokiego kobiecego nakrycia głowy noszonego w imperium osmańskim

Hüdavendigâr – przydomek Murada I, następcy Orchana, oznacza władcę. Murad I był pierwszym z dynastii, który używał tytułu sułtana

Hurysa – wiecznie piękna i młoda rajska dziewczyna

Janczarzy – oddziały piechoty stanowiące trzon armii imperium osmańskiego od XV aż do XIX wieku

Jatagan – jednosieczna broń biała o podwójnej krzywiźnie ostrza i charakterystycznej rękojeści

Kafes – wydzielone dla kobiet miejsce w meczecie; klatka; pokoje książąt osmańskich, po zlikwidowaniu zasady bratobójstwa

Kajmakam – (tur. sadaret kaymakamı) gubernator prowincji w imperium osmańskim, tu: zastępca wielkiego wezyra

Kalfa – czeladnik; nadzorczyńni nad białymi niewolnicami w haremie.

Kapudan pasza – osmański odpowiednik admirała

Kazasker – jeden z głównych sędziów wojskowych imperium osmańskiego

Lafa – (tur. ulufe) żołnierskie i urzędnicze wynagrodzenie w państwie osmańskim wypłacane co trzy miesiące

Mihrab – nisza w meczetach wskazująca kierunek, w którym znajduje się Mekka (czyli gdzie trzeba się zwrócić podczas modlitwy)

Miskal – dawna miara wagi odpowiadająca 4,5 grama

Muska – przeważnie wykonany ze skóry, trójkątny amulet z zamkniętymi w środku zaklęciami albo modlitwami

Namaz – modlitwa muzułmańska odmawiana pięć razy w ciągu dnia

Noc Niewinności – (tur. Berat Gecesi) święto odpuszczenia grzechów obchodzone z 14. na 15. dnia miesiąca szaban

Noc Przeznaczenia – (tur. Kadir Gecesi) święto upamiętniające objawienie pierwszych wersetów Koranu przypadające zazwyczaj na 27. noc ramadanu

Odaliska – niewolnica usługująca w haremie, czasem określa się tak również nałożnice

Okka – miara wagi w imperium osmańskim równa 1283 gramom

Orchan Gazi – syn Osmana I, kontynuator jego dzieła

Osman I – faktyczny założyciel dynastii osmańskiej

Padyszach – pochodzące z języka perskiego określenie sułtana, imperatora

Pasza – tytuł wysokich urzędników państwowych, przyznawany zazwyczaj gubernatorom prowincji i generałom; zwrot grzecznościowy w znaczeniu „pan”

Pokój w Żytawie – podpisany między monarchią Habsburgów i sułtanatem osmańskim, uważany za jeden z symboli upadku imperium

Sadrazam – wielki wezyr

Sajjid – tytuł honorowy przyznawany potomkom proroka Mahometa

Sandżak – jednostka wojskowo-administracyjna; do sandżaków jako ich administratorzy byli wysyłani synowie sułtana, co miała ich przygotować do rządzenia państwem w przyszłości

Sela – towarzysząca ezanowi modlitwa, często służąca do wspominania zmarłych

Selim I – wojowniczy władca, dzięki któremu do imperium dołączyły m.in. święte miasta islamu, Mekka i Medyna, Jerozolima czy Egipt

Serdar – tytuł naczelnego dowódcy w wojsku osmańskim

Sipahi – osmański kawalerzysta

Spahisowie – nieregularne feudalne oddziały armii w imperium osmańskim; byli lennikami niewielkich posiadłości ziemskich

Sultan – tytuł używany po imieniu, noszony przez syna sułtana lub sułtanki (żonę, matkę i córkę sułtana)

Szach – tytuł władców Persji i innych monarchów muzułmańskiego Wschodu

Szahada – muzułmańskie wyznanie wiary, jeden z pięciu filarów islamu

Szahid – osoba, która umarła za wiarę; może dotyczyć osoby zmarłej w czasie zarazy lub w połogu, albo wojownika poległego w walce z niewiernymi. W islamie wierzy się, że szahidzi idą prosto do raju

Szejch al-islam – w imperium osmańskim tytuł nadawany wielkiemu muftiemu: prawnikowi i teologowi wydającemu oficjalne interpretacje dotyczące życia prywatnego i państwowego związanego z islamem; swoje decyzje ogłasza w formie fatwy

Szerbet – napój orzeźwiający z posłodzonego soku owocowego i wody

Tambur – instrument strunowy o okrągłym pudle rezonansowym

Tespih – używany w islamie sznur modlitewny

Ud – instrument strunowy o gruszkowatym pudle rezonansowym

Valide-i muazzama – wielka sułtanka matka, tytuł przynależny babce

sułtana

Valide Sultan – tytuł matki panującego sułtana; najbardziej wpływowa kobieta w imperium osmańskim

Wielki wezyr – najważniejszy z ministrów sułtana – „premier”, cieszący się jego szerokimi pełnomocnictwami; mógł zostać odwołany z urzędu wyłącznie przez padyszacha

Wilajet – jednostka administracyjno-terytorialna w imperium osmańskim

Wysoka Porta – jedno z określeń państwa osmańskiego (a także: jego dworu i rządu), pochodzące od bramy prowadzącej do siedziby wielkiego wezyra

Sułtanka Kosem

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

KSIEGA II

1

2 Nowy Pałac Mahpeyker Haseki Dairesi Luty 1605

3 Nowy Pałac 12 listopada 1605 roku

4 Pałac w Bursie Grudzień 1605 roku

5 Nowy Pałac Harem

6 Nowy Pałac, harem Październik 1609 roku

7 Pałac Beylerbeyi 9 lipca 1611 roku

8 Nowy Pałac, Galeria Sułtańska Wiosna 1615 roku

9 Nowy Pałac, harem Początek jesieni 1617 roku

10 Nowy Pałac, harem 16 listopada 1617 roku

11 Nowy Pałac, Galeria Sułtańska 18 listopada 1617 roku

12 Nowy Pałac, dywan 22 listopada 1617 roku, poranek

13 Nowy Pałac Luty 1618 roku

14 Stary Pałac, Luty 1618 roku

15 Stary Pałac, 1619 rok

16 Stolica, zima 1621 roku

17 Stolica 18–19 maja 1622 roku

18 Stolica 20 maja 1622 roku

19 Stary Pałac Styczeń 1623 roku

20 Stolica, hipodrom Październik 1623 roku

21 Pałac Beylerbeyi Lato 1630 roku

22 Nowy Pałac Luty 1640 roku

23 Harem, kafes 2 września 1651 roku, noc

24 Kafes, tego samego wieczoru, po ostatnim namazie

25 3 września 1651 roku, poranny ezan

Słowniczek terminów orientalnych

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
KARA KARLIÇE KÖSEM

Projekt graficzny okładki
Katarzyna Borkowska
kb-design@o2.pl

Zdjęcie na okładce
© Nina Pak/Trevillion Images

Redakcja
Anna Kulesza-Nguyen

Korekta
Bogusława Jędrasik

Copyright © 2012 by Demet Altinyeleklioğlu
Copyright © Kalem Agency
Copyright © for the Polish translation by *Piotr Beza, Anna Banasik* 2016
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., 2016



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-110-6



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

DEMET
ALTINYELEKLIÖĞLU

SULTANKA

KOSEM

CZARNA KRÓLOWA

NA PODSTAWIE KSIĄŻKI POWSTAŁ SERIAL

WSPANIAŁE STULECIE

SULTANKA KÖSEM

 WIELKA LITERA

Spis treści

Karta tytułowa	2
Dedykacja	3
KSIĘGA II	4
1	5
2 Nowy Pałac Mahpeyker Haseki Dairesi Luty 1605	32
3 Nowy Pałac 12 listopada 1605 roku	59
4 Pałac w Bursie Grudzień 1605 roku	71
5 Nowy Pałac Harem	80
6 Nowy Pałac, harem Październik 1609 roku	92
7 Pałac Beylerbeyi 9 lipca 1611 roku	108
8 Nowy Pałac, Galeria Sułtańska Wiosna 1615 roku	123
9 Nowy Pałac, harem Początek jesieni 1617 roku	133
10 Nowy Pałac, harem 16 listopada 1617 roku	157
11 Nowy Pałac, Galeria Sułtańska 18 listopada 1617 roku	166
12 Nowy Pałac, dywan 22 listopada 1617 roku, poranek	173
13 Nowy Pałac Luty 1618 roku	182
14 Stary Pałac, Luty 1618 roku	195
15 Stary Pałac, 1619 rok	211
16 Stolica, zima 1621 roku	219
17 Stolica 18–19 maja 1622 roku	228
18 Stolica 20 maja 1622 roku	241
19 Stary Pałac Styczeń 1623 roku	251
20 Stolica, hipodrom Październik 1623 roku	265
21 Pałac Beylerbeyi Lato 1630 roku	279
22 Nowy Pałac Luty 1640 roku	298
23 Harem, kafes 2 września 1651 roku, noc	309
24 Kafes, tego samego wieczoru, po ostatnim namazie	330
25 3 września 1651 roku, poranny ezan	334
Słowniczek terminów orientalnych	338
Spis treści	343
Karta redakcyjna	345